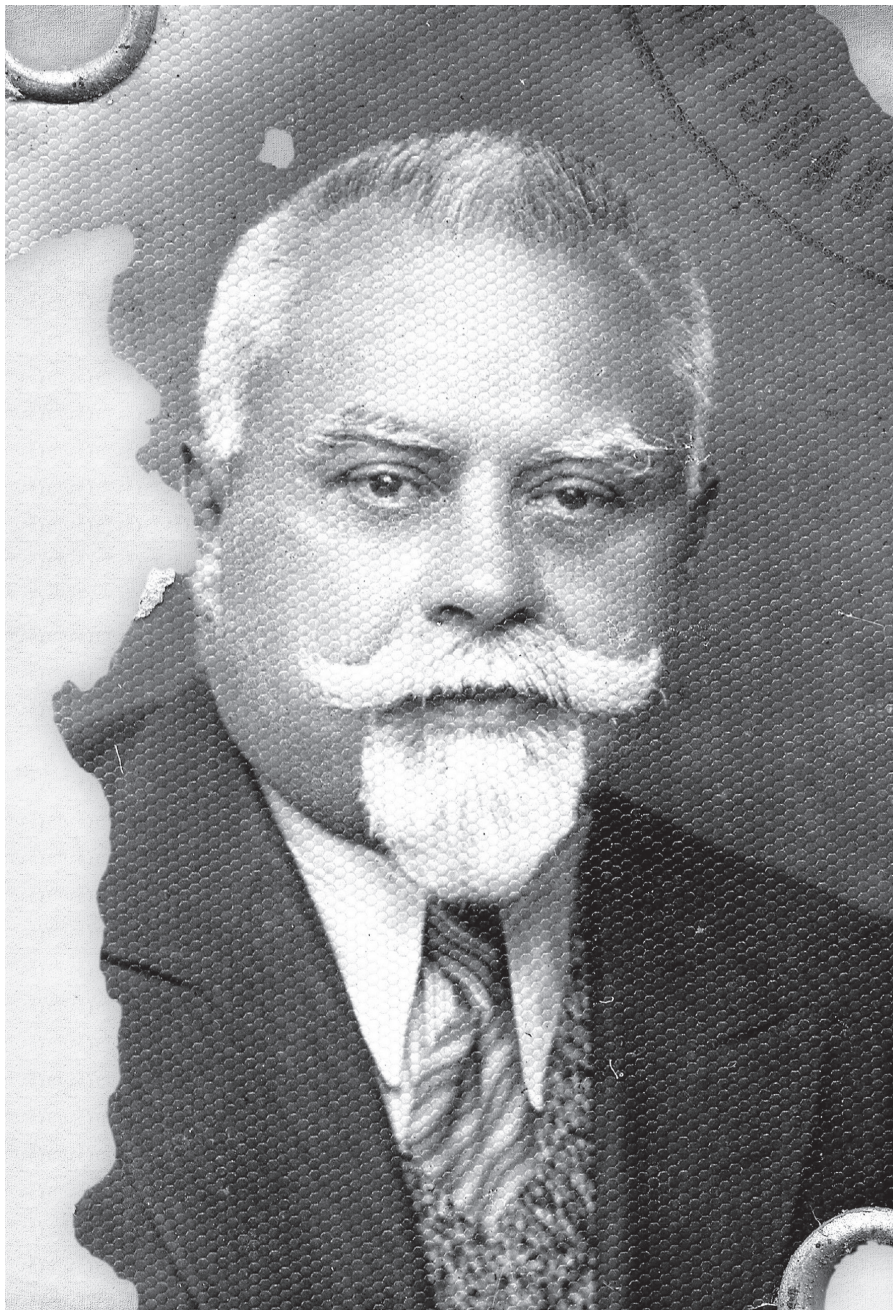


Zygmunt Klukowski

**DZIENNIKI
1944-1954**

ZAMOŚĆ 2019

Dzienniki 1944-1954



Dr Zygmunt Klukowski, zdjęcie legitymacyjne – 1942, Ausweis.

Zdjęcie pochodzi z zasobów Archiwum Państwowego w Zamościu

Zygmunt Klukowski

**DZIENNIKI
1944 - 1954**

ZAMOŚĆ 2019

Wydanie tej książki nie byłoby możliwe bez zaangażowania posła RP Sławomira Zawiślaka; Andrzeja Skiby, reprezentujących Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej; Dariusza Górnego, autora publikacji poświęconych życiu doktora Zygmunta Klukowskiego oraz Małgorzaty Piłat, prezes Fundacji Szczepieszyn Kultur.

Andrew Klukowski

Tłumaczenie z j. ang.:
Małgorzata Piłat

Copyright © by:
Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Zamość
Biblioteka Uniwersytecka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II

Publikacja wydana przez
Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Zamość
z dofinansowaniem Roztoczańskiego Parku Narodowego

Wydawca
Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Zamość

ISBN 978-83-951832-0-1

Druk:
Drukarnia ATTYLA s.j. Zamość
ul. Partyzantów 61, www.attyla.eu

OD WYDAWCY

Oddajemy dziś do rąk Czytelników unikalny dokument z okresu II wojny światowej i okresu powojennego, historii Polski i regionu. Są to „Zapiski” dr. Zygmunta Klukowskiego. Po „Dzienniku z lasu” B. Polakowskiego, „Historii OP 9” J. Turowskiego, czterotomowym „Wydawnictwie materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939-1944” autorstwa dr. Klukowskiego i innych wydawnictwach wydana przez Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Zamość.

Obejmuje ona okres od heroicznego zrywu Armii Krajowej podczas „Burzy” i kilkudniowej euforii z „wyzwolenia”, do kłęski wizji nowej Polski – III Rzeczypospolitej – sprawiedliwej Ojczyzny upragnionej przez cały Naród. *Zderzenie tych dwóch światów – jak już wcześniej stwierdził prof. Tomasz Strzemborz – z jednej strony Państwo Podziemne z jego strukturą organizacyjną i dorobkiem programowym, a z drugiej tworzące się państwo komunistyczne reprezentowane przez NKWD i rodzimą „bezpiekę”, to istota jej treści [...]. Jak to starcie przebiegało, jakie przyniosło skutki, jak się jawiło w świadomości strony przegrywającej – na to pytanie daje odpowiedź Klukowski[...]. Prawdopodobnie wydarzenia nie zawsze przebiegały tak, jak je Klukowski opisał, ale jego [Zapiski] dają znakomity obraz postaw i stanu świadomości społecznej tamtego czasu [...]. Dają jeszcze coś zupełnie wyjątkowego – możliwość współprzeżywania dramatu z tamtych lat.**

Niech więc przesłanie płynące z kart tej lektury trafi, przede wszystkim, do rąk czytelników najmłodszego pokolenia. Niech będzie także naszym wkładem w obchodzony w tym roku w Szczepieszynie – Rok Zygmunta Klukowskiego.

Szczepieszyn, 28 lipca 2019 r.

Sławomir Zawisłak

Poseł na Sejm RP

Prezes ŚZŻAK Okręg Zamość

Andrzej Skiba

Prezes Koła ŚZŻAK

w Szczepieszynie

* Z. Klukowski, Dziennik 1944-1945, Oficyna Wydawnicza Fundacji Solidarności Regionu Środkowowschodniego, Lublin 1990 – wstęp prof. Tomasza Strzembosza, s. 6

Niniejsza książka jest dedykowana
mieszkańcom Szczepieszyna.

Z wyrazami szacunku,
Andrew Klukowski

PRZEDMOWA

Rok 2019 jest szczególnym rokiem, poświęconym doktorowi Zygmuntowi Klukowskiemu. Upamiętnia on setną rocznicę przybycia doktora Klukowskiego do Szczepieszyna, jak też sześćdziesiątą rocznicę jego śmierci. Życie tego niezwykłego człowieka wpłynęło na wielu mieszkańców Lubelszczyzny. Kierowany przez niego szpital jest miejscem urodzin szeregu członków lokalnej społeczności Szczepieszyna i okolic. Jego pisma oraz filozofia życia są obecne w szkołach, jego dokonania są przedmiotem pamięci na równi z innymi bohaterami Zamojszczyzny, zwłaszcza oddziałem partyzanckim Armii Krajowej dowodzonym przez porucznika Tadeusza Kuncewicza ps. „Podkowa”.

Niniejsze wspomnienia sowieckiej okupacji nie byłyby dostępne dla czytelników bez determinacji Jerzego Klukowskiego, syna doktora Zygmunta Klukowskiego. W 1991 r. ja, mój ojciec Jerzy oraz matka Wanda przyjechaliśmy do Polski w poszukiwaniu tych pamiętników. Po czterech tygodniach podróży z Warszawy na wschód, znaleźliśmy je w Lublinie. Przekonanie mojego ojca, że doktor Klukowski nie przeżył pisanego po okupacji niemieckiej, potwierdziło się.

Tuż po odzyskaniu pamiętników udaliśmy się na Majdanek, by złożyć cześć pomordowanym. Stąd wyruszyliśmy do Krakowa – uroczego miasta, w którym zarówno mój dziadek, jak i ojciec spędzili młodość. Po żmudnych poszukiwaniach rękopisu, nadszedł czas odpoczynku. Niestety został on naznaczony rodzinną tragedią. W wieży wawelskiej katedry mój ojciec dostał zawału serca, którego nie przeżył. W kryptach pod wieżą, znajdują się miejsca spoczynku tak wielu polskich bohaterów. Patrząc wstecz, wydaje mi się, że ojciec wybrał to poświęcone miejsce na pożegnanie z Polską, którą tak ukochał.

Moja matka i ja zabraliśmy pamiętniki potajemnie do USA, aby zapewnić ich wydanie w sposób, na które zasługiwały. Nie byłoby to możliwe bez pomocy Mirosława Ciasa, mojego kuzyna z Warszawy. Manuskrypt pamiętników znajduje się obecnie w zbiorach specjalnych doktora Zygmunta Klukowskiego na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

W 1947 r. doktor Zygmunt Klukowski został poproszony o złożenie zeznań w procesie zbrodniarzy wojennych w Norymberdze. Jego świadectwo niezliczonych przestępstw popełnionych przez Niemców na polskich dzieciach zostało przyjęte z uwagą. Było to kluczowe zeznanie przeciwko oficerom odpowiedzialnym za wysiedlenia i zbrodnie na tle rasowym. W czasie krótkiej przerwy w procesie dziadek udał się do Dillingen nad Dunajem, aby odwiedzić swojego syna i synową. Miałem wtedy zaledwie kilka miesięcy. Mój ojciec prosił doktora Klukowskiego, by wyemigrował z nami do USA, po załatwieniu formalności. Doktor grzecznie odmówił, twierdząc, że musi wrócić do Szczepieszyna, gdzie jest jego dom i jest potrzebny. Tak wielka była miłość dziadka do swego miasteczka i mieszkających tu ludzi. Był to ostatni raz, gdy nasza rodzina go widziała. Wyjechaliśmy do Stanów w 1949 roku.

Andrew Klukowski

WSTĘP

Dnia 26 lipca 1944 r. doktor Zygmunt Klukowski dokonał wpisu, który miał być ostatnim w jego „Dzienniku z lat okupacji, 1939-1944”. „Usłyszałem krzyk – Nasi chłopcy idą! Zostawiłem wszystko i pobiegłem zobaczyć na własne oczy. Od strony Błonia, zbliżała się grupa około dwudziestu młodych mężczyzn; wszyscy uzbrojeni, w mundurach, z czerwonymi chustami wokół szyi i białymi opaskami na rękawach lewej ręki. Ludzie oszaleli. Płakali, krzyczeli, rzucali kwiaty. Najpierw pobiegłem na rynek. Zobaczyłem tam „Podkowę” na koniu, a u jego boku „Korcza”, obydwaj w mundurach, zasypani kwiatami. Przywitałem serdecznie „Podkowę”, powstrzymując z całych sił wzruszenie.”

Jego miasto Szczepieszyn było teraz wolne od obecności Niemców, którzy przez prawie pięć lat terroryzowali każdą żywą istotę. Jednak w ciągu kilku następných dni doktor Klukowski zdaje sobie sprawę, że okupacja trwa, tyle tylko że oprawca nosi inny mundur. Sierp i młot zastąpiły swastykę. Poczucie zwycięstwa umarło. Walka z Sowietami będzie długa i kosztowna. Konspiracyjne sieci utkane wcześniej przez Polskie Państwo Podziemne muszą być teraz wykorzystane przeciwko nowemu agresorowi.

Wkrótce Armia Krajowa przegrupowała swe szeregi. Rozpoczęły się działania przeciwko wojskowemu i politycznemu aparatowi sowieckiemu. Jeszcze raz doktor Klukowski był w centrum wydarzeń. Spotykał się z przywódcami podziemia, pomagał planować i rejestrował ich akcje. W lasach toczyły się walki; pacyfikacje odbywały się w biały dzień. Okupanci dokonywali aresztowań z przerażającą gwałtownością.

Pisanie dziennika z czasów okupacji sowieckiej stało się bardziej niebezpieczne niż kiedykolwiek. Jednak, w jakiś sposób – pracując cały czas jako lekarz i dyrektor szpitala (do 1946 r.) – doktor Klukowski zdołał znaleźć czas i środki na spisywanie oraz wydawanie, temu po tomiu, zapisu wojskowych i politycznych wydarzeń dokumentujących niemiecką inwazję i jej ludobójstwo.

Karty pamiętników zapoznają nas z heroizmem jednostek walczących o uwolnienie Polski z uścisku nowego napastnika. Komentowane są poczynania Bieruta, Gomułki, Radkiewicza, jak też koncepcje Stalina i Mikołajczyka. Przez cały czas doktor Klukowski pokazuje optymizm i wiarę, że wolność przyjdzie, a Polska znów będzie niepodległa.

W styczniu 1945 r. Armia Krajowa została formalnie rozwiązana, a wielu jej członków zostało zabitych lub zesłanych na Sybir. Część ocalałych żołnierzy zakopała swoje uzbrojenie, gotowa walczyć ponownie w przyszłości. Niestety byli też tacy, którzy wybrali życie przestępcze. Wszystko to, zostało zapisane przez doktora Klukowskiego.

Młodszy syn doktora Klukowskiego, Tadeusz – od dzieciństwa zaangażowany w konspiracyjną działalność – również został uwięziony. Chłopiec, który w wieku dziesięciu lat na swoim rowerze woził meldunki „do lasu”, walcząc z Niemcami, jest w pamiętnikach z okupacji sowieckiej młodym mężczyzną. W 1952 r., mając dwadzieścia jeden lat, zostaje aresztowany i stracony za udział w walce przeciw nowemu rządowi.

Doktor Klukowski był wielokrotnie więziony za „zbrodnie przeciwko Narodowi Polskiemu”. Zasłużył na nienawiść komunistycznych przywódców politycznych, ponieważ nie aprobował represyjnego rządu. Mimo jarzma ideologicznej i fizycznej przemocy nie spotykanej od czasów caratu, jego zapiski były kontynuowane. Spędził lata w więzieniach Lubelskiego Zamku, Mokotowa i Wroniek. Ucierpiało jego zdrowie. W końcu został przydzielony do personelu medycznego szpitala więziennego. Stopniowo stan fizyczny Doktora poprawił się i umożliwił mu przetrwanie dziesięcioletniego wyroku, zawieszono go gdy Doktor osiągnął sześćdziesiąty siódmy rok życia.

W połowie lat pięćdziesiątych, udzielono amnestii wielu więzniom politycznym, tak też stało się w przypadku doktora Klukowskiego. W 1954 r. został on „rehabilitowany” przez państwo oraz uznany za bohatera II wojny światowej. Kontynuował pracę lekarza, publikował wiele prac, włączając „Dziennik z lat okupacji; 1939-1944”, ogłoszony najlepszym dziełem wspomnieniowym z czasów wojny.

Zygmunt Klukowski zmarł 23 listopada 1959 roku. Pamięć o nim trwa. W 1986 r. wzniesiono w parku miejskim w Szczepieszynie popiersie Doktora ku Jego czci. Tablica głosi:

DOKTOROWI ZYGMUNTOWI KLUKOWSKIEMU
1885-1959
LEKARZOWI, BIBLIOFILOWI, HISTORYKOWI,
PISARZOWI I DZIAŁACZOWI SPOŁECZNEMU
MIESZKAŃCY SZCZEPRESZYNA

Andrew Klukowski

ROK 1944

[...]. **29.V. Poniedziałek.** Drugi dzień Zielonych Świąt. W tym roku BCh postanowiło w drugi dzień Zielonych Świąt zorganizować tradycyjne święto ludowe, połączone z przeglądem Batalionów Chłopskich. Na tę uroczystość zaprosiło całe dowództwo obwodowe AK wraz z nowym kursem strzeleckim jaki odbywał się w kaweczyńskich lasach i miał być właśnie w dniu dzisiejszym zakończony [...]. Na łące, w wąskiej kotlinie, zewsząd otoczonej młodym lasem już ustawione były plutony partyzanckich oddziałów [...].

U wielu żołnierzy na lewym ramieniu naszyte były tarcze z orłem polskim i z literami: u góry „WP” i u dołu „ChS” – co znaczy Chłopska Straż, w skrócie – „Chłostra”. Niektórzy mieli u dołu tarczy litery „LSB” tj. Ludowa Straż Bezpieczeństwa. Broń stanowiły karabiny zwykłe i stosunkowo w dużej ilości karabiny maszynowe oraz tzw. „fujarki”. Wielu żołnierzy miało za pasem ręczne granaty różnego kształtu.

Przyjezdni delegaci przywieźli ze sobą speców-operatorów, którzy filmowali całą defiladę i porobili mnóstwo zdjęć z poszczególnych momentów uroczystości. Po skończonej defiladzie zespoły wiejskie rozpoczęły produkcje chóralne, tańce ludowe i deklamacje. Nas zaś, gości, zaproszono na obiad żołnierski. Gęsta zawieszista fasolanka i bigos przyrządzone przez obywatela „Starego” były znakomite.

Z epizodów nie pozbawionych swoistej pikanterii, warto wspomnieć jak por. „Gruda”, który przed 4 tygodniami dokonał napadu na kasę „Rolnika” w Szczebreszynie, został uroczysto przedstawiony kasjerce tegoż „Rolnika”.

Publiczność powoli rozchodziła się i rozjeżdżała. Żołnierze rozleźli się po lesie i od czasu do czasu zaczęli strzelać. Gdy strzały te stawały się coraz częstsze i dolatywały z różnych stron, „Wyrwa” zarządził złapanie i przyprowadzenie strzelających. Po krótkim czasie stanęli przed nim winowajcy. Dostali najpierw przed frontem porządną naganą, a potem mieli być odpowiednio ukarani.

W czasie opisywanej uroczystości 4 razy przelatywały nad nami pojedyncze samoloty niemieckie, z tych – dwa wywiadowcze – bar-

dzo nisko. Wówczas na komendę „Lotnik, kryj się!” – wszyscy w jednej chwili wpadali w las i polanka świeciła zupełną pustką. Nabożeństwo też było raz przerwane wskutek przelotu bombowca. O godzinie 6 i my z kolegą pożegnaliśmy pozostające z żołnierzami dowództwo i puściliśmy się w drogę powrotną.

Dzisiejsze moje przeżycia, tak niecodzienne w obecnych warunkach ciężkiej niewoli, były bardzo silne i wywarły na mnie głębokie wrażenie. Zaimponowały mi też oddziały BCh, składające się z tęgich, mocnych chłopów i z niedojrzałej jeszcze młodzieży, sprawnie wykonujące ćwiczenia z bronią i maszerujące pewnym równym krokiem w karnych, zwartych szeregach.

W ogóle święto dzisiejsze nosiło charakter całkowicie ludowy, uwydatniony zwłaszcza przez przemówienia wszystkich przyjezdnych delegatów. Mimo woli wyczuwało się tę siłę, jaką przedstawia zorganizowana i uświadomiona masa chłopska. Wszystko co dziś widziałem i słyszałem jeszcze mocniej utrwaliło mnie w moim stałym przekonaniu, że w przyszłości, w odrodzonej Polsce, chłop odegra jeżeli nie dominującą, to w każdym razie bardzo wybitną rolę.

Mieliśmy przed oczami rezultat pracy podziemnej. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, ile trudu, ile poświęcenia trzeba było na to, ażeby przy szalejącym i bezwzględnym terrorze niemieckim tak zorganizować wieś i na nowo stworzyć Wojsko Polskie. Do tego wojska i w ogóle do jakiegokolwiek pracy konspiracyjnej, wyzwolenczej, z żywiołową siłą rwie się dzisiaj niemal całe społeczeństwo polskie. W tym właśnie widzę najlepszą gwarancję wytrwania i ostatecznego naszego zwycięstwa.

30.V. Wtorek. Wczorajsza uroczystość odbiła się głośnym echem po całej okolicy. W Szczepieszynie też dużo o niej mówią. Są jednak poważne obawy, ponieważ – jak przypuszczają niektórzy – dostali się tam konfidenti, którzy dużo mogli wypatrzeć. Uporczywie krąży pogłoska, jakoby Gestapo zamojskie przygotowało już listę obejmującą 150 nazwisk osób mających być aresztowanymi w Szczepieszynie. Na razie jest to plotka, faktem natomiast jest tylko to, że przed tygodniem Gestapo wzięło z magistratu do przejrzania spisy ludności. I to jest mocno niepokojące.

31.V. Środa. Mam do zanotowania kilka wydarzeń. A więc: w poniedziałek, 29 maja, wyszli z domu ze Szczepieszyna dwaj młodzi chłopcy – syn szewca Augustowskiego wysiedlonego przed 4 lata z Poznańskiego, i Rytko, syn zabitego przed paru laty nauczyciela, jawnego konfidenta niemieckiego. Dotychczas żaden z nich nie wrócił i nie wiadomo co się z nimi stało. Dowiedziałem się jednak z bardzo pewnego i poufnego źródła, że Rytko został „uziemiony”, Augustowski zaś wprowadzony do lasu i wcielony do oddziału.

Wczoraj nieznani sprawcy natknęli się na znanego Żyda ze Szczepieszyna Millera, którego zabili na miejscu. W Kitowie 29 maja zabito żandarma.

Dzisiaj o godzinie 1 w południe w Brodach Dużych zabito 2 Volksdeutsche wśród kolonistów: Władysława Mateja i 15-letniego Piotra Paszta. Obydwa trupy przywieziono do kostnicy szpitalnej, gdzie w obecności żandarmów musiałem dokonać oględzin zewnętrznych zwłok. W czasie strzelaniny zostali też ranni dwaj starsi gospodarze Polacy.

Doszła do nas wiadomość, że na powracającej z uroczystości poniedziałkowej podchorążówkę BCh, napadła grupa PPR i rozbroiła część podchorążaków. Oczywiście jest to niemały skandal. Mówią też, że tegoż dnia jadący z uroczystości na kilkunastu furmankach uzbrojeni żołnierze, natknęli się na szosie biłgorajskiej, niedaleko Panasówki, na Niemców, przy czym wywiązała się strzelanina. Jednej furmanki nie mogą się doliczyć. Plotka głosi, że wpadli w ręce Niemców operatorzy filmowi wraz z aparatami i któryś z delegatów. Gdyby to okazało się prawdą i gdyby taśmy filmowe rzeczywiście znalazły się w rękach Niemców, to byłoby fatalne, bo mogłoby pociągnąć za sobą niezliczoną ilość ofiar.

Pod wieczór zaczęła się na ulicach w Szczepieszynie łapanka na roboty. Z Brodów Dużych ściągają powoli furmankami całe rodziny Volksdeutsche wraz z rzeczami. Obawiają się „band”.

1.VI. Czwartek. Zniknął bez śladu Volksdeutsch Teofil Lembryk, sołtys z Dużych Brodów. Lecz i o nim wiem z poufnego źródła, że został zabity.

Po południu pojechał do Brodów długi sznur próżnych furmańek konwojowany przez żandarmów i „czarnych” z karabinami, dla zabrania stamtąd wszystkich Niemców. Pod wieczór rzeczywiście

wszyscy Niemcy z Brodów Dużych znaleźli się już na Przedmieściu Zamojskim, skąd po paru dniach mają być wywiezieni do Łodzi. Ludność polska uciekła na własną rękę do lasu lub do sąsiednich wiosek. Bogata i dobrze zagospodarowana wieś jaką były Brody Duże pozostała zupełnie pusta...

Dochodzą nas wieści o jakichś poważniejszych starciach pomiędzy chłopami a Niemcami w Wysokiem, pod Turobinem i w Bzowcu. Obawiamy się, że w końcu Niemcy w straszliwy sposób zemszczą się i znów przeprowadzą w Zamojszczyźnie jakąś piekielną akcję pacyfikacyjną.

Na mieście rozlepiono plakaty z nazwiskami już rozstrzelanych i przeznaczonych do stracenia w najbliższym czasie. Są to wszystko obywatele Zamojszczyzny, wśród nich znajduje się murarz ze Szczebreszyna Klemens Hysa, oskarżony o kontakt z komunistami.

2.VI. Piątek. Około godz 8 wieczorem wojsko ustawiło karabiny maszynowe dookoła miasta. Dano nam znać, że Niemcy otaczają miasto ze wszystkich stron. Na ulicach ukazały się grupy żołnierzy w hełmach i w pełnym rynsztunku. Wciąż jeżdżą samochody z żołnierzami, dużo samochodów na gaśnicach. Wśród mieszkańców okropny niepokój. Kilka osób zdążyło przed godziną policyjną przyjść do szpitala, żeby tu przenocować uważając, że szpital jest pewniejszy od mieszkań prywatnych.

Zupełnie nie możemy się zorientować, co to wszystko ma znaczyć. Czy to przygotowanie do jakiejś akcji, czy może ćwiczenia? Z daleka wyraźnie słychać detonacje, prawdopodobnie od wybuchu pocisków artyleryjskich. Dochodzi godzina 11. Zwykle o tej porze już śpię, dzisiaj jeszcze czuwam w oczekiwaniu mogących wystąpić wydarzeń. Na mieście na razie spokój. Pół godziny temu ukazały się gdzieś w stronie cukrowni trzy kolorowe rakiety.

3.VI. Sobota. Noc była wyjątkowo cicha i spokojna, jakiej już dawno nie mieliśmy. Nie latały samoloty, nie jeździły samochody, nie słyszeliśmy żadnych strzałów, ani krzyków. Jak się okazało Niemcy zarządzili próbny alarm, ażeby żołnierze zapoznali się lepiej z terenem i wiedzieli, gdzie który ma swoje stanowisko w razie alarmu prawdziwego.

Przed godziną 11, za pomocą wspomnianych trzech rakiet alarm został odwołany, o czym myśmy już nie wiedzieli. Po mieście krążyły z rzadka tylko patrole składające się z jednego żandarma i 4 żołnierzy. Ze źródła poufnego nadeszły dziś rano wiadomości, że na tzw. „Cetnarze” czyli w lasach koło Kawenczynka, zatrzymała się jakaś większa grupa bolszewików w sile około 1000 ludzi. Być może dlatego Niemcy tak się przygotowują do odparcia ewentualnego napadu.

W rękach naszych władz podziemnych znalazła się lista osób, które mają być aresztowane w najbliższym czasie w Szczepieszynie i w okolicznych wioskach. Otrzymano ją bezpośrednio z Gestapo. Oczywiście wszystkie osoby zainteresowane, w liczbie około 50, zostały już zawiadomione o grożącym im niebezpieczeństwie.

4.VI. Niedziela. Jutro mają wyjeżdżać ze Szczepieszyna miejscowi Volks – i Stammdeutsche (rdzenni Niemcy)– kobiety z dziećmi do lat 16. Zainteresowane rodziny znalazły się w nie lada kłopotcie. Wyjazd w nieznaną bez ojców rodziny i tułaczka po „lagrach” nie wydają się ponętne, pozostanie niemożliwe ze względu na grożące represje, ucieczka do lasu niebezpieczna, bo renegaci nie będą tam mile widziani.

5.VI. Poniedziałek. Wczesnym rankiem wyjechali w stronę Zamościa Volksdeutsche z Brodów Dużych, chwilowo rozlokowani na Przedmieściu. Potem mieli wyjeżdżać „nasi Stemigi” z miasta. Zarezerwowano dla nich wszystkie 3 budy („dyliżanse”) i sporo furmanek. Czekano kilka godzin, lecz w rezultacie na 54 rodziny stawiło się zaledwie 6 (Menderscy, Wildhirtowie, Paulowie i jeszcze trzy, których nazwisk nie znam). Wszyscy inni poukrywali się i na różne sposoby kombinują, żeby się jakoś wykręcić od tej przyjemności. Strach przed wyjazdem do obozu w Łodzi wzmógł się zwłaszcza, gdy dowiedziano się, że zginął tam od bomby lotniczej restaurator Król ze Szczepieszyna z dwoma synami, a jego żona została ranna.¹

6.VI. Wtorek. W południe rozeszła się wiadomość, że dziś rano o godzinie 6 alianci rozpoczęli inwazję i wylądowali we Francji. Wiadomość ta zelektryzowała wszystkich w niesłychany sposób. Do

¹ Wiadomość ta okazała się zwykłą plotką.

wieczora mówiło już o tym całe miasto. Radość przejawiała się przede wszystkim w tym, że wypito dziś w Szczepieszynie znacznie więcej wódki niż zwykle. Do nas przyszedł „Leszcz” i pozostał na noc.

7.VI. Środa. Wczoraj żandarmeria tutejsza aresztowała w Brodach jadącego na urlop „Strzygonia”, komendanta podziemnej radiostacji, znajdującej się w lesie w odległości około 7 kilometrów od Szczepieszyna. Poczyniono natychmiast odpowiednie starania i dzisiaj „Strzygonia” wypuszczono, pomimo że i na posterunku nikt nie miał wątpliwości, że to „człowiek z lasu”. A koło cukrowni stał już w pogotowiu oddział ludzi, którzy mieli dokonać napadu na samochód, gdyby go przewożono do Zamościa.

8.VI. Czwartek. Głównym tematem rozmów są postępy inwazji we Francji. Sprawą tą przejmują się wszyscy, tak Niemcy jak i Polacy – tylko reakcja jest krańcowo odmienna. Znowu zostało uruchomione lotnisko w Klemensowie. Wczoraj zwieziono tu dużo bomb, dziś już przylatują i odlatują samoloty.

Dzisiaj po południu zjawili się gestapowcy i rozpoczęli akcję przeciwko Volksdeutschem, którzy nie zastosowali się do wydanych zarządzeń i nie wyjechali ze Szczepieszyna, przy czym niektórych pobito, np. fryzjera Gortnera, Bieleckiego i innych.

9.VI. Piątek. Volksdeutsche musieli dziś wyjechać, jednak znowu zgłosiło się bardzo mało osób, bo tylko 4 rodziny: byłego legionisty I Brygady Stanisława Kiszki, byłego woźnego magistratu Czochry, Piliarów i Kołodziejczyków. Kapitalna większość uciekła. Wczoraj odebrano im karty rozpoznawcze. Każdego napotkanego bez Kennkarty (karta rozpoznawcza), Niemcy uważali za bandytę.

Dochodzą nas niepokojące wieści z powiatu krasnostawskiego, jakoby zaczęła się już tam jakaś akcja po wsiach. Podobno Niemcy zabierają tylko cały żywy inwentarz, ludzie zaś uciekają. O masowych morderstwach – jak to było dawniej przy pacyfikacjach – na razie nie słychać.

10.VI. Sobota. Byłem w Zwierzyńcu. Z nowego frontu zachodniego dochodzą dobre wiadomości o sukcesach aliantów. Notuję jako przy-

kry fakt: został zlikwidowany młody chłopak Zbigniew Cichowicz, były uczeń gimnazjum w Szczepieszynie, syn buchaltera sejmiku zamojskiego. Matka jego rodem ze Zwierzyńca, pracuje w biurze Ordynacji Zamojskiej. Chłopiec zawsze uchodził za mało wartościowego. Jakimś sposobem dostał się do „lasu”, do jednego z oddziałów. Obserwowano go jednak pilnie, w końcu przeprowadzono dochodzenie, które wyjaśniło, że już od paru lat pozostawał on na usługach Gestapo w Biłgoraju.

W Szczepieszynie i w Zwierzyńcu coraz więcej wojska. Na drodze znacznie większy ruch niż dawniej. Jadą przeważnie samochody wojskowe, gdzieś w stronę Biłgoraja.

4 rodziny Volksdeutscheów, które wczoraj wyjechały do Zawady na stację kolejową, powróciły do Szczepieszyna. Tak mało zebrało się ich na kolei, że nie udało się zorganizować żadnego transportu. Podobno w poniedziałek, 12 czerwca, mają znów jechać.

12.VI. Poniedziałek. Wczoraj, mówiąc żargonem leśnym, „rąbnięto” pod Kawenczynkiem Waćława Żelazko, dwudziestoletniego fryzjera ze Szczepieszyna.

Dowiedziałem się, że osławiony gestapowiec Bolesław Mazuryk, tak dobrze znany na zamojskim gruncie, który od dłuższego czasu był już przeniesiony z Zamościa do Gestapo w Chełmie, zwiął stamtąd, lecz złapano go w Rejowcu. Podobno już nie żyje.

Miałem dziś miłych gości. Wstąpili do mnie w drodze powrotnej ze Zwierzyńca do Zamościa członkowie konspiracyjnej, szkolnej komisji egzaminacyjnej: Tadeusz Gajewski, Stanisława Żochowska „Antonina”, Woźniakówna i Kucharska. Byli na egzaminach w Zwierzyńcu. Warto zanotować, że na Zamojszczyźnie szkolnictwo podziemne postawione jest całkiem nieźle i młodzież, która tylko chce, ma możliwość uczenia się w zakresie wszystkich klas gimnazjum i liceum.

13.VI. Wtorek. Z okolicy dochodzą niepokojące wieści. Zwłaszcza Zwierzyńiec pełen jest obaw przed mającą nastąpić jakąś większą łapanką.

My tu możemy tylko obserwować jak Niemcy przygotowują się do obrony. W wielu miejscach porobione są gniazda dla karabinów maszynowych i działek przeciwpancernych. Wszędzie pokopa-

no głębokie doły, w których ukryto samochody. W dwóch miejscach intensywnie pracują dwie polowe fabryki tlenu. W pobliżu tych fabryk – samochodów ułożone są całe stosy metalowych butli z tlenem. U wylotu miasta dzień i noc chodzą wartownicy, przy moście na Wieprzu koło szpitala na stałe ulokowano karabin maszynowy z całą obsługą. Słowem, widać, że Niemcy liczą się zupełnie poważnie z możliwością jakiegoś napadu i z koniecznością obrony.

14.VI. Środa. W Zwierzyńcu coraz większy niepokój i obawa przed łapanką. Wyjechali dosłownie niemal wszyscy mężczyźni niemający stałego zatrudnienia i kart pracy. U mnie nocuje Kalwejt.

15.VI. Czwartek. Wczoraj po 11 wieczorem był alarm lotniczy. Odwołano go po godzinie. Przeszedł bez najmniejszego wrażenia. Nikt z mieszkania się nie ruszył i nikt do schronu nie schodził. Dziś przed południem Dorfführer (sołtys) i „czarni” spędzali Volksdeutschów i zmuszali ich do wyjazdu. W rezultacie wyruszyło w stronę Zamościa około 15 furmanek. Dokładnego spisu tych, którzy opuścili Szczebreszyn jeszcze nie mam, znam tylko nazwiska niektórych rodzin: Hausnerowie, Kucharscy, Kiszkwie, Czoehry, Menderscy, Pilipy.

Ze Zwierzyńca dochodzą niedobre wiadomości: osada jest obstawiona i przepełniona wojskiem. Na szosach i drogach, a także w Szczebreszynie żandarmi legitymują wielu mężczyzn, a nawet rewidują. Ze Zwierzyńca ludzie uciekają w dalszym ciągu. Dużo osób przyjechało do Szczebreszyna. U nas też dzisiaj cały dzień gwarno i ludno. Między innymi był „Leszcz”, „Cezary”, o. Wacław „Czarny”, Kalwejt – „Borówka”.

Nasłuchaliśmy się od nich moc różnych opowiadań i kawałów z życia ludu. Niektóre z nich warte są zanotowania. W lesie jest teraz tylu ludzi, że baby ze wsi zaczynają już chodzić po lesie i roznosić w koszach bułki, lemoniadę, piwo, papierosy, zapałki, sprzedając je podobnie jak to bywa na odpustach.

Gromadzi się w lasach najrozmaitsza zbieranina ludzka. Nie brak też i dezertów z wojska niemieckiego. Niedawno zauważono w lesie żołnierza niemieckiego, który z granatami i rewolwerem przy pasie szedł bardzo ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony z karabinem zwrócony lufą ku sobie, kolbą zaś w stronę lasu. Od czasu do czasu głośno gwizdał chcąc zwrócić na siebie uwagę. Gdy się zmę-

czył rzucał karabin na ziemię i stawał pod drzewem z podniesionymi rękami. Potem szedł dalej pogwizdując i trzymając karabin zawsze w opisany sposób. Gdy wreszcie zobaczył naszych chłopców, daleko odrzucił od siebie karabin, podniósł obie ręce do góry i zawołał: „ja chce bycz polski partyzant”. Odprowadzono go do komendy. Okazało się, że był to Ślązak umiejący po polsku zaledwie parę zdań. Wcielono go do jednego z oddziałów.

Kapitałną scenę odtworzył nam naoczny jej świadek „Cezary”, adiutant komendanta „Adama”. Któregoś dnia kapelan oddziałów partyzanckich o. Wacław „Czarny” odprawiał w lesie mszę polową. W momencie, gdy odwrócony od ołtarza rozłożył ręce i ze słowami „Dominus Vobiscum” wzniósł ku górze rozmodlone oczy, zauważył nagle krążący z daleka samolot niemiecki. Bieg myśli księdza-żołnierza w jednej chwili uległ przestawieniu na inne tory i wyrwały mu się tak przedziwnie brzmiące w ustach stojącego u ołtarza kapłana, słowa: „Uwaga, chłopcy, ten skurwysyn już nas szuka!”

Dowiedziałem się też, że tak popularny w swoim czasie u nas były uczeń tutejszego gimnazjum Misiarz, który poszedł „do lasu” i tam skupił koło siebie różnych ludzi, nie wyłączając Żydów, stał się w końcu zwykłym niemal bandytą i zginął, prawdopodobnie w jakiejś utarczce z Niemcami.

Przed paroma tygodniami pod Zwierzyńcem zlikwidowano młodego Zimińskiego, partyzanta i równocześnie niebezpiecznego konfidenta, którego ojciec był niegdyś szlakovym ordynackim w Brodach pod Szczepieszynem i cieszył się bardzo dobrą opinią.

Niestety, owe „likwidacje” i „uziemia” ludzi szkodliwych są teraz na naszym terenie bardzo częste. Robi się to z konieczności. Niepodobna wszystkich tych wypadków notować, bo się dowiadujemy tylko o niektórych. Dopiero po wojnie odpowiednich materiałów dostarczy nam prokuratura podziemia.

16.VI. Piątek. Przyszedł dziś do nas por. „Rosa”, z zawodu sędzia z Wileńszczyzny, jeden z oficerów dywersji. Z wielkim zainteresowaniem słuchałem jego opowiadań o licznych napadach, w których rzekomo brał żywy udział i o przygodach, jakie mu się zdarzyły. Miałem przy tym wrażenie, że trochę „buja”. Namawiałem go i zachęcałem, żeby mi opisał chociaż niektóre ciekawsze i ważniejsze epizody. Mię-

dzy innymi mówiliśmy o konieczności przyspieszenia sprzątnięcia w Szczepieszynie niejakiego Juliusza Maksy, Volksdeutscha, bardzo szkodliwego konfidenta, który na wielu ludzi sprowadził już dużo zła i nieszczęścia. Miał on już kilka wyroków śmierci, lecz jakoś zawsze zdołał jej uniknąć. Radziłem tylko, żeby nie likwidowano go w mieszkaniu, w bliskim sąsiedztwie szpitala, ze względu na możliwą zemstę Niemców.

Oprócz „Rosy” byli dziś jeszcze u nas o. Wacław, „Cezary” i „Borówka”. Korzystając z obecności kapelana i „Rosy” przeprowadziłem zaprzysiężenie dwóch pielęgniarek szpitalnych i intendenta.

17.VI. Sobota. Już o godz. 8 rano z poufnego źródła dowiedzieliśmy się, że mniej więcej przed godziną schwytano w Błoniu Maksę, dokąd chodził po mleko. Nałożono mu na ręce kajdanki, nie pozwolono nic mówić i furmanką odwieziono do Kawenczyna, skąd już piechotą poprowadzono do bunkru. Tu przeprowadzono wstępne badanie. Po południu był u mnie oficer wywiadu por. Kołłątaj „Ikar”, mój były uczeń z Seminarium Nauczycielskiego i opowiadał mi nieco szczegółów z przebiegu badania, przy którym był obecny. Z zadowoleniem mówił mi, że w ciągu tygodnia z samego Szczepieszyna zlikwidowano aż pięciu konfidentów: Żelazkę, matkę i córkę Majchrzak, jeszcze jakąś kobietę, której nazwiska nie znam i dzisiaj Maksę. Ten co prawda jeszcze żyje, bo chcą od niego wydobyć więcej cennych zeznań, ale śmierci nie uniknie w żadnym razie.

Zapomniałem wczoraj zanotować, że por. „Rosa” upewniał mnie, iż zwolnienie więźniów w Zamościu odbyło się w inny sposób, aniżeli opowiadano mi na początku. Nie była to żadna akcja planowa, nikt z zewnątrz udziału w tym nie brał. Wszystkiego dokonał z własnej inicjatywy jeden z więźniów. Młody por. „Lis”, który w pewnym momencie rzucił się sam na dozorcę, ogłuszył go i odebrał broń. A mając już w ręku karabin i rewolwer szybko przeprowadził rozbrojenie innych dozorców przy pomocy uwalnianych z cel więźniów. Nie zdążono tylko wypuścić kobiet. Staram się teraz dotrzeć do tego por. „Lisa”, żeby od niego wydostać autentyczną relację o tym nie byle jakim wyczynie.

Dziś rano przywieźli nam do szpitala ciężko rannego w klatkę piersiową Lucjana Rękasa – „Udryckiego” z Wierzby pod Zamościem, byłego ucznia zamojskiego gimnazjum. W kilka godzin potem zmarł.

Był to bardzo dzielny chłopak, w organizacji wielce ceniony. Został ranny podczas jakiejś akcji niemieckiej. Do szpitala w Zamościu nie mogli go przyjąć bez zameldowania w żandarmerii i dlatego przywieźli go do nas, w trzydzieści kilka godzin po zranieniu, w stanie zupełnie beznadziejnym.

19.VI. Poniedziałek. Wczoraj w Bondyrzu miała się odbyć wielka odprawa. Zjechali się niemal wszyscy sztabowcy, dowódcy oddziałów i wielu poszczególnych oficerów mających ważniejsze funkcje. Lecz zanim odprawa się rozpoczęła nagle nadciągnęły jakieś większe oddziały wojska niemieckiego z czołgami, taborami i zajęły wieś. Dokąd te wojska idą – nie wiadomo, w każdym razie nasze oddziały i sztab musiały się śpiesznie wycofać i dopiero dziś szczęśliwie dotarły do gajówki Krzywe pomiędzy Kosobudami a Szczebreszynem.

W Zwierzyńcu pełno wojska i – jak mówią – sztaby aż dwóch niemieckich dywizji, które przybyły tu z Hrubieszowa. Jest więc to wojsko frontowe. Na razie u nas żadnej jeszcze akcji pacyfikacyjnej nie było, ale czujność Niemców jest bardzo duża. Żołnierze legitymują podejrzanych mężczyzn. Między innymi w Zwierzyńcu zatrzymano adiutanta inspektora „Kaliny”, „Orkisz”, popularnie nazywanego „Antosiem”. Udało mu się jednak zwać, w rękach niemieckich pozostały tylko wszystkie jego dokumenty.

Dziś rano o 9 zaalarmowano stację kolejową Szczebreszyn, żeby miała się na baczności, ponieważ spodziewany jest duży nalot bolszewicki. Ale jakoś dzień przeszedł spokojnie.

Jednak taka duża ilość wojska, przygotowana do obrony, nadzwyczajne umacnianie swych pozycji, kopanie rowów, schronów, stanowisk dla karabinów maszynowych i działek – zaczynają coraz bardziej niepokoić miejscową ludność. W dodatku rozszła się pogłoska, że bolszewicy przedarli się gdzieś koło Sokala i posuwają się w naszym kierunku. Zachodzi więc obawa, żebyśmy się nie stali terenem jakichś większych i uporczywych walk, co byłoby dla nas fatalne.

20.VI. Wtorek. Oddziały nasze z komendantem „Adamem” szczęśliwie przeszły przez szosę koło Żurawnicy i przez Wieprz powędrowały dalej przez Kawenczyn i Turzyniec. Maksę wczoraj ostatecznie wykończono.

U nas wojskowy ruch na szosie bardzo duży. Wciąż przejeżdżają pojedyncze samochody lub całe kolumny z żołnierzami i różnym materiałem wojennym. Sporo też widzimy pustych sanitarek jadących od Zamościa, a powracających z rannymi. Nie wiemy, gdzie toczą się walki i z kim, czy z bolszewikami, czy też z naszymi oddziałami. Wczoraj wieczorem Niemcy prowadzili jakąś akcję w Bliżowie niszcząc i paląc wieś. Z napięciem oczekujemy, co nam następny dzień przyniesie.

21.VI. Środa. Mamy dodatkowe wiadomości z lasu. Oddział dyspozycyjny „Woyny” wraz z kilkoma innymi, z inspektorem „Kaliną” i jego zastępcą „Mieczem” znalazły się jednak w kotle utworzonym przez wojska niemieckie w lasach józefowskich i nie ma od nich żadnych wiadomości. A przy inspektorze w skrzyniach na dwóch wozach było całe jego archiwum. W Bondyrzu Niemcy wykryli skład mundurów i obuwia oddziałów dywersyjnych i przewieźli to do Zwierzyńca. Zaginał też i poruczyk 9 Pułku Piechoty.

Po wsiach w okolicy Zwierzyńca Niemcy zebrali jednak sporo ludzi, część ich umieścili w obozie w Biłgoraju, część zaś w barakach za drutami w Zwierzyńcu, gdzie w dalszym ciągu bardzo poważnie spodziewają się aresztowań i kto tylko może wieje, zwłaszcza na noc. U mnie nocuje dziś „Borówka” i „Cezary”.

Sytuacja więc nie przedstawia się na razie nazbyt różowo.

22.VI. Czwartek. Nasza tajna administracja funkcjonuje coraz sprawniej i nabiera wśród ludności coraz większego autorytetu. Już nieraz słyszeliśmy, że chłopcy w bardzo wielu wypadkach nie udają się do władz niemieckich lub do sądu, lecz starają się załatwić sprawę przy pomocy komendantów obwodu, rejonu lub placówki. Dzisiaj i ja postąpiłem w podobny sposób: przysłano szpitalowi 4 wagony (81 ton) węgla. Trzeba go natychmiast wyładować i zwieźć ze stacji. Konie szpitalne nie są w stanie tego zrobić, bo obracające 4 razy w ciągu dnia, zwoziłyby węgiel przez całe 3 tygodnie. Wiedziałem, że magistrat furmanek nam nie da, wynajęcie zaś jest prawie niemożliwe ze względu na brak koni i szalone ceny (100 zł od tony). Posłałem więc intendenta do komendanta „Wyrwy” z prośbą o pomoc. Ten na poczekaniu wydał zarządzenie, żeby 4 wsie – Błonie, Kawenczyn, Topółcza i Brody, dostarczyły odpowiednią ilość furmanek i zwiozły szpitalowi

węgiel. Już po kilku godzinach podwórze szpitala zaroilo się od furmanek z węglem. Nie mogłem wyjść z podziwu, bo gdyby sołtysi otrzymali nakaz z magistratu, czy z gminy, wysłanie tych furmanek na forszpan, to bez nacisku i interwencji policji, lub nawet żandarmerii, żaden chłop nie pojechałby i ociągałby się do ostatka. Tenże komendant „Wyrwa” przysłał mi w tym tygodniu dla szpitala 1 metr cukru i 2 metry mąki celem polepszenia wyżywienia.

23.VI. Piątek. Jeździłem dziś do Zwierzyńca. W barakach za drutami było w dniu dzisiejszym okrągło 200 dzieci i 700 dorosłych, przy czym mężczyzn bardzo mało. Przeważnie same kobiety. Tłumaczy się to tym, że mężczyźni poszli „do lasu”, a po wsiach zostały tylko kobiety, dzieci i starcy. Zwieziono też nowe ofiary z Józefowa, Aleksandrowa, Parysówki, Bondyrza, Tereszpoła i Bukownicy. W Józefowie wzięto nawet urzędników z poczty i księży. W ogóle brano wszystkich, kogo tylko zastawali w domu.

Akcja niby słabnie, ze Zwierzyńca dużo wojska już wyjechało, ale czy to będzie naprawdę koniec, to jeszcze nie wiadomo. W każdym razie do Zwierzyńca, nasi ludzie boją się jeszcze wracać.

24.VI. Sobota. Volksdeutsche, tak miejscowi jak i nasiedleni, otrzymali wezwanie do stawienia się 1 lipca na komisję w Zamościu, celem ewentualnego wcielenia do Sonderdienstu (Służba Specjalna – policja pomocnicza powołana przez Hansa Franka).

25.VI. Niedziela. Akcja wyraźnie się kończy, ze Zwierzyńca wywożą z obozu ludzi do Lublina na Krochmalną, do „Arbeitsamtu” (Urząd Zatrudnienia). Nowych transportów na razie nie widać. Ale, niestety, echa tej akcji są bardzo silne. Wieś jest rozgoryczona, że w krytycznych chwilach przywódcy opuścili ją, przenosząc się w bezpieczne miejsce i nie było komu stanąć w obronie ludności. Zwłaszcza zdecydowanie groźną postawę przybrali niektórzy ludzie z BCh. Oburza ich, że dowództwo naszych oddziałów dywersyjnych AK dopuściło do tego, że Niemcy w Bondyrzu i Trzepiecinach zabrali duże zapasy artykułów żywnościowych, mundurów, obuwia i broni, a przedtem nie wydano tego oddziałom BCh. Z tego powodu w niektórych miejscach doszło nawet do rozlewu krwi. W piątek 23 czerwca, w lesie koło gajówki

Krzywe, bechowcy zabili Wala „Mściwego” z Wielączy i kilka razy strzelali do dowódcy oddziału por. „Wrzosa”, lecz jakoś szczęśliwie kule go ominęły. Przy tym wciąż się teraz odgrażają, że pozabijają wszystkich dowódców oddziałów AK.

Ludzie są wyczerpani psychicznie, zdenerwowani, przewrażliwieni, w stosunkach wzajemnych wybuchają z lada powodu. Wpływają na to wszystkie warunki obecnej wojny razem wzięte, do czego dzisiaj dołącza się jeszcze świadomość stale zwiększającego się niebezpieczeństwa osobistego wskutek całkowitego niemal rozluźnienia konspiracji. Obecnie prawie całe nasze społeczeństwo stanowi jednolity front przeciwniemiecki. Jedni są zaangażowani mniej, drudzy nawet bardzo silnie. A mamy dużo dowodów na to, że Niemcy – Gestapowcy i żandarmi – są wcale nieźle poinformowani o tym, co się dzieje w naszym obozie. Gdyby tylko zechcieli zrobić z tego użytek, stałaby się wprost katastrofa. Tysiące najwartościowszych ludzi zginęłyby w więzieniach i obozach. Uratowałiby się przeważnie ci, którzy są w lasach. Ale przecież nie mogą wszyscy iść do lasu, ktoś musi pozostać przy normalnych warsztatach pracy.

27.VI. Wtorek. Byłem w Zwierzyńcu. Sytuacja naszych oddziałów w lasach józefowskich jeszcze nie jest wyjaśniona. Wiadomo tylko, że toczą się tam walki i są duże straty. Oddziały „Podkowy” i „Doliny” miały iść na odsiecz.

Mówiono mi, że jakiś pułkownik z wojsk rosyjskich Michał Rodzki, lat 52, polskiego pochodzenia, którego „Grom” w swoim czasie przyjął do swego oddziału, zdradził, że przeszedł on do Niemców i wszystko im teraz objaśnia i pokazuje. W ręce Niemców wpadł prawdopodobnie kwatermistrz „Bór” z większą gotówką (80 tysięcy zł?). Za drutami w Zwierzyńcu widziałem dziś tylko kilkunastu mężczyzn. Wszystkich internowanych w ostatnich dniach już wywieźli.

28.VI. Środa. O 6 po południu przyjechali ze Zwierzyńca „Ręczyc” i „Cezary” na skutek meldunku z lasu spod Józefowa i żądania delegowania tam lekarzy z narzędziami chirurgicznymi i materiałami opatrunkowymi. Zresztą ścisłych i pewnych wiadomości stamtąd nie ma. Odnosimy wrażenie, że nasze oddziały zostały rozbite, rozproszone i straciły kontakt z dowództwem. Potwierdza się tylko wiadomość,

że straty są naprawdę bardzo bolesne. Rannych jest dużo, od soboty nie mają należytych opatrunków. Ranni mają być dwaj lekarze. Jeden z nich to podchorąży sanitarny Lucjan Kopeć „Radwan” – ze szpitala w Biłgoraju.

Naradziliśmy się natychmiast z dr „Jagą”. W rezultacie pojechał chirurg szpitalny dr Jerzy Jentys „Kamil” i siostra Michalina, zabrawszy ze sobą wszystko co potrzeba.

Jutro będziemy już mieli ścisłe dane o sytuacji, jaka się tam wytworzyła.

Wczoraj na szosie koło Rap zabito 4 żandarmów jadących samochodem.

29.VI. Czwartek. Rano jeździłem do Kawenczyna. Widziałem się z „Wyrwą”, „Wrzosem”, „Grudą” i innymi, lecz oni nic jeszcze nie wiedzieli o dalszych losach naszych oddziałów pod Józefowem.

W południe zebrali się u mnie „Komar”, „Młot”, „Cezary”, Szymański „Siwek”, Suchodolski „Dniestr”, „Orlicz” i Huskowski „Harley”. Omawialiśmy wytworzoną sytuację z przykrością stwierdzając zamęt i dezorganizację w naszych szeregach. Przecież utracony został kontakt nawet z komendantem „Adamem”. Adiutant komendanta, „Cezary”, już od paru dni nie wie, gdzie on się znajduje, gdzie jest miejsce postoju sztabu.

Po południu wrócił dr Jentys. Nie dojechał on na miejsce, gdzie są ranni, ponieważ poczynając od Górecka wszędzie jest jeszcze pełno Niemców. Zmuszony więc był zawrócić opatrzywszy tylko jednego rannego, którego w stanie beznadziejnym przywiozła do szpitala siostra Michalina. Nazywa się Tadeusz Szanojca „Szum”.

Około godziny 5 spotkali się u mnie komendant „Adam”, który wreszcie zjawił się na naszym terenie, „Borówka” i „Cezary”. Znów radzono, co dalej robić i w jaki sposób ratować rannych pozostawionych w lesie. Uznano, że jeden z lekarzy koniecznie musi tam pojechać, żeby jakoś zorganizować transport rannych. Wobec tego oświadczyłem, że w każdej chwili mogę jechać. Miano mnie niezwłocznie zabrać ze sobą samochodem do Zwierzyńca i jutro rano wyprawić dalej. Przebrałem się i byłem już gotów do drogi, lecz „Adam” zmienił decyzję. Polecił mi na razie pozostać w domu, nigdzie się nie wydalać i czekać jutro wiadomości od niego. Wysyła wprawdzie patrole na wywiad, czy można bez

przeszkód dojechać tam, gdzie potrzeba i dopiero jeżeli droga będzie wolna mam wyruszyć.

Trochę jednak dziwnie to wygląda, że muszą jechać lekarze „cywilni”, skoro w danej chwili aż 3 lekarzy oddziałowych – „Skiba”, „Kwiatkowski” i dr „Helena” – siedzą bezczynnie w Radecznicy i nudzą się.

„Adam” pozostawił mi długi wykaz środków lekarskich i opatrunkowych, ułożony przez jednego z lekarzy oddziałowych, z poleceniem, żeby dr „Jaga” wszystko to zdobył. Tymczasem wiemy dobrze, że wśród rzutów angielskich były piękne zestawy sanitarne, doskonale dobrane, w skórzanych pudłach z mnóstwem najrozmaitszych środków. Mówili mi o tym oficerowie i zapytywali co do czego służy. – Gdzie one się podziały? Od „Adama” nic nowego nie dowiedzieliśmy się.

Około godziny 10 wieczorem żołnierze niemieccy w hełmach i w pełnym rynsztunku bojowym wyłamali parkany szpitalne przy rzece i przeszli przez ogród z karabinami gotowymi do strzału w kierunku na Błonie. Część żołnierzy pozostała na naszym terenie. Jak mówią, całe miasto obstawione jest wojskiem. Nie wiemy, czy to są ćwiczenia, czy może początek jakiejś akcji.

W pierwszej chwili wśród pracowników szpitalnych dało się zauważyć silne poruszenie, lecz wkrótce – gdy do wnętrza gmachu nikt z żołnierzy nie wkroczył – wszystko się uspokoiło i o godzinie 11.30 położyliśmy się spać.

30.VI. Piątek. Noc przeszła najzupełniej spokojnie, żadne wydarzenie nie przerwało mi snu. Z lasów józefowskich przyszedł dziś do Zwierzyńca w stanie opłakanym rotmistrz Rakoczy „Miecz”, zastępca inspektora. Jest tak wyczerpany, że nie mógł dużo opowiadać. Co się stało z inspektorem „Głogiem” uel „Kaliną” – jeszcze nie wiadomo. Jedni mówią, że został ujęty przez Niemców, drudzy przypuszczają, że odebrał sobie życie. – Zginął natomiast dowódca nowo uformowanej kompanii dyspozycyjnej przy inspektorze por. „Woyna”, popularnie zwany „Małym Adasiem”, jeden z najdzielniejszych oficerów z dawnej kompanii warszawskiej „Żegoty”, już w czasie tej wojny odznaczony Krzyżem Walecznych. Znaliśmy go dobrze, gdyż wciąż przesiadywał u Kalwejtów w Zwierzyńcu, a i do nas kilka razy przyjeżdżał. Zginął podobno i por. Kryk „Topola”, z zawodu nauczyciel rodem ze Szczepieszyna, wychowanek tutejszego seminarium. Niedawno był

u mnie i przyniósł mi zapisane przez siebie nuty do pieśni śpiewanych w oddziałach dywersyjnych.

Liczba i nazwiska zabitych nie są jeszcze ustalone. Oficerowie wołają o tym nie mówić. Dopiero z czasem wszystko się wyjaśni. Walczących i okrażonych przez Niemców było około 5 tysięcy ludzi: przeszło 3 tysiące bolszewików, około tysiąca peperowców i około tysiąca z AK i BCh.

Dowództwo nasze rozesłało dziś do wszystkich placówek rozkaz zawiadomieniem, że spodziewana jest w najbliższych dniach, a nawet częściowo już się rozpoczęła, nowa akcja niemiecka, która ma objąć Lipowiec, Frampol, Radecznicę i Szczepieszyn. Nie jest to dla nas przyjemna wiadomość, lecz nic na to nie poradzimy. Musimy zdać się na los szczęścia i czekać, ale kto może, to się na te dni usunie z zagrożonych miejscowości.

Dziś przybył do szpitala nowy ranny z oddziału „Doliny”, były podoficer zawodowy z Zamościa „Dziwiątko”.

„Adam” zawiadomił mnie, że jeszcze jechać w okolice Józefowa nie można. Mam w dalszym ciągu być w pogotowiu i oczekiwać wezwania. Do oddziału „Wzosa” pojechała dziś od nas pielęgniarka siostra Kazia Osiecka, niedawno sprowadzona przez „Wyrwę” z Warszawy, ze Szpitala Ujazdowskiego.

Nasze stosunki z oddziałami dywersyjnymi, z obwodem, z dowództwem, z oficerami i żołnierzami coraz bardziej się zacieśniają i dlatego silnie przeżywamy wszystko to, co się dzieje w lesie. Każdy z nas stara się wziąć możliwie najczynniejszy udział w robocie podziemnej. Nawet mój synek Tadzio bardzo często teraz na rowerze rozwozi rozkazy i meldunki i jest wszędzie znany, zwłaszcza w Kawenczynie.

W ostatnich dniach dostarczyliśmy oficerom dużo odpowiedniej grubości celofanu do mapników. Nigdzie go nie można dostać, nawet w Warszawie. Wpadłem na pomysł i zupełnie łatwym sposobem oczyszczamy błony fotograficzne używane przy zdjęciach rentgenowskich. Otrzymujemy celofan doskonałej jakości.

1.VII. Sobota. Przyjeliśmy do szpitala rannego brata „Groma”. Był w najcięższych walkach pod Józefowem. Ranił go, przed 7 dniami, jeden z naszych żołnierzy, który dostał ostrego obłądu. Tak się wszyscy pogubili, że jeden o drugim nic nie wie. Wciąż słyszymy różne oskar-

żenia: na inspektora, że trzymał oddziały przy sobie i zwlekał z przebijaniem się, to znów „Adama”, że pozostawił oddziały własnemu losowi... Trudno dziś wydać sprawiedliwy sąd. Lecz i późniejszy historyk też nie łatwe będzie miał zadanie.

Długo rozmawiałem dziś o pogromie w józefowskich lasach z bratem „Groma”. Całą winę – jak powiada „bez reszty” – przypisuje wyłącznie inspektorowi „Głogowi”, który był dowódcą wszystkich otoczonych oddziałów. Stracił on zupełnie głowę, wykazał brak zdolności strategicznych i sprowadził klęskę, jakiej oddziały dywersyjne 9 Pułku Piechoty nigdy jeszcze nie zznały.

Mam zamiar opracować już teraz, na świeżo, na gorąco, historię tych smutnych dni. Powoli gromadzę materiał oparty wyłącznie na relacjach uczestników, bo innych źródeł, prócz krótkich, suchych meldunków służbowych, w ogóle nigdy nie będzie. Chyba jeszcze w archiwum niemieckim, lecz dostęp do niego i w przyszłości jest całkiem wątpliwy.

Dzisiejszej nocy umarł „Szum” nie odzyskując ani na chwilę przytomności. Był to żołnierz niezwyklej odwagi i dzielności. Taką o nim opinię zgodnie wydają wszyscy oficerowie, którzy byli z nim w różnych akcjach. Między innymi on to właśnie przeprowadził brauworowy napad na szefa Gestapo biłgorajskiego, Kolba, który – niestety – wyszedł wówczas cało. Za swoje czyny żołnierskie odznaczony został Krzyżem Walecznych. Ciężko ranny w okolicę pęcherza moczowego 4 dni przeleżał w lesie. Znalazły go jego siostry i przeniosły do wsi, skąd pomału na szósty dopiero dzień przewieziono go do nas do szpitala, lecz już w stanie beznadziejnym, nieprzytomnego wskutek zatrucia moczem. Pochodził z Józefowa.

2.VII. Niedziela. Spędziłem cały dzień w Sułowcu u Stefana Huskowskiego. Spotkałem tu Bończę-Pióro „Colta” „Leszcza”, podch. „Korcza” z oddziału „Podkowy” i młodziutkiego Jurka Żochowskiego, też podkowiaka. „Korcza” był w kotle józefowskim i przebił się szczęśliwie z kilkunastoma żołnierzami przez linię niemiecką. Opowiedział mi pokrótce z mapą w rękę, dzień po dniu, wędrówkę oddziałów zgrupowanych koło inspektora. „Głoga”. Wszystko to skrupulatnie notowałem.

Przejeżdżaliśmy przez wieś Rozłopy. Robi ona bardzo przykre wrażenie. Wszystkie chałupy przy szosie stoją zupełnie puste. „Czarni” wyjechali, dawni właściciele zaś jeszcze nie powrócili do swoich

gospodarstwu. Boją się. Wszędzie widać straszne zaniedbanie, wszystko zapuszczone, zachwaszczone i nigdzie ani żywej duszy. Nie widać również i zwierząt domowych. Zupełnie wymarła wieś, jakby podczas zarazy morowej.

3.VII. Poniedziałek. Przyszli dziś do szpitala trzej żandarmi i od razu udali się na oddział zakaźny. Powiedzieli mi, że chcą zobaczyć jednego chorego na tyfus. Zatrzymywali się przy każdym chorym, zadawali różne pytania, oglądali wszystkie karty chorobowe itd. Wreszcie wychodząc zapytali, czy mamy w szpitalu rannych. Nie ulega żadnej wątpliwości, że przyszli sprawdzić, czy na oddziale zakaźnym nie ukrywamy rannych, jak to czasem bywało w innych szpitalach (np. w Tomaszowie). Jest to dla nas wyraźne ostrzeżenie, że trzeba się pilnować i być ostrożnym z przyjmowaniem rannych, których nie można meldować na żandarmerii. A takich, niestety, jest coraz więcej.

Dziś w Kawenczynie zlikwidowano Wąskównę ze Szczebrzeszyna, szwagierkę zabitego niedawno Maksy.

4.VII. Wtorek. Jeździłem do Kawenczyna, żeby się zobaczyć z „Adamem”, którego przywiozłem potem do nas na noc. Wciąż jeszcze mówi się tylko o kłęsce naszych oddziałów w józefowskich lasach. Zabici są, oprócz „Wojny” i „Topoli”, o których już wspominałem, inspektor „Głóg” uel „Kalina” i podchorąży sanitarny Tadeusz Błachuta „Oldan”. Prawie przez rok pracował on u mnie w szpitalu, potem w szpitalu w Biłgoraju. Od dawna już należał do organizacji, ostatnio był bardzo czynny w oddziałach partyzanckich. Niedawno się ożenił. W czasie pobytu w Szczebrzeszynie za moją namową napisał swój pamiętnik z września 1939 i zaczął pisać bardzo ciekawe wspomnienia z podchorążówki sanitarnej w Warszawie. Skreślił już kilka rozdziałów, lecz niestety, nie zdążył napisać całości.

Zginął również i kwatermistrz „Bór”. Przyczynek. Los jego 15-letniej córki na razie nie jest jeszcze wiadomy. Zginęli też leśniczy państwowy Makuch „Kruk” z żoną, oraz sanitariuszka Aniela Nowakówna „Agnieszka” z Józefowa.

Do Kawenczyna przywieziono dziś poważnie rannego w nogę por. „Irkę”, komendanta obwodu Hrubieszowskiego, który też znalazł się w szeregach walczących w kotle józefowskim.

W danej chwili mogą już tam pracować patrole sanitarne z lekami. Ranni umieszczani są w różnych miejscach i już wszyscy są pod stałą opieką lekarzy.

Z „Adamem” przez kilka godzin omawiałem przebieg ostatnich walk, historię poszczególnych oddziałów oraz sprawę wydania piosek żołnierskich OP 9.

5.VII. Środa. Dziś rano w Zwierzyńcu wpadła w ręce żandarmerii kurierka od „Łowickiego”, który ostatnio przebywał w Korytkowie pod Biłgorajem. Miała przy sobie 15 kilogramów papieru do powielacza i karteczki kompromitujące kilku ludzi, a w ich liczbie i Janisławskiego „Mruka” w Zwierzyńcu. Natychmiast przyjechał on do mnie. Daliśmy znać do obwodu prosząc, żeby zaraz wysłano gońca do „Łowickiego”. Teraz wszystko zależy od tego, co ona będzie zeznawała przy badaniu.

Do szpitala przywieziono nam od „Wira” ciężko rannego młodego żołnierza Jakubika „Marka”. Przeleżał on w lesie bez opatrunku i bez jedzenia od niedzieli do czwartku! Czterech łżej rannych ulokowano u chłopów w Kawenczynie.

6.VII. Czwartek. O godzinie 2 przyszedł do szpitala komendant żandarmerii, leutnant z dwoma żandarmami. Wezwano mnie do rozmowy na osobności. Od razu zorientowałem się, że chodzi im o rannych. I rzeczywiście zapytano mnie, czy wczoraj przywieziono do szpitala 4 rannych „bandytów”. Gdy kategorycznie zaprzeczyłem komendant oświadczył mi, że zmuszony jest zrewidować cały szpital. Zaczęto od dużej sali męskiej. Oglądano bardzo szczegółowo po kolei każdego chorego. Niektórych legitymowano. W tym czasie nasi ranni chłopcy, ja i pielęgniarki przeżywalismy nie byle jakie emocje. Bałem się, żeby któryś nie zaplątał się w odpowiedziach i nie wpadł, ale jakoś tym razem wszystko odbyło się pomyślnie. Nie wykryto żadnego. Po przejzeniu wszystkich sal z chorymi zrewidowano resztę szpitala. Zachodzili do pokoi prywatnych, ominęli jedynie moje mieszkanie. Zajrzeli do spiżarni, gdzie kazali otwierać szafy, na strych, do zabudowań gospodarczych itd. Wreszcie komendant powiedział mi dosłownie: „Chociaż nie znaleźliśmy nikogo, to nie znaczy, że u was wszystko jest w porządku. My wiemy dobrze, że wy rannych opatrujecie. Proszę jednak mieć się na baczności, bo tu o waszą głowę chodzi”. Rewizja ta trwała prawie całą godzinę.

Dziś nad ranem Niemcy zabrali wszystkie konie i krowy w Mokremlipiu i w Sąsiadce. Żandarmi w Brodach zatrzymali dwóch żołnierzy z oddziału „Wrzosa” z bronią w ręku. Na posterunku przy wstępnym badaniu strasznie ich bili. Jak się dowiedziałem, przygotowuje się jakaś akcja celem ich odbicia.

7.VII. Piątek. Próby odbicia dwóch aresztowanych wczoraj żołnierzy „Wrzosa” nie udały się. Pod silną eskortą odwieźli ich dzisiaj do Zamościa. Wrzos zawiadomił siostrę swą pracującą w szpitalu, żebyśmy się wszyscy pilnowali, ponieważ jeden z aresztowanych dużo wie i, podobno, sypie. Z tego powodu w szpitalu nastrój wśród personelu nerwowy, pełen niepokoju i obaw.

Z Zamościa od niemieckiego Amtsarzta (lekarza) otrzymałem dziś poufne („Vertraulich!”) pismo z następującym zarządzeniem: w razie ogólnej ewakuacji obłożnie chorych Niemców należy odesłać do szpitala okręgowego w Lublinie. Chorych zaś Polaków, jeżeli będą sobie tego życzyli, wyprowadzić do szpitala w Tomaszowie Mazowieckim.

Z Zamościa nadeszła wiadomość, że bolszewicy zbliżają się już do Bugu. Zamość otrzymał znów nakaz przygotowania się do ewakuacji. Wczoraj z ratusza, czyli ze starostwa, wywożono meble.

8.VII. Sobota. Jeździłem do Kawenczyna, gdzie miałem wyznaczone spotkanie z „Norbertem”, który w żaden sposób nie może pokazać się w Szczepieszynie. Jest on obecnie pierwszym adiutantem OP 9. Batalion po nim objął „Dolina”. Przybył też i „Podkowa”. Przejrzeliśmy wspólnie przygotowane przeze mnie do druku pieśni OP 9. Podali mi trochę szczegółów dotyczących niektórych piosenek. Namawiałem ich do pisania szczegółowych relacji z ważniejszych przynajmniej wydarzeń bojowych. Wszyscy nasi dowódcy dziwnie lekceważą stronę historyczną obecnych walk partyzanckich. Jeszcze „Norbert” ma większe zrozumienie tych rzeczy, ale „Podkowa” całkiem ignoruje potrzeby historii.

„Norbert” obiecał mi opisać całą aferę „Wismana”, na początku najczynniejszego konspiratora i organizatora walki podziemnej w Zamojszczyźnie, a potem gestapowca. „Norbert” był jego najbliższym współpracownikiem. On też go zlikwidował w okolicznościach romantycznych i sensacyjnych.

W przejeździe przez Szczepieszyn, spiesząc się bardzo, wstąpił do nas „Adam”. Ten tak jest zajęty, że – jak sam powiada – „nie ma czasu nawet myśleć”. Czasem przy zetknięciu się z nim odnoszę wrażenie, że ma rację...

Ze Zwierzyńca przysłała pani Janisławska prosząc o zawiadomienie męża, że może zupełnie śmiało wracać do domu. Jak się teraz wyjaśniło, owa kurierka wcale nie była aresztowana, wszystko w porządku dowiozła i wręczyła „Łowickiemu”. Alarm był całkiem niepotrzebny, oparty na niesprawdzonym doniesieniu jakiejś baby. Notuję to wydarzenie jako ilustrację nerwowego napięcia panującego w naszym przewrażliwionym społeczeństwie.

9.VII. Niedziela. Z naszego terenu wieści niewesołe. W Biłgoraju rozstrzelano przeszło 60 żołnierzy oddziałów partyzanckich schwytanych w lasach józefowskich podczas sławetnej akcji. A niektórzy, nawet „Adam”, upewniali, że Niemcy będą ich traktować jako jeńców wojennych. W tymże Biłgoraju aresztowano szereg osób, między innymi piekarza, który dostarczał chleb dla oddziałów. Wzięto go z całą rodziną. Jeździłem do Zwierzyńca, gdzie załatwiłem sprawę wykonania w linoleum znaku OP 9. Mam zamiar użyć go do okładki projektowanego zbioru pieśni naszych oddziałów partyzanckich.

10.VII. Poniedziałek. Byłem w Zamościu. Zawiozłem rękopis piosenek. Nie wiem, czy uda się wykonać druk na miejscu. Po aresztowaniach wśród drukarzy w Lublinie, zamojscy drukarze czują się bardzo niepewnie i boją się. Na szosie ożywiony ruch samochodowy. Głównie w stronę od Zamościa na Biłgoraj suną całe kolumny wozów wojskowych z najrozmaitszymi rzeczami.

U nas coraz wyraźniej słychać detonacje od wybuchów pocisków artyleryjskich. Córka kwatermistrza „Bora” znajduje się w obozie na Majdanku.

12.VII. Środa. Jeździłem do Żurawnicy do podch. „Waligóry”, który leży tam ranny, a obecnie dostał grypy. Był w oddziale „Woyny”. Znowu dużo nasłuchiwałem się o przebiegu walki nad Sopotem pod Osuchami.

13.VII. Czwartek. Już od kilku dni krążyła u nas wiadomość, że Niemcy mają odkopywać na okopisku zwłoki pomordowanych Żydów i palić je. Usunięto z mieszkania rodzinę Niechajów tuż przy cmentarzu żydowskim. Wczoraj nie puszczano ludzi normalną drogą do kościółka na cmentarzu katolickim, a dziś zamknięto wszystkie drogi dookoła cmentarza katolickiego i sąsiadującego z nim okopiska żydowskiego. Księżom na skutek ich nalegań oddano klucze od kościoła parafialnego i zezwolono tam odprawiać nabożeństwo. Upředzono jednak, że to tylko na kilka dni. Wieść o tym szybko rozniosła się po mieście i już na pierwszym nabożeństwie zebrało się stosunkowo bardzo dużo publiczności, przeważnie kobiet. Ciekaw byłem jak wygląda kościół po dwuletnim prawie zamknięciu i zaszedłem zobaczyć. Widać zaniedbanie, brud lecz większego jakiegoś zniszczenia nie zauważyłem. Po południu dowiedzieliśmy się, że Niemcy cofnęli zezwolenie na odprawianie nabożeństwa i znów kościół kazali zamknąć.

Na cmentarzu żydowskim dzieją się jakieś tajemnicze rzeczy. Dostęp do niego całkiem niemożliwy. Dookoła stoją żołnierze trzymając w ręku karabiny gotowe do strzału. Tablice ostrzegawcze głoszą, że do podchodzących do zakazanego terenu będą strzelać bez upředniego ostrzeżenia. Ulicą Cmentarną często przejeżdżają samochody – osobowe i ciężarówki. Od strony Zamościa przywieziono dziś w dużym zamkniętym samochodzie ciężarowym grupę mężczyzn cywilów. Jest przypuszczenie, że są to więźniowie skazani na śmierć. Na samym cmentarzu wytyczono coś palikami, potem od strony pola, skąd można cokolwiek widzieć, ustawiono zasłony z mat słomianych i plandek. Na razie tyle tylko mogliśmy się dowiedzieć.

14.VII. Piątek. Ksiądz Kapalski ze zwykłą sobie energią zaczął od rana czynić usilne zabiegi, żeby otworzono kościół. W rezultacie leutnant pozwolił dziś odprawić nabożeństwo, lecz zaraz potem, kościół zamknięto. W niedzielę księża będą mogli odprawić nabożeństwo w kościółku na cmentarzu, lecz bez udziału publiczności.

Jak się okazało zwłok żydowskich Niemcy nie palą tu na miejscu, lecz samochodami przewożą je do Zamościa i dopiero palą na Rotundzie.

Od wczorajszego dnia bez przerwy słyhać silną kanonadę artyleryjską. Jak głosi niesprawdzona zresztą wieść, bolszewicy forsują Bug w okolicy Włodzimierza i Sokala.

W Zamościu Gestapo przyszło aresztować młodego Stanisława Żmindę, syna znanego zegarmistrza. Ten przez strych przedostał się na dach i przechodził na sąsiednie dachy, lecz zaczepił się o drut o dużym napięciu i porażony prądem spadł z II piętra, zabijając się na miejscu. W organizacji był bardzo czynny.

15.VII. Sobota. Chwilami przy powiewie wiatru od strony cmentarza żydowskiego dolatuje do nas silny fetor rozkładających się zwłok.

Artylerię słychać prawie bez przerwy. Nie możemy jednak z dokładną pewnością dowiedzieć się, gdzie strzelają. Jedynie plotka głosi o forsowaniu Bugu pod Sokalem.

Ubiegłej nocy Niemcy przyłapali w Kawenczynku i aresztowali sędziego Witoszkę „Marka”, obecnie adiutanta komendanta obwodu „Łysia” uel „Norwega”, następnie „Wilczka” ze Zwierzyńca, sołtysa Ćwika, rodzinę Panasów i innych. Ogółem około 15 osób. Oczywiście wywołało to wielkie poruszenie i zaniepokojenie. Wszyscy aresztowani są bardzo popularni i w razie dochodzenia może się wsypać ogromna liczba ludzi. Szpital też jest zagrożony, ponieważ Panasowa przez dłuższy czas była u nas posługaczką, dopiero przed miesiącem wyszła za mąż. Widziała u nas wszystkich przewijających się przez nasz dom „ludzi z lasu”, których potem spotykała w Kawenczynie w mundurach i w pełnym uzbrojeniu. Ja osobiście też czuję się trochę niepewnie. Przyczynia się do tego jeszcze i to, że przychodził dziś obcy żandarm i zapytywał o mnie mając w notesie zapisane moje nazwisko. Nie wiem, po co byłem mu potrzebny.

16.VII. Niedziela. Dziś o 10 rano Niemcy zakończyli swoje czynności na cmentarzu żydowskim i wyjechali. Drogi wolne, kościół na cmentarzu dostępny dla wszystkich. Jednak nie wiemy z wszelką pewnością, co oni tam robili. Coś kopali, odgrzebywali zwłoki – na co wskazywał smród – coś wywozili ale czyż mogli w ciągu 3 dni przewieźć parę tysięcy trupów znajdujących się w stanie zupełnego rozkładu?

Strzały armatnie słychać coraz głośniejsze. Podobno bolszewicy zajęli już Sokal.

Wczorajszych aresztowanych trzymali Niemcy najpierw na „Cetnarze”, potem przewieźli do Zwierzyńca i umieścili w areszcie na poste-

runku Policji Polskiej. Jest nadzieja, że ich wypuszczą. Usilne starania o to są w pełnym toku.

Przyjechał i nocuje u nas „Adam”. Wraca z odprawy w Lublinie. Po „Głogu” czyli po majorze „Kalinie”, obejmuje inspektorat zamojski. Zapewne znajdą duże zmiany personalne. Parę godzin rozmawialiśmy o historii oddziałów partyzanckich. Przejrzał pierwszą część mojego pamiętnika wojennego, przepisana już na maszynie. Dał mi do przeczytania kilka zasadniczych meldunków nadesłanych do inspektoratu, żebym mógł zorientować jaki one zawierają materiał. Niestety, warunki zmuszają do niszczenia tych niezmiernie cennych dla historii dokumentów. W czasie ostatniej akcji, w końcowych dniach czerwca, w krytycznym momencie zniszczono część archiwum inspektoratu. Jest to strata niepowetowana. Zaginął naprawdę najcenniejszy materiał historyczny, pozostawiono bowiem w archiwum tylko akta i dokumenty najważniejsze, o znaczeniu zasadniczym, co pewien czas systematycznie paląc cały balast archiwalny ze względu na trudności przechowywania go. Ale i ta makulatura archiwalna z pewnością też byłaby cennym materiałem dla historyka.

„Adam” bardzo narzekał na złą organizację sanitariatu w obwodzie. Dotychczasowy szef sanitarny obwodu dr Tyczkowski – jak mi powiedział „Adam”, został usunięty z tego stanowiska „za bezczynność”. W tych dniach będzie mianowany nowy szef sanitarny. Przypuszczam, że zostanie nim dr „Jaga”. Znając wszystkich lekarzy w powiecie uważam, że on byłby najodpowiedniejszym. W tym sensie wypowiedziałem „Adamowi” swoje zdanie, gdy mnie zapytywał o „Jagę”. Przy sposobności „Adam” upewnił mnie, że dr Bieńkowski w Zamościu jest jednak Volksdeutschem i do żadnych czynności w organizacji dopuszczony być nie może. To mnie zdziwiło, bo nie tak dawno Bieńkowski był w Szczepieszynie i w Radecznicy, gdzie miał do załatwienia pewne sprawy konspiracyjne służby zdrowia, mianowicie zorganizowanie szkolenia sanitariuszy i sanitariuszek.

Adam sądzi, że mniej więcej za 3 tygodnie bolszewicy będą już u nas.

17.VII. Poniedziałek. „Marka” – Witoszkę i towarzyszy wypuszczono na wolność pomimo jawnych dowodów przynależności do AK.

Pozostał jeszcze na posterunku tylko sołtys Ćwik i goniec Świstek, ale zapewne i oni zostaną zwolnieni.

Odbyła się dziś w szpitalu po raz pierwszy odprawa lekarzy w obecności „Wyrwy” i komendanta rejonu „Komara”. Omawiano sprawę służby zdrowia.

Z komunikatów radiowych i z ustnych relacji wielu ludzi wynika, że wojska niemieckie cofają się poniekąd nawet w nieładzie z frontu wschodniego na zachód. Widać, że Niemcy nie mają dostatecznych sił, żeby powstrzymać całą tę nawałę ze wschodu, która zaczyna już przekraczać granice Prus Wschodnich. Niemcy prawdopodobnie liczą się z możliwością zastosowania gazów, ponieważ widziano teraz w paru miejscowościach – w Zamościu i w Zwierzyńcu – forsowne ćwiczenia żołnierzy z maskami na twarzy. W Zamościu nawet konie miały maski na pyskach.

Zestawiając komunikaty ze wszystkich frontów i patrząc na to, co się dzieje dookoła mamy chwilami wrażenie, że jesteśmy już w przededniu ostatecznego rozstrzygnięcia wojny z Niemcami.

18.VII. Wtorek. Głównym tematem rozmów jest front wschodni. Wciąż się słyszy o Włodzimierzu, o Hrubieszowie, o Sokalu, o Bełżcu itd.

Pod wieczór nagle rozeszła się wieść, że „czarni” już się pakują i ładują rzeczy na furmanki. Okazało się, że otrzymali rozkaz być gotowymi do wyjazdu w każdej chwili. To samo magistrat. Zarządzeniem niemieckich władz samorządowych w Zamościu na burmistrza wyznaczono bardzo skromnego funkcjonariusza magistralnego Sygita, na sekretarza Skórczyńskiego byłego sekretarza gminy Sułów. Moment opuszczenia miasta przez Niemców uzależniony jest od postępu ofensywy bolszewickiej od strony Sokala, który zajęty został wczoraj wieczorem. Od Niemców masowo uciekają tzw. „czubaryki” (czerwo-noarmiści w służbie niemieckiej). Dzisiejszej nocy zwiąło ich przeszło 30. Szukano ich potem po całym mieście, w chałupach na peryferiach.

Ludzie w podnieceniu i napięciu oczekują dalszego rozwoju wypadków.

19.VII Środa. O 4 rano wyjechał „Arbeitsamt”.

Urząd pocztowy zlikwidowany, pozdejmovano nawet szyldy i skrzynki pocztowe, pozostała jeszcze tylko centrala telefoniczna.

Magistrat niemiecki od wczorajszego wieczora gotów do wyjazdu. Całą noc urzędnicy pełnili dyżury przy telefonie oczekując ostatecznego rozkazu wyjazdu. Przekazanie urzędowania odbyło się formalnie, kasa oddana protokolarnie w porządku.

Żandarmeria wysłała swoje tabory i akta, sama została tylko z bagażem podręcznym.

W dzień rozeszła się pogłoska, że Niemcy podjęli na froncie wschodnim gwałtowną kontrofensywę, wobec czego ewakuacja została wstrzymana co najmniej na kilka dni. Ludność zaczęła się martwić i denerwować. – Lecz po południu nastąpił wreszcie tak upragniony wyjazd „czarnych” i urzędników niemieckich. Popili się przedtem setnie, strzelali nieszkodliwie i samo opuszczenie przez nich miasta odbyło się właściwie spokojnie, bez żadnych ekscesów. Żandarmi jeszcze są.

Starostwo z Zamościa wyjechało. Ewakuacja Zamościa w całości pełni.

Na szosie ruch bardzo duży, głównie samochodowy. Jedni jadą na Zamość-Lublin, drudzy w przeciwnym kierunku, na Biłgoraj – Rzeszów, chociaż mniej, bo ta trasa uważana jest za nie całkiem bezpieczną ze względu na „bandy”.

Wojskowych samochodów pojedynczych i całych długich kolumn – mnóstwo. Wszystkie maszyny naładowane najrozmaitszymi rzeczami – wojskowym sprzętem i prywatnym bagażem. Typowy odwrót – jakże w danym wypadku miły naszemu oku.

Kilka razy w ciągu dnia wychodziłem na miasto, żeby samemu wszystko zobaczyć. Nie należy tylko zbyt jawnie okazywać swego zadowolenia, bo można narazić się na nieprzyjemność. Nawet jednej z pracownic szpitala nawymyślał Niemiec w sklepie za to, że rzekomo miała do kogoś znacząco mrugnąć.

Pomimo ogólnej radości z powodu ucieczki Niemców nastój w mieście bardzo trwożny. Ludzie z ust do ust powtarzają sobie różne plotki o przymusowej ewakuacji, o zabieraniu mężczyzn, o rabunkach itp. i wzajemnie siebie straszą. Niektórzy zakopują i chowają cenniejsze rzeczy, artykuły spożywcze, inni całkiem opuszczają miasto. My w szpitalu nie czynimy przygotowań. Wszystko idzie zupełnie normalnym trybem. Mamy tylko upatrzone miejsca na terenie szpitala, gdzie by można było w ostatniej chwili ukryć mężczyzn w razie, gdyby nas chciano zabrać, tak jak to podobno robiono w niektórych miastach.

20.VII. Czwartek. Przyjechała Ortskomendantura. Bez ceremonii usunięto magistrat i zajęto jego lokal. Magistrat przeniósł się do lokalu poczty.

Ruch na szosie znacznie większy niż wczoraj. Ukazały się już samochody na gąsienicach, tankietki, czołgi. Wszystko to jedzie ze wschodu na zachód.

W mieście zdenerwowanie coraz większe. Ludzie się pakują i przygotowują do wyjazdu.

W obwodzie i w oddziałach partyzanckich wre gorączkowa praca. Do Zamościa posłano dziś rozkaz, ażeby członkowie organizacji wraz z rodzinami opuścili miasto. Przewiduje się mobilizację w szerszym zakresie. Oddziały nasze mają być czynne w końcowej fazie odwrotu Niemców.

21.VII. Piątek. Całą noc, prawie bez przerwy, jechały szosą samochody.

Dzisiaj Niemcy uciekają już na całego. U nas wszystko od rana wieje na Biłgoraj. Rzadko kiedy przemknie jakieś auto w kierunku na Zamość. Jadą samochody i długie kolumny wozów. Sporo ludzi idzie pieszo. Niby wszystko odbywa się w porządku, ale znać aż nadto wyraźnie silne zdenerwowanie. Zapewne przyczynia się do tego wiadomość, która zatacza coraz szersze kręgi, że był zamach na Hitlera, że został on ranny, że rząd przeszedł w ręce Goeringa i Himmlera.

Z więzienia w Zamościu wypuszczono więźniów, pewną liczbę jednak rozstrzelano.

Po południu ruch na szosie coraz większy, głównie na Biłgoraj. Samochody jadą już nie tylko szosą główną, lecz i drogą koło szpitala na Błonie, Topólcę.

O godzinie 4 po południu pojechałem do Kawenczyna. Prawie w każdym ogrodzie czołgi i samochody na gąsienicach. Widziałem się z „Wyrwą”, z „Łysiem” i całym sztabem. Mają zmienić miejsce postoju ze względu na obecność we wsi wojska. Zalecony jest wyjazd rodzin z naszego regionu. Lekarze mają być na miejscu.

Pod wieczór narasta nasilenie ruchu na szosie. W mieście zatrzymują się na nocny postój liczne samochody i furmanki po sadach, placach i nawet u nas na podwórzu szpitalnym. Nagle około godziny 8 wszyscy otrzymali rozkaz natychmiastowego opuszczenia miasta. Od

razu zakotłowało się jak w mrowisku. Od strony Zamościa szły kolumny na Zwierzyniec-Biłgoraj już nieprzerwaną wstęgą. Naraz około godziny 10 zauważyliśmy, że ruch na szosie zaczyna zmieniać kierunek: ukazały się długie kolumny, ale już od strony Zwierzynca i od Kawenczyna. Zresztą jechały jeszcze samochody i na Zwierzyniec, tylko już znacznie mniej. Oficerowie zaczęli wypytywać o drogę na Frampol – Janów, względnie na Turobin – Lublin. W mieście chwilami tworzyły się ogromne zatory, słychać było wrzaski, krzyki, nawoływania i przekleństwa. Zrozumieliśmy, że Niemcy mają drogi w niektórych miejscach poprzecinane, że się gubią, że nie wiedzą dokąd jechać, że wpadają w pułapkę.

U mnie w szpitalu zabrano konie, w ogóle chwytano je, gdzie się tylko dało. Odwrót zamienił się w ucieczkę, której zaczął już towarzyszyć wyraźny popłoch. Pod wpływem nastroju, jaki się wytworzył, w pewnym momencie chłopcy z piekarni Ćwika, wprost naprzeciw naszych okien – zrzucili ze ściany niemiecki szyld z napisem „Beckerrei...”. Z pewnością był to pierwszy strącony w Szczepieszynie szyld niemiecki. Pomimo całej niepewności sytuacji serca nasze wezbrały radością na ten widok.

22.VII. Sobota. Noc mieliśmy okropną. Samochody jechały bez przerwy – wszystkie od strony Biłgoraja. W szpitalu długo nikt nie kładł się spać, lecz wszyscy byli na swoich miejscach z wyjątkiem jednego tylko dra Matuszewskiego, który wieczorem wyjechał na wieś, żeby tam ulokować żonę i wrócił dopiero dzisiaj o godzinie 10 rano. W nieprzyjemny sposób naraził przez to swoją opinię wobec wszystkich chorych i pracowników szpitalnych. O godzinie 2 w nocy wyjechała „nasza” żandarmeria.

Późnym wieczorem na szosie rozłopskiej Niemcy zabili Konstantego Jóźwiakowskiego, młynarza, rodzonego brata dr Jóźwiakowskiego i Stanisława Michalskiego, właściciela tzw. „budy” kursującej pomiędzy Szczepieszynem a Zamościem.

Wczesnym rankiem jeszcze pędziły kolumny samochodów i wlokły się tabory konne. Furmani więźci na „forszpan” mówili, że zawrócili ich od Hedwizyna i od Rap pod Biłgorajem. O godzinie 10 rano ruch na szosie już bardzo mały. Chwilami panuje dziwny spokój. Słychać od południa armaty chyba najdalej z odległości 20 kilometrów.

Z Zamościem połączenia telefonicznego już nie ma. Ostatnia rozmowa była o godzinie 3.30 w nocy. Telefonista z centrali wojskowej powiedział tylko „do widzenia”.

Na strychu nad wysokim spichrzem szpitalnym zainstalowano dziś punkt obserwacyjny dla lornetowania strony Szczepieszyn-Zwierzyniec.

O godzinie 5.20 zdjęto z naszego spichrza obserwatorów. Odchodząc powiedzieli nam, że bolszewicy się zbliżają i radzili przenieść chorych z piętra na parter. W tymże czasie zaczęła się silna kanonada w stronie Zwierzynca i za Brodzką Górą. Wkrótce wysadzono torę kolejową.

W szpitalu wszczęła się gorączkowa praca. Przenieśliśmy niektórych chorych z piętra na parter. Z sal parterowych, narażonych więcej od innych na strzały armatnie, przenieśliśmy chorych na korytarz, najlepiej zabezpieczony przez grube mury i sklepienia.

Godzina 8.30 wieczorem. Kanonada bardzo silna – już znacznie bliżej. Pali się stacja Klemensów. Od czasu do czasu słychać jakieś silne wybuchy. To Niemcy wysadzają mosty i inne obiekty.

Godzina 9 wieczór. Zjawił się młody, energiczny „Sztabsarzt” i oświadczył, że chce natychmiast dokładnie zwiedzić cały szpital. Po szczegółowym obejrzeniu kazał w ciągu dwóch godzin, czyli do godziny 11 opróżnić cały parter przenosząc wszystkich naszych chorych na piętro. Nie wolno ze szpitala nic wywieźć z wyjątkiem osobistych rzeczy pracowników. Za usiłowanie ukrycia lub wywiezienia produktów spożywczych będzie zastosowana kara śmierci. W moim mieszkaniu zajął jeden pokój na kwaterę dla siebie. Wszystkie zarządzenia wydawane były w formie nadzwyczajnie katorycznej, nie dopuszczającej żadnego sprzeciwu.

Rzuciliśmy się do roboty. Trzeba było ze wszystkim śpieszyć się, bo zaraz nadjechały samochody wojskowe i żołnierze kręcili się po całym szpitalu. Oprócz przenoszenia chorych i oczyszczania sal na parterze musiałem zająć się usunięciem ze składu, znajdującego się obok mego mieszkania, materiału opatrunkowego i cenniejszych leków. Rozmieściłem to w mieszkaniach siostr i gospodyni oraz na salach chorych pod łózkami.

Na godzinę 11 mieliśmy już wszystko gotowe. Oczywiście nieład wszędzie był okropny, napchaliśmy chorych do małych sal na piętrze, najrozmaitsze rzeczy i sprzęty szpitalne porzucaliśmy byle jak, aby tylko zdążyć i nic na dole nie zostawić.

A tymczasem strzelaninę słysząc było coraz bliżej. Niektóre wybuchy tak blisko, że szyby drżały, a ludzie wrażliwsi przysiadali ze strachu. Po niektórych detonacjach wybuchały pożary. Paliło się dookoła w różnych miejscach i gdy ściemniło się olbrzymie łuny zaróżowiły całe niebo.

Wojsko zagospodarowało się na dobre, zajęto nam kuchnię i coraz to czegoś nowego od nas żądano. Zaczęto przywozić rannych. Lekko rannych lokowano w kościele świętej Katarzyny obok szpitala na posadzce, ciężko rannych w szpitalu na łóżkach i na siennikach położonych na podłodze. Często nadlatywały samoloty sowieckie i chociaż bomb na naszym terenie nie zrzucały, to jednak żołnierze przerywali pracę, przestawali znosić rannych z sanitarek i szczelnie zamykali drzwi zewnętrzne od ulicy i od podwórza ze względu na światło.

Te ciągłe detonacje, pożary, naloty, widok ciężko rannych Niemców (tzw. „rąbanka”) i gorączkowe ruchy żołnierzy wytworzyły u nas specyficzny nastrój. W piwnicy czyli w schronie zgromadziło się sporo osób nie tylko spośród pracowników szpitalnych, lecz i z domów sąsiednich. Jedni rozłożyli się na ławkach i spali, inni drzemali siedząc, a wszyscy jednakowo się bali. Siostry szpitalne były w zupełności opanowane i znajdowały się cały czas na piętrze w pobliżu swoich chorych i rannych, których pilnowały z wyróżniającą się pieczołowitością. Ja starałem się być wszędzie. Kręciłem się po szpitalu kierując całą akcją przenoszenia i wydając odpowiednie zarządzenia. Dopiero koło 1 w nocy położyłem się, aby trochę się zdziemnać – oczywiście nie rozbierając się.

23.VII. Niedziela. Wstałem o 4 i swoim zwyczajem zacząłem krążyć po całym szpitalu przyglądając się temu, co się dzieje.

Wciąż przywożono coraz to nowych rannych. Przed szpitalem ustawiła się bardzo długa kolumna sanitarek. Wprost nie było widać jej końca. Założono rannymi cały kościół i cały parter gmachu szpitalnego. Około 6 rano zaczęto łez rannych ładować do samochodów i wyprawiać na Gorajec-Frampol do Janowa. Jednak Niemcy nie mieli pewności, czy tam dojadą, o czym otwarcie mówili.

Rannych zwożono przez cały dzień. W miarę możliwości zaraz wysyłano ich dalej innymi samochodami. Pierwsze transporty rannych pochodziły ze szpitala wojskowego w Zamościu, następne już wprost z frontu. Ci mieli nałożone tylko pierwsze prowizoryczne opa-

trunki. Wygląd ich był żałosny – brudni, zarośnięci, wyczerpani, wyniszczeni, skrwawieni. Opieka sanitarna tutaj prawie żadna. Lekarz tylko jeden, lecz on do poszczególnych rannych nawet nie podchodził. Zadaniem jego było jedynie rozlokowanie ich i zorganizowanie dalszego transportu. Rannymi zajmowali się tylko dwaj sanitariusze zastrzykując morfinę lub kamforę. Opatrunków nie robiono tu żadnych, w wyjątkowych tylko wypadkach.

Lekarz okazał się człowiekiem zupełnie sympatycznym, dużo z nami rozmawiał (po francusku), myśmy zaś korzystali z jego uprzejmości i nastawienia, żeby cokolwiek dowiedzieć się o sytuacji ogólnej i naszej. Okazało się, że wczorajsze detonacje pochodziły nie od strzelaniny artyleryjskiej, lecz od wybuchów min, którymi wysadzano tory kolejowe, stacje itp. Wzięty został Chełm, Rejowiec, szosa na Lublin między Zamościem a Lublinem przecięta, nie mają już którądy uciekać.

O godzinie 3.30 bolszewicy bombardowali Zamość. Bomby spadły podobno tylko na jezdnię, gdzieś koło Ogrodu Zoologicznego.

Bezpośrednio po tym ruch na szosie od strony Zamościa wzmógł się jeszcze bardziej.

U nas miasto w znacznym stopniu wyludniło się. Na ulicach cywilów bardzo mało. Kto tylko mógł usunął się w bezpieczniejsze miejsce. Dr Jentys, dr Spoz i dr Warchałowska siedzą na Szperówce. W mieście oprócz mnie i dra Matuszewskiego pozostał jeden tylko dr Józwiakowski.

Lekarz niemiecki zajął w naszym mieszkaniu jeden pokój, we wspólnym zaś przechodnim ustawił aparat radiowy. Prawie po 5-letniej przerwie usłyszeliśmy u siebie dźwięki radia.

24.VII. Poniedziałek. Wczoraj wieczorem położyłem się spać zupełnie normalnie, całkowicie rozebrany. Po dwóch poprzednich nieprzespanych nocach, kiedy wcale się nie rozbierałem, 8 godzin nieprzerwanego snu wzmocniło mnie znakomicie i dzisiaj czuję się bardzo dobrze.

W nocy Niemcy wywieźli wszystkich swoich rannych. Ruch na szosie ogromny. Wszystkie kolumny jadą teraz na Frampol. Na Brodzkiej Górze ustawiono działa przeciwlotnicze. Widzimy je doskonale.

Godzina 10 rano. Niemcy bardzo niespokojni, denerwują się. Mówią już otwarcie, że ze wszystkich stron są otoczeni i drogi mają od-

cięte, albo przez bolszewików albo przez polskich partyzantów. Jadą wyłącznie na Frampol z nadzieją, że stamtąd może przebiją się jakoś do Janowa. Od wybuchu pali się coś w Żurawnicy.

W południe szpital niemiecki opuścił nasze mury. Pozostał jednak jakiś punkt opatrunkowy. W tym właśnie czasie ustał dopływ prądu elektrycznego z Zamościa. Około godziny 1, po wybuchach, powstał pożar w Kawenczynie. O godzinie 2 drogą koło szpitala przesunęły się czołgi i kilka „Tygrysów” w stronę Kawenczyna.

Na podstawie różnych oznak weszliśmy walkę coraz bliżej. Znieśliśmy chorych znów na parter, zwolniony przez Niemców. O 3.30 dochodzą niepokojące wieści, że jakiś nasz oddział partyzancki został rozбитo przez Niemców pomiędzy Szperówką a Kawenczynem. Przez miasto przejeżdża teraz znacznie mniej samochodów. Chwilami na ulicach i na rynku całkowita pustka – ani żywej duszy.

Żołnierze chodzą po mieście i rabują, co się da. Dziś rozbito sklepy i magazyny „Rolnika”. Ludność cywilna, pozostała jeszcze w mieście, gorliwie im w tym pomagała. Pod wieczór odjechał niemiecki punkt opatrunkowy. W spadku pozostawili nam Niemcy 4 swoich żołnierzy pogrzebanych w rowie przeciwnicznym i troje zwłok w kostnicy. Szpital jest już bez Niemców. Dla nas jest to o tyle niedobrze, że łatwiej mogą teraz wtargnąć maruderzy i rabusie. Z wieczora widzimy dookoła łuny pożarów.

O godzinie 11 słyszymy bardzo silny wybuch.

25.VII. Wtorek. Noc ciężka. Zdawało się nam, że wojska jest już znacznie mniej, tymczasem znów napchało się mnóstwo rozmaitych formacji. Wozy konne, samochody, czołgi itp. jechały całą noc we wszystkich kierunkach. Hałas straszny. Nie rozbieraliśmy się zupełnie. W sumie przespałem zaledwie parę godzin.

Rano widzimy wszędzie pełno wojska. Typowo frontowe. Dużo artylerii. Żołnierze wciąż zachodzą po coś na podwórze szpitalne. Straszą nas, że jak bolszewicy puszczą na miasto kilka bomb, to wszystko pójdzie w gruzy. U nas ludzie są już ogromnie przemęczeni, nerwowo wyczerpują się coraz bardziej, trudno zapędzić ich do roboty. A brud, zaśmiecenie i nieład w szpitalu nie do opisanie. Niepewność dalszego losu i to, że nie widać upragnionego końca, niezmiernie przygnębia.

Do południa ruch coraz bardziej gorączkowy, bezładny – w różnych kierunkach. Przed szpitalem wciąż zatrzymują się pojedyncze samochody i oficerowie z mapami w ręku pytają s o drogę na Fram-pol. W dalszym ciągu jest to jedyna droga, którą mają jeszcze nadzieję wyrwać się z zacieśniającego ich pierścienia. Uciekają na własną rękę.

Coraz więcej przesuwa się czołgów. Gdy jeden z „Tygrysów” wjechał koło szpitala na chodnik z płyt betonowych, to pogruchotał go na drobne kawałki.

Z Brodzkiej Góry zabrano stojące tam od wczoraj działka przeciwlotnicze.

W południe jacyś oficerowie oglądają nasz schron. Mówią, że niemieckie „Stukasy” będą bombardowały miasto. Na dachu jednego z zabudowań szpitalnych rozłożyli czerwoną chorągiew z czarną swastyką. Z rozmowy, jaką prowadzili między sobą, zrozumieliśmy, że w odpowiedniej chwili cywile pójdą „raus”, schron zaś zajmą sami Niemcy. Miła perspektywa!

Od dra Spoza, który w tym czasie przyszedł z żoną i dzieckiem ze Szperówki, dowiedzieliśmy się, że na polach koło miasta leży dużo rozłożonych takich samych chorągwi niemieckich.

Ze Szperówki ludzie wracają do miasta, bo tam zaczyna być niebezpiecznie.

Zwierzyniec jest już w rękach bolszewickich.

O godzinie 3 na podwórzu szpitala w odległości kilkunastu metrów od gmachu głównego Niemcy ustawili czołg, maskując go gałęziami z działem skierowanym na szosę zwierzyniecką i Brodzką Górę.

Do miasta włacza się coraz więcej taborów i wojska frontowego.

O 5.30 pali się coś jakby na Szperówce.

Zabici zostali przez Niemców Piotr Niechaj „Szpak”, krawiec wiejski z Błonia, bardzo czynny i zasłużony w organizacji i Tałanda, piekarz ze Szczebreszyna. Władysław Samulak z Kawenczyna, też czynny członek organizacji, ciężko ranny w brzuch.

W pobliżu Szperówki w potyczce wczorajszej, kierowanej nieudolnie (ogólne zdanie oficerów i żołnierzy!) przez por. Żeleźnickiego „Sikorę” zginął Ćwik z Kawenczyna i Zbyszek Jaworski „Sas” ze Szczebreszyna, młodziutki chłopak, syn majora WP, bardzo dzielny i odważny żołnierz.

Pod wieczór ruch znacznie się zmniejszył. Na rynku i w ogrodzie koło „Popówki” Niemcy spalili dwa swoje samochody niezdatne do dalszej jazdy.

O godzinie 10 w mieście pusto. Chwilami złowroga cisza. Ludzie ogromnie boją się dzisiejszej nocy – bombardowania, wysadzania mostu na Wieprzu w odległości stu kilkudziesięciu metrów od szpitala, rabunku i gwałtów ze strony zdemoralizowanych i rozwścieżonych żołnierzy. Do schronu szpitalnego, jako najlepszego w mieście i składającego się z kilku części, naschodziło się dziś mnóstwo ludzi.

26.VII. Środa. O spaniu nie ma mowy. Krążę po całym szpitalu, żeby wszędzie być i wszystko widzieć. Czasem przyłożę się byle gdzie na kilkanaście minut, bo jestem strasznie zmęczony.

Bliskie i coraz częstsze wybuchy. Niektórzy byli żołnierze polscy mówią, że to od pocisków artyleryjskich, inni twierdzą, że to Niemcy w dalszym ciągu wysadzają jeszcze jakieś obiekty. Nie wiemy więc z pewnością, co to jest, odczuwamy tylko bardzo silne wstrząsy całego gmachu szpitalnego. W piwnicy nastrój trwożny. Przy nikłym świetle zakopconych lampek naftowych lub świecach siedzą albo na wpół leżą pomęczone, niewyspane kobiety, mężczyźni przeważnie snują się z kąta w kąt nie mogąc usiedzieć na miejscu. Śpią tylko dzieci. Wszyscy z niepokojem oczekują chwili wysadzenia mostu.

Po pierwszej położyłem się trochę na sienniku rozłożonym na ławce w środkowej piwnicy. Byłem już tak zmęczony, że nawet nie mogłem zasnąć, tylko drzemałem. Naraz piekielny wybuch poderwał mnie na równe nogi. – Wysadzono most.

Skoczyłem na korytarz, gdzie leżeli nasi chorzy i ranni. Szybko obszedłem cały szpital. Siła wybuchu była nadzwyczajna. Pomimo, że okna mieliśmy wszystkie pootwierane, a zewnętrzne nawet pozdejmowane, mnóstwo szyb zostało wybitych. W niektórych oknach wyłamane futryny. Gdzieś tam popękały ściany i odleciał tynk wzbijając tumany kurzu. W budynkach gospodarczych od wybuchu potrzaskane zostały lub wywalone wielkie szerokie drzwi. Na podwórzu leżą dwie, ciężkie odłamki żelaznej części mostu. Zresztą po ciemku, przy świetle małej latarki elektrycznej, trudno wszystko dojrzeć dokładnie.

Ludzie doczekawszy się wreszcie wysadzenia mostu, pomimo doznanego wstrząsu, zaczęli się uspokajać. Gdy po obejrzeniu całego

szpitala zaszedłem do schronu, tam już pewna grupa z lekarzem weterynarii Cebulą na czele, żwawo pokrzepiała się wódką.

Wiedziałem, że planowane było wkroczenie do Szczepieszyna naszych oddziałów w krótkim czasie po wysadzeniu mostu, ponieważ z tą chwilą Niemcy musieli już tylko opuścić miasto.

O 3 usiadłem w oknie na I piętrze, z widokiem na szosę od strony Błonia i na rynek. Wypatrywałem naszych chłopców. Panowała zupełna cisza, czasem tylko pies zaszczekał. Około 4 na szosie od Zwierzynca słychać było jeszcze posuwające się tabory konne, lecz wkrótce i to ustało.

Niestety naszych nie widać! Już się całkiem rozwidniło. Coraz śmielej zaczęli wyłazić z domów cywile i rozglądać się po ulicach. A my wciąż oczekiwaliśmy choć małej garstki naszych żołnierzy, żeby oni pierwsi, przed bolszewikami, weszli do miasta.

O godzinie 4 min. 30 dano mi znać, że na szosie w kierunku zwanego mostu posuwają się jakieś 4 postacie. Przez lornetkę rozpoznałem bolszewików. Przeszli prawie do samego mostu i zawrócili.

Wciąż jeszcze miałem nadzieję, że nasi pokażą się lada chwila.

W międzyczasie kazałem zdjąć niemiecko-polski szyld nad szpitalem i zawiesiłem dawny przedwojenny polski.

Poszliśmy obejrzeć wysadzony most. Zburzono go doszczętnie. Niemiło mi było patrzeć na te zwaliska leżące w wodzie i przypomniałem sobie jak to niedługo przed wojną odbyło się uroczyste poświęcenie i otwarcie tego doskonałego żelazo-betonowego mostu przez starostę Sochańskiego.

Około godziny 6.30 zawiadomiono mnie, że 4 bolszewików przeszło już na naszą stronę rzeki. Siedzą sobie i rozmawiają z gromadzącymi się ludźmi. Udałem się więc ponownie ku mostowi z myślą, że może uda mi się zagadać bolszewików i zatrzymać ich trochę dłużej przy moście. Może przez ten czas nadjadą nasi.

Czekaliśmy jednak na próżno. Około 7 min. 30 od strony mostu zaczęli posuwać się szosą ku rynkowi małutkimi grupkami – po kilku – żołnierze i oficerowie sowieccy. O 8 do szpitala podszedł oficer z paroma żołnierzami, z którymi rozmawiałem na moście. Delikatnie i nieśmiało przymówił się o wódkę i „zagrychę”. Niechętnie zaprowadziłem ich do kancelarii szpitalnej i dałem po parę kieliszków wódki.

Gdy tak rozmawiałem z bolszewikami, nagle usłyszałem jak któraś z sióstr krzyknęła „nasi chłopcy idą!”. Rzuciłem wszystko i wybiegłem na ulicę przed szpital. Od strony Błonia w dwuszeregu szło dwudziestu kilku uzbrojonych młodych chłopaków w mundurach z czerwonymi szalikami na szyjach, z biało-czerwonymi opaskami na lewym ramieniu.

Ludzi ogarnął szal. Krzyczeli, płakali, rzucali kwiaty...

Pośpieszyłem na rynek. Tu przed ratuszem, od strony jak się wchodziło do żandarmerii uwijał się na koniu „Podkowa”, również w mundurze i z biało-czerwoną opaską, obwieszony kwiatami. Obok niego adiutant „Korczak”.

Uściskałem „Podkowę”, z największym trudem opanowując wzruszenie.

Na ratuszu zawieszono biało-czerwoną chorągiew. Natychmiast kazałem zrobić to samo i w szpitalu mając zachowaną chorągiew przedwojenną.

Po chwili „Podkowa” zjawił się w szpitalu zamierzając w naszej kancelarii założyć swą tymczasową kwaterę. Poszliśmy na sale chorych odwiedzić rannych żołnierzy, lecz zaraz dano znać, że nadjechał sowiecki pułkownik, któremu „Podkowa” miał się zameldować. Wyszliśmy razem. Pułkownik stał przy samochodzie. „Podkowa” krótko się zameldował, po czym pułkownik wygłosił do zebranego tłumu dość długie przemówienie. Mówił o Niemcach, o braciach Słowianach, o niepodległej Polsce itp. Upewniał, że Sowiety nie będą wtrącać się do spraw wewnętrznych Polskich, że pozostawią Polakom zupełną swobodę rządzenia sobą, aby tylko podstawy tego rządu były demokratyczne. Mówca pierwszorzędnym, rozentuzjasmowany tłum, wierząc wygłaszanym obietnicom i zapewnieniom, obsypał mówcę sowieckiego i jego samochód kwiatami.

W międzyczasie do miasta wkraczały coraz to nowe oddziały naszego wojska. Napływały coraz liczniej i formacje sowieckie z samochodami, czołgami, działami i taborami. Ludność ciekawie wszystkim się przyglądała.

„Podkowa” pojechał teraz do Klemensowa a miasto oczekiwało nadejścia ze Szperówki większego naszego oddziału pod dowództwem kpt. „Wacława”. Około 10.30 na rynku zgromadziła się niemal cała ludność miasteczka. W przynajmniej większości były to kobiety

i dzieci, mężczyzn – zwłaszcza młodych i w sile wieku – bardzo mało. W pewnym momencie ujrzeliśmy idące ulicą Frampolską od strony targowicy zwarte kolumny naszych żołnierzy. Na czele kpt. „Wacław”. Przed swoimi plutonami, względnie w pierwszych szeregach „Ikar”, „Gruda”, „Czeremcha”, „Sanok”, „Sikora”, „Komar”, „Nieuchwytny”, „Kawka” i tylu innych, tak dobrze znanych mi ludzi, obecnie jawnie występujących jako żołnierze. Delegacja od miasta przystąpiła do kpt. „Wacława” chlebem i solą. Powitał wojsko nauczyciel Głowacki. Krótka odpowiedział kpt. „Wacław”. A tłum dookoła szalał z radości, wiwatował, obsypywał żołnierzy kwiatami, śmiał się i płakał...

Tak było przez cały dzień. W mieście zabrakło kwiatów.

W porze obiadowej zeszli się u nas kpt. „Wacław”, „Wyrwa”, „Sanok”, „Gruda”, „Kawka” i co chwila zachodził ktoś inny.

Do szpitala zwożono tymczasem rannych, których trzymano dotychczas po wsiach.

Na bolszewików zwracano stosunkowo mało uwagi. (szelmy zabrali mi drugą bryczkę!). Myśli i uczucia wszystkich skierowane były niespodziewanie ku naszemu wojsku.

Nie będę mówił o tym, co przeżywałem ja sam osobiście. Tak silnych wzruszeń nie doznawałem jeszcze nigdy w życiu. Chwilami całkowicie traciłem panowanie nad sobą. Na nic się zdały zażywane krople walerianowe.

Wieczorem wyczerpani jesteśmy doszczętnie, lecz samopoczucie nasze nadzwyczajne. Przecież w dniu dzisiejszym zakończył się, już chyba bezpowrotnie, prawie 5-letni okres straszliwego, potwornego jarzma niemieckiego. Ileż to razy życie nasze i los wisiąły na włosku. Pomimo wszystko twardo i nieugięte staliśmy na powierzonym sobie posterunku, wytrwaliśmy i przetrzymaliśmy!

27.VII. Czwartek. Na mieście od rana bardzo ożywiony ruch. Ze wszystkich stron wracają ludzie do domów, ulice się zapełniają. Bardzo wiele osób ma na lewym ramieniu biało-czerwone opaski, znak przynależności do Wojska Polskiego. Czasem odnosimy wrażenie, że nie wszyscy są do tego uprawnieni, ale nikt dzisiaj nie będzie bawił się w kontrolowanie.

Władze miejskie z burmistrzem Sygitem na czele starają się szybko doprowadzić do jakiego-takiego porządku i usprawnienia życia gospodarczego w mieście.

Volksdeuschów i Ukraińców wezwano do pracy na lotnisku.

Pojawiła się już odbita na powielaczu odezwa do ludności delegata powiatowego Rządu Polskiego „Sandomierskiego” i rozporządzenie numer 1 komendanta milicji „Kmiecia”.

Na ulicach Szczepieszyna ustawiono ogromne drogowskazy w języku rosyjskim oraz tablice z hasłami propagandowymi: „Chcesz żyć – ubiwaj Germanca”, „Wpieriod na wraga”, „Da zdrawstwuje partya Lenina – Stalina”.

Budynki gimnazjalne zajęte na koszary dla naszych oddziałów. Z przedziwnym uczuciem i rozewnieniem patrzyłem na żołnierzy polskich stojących na warcie z karabinami i kręcących się po całym podwórzu, gdzie jeszcze przedwczoraj panowali zniechwaleni Niemcy.

O 3 po południu odbył się uroczysty pogrzeb poległych w walce z Niemcami – Jaworskiego („Sasa”), Niechaja („Szpaka”), Tałandy i Ćwika.

Do szpitala przybywa coraz więcej rannych naszych żołnierzy i cywilów, którzy stali się przypadkowymi ofiarami bomb, pocisków artyleryjskich i kul karabinowych. Jest też i jeden ranny w głowę Niemiec z Wehrmachtu. Mamy z nim trochę kłopotu, bo nasi żołnierze buntują się, nie chcą z nim leżeć na jednej sali, wciąż odgrają się, że go „rąbną”, do czego przecież na terenie szpitala w żadnym razie dopuścić nie możemy.

U nas w domu nieustanny ruch. Oficerowie gościli do 1 w nocy.

28.VII. Piątek. Wezwano mężczyzn od 14 do 60 lat, ażeby natychmiast stawili się do pracy przy zwalonym moście.

Przez miasto przeciągają coraz liczniejsze oddziały wojsk sowieckich.

U nas duże wrażenie zrobiła wiadomość o ukonstytuowaniu się nowego Rządu Polskiego („Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego”) o składzie zdecydowanie komunistycznym. Szeroko też dyskutują ludzie na temat manifestu wydanego przez ten Komitet.

Znów mieliśmy sporo gości. Po paru miesiącach zjawił się por. „Sęp”. Był por. „Głaz” z Dywizji Wołyńskiej, o którego działalności i wyczynach krążą za Bugiem legendy.

Dopiero dziś dowiedzieliśmy się dokładnie o walkach, jakie rozgrywały się w Zwierzyńcu, o dużym zniszczeniu tej osady i o ofia-

rach w ludziach. Spalony został szpital ordynacki z mieszkaniem dr Wróblewskiego, apteka i liczny szereg domów. Mela Adamowiczówna z apteki jest ciężko ranna. W szpitalu w Biłgoraju amputowano jej nogę powyżej kolana.

29.VII. Sobota. Wszyscy oficerowie i podoficerowie oddziałów dywersyjnych otrzymali awans o jeden stopień. Z tej racji u nas od rana ludno i gwarno. Wieczorem zgromadziło się kilkunastu oficerów i podchorążych na czele z kpt. „Białym”, dowódcą kompanii z 27 Wołyńskiej Dywizji AK „Żegoty”.

30.VII. Niedziela. Po ostatnich silnych przeżyciach i wstrząsach psychicznych, niedosypaniu i zmęczeniu fizycznym nawaliło mi serce. Leżę więc dzisiaj w łóżku, żeby dać sercu zupełny odpoczynek i jutro być już w możliwie dobrej formie.

W Zamościu odbywa się dziś wielka uroczystość wojskowa z nabożeństwem i defiladą na rynku przed ratuszem. Oczywiście miałem jechać, lecz musiałem pozostać w domu i nie mogę odżałować, że biorąc w ciągu 25 lat tak czynny udział w życiu Zamojszczyzny, nie jestem świadkiem tego, co przeżywa dziś Zamość.

Godzina 10. Dowiedziałem się przed chwilą, że wczoraj wieczorem najzupełniej niespodziewanie przyszedł rozkaz od komendanta „Adama” rozbrojenia wszystkich naszych oddziałów, rozpuszczenia oficerów i żołnierzy do domów oraz przewiezienia zebranej broni do Zamościa dzisiaj na godzinę 12 w południe i zdania jej (komu?) protokolarnie. Wśród oficerów i żołnierzy zapanowała w pierwszej chwili straszna konsternacja i przygnębienie. Rozkaz posłusznie wykonano. W ciągu kilku godzin tętniące życiem, radością i śmiechem koszary opustoszały. Znikły wszelkie odznaki wojskowe, orzełki i biało-czerwone opaski. Żołnierze zamienili się w cywilów. Na mieście – jak mi opowiadają, bo sam tego nie widzę – szaro i smutno. Zaledwie 4 dni cieszyliśmy się naszym wojskiem, które wyszło z lasu i z podziemi na światło dzienne i radowało nas swym widokiem mieniąc się biało-czerwonymi barwami.

Godzina 9 wieczorem. Przyszedł „Leszcz”, potem „Wrzos”. Przygnębieni okropnie. Mówili, że żołnierze w oddziałach po odczytaniu rozkazu o rozbrojeniu płakali, nie mogli się powstrzymać od głośnego łkania. Broń prawie całą zatrzymano, oddano sam szmelc – tylko tak, dla oka.

I znów trzeba iść do lasu, do podziemia, konspirować się prawdopodobnie znacznie więcej, niż przy Niemcach, trzeba zaczynać nowy, być może cięższy niż dotychczas, okres walki z drugim okupantem – z bolszewikami.

Jeśli jednak chodzi o mnie, to jestem pewien, że wszystko skończy się dobrze, że my i z tej walki wyjdziemy zwycięsko.

31.VII. Poniedziałek. Byłem rano w mieście. Rzeczywiście po kilku radosnych dniach wygląda ono znów szaro i ponuro, zwłaszcza w okolicy gimnazjum, gdzie były koszary naszych kompanii.

W magistracie urządzuje nowy burmistrz Andrzej Przysada z Przedmieścia, jeden z czołowych działaczy dawnego Stronnictwa Ludowego. Do swoich zbiorów pozyskałem cenną rzecz: ogromną mapę „Deutsche Gemeinde Szczepieszyn” przedstawiającą Szczepieszyn i wszystkie wsie, z których Niemcy stworzyli ową nową „niemiecką” (!) gminę Szczepieszyn.

Rozmawiałem z kilkoma naszymi oficerami. Dziś nie są już tak przygnębieni. Ukazały się odezwy podpisane przez Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Pracy i PPS, stwierdzające, że jedynym prawomocnym Rządem Polskim jest nasz Rząd w Londynie, uznany przez aliantów. Delegat rządu w Zamościu „Sandomierski” jest naszym człowiekiem, zastępcą jego został mianowany sędzia Witoszka („Marek”), ostatni adiutant „Łysia” – „Norwega”, a więc również swój człowiek.

Mówiono mi, że w Zamościu ogromny ruch. Bolszewicy zajęli miasto 25 lipca, a 26 lipca czynne już było gimnazjum i liceum koedukacyjne w gmachu byłej Akademii. Pierwszego dnia zapisało się około 400 młodych obojga płci. Dyrektorką jest pani Stanisława Żochowska.

Przedwczoraj zlikwidowany został jako konfident niemiecki niejaki Szwed ze Szczepieszyna, właściciel małej, lecz popularnej cukierki.

1.VIII. Wtorek. Jeździłem dziś do Zamościa – pierwszy raz po ustąpieniu stamtąd Niemców. Widok po drodze smutny. Już zaraz za miastem na dużej przestrzeni zgłiszcza po spalonych barakach niemieckich. To samo koło lotniska w Klemensowie. Zaraz za cukrownią

obydwa mosty wysadzone. Objazd pierwszego mostu łąkami okropny. W Wielączy nowy solidny, murowany, dwupiętrowy budynek szkolny spalony. Sterczą gołe mury. Plebania też spalona. We wsi na bardzo dużej przestrzeni widać same zgliszcza i popioły. Dojeżdżając do Zamościa widzimy spaloną stację i inne zabudowania kolejowe, wysadzone wszystkie mostki kolejowe, w wielu miejscach toru itp. Słowem wszędzie obraz zniszczenia.

W samym Zamościu jest już inaczej. Widać gdzieś ślady kul, powybijane szyby, ale cały Rynek z ratuszem pozostał, na szczęście, w stanie nienaruszonym. Częściowo tylko spalony jest budynek „Kawalca”. Przedmieście Lubelskie i koszary ucierpiały podobno dość znacznie, ale tam nie byłem i sam nie widziałem.

Szkoła rolnicza w Janowicach, nowo postawione przez Niemców olbrzymie, piękne stajnie jak też wspaniałe warsztaty między stacją a miastem ocalały. Widać na nich tylko nieznaczne ślady odbywającej się tu walki.

Udałem się najpierw do Sejmiku. Była godzina 9.30. W biurze sekretariatu na piętrze kompletna pustka, ani jednego urzędnika. Drzwi do gabinetu sekretarza zamknięte na klucz. Znając dobrze rozkład całego lokalu obszedłem go dookoła i z drugiej strony dostałem się do tegoż gabinetu. Przy dużym stole siedział tu inspektor samorządu dr Dawidowicz i...grał w pokera z dwoma nieznanymi mi jegomościami. Przeprosiłem pana inspektora, że przeszkodziłem mu w urzędowaniu i poszedłem do gimnazjum.

Tu doznałem całkowicie innych wrażeń. Z dziwnym uczuciem wchodziłem do tego gmachu, z którym wiąże mnie tyle wspomnień. Prawie 5 lat pobytu w nim SS czy też Schupo pozostawiło, oczywiście, niezatarte ślady. Na wstępie spotkałem jedną z nauczycielek – łacinniczkę panią Woźniakównę i z nią obszedłem prawie cały gmach. Klasy wyglądają jako tako możliwie. Natomiast piękna sala aktowa w gimnazjum żeńskim, malowana przez prof. Gajewskiego znikła całkowicie. Są tam jakieś umywalnie i inne ubikacje o specjalnym przeznaczeniu. W sali aktowej gimnazjum męskiego, dawniej będącej równocześnie salą rysunkową prof. Kopcińskiego, na ścianach nie ma ani śladu nawet dawnych malowideł dekoracyjnych i portretów w białych owalnych ramach. W sali „renesansowej” pozostały tylko malowane na ścianach kolumny i szeroki szlak pod sufitem, między

tymi zaś kolumnami Niemcy namalowali jakieś sceny alegoryczne z żołnierzami w hełmach, aniołami itp. Na korytarzach, oczywiście, ani śladu znajdujących się tu dawniej portretów naszych znakomych mężów. Tak się przedstawiają martwe mury, za to wre tu życie wewnętrzne, trudne do opisanía. 600 młodych obojga płci własnymi rękami doprowadza lokal szkolny do porządku, myje, szoruje, czyści, znosi z całego miasta ławki itp. W niektórych klasach odbywały się lekcje, w tymże czasie na korytarzach panował specyficzny hałas setek rozradowanej młodzieży. Jak już wspomniałem, dyrektorką jest niezwykle energiczna i zasłużona organizatorka szkolnictwa konspiracyjnego pani Stanisława Żochowska („Antonina”).

Z kolei poszedłem do ratusza. Na froncie wisi tu duży orzeł biały na czerwonym tle oraz chorągwie – biało-czerwona i czerwona. U wejścia kręci się kilku żołnierzy z biało-czerwonymi opaskami z literami LSB (Ludowa Służba Bezpieczeństwa). Wnętrze zaniedbane, lecz nie widać większego zniszczenia.

W sali posiedzeń Rady Miejskiej odbywało się właśnie zebranie wójtów i sekretarzy gminnych z całego powiatu. Na jednej ścianie zawieszono orła polskiego, a po bokach 4 sztandary: polski, sowiecki, amerykański i angielski. Stół prezydialny na podium przykryty poprzecznie położoną dużą flagą polską. Przewodniczący – delegat powiatowy RP, czyli starosta „Sandomierski”. Jest to znany w Zamościu dyrektor banku Wiącek. Obok niego siedzi zastępca delegata sędzia Witoszka („Marek”). Dalej referenci poszczególnych działów administracji, w tej liczbie obecny lekarz powiatowy dr Kazimierz Bieńkowski (Dr Tyczkowski został przez delegata „Sandomierskiego” usunięty z tego stanowiska). Cała delegatura składa się ze zwolenników emigracyjnego Rządu Londyńskiego. Sala wypełniona przez wójtów, sekretarzy i gości, wśród których i ja się znalazłem. Przemawiali „Sandomierski”, Witoszka i po kolei wszyscy referenci. Potem zabierali głos wójtowie. Była mowa o sposobach wprowadzania administracji na normalne tory i uporządkowania wszystkich dziedzin życia społecznego i gospodarczego. Duży nacisk położono na szkolnictwo, przy czym wójtowie ogromnie skarżyli się na zupełny brak nauczycieli po wsiach. Po skończonym posiedzeniu poznałem osobiście „Sandomierskiego” przedstawiając mu się w podwójnym charakterze – jako dyrektor szpitala i jako rzecznik spraw kultury na Zamojszczyźnie.

„Sandomierski” upewnił mnie, że tymi rzeczami bardzo się interesuje i obiecał być u mnie. Zrobił na mnie dobre wrażenie człowieka inteligentnego, wyrobionego, szybko orientującego się i rzeczowego. Chodzi teraz tylko o to, czy długo utrzyma się on na tym stanowisku, ponieważ zwolennicy rządu komunistycznego, czyli tzw. rządu Wandy Wasilewskiej, prowadzą przeciwko niemu bardzo silną kampanię i sytuacja jego jest mocno niepewna.

Połąziłem trochę po mieście. Ruch uliczny ożywiony, pomimo że wszystkie sklepy z małymi wyjątkami pozamykane. Uległy one zwykłemu w takich okolicznościach rabunkowi – najpierw Niemców, potem bolszewików. Żołnierzy sowieckich stosunkowo niedużo. Zresztą swym szarym wyglądem i spokojnym zachowaniem się nie razią tak, jak to bywało z butnymi Niemcami.

W tym właśnie czasie zajechał na rynek duży samochód ciężarowy z berlingowcami. Otoczył go w jednej chwili ciekawy tłum. Zewnętrznie przedstawiają się „berlingowcy” jak zwykli polscy żołnierze. Wyróżniało się wśród nich kilka młodych dziewczyn w eleganckich mundurach wojskowych, zgrabnych, przystojnych i czystych, czego nie można powiedzieć o większości kobiet w wojsku sowieckim.

W magistracie od kustosa Kabata dowiedziałem się, że nasze muzeum i skrzynie ze zbiorami rejenta Rosińskiego znajdują się w stanie nienaruszonym.

Wracałem do Szczepieszyna sowiecką ciężarówką w licznym towarzystwie wśród stłoczonych owiec i baranów. Byłem w dobrym nastroju, pełen nadziei, a nawet pewności, że my przezwyciężymy wszystkie klęski i nieszczęścia narodowe i wkrótce wstąpimy na szeroką drogę wszechstronnego odrodzenia.

W domu dowiedziałem się, że do kostnicy szpitalnej przywieziono zwłoki Rytkowej, wdowy po zabitym przed paru laty w Szczepieszynie gestapowcu, byłym nauczycielu szkoły powszechnej. Zwłoki znaleziono w rzece. Na głowie widać małą ranę postrzałową. Temu samemu losowi uległa i córka jej Maria, młoda panienka, urzędniczka magistratu, tylko że ciała jej jeszcze nie wyłowiono. Stały one poza społeczeństwem polskim i utrzymywały nazbyt bliskie stosunki z Niemcami, zwłaszcza z żołnierzami. Nie było to dla mnie niespodzianką, ponieważ już wczoraj wiedziałem, że dzisiejszej nocy mają być one zlikwidowane.

Dziś rano w drodze do Lublina wstępował do nas „Adam”. Ten w dalszym ciągu się konspiruje obawiając się napaści ze strony PPR i BCh.

2.VIII. Środa. Po fikcyjnym rozbrojeniu nasi ludzie chodzą jak błędni i nie mogą jeszcze zabrać się do żadnej pracy. Dziś już wiemy dokładnie, że oddano tylko bardzo znikomą ilość broni, co wobec bogatej zdobyczy na Niemcach jest zupełnie bez znaczenia. Oddział „Groma” nie oddał absolutnie nic. Oficerowie korzystają, że nie ma niemieckich żandarmów ani gestapowców i swobodnie chodzą po ulicach miasta. Dziś zupełnie przypadkowo zgromadziła się u mnie liczna grupka partyzantów: „Podkowa”, „Wir”, „War”, „Zagłoba”, „Żar”, „Selim”, dr „Kwiatkowski”, „Leszcz”, „Remus”, „Czarny”, „Gwiazdor”, „Grom II”, „Kruk”, „Jastrzębski”, „Kawka”, „Rena” i inni. Jedynym niemal tematem rozmów jest sprawa rozbrojenia naszych oddziałów, ustosunkowanie się do armii gen. Berlinga i zachowanie się wobec ewentualnej mobilizacji, która podobno ma być ogłoszona w najbliższych dniach.

Zasadniczo wszyscy mają zamiar wrócić do lasu i tam prowadzić nadal robotę konspiracyjną. Są duże obawy, czy NKWD nie zechce nami bliżej się zainteresować. Największą nadzieję pokładają wszyscy w wyniku konferencji mającej się odbyć w Moskwie pomiędzy premierem Mikołajczykiem a Stalinem.

Pod wieczór przywieziono do kostnicy znalezione zwłoki Rytkówny z zakneblowanymi ustami.

3.VIII. Czwartek. Był dziś u mnie podchorąży „Sławian”, obecnie ppor. „Kozak”, autor kilku znanych pieśni śpiewanych w naszych oddziałach partyzanckich. Bardzo inteligentny i sympatyczny młodzieniec. Długo i szeroko omawiałem z nim moje plany wydawnicze zapraszając do współpracy i zachęcając do pisania swych wspomnień.

4.VIII. Piątek. Wczoraj „Sandomierski” pod naciskiem NKWD musiał ustąpić ze stanowiska starosty. Urzędowanie objął po nim Dubiel z PPR. Zastępcą pozostał nadal sędzia Witoszka.

Przez ustąpienie „Sandomierskiego” sytuacja ogólna na naszym terenie staje się jeszcze bardziej niepewna.

Dziś rano na mieście rozklejono apel gen. Żymierskiego do oficerów, podoficerów i żołnierzy wzywający do masowego wstępowania do armii gen. Berlinga, gdzie dla byłych partyzantów zachowano stosunkowo ważne funkcje.

5.VIII. Sobota. Rano wybrałem się na piechotę do Zwierzyńca, w którym po odejściu Niemców jeszcze nie byłem.

Stacja w Szczebrzeszynie ze wszystkimi urządzeniami spalona. Na całej przestrzeni od Szczebrzeszyna do Zwierzyńca wysadzone są wszystkie mostki. Wysadzone są również małe kawałki szyn kolejowych w regularnych odstępach co 15 metrów. Wszędzie widać małe grupki robotników zgiętych przy naprawie torów.

Sam Zwierzyniec wygląda okropnie. Prawie wszystkie baraki na terenie dawnego obozu karnego przed szpitalem spalone lub zniszczone. Ze szpitala pozostały tylko osmolone mury. Na szosie przed nim stoją dwa rozwalone olbrzymie czołgi bolszewickie. Idąc dalej widzimy jedynie zgliszcza w tych miejscach, gdzie były kiedyś nadleśnictwo, apteka, poczta. Niesamowicie wygląda rynek na Rudce. Ocalał jeden tylko dom spółdzielni „Społem” stojący nieco z boku. Poza tym jak okiem sięgnąć same tylko zgliszcza ze sterzcącymi kominami. Mnóstwo rodzin pozostało bez dachu nad głową. Szpital montują na razie we wspaniałych apartamentach pozostałych po plenipotencie Niemcu Bünschu, apteka mieści się w części mieszkania państwa Kosteckich.

Ordynat wyjeżdżając ze Zwierzyńca, wszelkie pełnomocnictwa przelał na p. Świdę. Faktycznie, więc sprawuje on obecnie funkcje plenipotenty. Na razie administracja Ordynacji Zamojskiej ma pozostać na zasadach przedwojennych. Takie przynajmniej jest zarządzenie starosty z 4 sierpnia, podpisane przez Witoszkę. Panuje jednak w Zwierzyńcu przekonanie, że ordynacja w najbliższym czasie będzie zlikwidowana, majątek zaś upaństwowiony.

Zwierzyniec wczoraj i dzisiaj przeżywał swoistą sensację. Otóż wczoraj chłopcy z oddziału „Podkowy” i z jego rozkazu aresztowali naczelnika Wydziału Lasów Stanisława Kosteckiego i Adama Karpińskiego. Przeprowadzono ich do budynku dawnego Klubu Obywatelskiego. Tu kazano im najpierw pozamiatać dokładnie chodnik przed klubem, a potem zamknęło wewnątrz. Aresztowano następnie Mot-

ową, wdowę po zabitym konfidentie niemieckim, Cieńciore – podejrzanego o szkodliwy kontakt z Niemcami oraz niejaką Lenkiewiczową z córką za dokonywanie ordynarnych kradzieży podczas ostatniego pożaru Zwierzyńca. Wszystkich sześcioro aresztowanych odesłano dziś rano furmanką do więzienia w Zamościu, pod eskortą milicjantów z biało-czerwonymi opaskami. Poza tym ostrzyżono maszynką włosy na głowie Karpińskiej i Anieli Brandtównie, siostrzenicy pani Kosteckiej. Prawdopodobnie na tym jeszcze nie koniec. Niektóre osoby są zaniepokojone.

Widziałem się w Zwierzyńcu z „Podkową”. Obiecuje przy pierwszej sposobności wynaleźć w Warszawie lub gdzie indziej Kostecką, młodego Andrzeja Kosteckiego i Kłobockiego. Ci to ciężko odpokutują za swoje niegodne zachowanie się podczas okupacji niemieckiej.

Nasza sytuacja w dalszym ciągu pozostaje niewyjaśniona.

W Lublinie delegat rządu londyńskiego Cholewa musiał ustąpić podobnie jak „Sandomierski” w Zamościu. Tymczasem – jak się dowiadujemy – do Hrubieszowa i do Biłgoraja wkroczyły nasze uzbrojone oddziały i cała administracja przeszła w ręce zwolenników rządu emigracyjnego Mikołajczyka.

Jeździli od nas ludzie do Lublina w sprawie gimnazjum w Szczepieszynie. Tam kierownicy konspiracyjnego szkolnictwa z kuratorem Odrowem na czele dotychczas się nie ujawnili. Szkolnictwo jeszcze nie ruszyło. Tym większego znaczenia nabiera otwarcie w Zamościu gimnazjum i liceum nazajutrz po wkroczeniu do miasta wojsk sowieckich. W Lublinie uważają to za swego rodzaju eksperyment i uważnie śledzą jak ustosunkują się do tego władze sowieckie.

Czy da się zorganizować i uruchomić gimnazjum w Szczepieszynie – jeszcze nie wiadomo. Zasadniczo kierownictwo tego gimnazjum powierzone zostało pani dyrektorowej Janinie Józwiakowskiej.

6.VIII. Niedziela. Dzień dzisiejszy nie przyniósł nam nic nowego. Sytuacja w dalszym ciągu niewyjaśniona i niepewna. W Chełmie odbywają się jakieś narady pomiędzy Komitetem Wyzwolenia Narodowego a przedstawicielami AK.

Ubiegłej nocy zlikwidowano u nas niejakiego Gdulę znanego na naszym gruncie rabusia i bandytę, który przez dłuższy czas siedział w więzieniu u Niemców.

Z przyjemnością dowiadujemy się, że na Majdanku pod Lublinem znajduje się bardzo dużo Niemców, którzy nie zdążyli uciec, z gubernatorem lubelskim na czele. Mówią, że niektórzy zamojscy dygnitarze też tam trafili, min. Kreishauptmann. Chętnie zobaczyłbym za drutami naszych oprawców.

7.VIII. Poniedziałek. Około 11 przed południem zjawił się „Adam”. Jechał wprost z Lublina. Od razu rozniosło się po mieście, że „Adam” jest u nas i w ciągu kilkunastu minut zebrała się cała grupa konspiratorów: „Colt”, „Wyrwa”, „Łyś”, „Komar”, „Rolicz”, „Osa”, „Jaga”, „Cezary”, „Brzoza”, „Harley”. Odbyła się najpierw odprawa, po czym pod dyktando „Adama” napisałem na maszynie tajny jego rozkaz, w którym mówi w krótkich słowach o sytuacji ogólnej, o naradach Mikołajczyka ze Stalinem i Osóbką-Morawskim – premierem polskiego rządu komunistycznego, o internowaniu przez NKWD wybitniejszych osobistości ze świata wojskowego i politycznego w Lublinie. W końcowej części przytacza zakaz komendanta okręgu wstępowania do armii Berlinga, nakazuje bojkotowanie wszelkich zarządzeń obecnych władz, zaznaczając, że jedynie rząd emigracyjny Mikołajczyka może zarządzić ogólną mobilizację w Polsce.

Cała nasza organizacja wkracza znów do podziemia i tym samym rozpoczyna się nowy okres pracy konspiracyjnej.

Przy sporządzonym naprędce śniadaniu „Adam” wygłosił w pozycji stojącej dłuższe przemówienie, w którym podkreślił konieczność usunięcia się na pewien czas z terenu. Nie zerwie jednak łączności z Zamojszczyzną i w dalszym ciągu będzie tu prowadził swoją robotę. Obawia się, że może być internowany przez NKWD, podobnie jak gen. „Dąbrowa” w Lublinie.

„Wyrwa” przyniósł mi ostatnią odezwę wydaną w naszym obwodzie. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie przytoczyć z niej paru zdań: „Ogłoszenie o rejestracji żołnierzy, podoficerów i oficerów podpisane przez Komitet Wyzwolenia Narodowego reprezentowany przez pp. Dubiela, Pajdę i Nizioła nie jest czynnikiem upoważnionym do wydawania rozkazów społeczeństwu polskiemu”, i dalej: „Komitet Wyzwolenia Narodowego w żadnym wypadku nie jest reprezentowany przez społeczeństwo polskie...” Złości mnie, że ludzie piszą odezwy publiczne bez zastanowienia i w rezultacie otrzymujemy podobne curiosa.

Wśród oficerów i żołnierzy AK panuje jednak nastrój przygnębienia z powodu tak niejasnej sytuacji. Organizacja wojska rozluźniła się w znacznym stopniu. Ludzie rozproszyli się po całej Zamojszczyźnie, jedni pracują przy żniwach, drudzy siedzą beczynnie, a to żołnierza ogromnie demoralizuje. Już nawet zdarzały się napady rabunkowe. Nagromadzone zapasy żywności – cukru, mąki, kaszy – rozlokowane w różnych miejscach po wsiach, topnieją w szybki sposób, bo prawie nikt ich teraz należycie nie pilnuje.

Wszyscy mają jedynie nadzieję, że może konferencje w Moskwie doprowadzą do jakiegoś porozumienia i wówczas nastąpi radykalna zmiana.

„Adam” pojechał na kilka godzin do Zwierzyńca i wrócił do nas na noc. Przedstawiłem mu szczegółowy plan projektowanego przeze mnie „Wydawnictwa materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939-1944”. Wskazał mi szereg ludzi, którzy mogliby opracować niektóre zanotowane przeze mnie tematy. Obiecał dać swój opis napadu na Siedliska i jeszcze kilka innych.

Kosteckiego i Karpińskiego wypuszczono z więzienia w Zamościu.

8.VIII. Wtorek. Byłem w Zamościu. Życie powraca tu powoli do normy. Otwarto już kilka sklepów, w których zresztą towaru jest bardzo mało, ożywił się handel uliczny, ukazały się gazety z Lublina.

Z „Łysiem” byliśmy u Witoszki, zastępcy przewodniczącego Komitetu Wyzwolenia. Narodowego. Pomimo wszystko pozostał na tym stanowisku i nie chce z niego ustąpić, chociaż jest to źle widziane w szeregach Stronnictwa Ludowego, do którego należy. Prowadzi dział bezpieczeństwa. Upewnił mnie, że do druku wspomnianego „Wydawnictwa” można śmiało przystąpić już teraz i też obiecał napisać krótkie wspomnienie o ostatnim swoim aresztowaniu przez Niemców.

O godzinie 4 po południu spotkałem na rynku „Borówkę” (Tadeusza Kalwejta). Był niezwykle podniecony, chociaż wcale nie „pod gazem”, jak to często u niego się zdarza. W krótkich chaotycznych zdaniach powiedział mi, że od gen. „Dąbrowy” z Lublina dopiero co otrzymał rozkaz śpiesznego formowania 9 pułku piechoty. Na moje zdziwione pytania dodał tylko, że pułk ma organizować do czasu ujawnienia się „Adama” i że ma to być formacja AK, nie zaś armii gen. Berlinga. Wydał przy mnie kilka kategorycznych zleceń dwóm

oficerom, których do siebie w tym czasie przywołał, wsiadł do bolszewickiego samochodu i z jakimś sowieckim lejtnantem pojechał do cukrowni i do Zwierzyńca.

Pół godziny potem przyjechał do Zamościa rowerem ze Szczebreszyna „Adam”. Wściekły był jak nigdy, spotkał bowiem po drodze „Borówkę” i ten z właściwym sobie tupetem, wyskoczywszy z samochodu, zaczął mu klarować rozkaz „Dąbrowy”.

Cała sprawa jest niejasna i zawikłana. „Adam” wie dobrze, że gen. „Dąbrowa” był przez NKWD internowany i zachodzi obawa, że mógł podobny rozkaz wydać pod presją. Nie chce o niczym słyszeć, dopóki nie otrzyma wyraźnego rozkazu od rządu Mikołajczyka. Sytuacja „Borówki” stała się przez to wielce kłopotliwa. On rozkaz „Dąbrowy” traktuje całkiem poważnie i dla siebie obowiązujący: „Panie doktorze to są historyczne chwile, ja panu potem wszystko opowiem..”

Bardzo jestem ciekaw, co z tego wyniknie. Mam wrażenie, że od nas bez wyraźnego rozkazu „Adama” oficerowie do tego formowanego przez „Borówkę” pułku nie pójdą. W ostatnich dniach ogolono głowy Stanisławie Goleniakównie, skarbnicze magistratu, Różniewskiej i Jadzi Niedźwiedzkiej – wszystkie ze Szczebreszyna.

9.VIII. Środa. Borówka jednak próbuje formować pułk, co wywołuje niemałe oburzenie oficerów. W Zwierzyńcu odbyła się odprawa, w której wzięli udział „Grom” i „Podkowa”. Ci dobitnie wytłumaczyli „Borówce”, żeby natychmiast wycofał się z rozpoczętej afery formowania 9 pułku dla armii Berlinga. Pod wieczór „Grom” na chwilę wstąpił do mnie. Powiedział mi poufnie, że gdyby „Borówka” nadal upierał się i prowadził akcję wojskową na rzecz Berlinga, to zdecydowani byli z „Podkową” od razu go zlikwidować na własną rękę, na własną odpowiedzialność. Sytuacja staje się coraz trudniejsza. Wybitniejsi oficerowie dywersji już się ukryli obawiając się represji ze strony NKWD. Wszystkie nasze oddziały poszły w rozsypkę. Co będzie dalej?

10.VIII. Czwartek. Wczoraj przed północą niemiecki samolot rzucił kilka bomb w pobliżu lotniska w Klemensowie. Dwóch oficerów sowieckich zostało zabitych, jeden zaś cywil, mieszkaniec „Domków”, Smyk Jan, ciężko ranny w nogę. Amputowano ją zaraz po przywiezieniu do szpitala.

Od godziny 9 rano do 10 wieczorem bez przerwy miałem u siebie szereg dywersantów z „Gromem” i „Podkową” na czele. Na krótko wpadł i „Borówka”. Przez cały czas z małymi przerwami mówiono mi tylko o „Dąbrowie”, „Borówce” i próbie formowania 9 pułku dla armii Berlinga. „Borówkę” ściśnięto tak, że stał się teraz właściwie narzędziem w ręku „Groma” i „Podkowy”. Działając na zwłokę będzie jeszcze przez pewien czas fikcyjnie niby to formował ten pułk. Cała impreza skazana jest na zupełne fiasko. Postawa ogółu byłych żołnierzy jest taka, że dotychczas zgłosiło się tylko dwóch oficerów i dwudziestu kilku szeregowców. Nastawienie całego społeczeństwa jest wręcz nieprzychylnie i pod wpływem tego nastroju już 8 żołnierzy uciekło. „Borówka” osobiście narażony jest na ciągłe nieprzyjemności. Na ulicy niektórzy ludzie odwracali się od niego, czasem nawet pluli w jego stronę. Jutro „Borówka” ma jechać do Chełma i przedstawić stan rzeczy gen. „Dąbrowie”, który działa pod naciskiem NKWD. „Grom” i „Podkowa” biorąc na siebie całą odpowiedzialność za swoją postawę i narażając siebie na wielkie niebezpieczeństwo ścigania przez NKWD, upoważnili „Borówkę” do oficjalnego oświadczenia „Dąbrowie” i NKWD, że ze swoich oddziałów nie dadzą ani jednego żołnierza, że nie będą uznawali żadnych nakazów mobilizacyjnych, dopóki odpowiednich zarządzeń nie wyda rząd Mikołajczyka.

Tak więc próby ochotniczego zaciągu do wojska berlingowskiego nie dały dotychczas pożądanego przez bolszewików rezultatu. Powstaje teraz pytanie, jakie stanowisko zajmą wobec nas władze sowieckie w najbliższej przyszłości. Już dochodzą do nas wieści o jakichś aresztowaniach w szeregach AK w Lublinie i w Biłgoraju.

U nas tymczasem odbywa się „czystka” wśród elementów szkodliwych dla sprawy polskiej. Jako konfidentów niemieckich zabito czterech członków rodziny zegarmistrza Borkowskiego – w tym nawet 4-letniego chłopczyka! – dalej młodego Czerwia i gorliwych Ukraińców – córkę Halucką z mężem.

Nie wiem, kto wydaje odpowiednie wyroki. Uznaję bez zastrzeżeń, że bardzo wielu ludzi musi teraz ponieść najcięższe konsekwencje za swoje podłe i niegodne postępowanie podczas okupacji niemieckiej, nie mogę jednak usprawiedliwić zabijania niewinnych dzieci, które – moim zdaniem, – należałoby oddawać do przytułków dla sierot i odpowiednio wychowywać.

11.VIII. Piątek. Był dziś u mnie „Czerwień” z Biłgoraja. Jednak rzeczywiście aresztowano tam delegata rządu Mazurka – nauczyciela, byłego ucznia tutejszego seminarium, Bryłę – komendanta powiatowego milicji, wielu milicjantów i wywieziono ich do Lublina. Co dalej z nimi zrobią – nie wiadomo. Ze wszystkich stron dochodzą wieści niewesołe. Na nastrój ogólny wpływa fatalnie jeszcze i to, że konferencje Mikołajczyka w Moskwie zakończyły się nie dając żadnego rezultatu oraz wiadomości o Warszawie, która dosłownie pławi się we krwi. Wojska sowieckie do miasta nie wkroczyły i z Niemcami walczą tylko nasze oddziały AK, nie mające należytego uzbrojenia ani też w dostatecznej ilości amunicji.

Dziś odbył się w Szczepieszynie uroczysty pogrzeb ekshumowanych w Sułowie zwłok Kazimierza Doleżala („Doliny”), jednego z uczestników napadu na tamtejszą gminę w 1941 roku.

12.VIII. Sobota. Rozplakatowany został rozkaz wzywający wszystkich byłych wojskowych, rezerwistów, emerytów do obowiązkowej rejestracji w terminie do 18 VIII. Wszyscy ci, którzy byli zmobilizowani w 1939 roku a uchylą się od rejestracji, będą traktowani jako dezertery według praw wojennych. Rozkaz ten w sferach zainteresowanych wywołał zrozumiałe poruszenie. Ludzie zaczynają już się wahać i nie wiedzą, co robić.

Wstępował do mnie „Karol” z okolic Józefowa. Na gwałt poszukuje „Adama” albo „Leszcza”. Nadeszły drogą radiową, bezpośrednio z Londynu, jakieś bardzo ważne depesze szyfrowane, a tylko ci dwaj mają odpowiedni klucz do ich odczytania. Tymczasem „Leszcz” już przeszło tydzień jak pojechał do Warszawy, „Adam” zaś tak się zakonspirował, że nikt nie wie, gdzie on jest.

Z Zamościa z drukarni przysłano mi cały nakład – 500 egzemplarzy – „Pieśni Oddziałów Partyzanckich Zamojszczyzny”. Jest to pierwszy druczek wydany przeze mnie w czasie tej wojny, rzekomo w „drukarni obozowej”.

14.VIII. Poniedziałek. Jeździłem do Zamościa. Sytuacja coraz trudniejsza. W sobotę NKWD aresztowało „Kablą”. Trzymają go w piwnicy Banku Polskiego, gdzie jest siedziba sowieckiego komendanta miasta. Wczoraj rano w Zwierzyńcu wzięto inż. Szuszkowskiego

z zarządu Ordynacji Zamojskiej, który przed wojną był komendantem Związku Rezerwistów i kilku podoficerów. NKWD wciąż dopytuje się o „Adama”, „Podkowę” i „Groma”. Coś niewyraźnego jest z „Borówką”: przedwczoraj poszedł do koszar na jakąś konferencję z NKWD na temat pułku, który miał tworzyć i do dzisiejszego dnia do domu nie wrócił. Podobno pojechali razem do Lublina. Wobec tego, że do 9 pułku piechoty formowanego niby przez Borówkę zgłosiło się zaledwie 14 ludzi, zaniechano dalszego werbowania i cała impreza upadła.

Najaktualniejsza obecnie jest sprawa rejestracji. Ostateczny termin kończy się 18 sierpnia, czyli za 4 dni. Niektórzy – niezorganizowani – zaczynają się już rejestrować. W szeregach AK coraz więcej ludzi się waha i nie wie co robić. Wszyscy natomiast obawiają się konsekwencji, jakie może pociągnąć powstrzymanie się od rejestracji. Widziałem się z „Wacławem”. Ten się ukrywa, wychodzi z domu bardzo mało. Z „Adamem” kontaktu nie ma. Sam nie może i nie chce nic decydować. Na wszystkie skierowane do niego z różnych stron zapytania odpowiada, że wydany przez nasze władze rozkaz bojkotowania wojska polskiego tworzonego przez Komitet Wyzwolenia Narodowego obowiązuje w dalszym ciągu.

W gimnazjum zajęcia szkolne w pełnym toku. Zapisanych do szkoły jest już około tysiąca.

W starostwie też panuje duży ruch. Odniosłem wrażenie, że w dziedzinie uporządkowania administracji poczyniono już wyraźne postępy. Doradcą prawnym przy starostwie został adwokat Zygmunt Branicki. Sędzia Witoszka nadal utrzymuje się na swoim stanowisku zastępcy przewodniczącego.

Za dwa tygodnie zaczną wychodzić w Zamościu tygodnik wydawany przez Komitet Wyzwolenia Narodowego. Redaktorem jest Kazimierz Zieleniewski, osobnik bardzo nieciekawy, o którym w swoim czasie niejednokrotnie wspominałem w pierwszych miesiącach wojny. Poczynił różne nadużycia w cukrowni, za co go wydalono, w sądzie grodzkim w Szczepieszynie miał sprawę za ordynarną kradzież.

15.VIII. Wtorek. Dotychczas nie ma od dowództwa żadnych nowych instrukcji dotyczących ustosunkowania się do rejestracji byłych wojskowych. Tymczasem jutro przyjeżdża do Szczepieszyna komisja rejestracyjna dla przeprowadzenia rejestracji na miejscu. Z rozmów

z wieloma ludźmi wnioskuje, że tylko nieliczni powstrzymują się od rejestracji, a znaczna większość zgłosi się w obawie przed następstwami. Z niecierpliwością oczekujemy dziś wieczorem lub jutro rano powrotu z Lublina „Czeremchy”, który pojechał tam wezwany zapewne dla otrzymania jakichś nowych rozkazów.

Doszły wiadomości, że jednak „Borówka” został aresztowany i wywieziony do Chełma.

Był u mnie „Łowiecki”, obecnie „Szyszka”, szef BIP-u obwodu biłgorajskiego. Omówiliśmy sprawę wydawania materiałów do dziejów Zamojszczyzny w czasie wojny. Zaprosiłem go na współredaktora, zamierzonego wydawnictwa.

16.VIII. Środa. Wczoraj o godzinie 11 wieczorem czterech zamaskowanych i uzbrojonych ludzi weszło do mieszkania lekarza weterynarii Cebuli. Po sterroryzowaniu obecnych ostrzygli włosy pani Cebulowej, pobili ją przy tym i zabrali z rąk pierścionki. Byliśmy mocno zdziwieni dowiedziawszy się zaś o tym, ponieważ nie mogliśmy się dopatrzeć ostatecznej przyczyny, dla której miałyby ją spotkać tego rodzaju kara. Dochodzenie przeprowadzone przez władze obwodowe wykazało, że chociaż sprawcami byli swoi ludzie, to jednak zrobili to na własną rękę i w celach rabunkowych. Pierścionki zostały zwrócone właścicielce. Nie wiemy jednak, jaki będzie finał tej historii. Ostrzyżono również włosy Ostowiczowej – za przyjaźń z Rytkową – niedawno zabita wdową po zabitym gestapowcu, lecz – jak się zdaje – to też zrobiono samowolnie.

W ostatnich dniach na naszym terenie było kilka napadów rabunkowych. Są to skutki demoralizacji w szeregach byłych żołnierzy, którzy nie mogą usiedzieć długo bezczynnie, a nie mając nad sobą dyscypliny wojskowej tą drogą szukają dla siebie środków do życia.

Jeździłem do Zamościa. Widziałem się z żoną „Borówki”. Dostała od niego list, w którym pisze, że jest internowany i że pod silnym naciskiem zmuszony był dać zeznania o składzie osobowym naszych oddziałów dywersyjnych i obwodów. Operował, oczywiście, tylko pseudonimami. Prosi, żeby zawiadomić o tym wszystkich zainteresowanych.

Sprawa rejestracji byłych oficerów i podoficerów gnębi ludzi w dużym stopniu. Są niezdecydowani, nie wiedzą co robić. A rozkaz

powstrzymania się od rejestracji pozostaje nadal w mocy. Takie przy najmniej są instrukcje z Lublina. Mam wrażenie, że stosunkowo nieznaczny procent byłych wojskowych nie zarejestruje się.

Przez miasto kilka razy dziennie przeciągają parotysięczne partie zmobilizowanych za Bugiem Ukraińców. Pod bolszewickim konwojem dążą gdzieś w kierunku na Biłgoraj.

18.VIII. Piątek. W gazetach ukazało się ogłoszenie o mobilizacji czterech roczników oraz wszystkich oficerów i lekarzy do lat 50. Zarządzenie to wywołało wśród zainteresowanych niemałe poruszenie.

Gromadzę powoli różne materiały do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny. Nawet bardzo ciężkich do pisania ludzi udało mi się skłonić do skreślenia krótkich opisów niektórych wyczynów. Tak na przykład „Podkowa” opisał mi napad na urzędnika wiozącego do banku pieniądze w Zamościu w 1941 roku, a „Gruda” przyniósł mi dzisiaj opis napadu na kasę „Rolnika” w Szczebreszynie w maju 1944 roku. Moja teka redaktorska zapełnia się stopniowo różnymi artykułami, jak dotychczas wyłącznie o charakterze pamiętnikarskim.

20.VIII. Niedziela. Wszyscy trwają w oczekiwaniu. Nastroje są zmienne. Jedni poszliby na ustępstwa i chcieliby jakoś unormować nasze stosunki z bolszewikami, drudzy zaś są nieprzejednani i twardo stoją na stanowisku uznającym jedynie rząd londyński.

W Szczebreszynie do komisji rejestrującej byłych oficerów i podoficerów, pomimo ogłoszonego przez dowództwo AK zakazu, zgłosiło się przeszło 500 byłych wojskowych, wszystkich zaś mężczyzn niezależnie od stosunku do służby wojskowej, od 19 do 55 lat, zarejestrowało się przeszło 900.

A tymczasem bolszewicy powoli wszędzie rozszerzają swoje wpływy. Już jakiś pułkownik sowiecki z przewodniczącym Powiatowego Komitetu Wyzwolenia Narodowego Dubielem jeździł na inspekcję do wszystkich gmin w powiecie. Wstępował i do Szczebreszyna. Mamy już komendanta miasta, który objął na naszym terenie nie tylko sprawy wojskowe, lecz i wiele administracyjnych. W biurze Ordynacji Zamojskiej w Zwierzyńcu zainstalował się jakiś kapitan NKWD, zajmując trzy pokoje, przy czym bardzo interesował się piwnicami. Oczywiście Zwierzyniec jest zaniepokojony.

Niektórzy nasi oficerowie z dywersji, na przykład „Grom”, „Podkova”, „Norbert”, „Dolina”, „Leszcz” podążyli ku Warszawie. Nie mogą siedzieć tu beczynn timer z założonymi rękami, kiedy Warszawa wciąż pławi się we krwi i wzywa pomocy.

Rozproszyli się nasi ludzie. Tym sposobem przeminął już u nas bezpowrotnie okres okupacji niemieckiej, okres konspiracji i działalności dywersyjnej naszych oddziałów partyzanckich. Pomimo wszystko dużo w tym było uroku i romantyczności.

22.VIII. Wtorek. Niespodziewanie zjawił się „Leszcz”. Był już pod samą Warszawą i w Falenicy zatrzymali go bolszewicy. Po różnych przejściach znalazł się na Majdanku pod Lublinem, skąd po kilku dniach uciekł i teraz przybył w nasze strony.

Ostatni rozkaz „Józefa” (nowy pseudonim komendanta OP 9) zaleca w dalszym ciągu powstrzymywanie się od rejestrowania i uchylanie się od mobilizacji. A ogłoszenie o zarządzonej mobilizacji czterech roczników już rozlepiono na mieście.

23.VIII. Środa. Byłem w Zamościu. Dostałem od prof. Milera „Przeżycia więzienne”, napisane na skutek mojej prośby. W Zamościu duży ruch. Najaktywniejszą jest sprawa mobilizacji.

24.VIII. Czwartek. Na dzisiejszy dzień wyznaczono przegląd powołanych do służby wojskowej, zamieszkałych w Szczepieszynie. Wieś zdecydowanie zignorowała zarządzenie mobilizacyjne, z miasta pojechało jednak trochę ludzi.

„Leszcz” przyniósł dzisiaj niewielki, precyzyjny aparat radiowy. Po raz pierwszy od pięciu prawie lat służyłem komunikatu w języku polskim. Nadawano go z Londynu.

25.VIII. Piątek. Wczoraj odbyła się odprawa u majora „Wacława” w Zamościu. Uchwalono zasadniczą rezolucję, którą natychmiast zawieźli osobiście do Lublina por. „Irka”, komendant obwodu hrubieszowskiego i por. „Rolicz”. A więc, opierając się na przykładzie Hrubieszowa, gdzie „Irka” oddziałów nie rozbroił i w dalszym ciągu występuje jawnie, prowadząc nawet ćwiczenia z ostrym strzelaniem, uradzano otwarcie bojkotować wszelkie rejestracje i zaciągi do armii

organizowanej przez Komitet Wyzwolenia Narodowego. Wezwano natomiast do szybkiego, jawnego organizowania oddziałów, które by poszły na pomoc Warszawie. Zgodzono się, aby równocześnie wydać deklarację o zupełnej lojalności w stosunku do ZSRR i armii sowieckiej oraz wyrazić chęć walczenia ze wspólnym wrogiem. Rezolucję tę posłano do władz naszych w Lublinie z prośbą o rozważenie całej sprawy i wydanie odpowiednich rozkazów. Echa wczorajszej odprawy, pomimo tajności obrad, rozniosły się już w szeregach oficerów i podoficerów i ogromnie poruszyły umysły podnosząc ducha. Czekamy teraz z niecierpliwością na odpowiedź z Lublina, bo od tego zależy dalszy przebieg akcji.

28.VIII. Poniedziałek. Wrócili delegaci z Lublina nie przywożąc ze sobą żadnych nowych dyrektyw. Dopiero na zjeździe wszystkich inspektorów mają zapaść jakieś ważne uchwały.

Była dziś u mnie żona „Głoga”. Wróciła dopiero co z czerwcowego pobojuwiska pod Osuchami i Buliczówką. Szukała tam zwłok męża. Z goryczą opowiadała, że dotychczas leżą tam rozrzucone po lesie nieopogrzebane zwłoki poległych żołnierzy. Sama naliczyła ich około 60, a jest ich znacznie więcej.

Jutro u „Wacława” w Zamościu znów odbędzie się odprawa oficerska. Prosiłem „Wyrwę” i „Rolicza”, żeby poruszyli tę sprawę.

29.VIII. Wtorek. Zjawił się wieczorem „Podkowa” – zawsze uśmiechnięty, zawsze w dobrej formie. Nie przejmuję się zbyt sytuacją w jakiej znaleźli się żołnierze AK. Swobodnie chodzi po Lublinie, po Zamościu, po Szczepieszynie, chociaż wie, że NKWD go szuka.

Wciąż słyszymy o coraz to nowych aresztowaniach w terenie. Przed dwoma tygodniami w Tomaszowie NKWD aresztowało dra Jabłońskiego, lekarza szpitalnego. Najpierw wywieźli go do Kijowa, obecnie siedzi za drutami na Majdanku.

W Józefowie wzięto „Zagłobę”, intendenta z oddziału „Groma”, a w Nowinach pod Józefowem „Selima”. Wydal go w ręce NKWD jego własny żołnierz – Drożdziel.

30.VIII. Środa. Dość liczny zjazd, bo ma się odbyć ważna odprawa u „Adama”, który zapowiedział swoje przybycie na dzisiaj.

Wstępne rozmowy zaczęły się u „Wyrwy”. Wieczorem przyszli do nas na kolację i na nocleg – „Adam”, obecnie „Józef”, komendant obwodu biłgorajskiego „Orsza” – „Bojar”, obecnie „Poraj” i komendant obwodu hrubieszowskiego „Irka”. Szeroko omawialiśmy między innymi moje zamierzenia wydawnicze. Wszystkie moje projekty zostały zaakceptowane. Adam odnosi się do nich bardzo przychylnie, obiecuje wszędzie popierać sprawę wydawnictwa i daje pieniądze na druk.

Rozeszła się wiadomość podana przez radio, że doszło nareszcie do pewnego porozumienia pomiędzy naszym rządem londyńskim Mikołajczyka a czerwonym rządem lubelskim Osóbki-Morawskiego. Ludzie nabrali trochę otuchy i nadziei, że może stosunki jakoś ułożą się znośnie i zaczną się normalniejsze życie.

31.VIII. Czwartek. W naszym mieszkaniu odbyła się dziś odprawa u „Adama”. Zasadniczo mieli być tylko komendanci obwodów i niektórzy oficerowie. Zebrało się jednak przeszło 20 oficerów.

Na porządku dziennym była i sprawa mojego wydawnictwa. „Adam” wezwał mnie, by przedstawić ją dokładniej zebranym. Skwapliwie z tego skorzystałem i prosiłem wszystkich o współpracę. Najwięcej liczę na „Orszę”, który ma już sporo zebranego materiału. Prawdopodobnie wydamy cały osobny zeszyt „biłgorajski”.

Poznałem „Ciąga”, dowódcę kampanii zmotoryzowanej. Ogromnie podobał mi się ze swojej urody, bardzo oryginalny typ o pięknych wyrazistych oczach. Obiecał dać mi opis akcji wysiedleńczej w Skierbieszowie.

Odprawa trwała od 9 rano do 6 wieczorem. W czasie przerwy – obiad, na którym było bez mała 30 osób. Adam złościł się, że zjawilo się dużo oficerów, którzy nie byli wezwani na odprawę. Przez adiutanta i przez kwatermistrza „Colta”, Adam chciał koniecznie zwrócić mi koszty tego obiadu. Oczywiście nie chciałem o tym słyszeć. W rezultacie po różnych ceregielach „Colt” złożył 4 tysiące złotych – na szpital.

„Adam”, „Wacław” i „Leszcz” zostali na noc. „Adam” – jak zwykle – zdradzał zbyt duże mniemanie o sobie, o swojej wielkości. Przygniatą tym swoje otoczenie i swoich podwładnych, którzy – jak mogłem niejednokrotnie zauważyć – bardzo często podkpiwają z niego. Na ogół przez oficerów nie jest lubiany, głównie przez swoją niedostępność, zarozumiałość i apodyktyczność. Boją się go.

Ja osobiście jednak cenię go za jego pracę. Muszę bezstronnie przyznać, że tajna organizacja i cała działalność konspiracyjna, dywersyjna i bojowa, na naszym terenie – to duża jego zasługa. Od roku miałem sposobność poznać go bliżej przez to, że dość często u nas się zjawia i nocuje. Zawsze z podziwem patrzę na jego tryb życia. Przecież ten człowiek nie ma własnego kąta. W Zwierzyńcu spaliło się jego mieszkanie, w którym zresztą też przeważnie bywał tylko gościem. Przepadły przy tym wszystkie jego rzeczy osobiste. Nie ma obecnie nic, tylko to, co na sobie i przy sobie. Wciąż korzysta z cudzej gościnny, dziś tu – jutro tam, wszędzie pozostawia jakąś część bielizny do wyprania z tym, żeby móc zmienić koszulę przy następnej bytności. Czasem trzeba mu coś dawać na poczekaniu, bo nic nie ma na zmianę. Sam nieraz mówi, jak go już zmęczyło takie życie tułaczce. Na domiar złego, ciągle wisi nad nim groźba aresztowania. I teraz też musi pilnować się nie mniej jak przy Niemcach, bo NKWD bardzo go poszukuje i podobno wyznaczyło nagrodę pieniężną za złapanie go.

SZÓSTY ROK WOJNY

1.IX. Piątek. Zaczynamy dziś szósty rok wojny. Chociaż pozbyliśmy się strasznego wroga – Niemca, to jednak w dalszym ciągu mamy przed sobą wielką niewiadomą. Bo trudno przewidzieć, jak się w końcu ułożą nasze stosunki z Sowietami i czy nie wypadnie nam jeszcze staczać z nimi ciężkie walki.

Na wczorajszej odprawie szeroko omawiano sytuację, jaka się wytworzyła po rozbrojeniu naszych oddziałów. Na razie nie będzie się tworzyć na nowo oddziałów, główna uwaga zwrócona jest na propagandę wśród najszerszych warstw społeczeństwa i wyrabianie odpornej postawy w stosunku do bolszewików. Poza tym zaleca się utrzymywanie stałych kontaktów ze swymi ludźmi, żeby w odpowiedniej chwili można było wszystkich szybko zmobilizować. Stosunek do zarządzeń mobilizacyjnych Komitetu Wyzwolenia Narodowego pozostaje nadal bezwzględnie negatywny.

2.IX. Sobota. Wczoraj został zabity w Bliżowie, niedaleko Bondyrza mjr Kropiwnicki, komendant RKU (Rejonowa Komisja Uzuppełnień),

który przeprowadzał mobilizację i rejestrację byłych oficerów na naszym terenie. W szeregach działaczy PPR i gorliwych zwolenników reżimu komunistycznego wywołało to duże zaniepokojenie. Spodziewają się i obawiają dalszych zamachów. Po odpowiednio przeprowadzonej agitacji z koszar zamojskich związało około 800 żołnierzy.

Dziś imieniny komendanta, ponieważ prawdziwe jego imię to Stefan [właściwie Stanisław]. Urządził je w tym roku dość hucznie w swoim chwilowym (dwudniowym) miejscu postoju – na tzw. „Kępie” u „Młota”. Znalazłem się wśród zgromadzonych gości. Byli to – poza paniami z rodziny „Młota” – sami mężczyźni, najbardziej czynni członkowie organizacji i dywersji w liczbie dwudziestu kilku. Około 9 usiedliśmy do obficie, na sposób przedwojenny zastawionego stołu. Pierwszy przemówił mjr. „Wacław”, zastępca „Adama” i najstarszy po nim rangą oficer. Posypały się potem przemówienia innych – „Wyryw”, „Łysia”, o. Gwardiana, moje, a gdy alkohol rozwiązał nieco języki zabrali jeszcze raz głos: Gwardian, „Wacław” i „Wyrwa”.

Dłuższe przemówienie wygłosił solenizant, ppłk „Adam” („Józef”). Mówił głównie o sobie, o swojej roli i działalności w czasie okupacji niemieckiej, przy czym po raz pierwszy zdradził się publicznie, że chodził do gimnazjum w Zamościu i że z Zamojszczyzną jest bardzo silnie związany od młodości. Odczytał jednak mały fragment ze swych wspomnień z września 1939 roku, napisanych właśnie w dniu dzisiejszym dla mojego wydawnictwa.

Uczta imieninowa ciągnęła się kilka godzin. Jakoś wyjątkowo nikt się nie upił. Dużo śpiewano. Z przyjemnością zauważyłem, że co drugi – trzeci gość trzymał przy tym w ręku wydane przeze mnie „Pieśni oddziałów partyzanckich Zamojszczyzny”.

Drugie przemówienie „Wacława” i o. Gwardiana, którzy poruszyli sprawę kresów – Wilna i Lwowa, całkiem nie pasowały do toastów imieninowych i nosiły charakter bardziej wiecowy lub dyskusyjny. A że mówili za długo, więc publiczność zaczęła się już niecierpliwić.

Chociaż spędziliśmy kilka godzin w atmosferze niby koleżeńskiej, co „Adam” parokrotnie zaznaczał, to jednak wyczuwało się pewnego rodzaju skrępowanie. Jak zauważyłem – „Adam” zawsze tak działa na otoczenie, przytłacza wszystkich swoją rzekomą wyższością i egocentrycznością.

Wróciłem do domu o 4 nad ranem.

4.IX. Poniedziałek. Wczoraj cały dzień siedziałem nad opracowywaniem i przepisywaniem na maszynie dwóch rzeczy „Adama”.

Jedna, to walki z Niemcami we wrześniu 1939 r. pod Łabuniami i Suchowolą, w których brał udział jako I adiutant pułku. Drugi artykuł poświęcony jest sprawie wysiedlania przez Niemców Zamojszczyzny.

Dzisiaj znów zebrała się u mnie garstka oficerów AK: „Adam” („Józef”), „Wacław”, „Wyrwa”, „Rafał”, „Orkisz”, „Sas”, „Łyś” i inni. „Adam” który wyruszył zaraz potem rowerem do Lublina, zarządził krótką odprawę.

W szeregach czynniejszych członków AK panuje zaniepokojenie, bo jak widać – NKWD za pomocą PPR interesuje się nimi nie na żarty. Wciąż kogoś aresztują i kogoś szukają. Dziś np. wieczorem przychodzili po „Wrzosa” i po „Młota”. Obydwaj w ostatniej chwili zostali uprzedzeni i zdążyli zwiać.

W Turzyńcu aresztowano komendanta placówki kadeta „Lubi-cza”. Odprowadzono go do aresztu w Zwierzyńcu, skąd próbował uciec, lecz to mu się nie udało, bo został zabity przez wartownika.

5.IX. Wtorek. Wzmógł się ruch wojsk bolszewickich, przeważnie z zachodu na wschód. Ten kierunek niepokoi ludzi. Krążą plotki, że wojska sowieckie cofają się, że zbliżają się niemieckie. Przez parę dni armaty słychać było bardzo wyraźnie.

Naprawiono już tory i mosty kolejowe. Ruszyły pierwsze pociągi, oczywiście wojskowe.

11.IX. Poniedziałek. W sobotę aresztowano na ulicy w Zamościu „Asa”, szefa BIP-u.. Wiadomość ta wywarła na oficerów z AK duże wrażenie.

U nas wczoraj i dziś pełno oficerów. Dziś są między innymi (i nawet nocują) „Norbert” i „Ciąg”. „Norbert” pisze wspomnienie o „Wismanie”, jednym z pierwszych konspiratorów, a potem gestapowcu. „Ciąg” opowiadał, jak w zeszłym tygodniu on i jeszcze pięciu oficerów dokonali napadu na więzienie w Zamościu i uwolnili 18 więźniów politycznych. Dochodzą nas wieści o licznych aresztowaniach wśród żołnierzy AK w Biłgoraju i w Janowskim.

13.IX. Środa. „Asa” na szczęście wypuszczono.

Przyjechał do Szczepieszyna „Adam”. Bał się jednak zatrzymać u nas ze względu na rozkspirowanie mieszkania. Urządziłem go w najbezpieczniejszym domu, bo w aptece. Omawialiśmy znów dalsze projekty wydawnicze. Ma przystąpić do pisania historii OP 9. Swoich oficerów zmusza do pisania dając im poszczególne tematy do opracowania. Dał mi do mojej teki redakcyjnej artykuł o napadzie na Siedliśka. Moje poczynania historyczno – wydawnicze nabierają rozpędu.

14.IX. Czwartek. Jeździłem do Zamościa. Koło stacji kolejowej w Zamościu zatrzymał furmankę milicjant i wylegitymował wszystkich jadących ze mną mężczyzn. Patrol bolszewików zatrzymuje tu wszystkie samochody wojskowe.

Wziąłem ze sobą maszynopisy przeznaczone do pierwszego zeszytu „Wydawnictwa materiałów do dziejów Zamojszczyzny” Po porozumieniu się z mecenasem Branickim, który jest obecnie radcą prawnym przy starostwie, poszedłem z nim do przewodniczącego powiatowego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, czyli do starosty Dubiela. Okazało się, że znamy się z dawnych czasów, bo kiedyś na kilka lat przed wojną przyjeżdżał on do Szczepieszyna do „Legionu Młodych”, mieszczącego się w oficynie szpitalnej. Przedstawiłem mu sprawę projektowanego wydawnictwa i w krótkich słowach zapoznałem z treścią. Zgodził się od razu na druk, zapytał tylko, czy nie będzie gloryfikowania jakiegokolwiek jednej formacji wojskowej. Nie powiedział wyraźnie, że chodzi mu o AK. Upewniłem go, że w pierwszym zeszycie jest mowa tylko o terrorze niemieckim. Napisał kartkę do drukarni zezwalając na użycie papieru do druku książki.

A w drukarni i introligatorni praca wre. Robią teraz 100 tysięcy zeszytów szkolnych.

Zostałem wybrany do komitetu budowy pomnika – Mauzoleum na Rotundzie w Zamościu, do sekcji propagandowo-wydawniczej. Poznałem przewodniczącego komitetu księdza Porkiewiczza. Bardzo sympatyczny, inteligentny pan – w cywilnym ubraniu nie wygląda na księdza. W projekcie jest wydanie całej książki poświęconej Rotundzie. Mam się tym zająć.

Mjr „Wacław” prosił mnie o tygodniową gościnę dla profesora „Farleya” (Ehrlicha) z BiP-u. Dawno już nie miałem sposobności na

dłuższe rozmowy z człowiekiem nauki, jakim jest „Farlej”. Parę wieczornych godzin spędziłem z nim bardzo przyjemnie.

15.IX. Piątek. W Lublinie zaczął wychodzić tygodnik literacki „Odrodzenie”. Dostałem dziś pierwszy numer. Przeczytałem go jednym tchem. Nazwiska autorów w przeważającej ilości żydowskie. Pomiedzy tekstem pisanym prozą rozrzucono dużo wierszy. Tematy wszystkich bez wyjątku utworów związane są w ten lub inny sposób z wojną. W niektórych artykułach aż nadto wyraźnie przebija się sympatia do naszych sąsiadów od wschodu i do czerwonej armii. Jak można było się spodziewać, wojna wycisnęła niezatarte piętno na całej twórczości literackiej ostatnich 5 lat. Z pewnością ujawni się to w całej pełni po wojnie, gdy warunki pozwolą na drukowanie wszystkiego bez jakiegokolwiek cenzury.

Nie wchodzę w ocenę artystycznej i literackiej wartości tego pierwszego w okresie wojny legalnego pisma literackiego. Zaznaczam tylko, że rozbudziło ono we mnie szaloną tęsknotę do nowej twórczości literackiej, podnieciło nieustanny głód do nowej literatury polskiej i chęć wyrwania się nareszcie z jałowej pod tym względem atmosfery wojennych lat.

17.IX. Niedziela. Na miejscowym cmentarzu odbył się dziś pogrzeb ekshumowanych zwłok Piotra Bohuna „Gromskiego”, byłego nauczyciela tutejszych szkół, zabitego przez Niemców w Czarnym Stoku w 1943 r. Był on jednym z pierwszych konspiratorów na naszym terenie na samym początku okupacji niemieckiej.

Jeden z popularniejszych oficerów AK – „Kabel”, aresztowany przed kilkoma tygodniami w Zamościu przez NKWD zwiął podczas jakiegoś transportu. Przy każdej sposobności NKWD wypytuje różnych ludzi, o „Adama”, „Podkowę”, „Groma”, „Norberta” i innych czołowych oficerów AK. Toteż ci konspirują się teraz i ukrywają bodaj jeszcze więcej, aniżeli w ostatnich czasach przy Niemcach.

Moje projektowane wydawnictwo na razie zostało wstrzymane. Dowództwo obawia się, że artykuły mówiące za dużo o działalności AK i oddziałów partyzanckich mogą przyczynić się do rozkonspirowania, z drugiej znów strony ogłoszenie materiału dotyczącego wyłączenie terroru niemieckiego bez zaznaczenia udziału w tym AK

może być poczytane za zasługę czynników rządzących. Nie mogę się zgodzić z takim stanowiskiem i czekam tylko na możliwość spotkania się i rozmówienia na ten temat z „Adamem”.

Byli u mnie „Orsza” i „Sławian” z obwodu biłgorajskiego. Przynieśli dość spory zbiór utworów biłgorajskich. Mają one jednak zupełnie inny charakter, aniżeli artykuły gromadzone przeze mnie. Jako mające istotną wartość historyczną wybrałem i zatrzymałem u siebie tylko 3 rzeczy: o Józefowie, o Łukowej i o drugim odbiciu więźniów w Biłgoraju. Reszta to wierszyki i luźne obrazki lub opowiadania o charakterze literackim. W większości pochodzą spod pióra samego „Sławiana”. Przeważnie są to rzeczy słabe, wykazują jednak pewne zdolności autora, a przede wszystkim jego entuzjazm, całkowite oddanie sprawie narodowej i bezgraniczną nienawiść do Niemców. Do mojego wydawnictwa nie nadają się. Być może wydadzą gdziekolwiek sami w postaci małej, popularnej książeczki, mając na widoku względy propagandowe.

21.IX. Czwartek. Jeździłem do Zamościa. Na punkcie kontrolnym koło stacji berlingowiec z karabinem legitymował wszystkich jadących bardzo dokładnie, nawet kobiety. Po przejzeniu dowodów karabinem dźgał w nasze siedzenia ze słomy wyszukując jakiejś kontrabandy lub broni. Zrobiło to na mnie nieprzyjemne wrażenie, zwłaszcza, że nawet Niemcy nigdy nie zatrzymywali furmanki szpitalnej, gdy jechałem i nigdy żadnej rewizji nie przeprowadzali.

Zamość powoli powraca do normy, ożywia się ruch handlowy. Na rynku pełno produktów wiejskich, zwłaszcza nabiału i warzyw. Ceny są niższe aniżeli w Szczepieszynie. Coraz więcej nowych sklepów i nawet jest jaki taki towar. Nie wiadomo skąd on się bierze, bo przecież główne punkty zaopatrywania we wszelkiego rodzaju towary – jak Warszawa Kraków, Lwów – są teraz niedostępne. Powstało kilka nowych barów i cukierenek. Niektóre, założone przez zwierzyńskie panie, na przykład Danutę z Kosteckich Jarocińską, cieszą się dużym powodzeniem sprzedając doskonałe torty własnej roboty i nawet najprawdziwszą czarną kawę.

We wszystkich urzędach mnóstwo interesantów. W drukarni też wre robota. Drukują trzy zbiorki poezji – Juliana Przybosia, Jerzego Putramenta i Jastruna. Przyjechał z Lublina Przyboś z jakimś porucz-

nikiem berlingowcem z pismem Komitetu Wyzwolenia Narodowego, zabrali ze składów drukarni papieru na 100 tysięcy złotych. I zamówili druk wspomnianych poezji.

22.IX. Piątek. Dzisiejszej nocy peperowcy dokonali napadu na dwóch ludzi z AK, zabijając komendanta placówki w Latyczynie „Bura” czyli ppor. Roszuka, nauczyciela szkoły powszechnej oraz kwaterymistrza rejonowego „Ryża” czyli Jana Kaszę, starszego już człowieka, emerytowanego policjanta, prowadzącego niewielką gospodarzkę rolną w Zaporzu pod Radeznicą.

Zaczną się teraz bratobójcze walki. Należy się spodziewać, że to tak płazem nie pójdzie, bo zwłaszcza BCh jest silnie poruszone i chłopcy się mocno odgrażają.

Wczoraj wieczorem przyjechał do Szczepieszyna na jeden dzień „Adam”. Ale tak się teraz konspiruje, że oprócz „Wyrwy” z nikim się nie widział.

Do mojej teki redakcyjnej przybywa coraz więcej materiału historycznego. Wprost nie mogę nadążyć z opracowywaniem i przepisywaniem wszystkich artykułów. Niektóre są bardzo słabe i bez wartości, ale większość po odpowiednim opracowaniu stanowią cenne nabytki dla historii Zamojszczyzny.

25.IX. Poniedziałek. Dziś rano zjawili się w kancelarii szpitalnej dwaj oficerowie sowieccy – major i lejtnant. Zapytali o mnie wymieniając moje nazwisko. Przedstawili się jako korespondenci czy też współredaktorzy pisma frontowego wydawanego w języku polskim. Major mówił tylko po rosyjsku. Od razu przedstawił mi, o co im chodzi: powiedział im ktoś (dyrektor?) w Browarze w Zwierzyńcu, dokąd zwrócili się o informacje w sprawie zachowania się Niemców podczas okupacji, że ja specjalnie tym przedmiotem się interesuję, mam zebrane duże materiały historyczne i najwięcej mógłbym im dać potrzebnych wiadomości.

Niemile dotknięty nietaktem któregoś z moich zwierzynieckich znajomych musiałem tłumaczyć, że rzeczywiście interesowałem się okresem okupacji, lecz robiłem tylko luźne notatki i żadnych większych materiałów nie posiadam, mogę natomiast opowiedzieć coś nie coś o terrorze niemieckim. Zajęli mi chyba z półtorej godziny czasu.

Major dokładnie notował wszystko, co mówiłem. Zadawał mi przy tym różne pytania, między innymi – czy i w jakim kierunku zmieniły się nastroje społeczeństwa miejscowego po ustąpieniu Niemców i przyjsciu czerwonej armii. Na tego rodzaju pytania odpowiadałem dyplomatycznie i z rozważą zachowując pełną rezerwę.

Na zakończenie major powiedział mi, że wykorzysta to, co sobie notował, napisze odpowiedni artykuł i zapytuje, czy pozwolę wymienić swoje nazwisko. Prosiłem, żeby tego nie robił. Przy rozmowie naszej przez cały czas było obecnych kilka osób spośród personelu szpitalnego – sekretarka, akuszerka Borowiczowa, dobrze mówiąca po rosyjsku, dr Matuszewski i inni. Specjalnie mi o to chodziło, żeby mieć świadków tego, co mówiłem. Boję się, że może napisać to, czego nie opowiadałem albo też przeinaczyć moje słowa i przedstawić wszystko w innym świetle, zwłaszcza gdy będzie pisał o nastrojach społeczeństwa. Major był nadzwyczajnie uprzejmy i grzeczny, lejtnant również, chociaż ten prawie się nie odzywał. Mówił swobodnie po polsku i zapewne odgrywał rolę tłumacza, lecz wobec mojej niezgorszej znajomości języka rosyjskiego był zupełnie niepotrzebny.

Dowiedzieliśmy się, że w Biłgoraju powołano do wojska lekarzy, nawet szpitalnych, w tej liczbie i dyrektora Pojaska – chirurga. Lada dzień spodziewamy się tego samego, że ze Szczepieszyna kogoś zabiorą, ponieważ w wojsku jest ogromny brak lekarzy. Z całego powiatu biłgorajskiego wzięto ogółem pięciu lekarzy. Inni dostali odroczenia.

W Aleksandrowie pod Józefowem aresztowano „Wara”, jednego z pierwszych dowódców oddziałów partyzanckich.

Dopiero teraz została doprowadzona do stanu używalności drukarnia ręczna, o którą przed kilkoma miesiącami starałem się w Radecznicy. Przed paroma dniami „Wyrwa”, który obecnie nią się zajął, przysłał mi z dedykacją pierwszy komunikat w formie ulotki, drukowany na tej maszynie. Ma wychodzić pismo tygodniowe „Płomień”.

28.IX. Czwartek. Silnie poruszyła nas wiadomość o aresztowaniu w Zamościu „Norberta”, „Rolicza”, „Ryszarda”, podch. „Czarnego”, „Stokrotki” i Kapłona. Zwłaszcza obchodzi wszystkich los „Norberta”, a później „Rolicza”. Inni mniej są u nas znani. „Norbert” napisał kartkę do „Podkowy”. Czytałem ją. Píše, żeby robić w dzień, bo w nocy się nie

uda. Wystarczy 4 – 5 ludzi. Nagli, żeby pośpieszyć dopóki go nie zidentyfikują. Dziś po południu „Podkowa” już przybył do Zamościa. Być może jutro będą się starali odbić „Norberta”, bo o niego głównie chodzi.

Jesteśmy bardzo zgnębieni. Spodziewamy się dalszych aresztowań i represji.

Czuję się ogromnie zmęczony psychicznie.

Przed paru dniami pod Osuchami odbył się pogrzeb pozbiieranych zwłok żołnierzy poległych w walce z Niemcami w końcu czerwca bieżącego roku. Na razie pochowano 97 zwłok w trumnach w osobnych mogiłach na skraju lasu, niedaleko wsi. Jak obliczają, pozostało jeszcze w prowizorycznych mogiłach lub całkiem nie pogrzebanych chyba do tysiąca ludzi. Znalaziono zwłoki „Oldana” Błachuty – zachowane stosunkowo dobrze. W uszach miał założoną słuchawkę lekarską z dwiema rurkami gumowymi. A więc zginął w chwili, gdy badał kogoś z żołnierzy. Prawdziwa śmierć lekarza na posterunku. Przewieziono go do Biłgoraja i tam pochowano.

29.IX. Piątek. Pod wieczór zjawił się niespodziewanie „Grom”. Ma od dowództwa nowe przeznaczenie – sformowanie oddziału, z którym w odpowiedniej chwili pójdzie do Warszawy dla zasilenia armii gen. „Bora” Komorowskiego. Jeżeli dzisiaj nic jeszcze nie zrobiono dla uwolnienia „Norberta”, to „Grom” sam do tego się zabierze. Z Zamościa nie mieliśmy dzisiaj żadnych wiadomości.

30.IX. Sobota. Jest „Adam”. Konspiruje się bardzo. Byłem u niego na godzinnej rozmowie. Interesuje się przybywającymi materiałami, ale nie zgadza się na to, żeby już teraz zacząć drukować. Sądzi, że dojdzie do bardzo ostrego zatargu z bolszewikami. Po południu już odjechał rowerem do Zamościa. Jednak podziwiam jego ruchliwość i pracowitość. „Norbert” i „Rolicz” siedzą w piwnicy Banku Polskiego. Stamtąd odbić ich niepodobna. Idą usilne starania wydobycia ich drogą legalną. „Ryszard” został wypuszczony.

1.X. Niedziela. Dziś rano przyjechali specjalnie do mnie przedstawicielka Polskiego Radia, przedstawiciel „Polpressu” i adwokat Branicki z Zamościa. Chcieli, żebym im dał jakiś artykuł lub materiał o walkach partyzanckich na terenie Zamojszczyzny. Byli bardzo uprzejmi,

ja również. Pokazałem im trochę druków z czasów okupacji niemieckiej, ulotek, plakatów, opowiedziałem jak byłem aresztowany – i na tym koniec. O partyzantce nie powiedziałem absolutnie nic, tłumacząc się, że nie byłem „z lasem” w żadnym kontakcie. Proponowali mi wstąpienie do Związku Literatów, obiecywali wydanie moich prac itp. Notowali to, co mówiłem. Chcą to do czegoś zużytkować. Stanowczo zastrzegłem się, żeby nigdzie nie wymieniano mojego nazwiska. Na świadków rozmowy poprosiłem panią dyr Józwiakowską, dr Józwiakowskiego i dr Matuszewskiego.

Branickiemu na wstępie – w cztery oczy – nawymyślałem trochę, że opowiada bez potrzeby o moich zamierzeniach wydawniczych.

Dr Bieńkowskiego wzięto do wojska. Na jego miejsce lekarzem powiatowym ma być dr Skotnicki, okulista, przechrzta, który zdołał jakoś ukryć się przed Niemcami i teraz wrócił do Zamościa.

Po południu odbył się dziś bardzo uroczysty pogrzeb dwóch poległych nad Sopotem 26 czerwca bieżącego roku – por. „Topoli”, czyli Janka Kryka, nauczyciela rodem ze Szczepieszyna i żołnierza Stanisława Łasochy („Łamacza”), byłego ucznia gimnazjum w Szczepieszynie. Dawno Szczepieszyn nie widział takiego pogrzebu. Zwłoki były przywiezione z pobojuwisk przed kilkoma dniami. Kwiatów było niesłychane mnóstwo. Publiczności zebrało się chyba do 2 tysięcy.

2.X. Poniedziałek. Znów aresztowano kilku naszych ludzi. W Bondyrzu wzięto „Almę”, komendanta rejonu. Znaleźli u niego dwie „Pepesze”, aparat radiowy i sporo różnej korespondencji. Oprócz niego aresztowano jeszcze dwóch żołnierzy.

W Zamościu ujęto na ulicy „Kryjaka” – mieszkającego w okolicach Szczepieszyna.

Przed paru dniami w odwecie za zabicie nauczyciela Roszuka i kwatermistrza „Kaszy” zlikwidowano na terenie gminy Radechnica kilku peperowców, w tym i obecnego wójta Szczerbę.

W lesie nad Osuchami teraz dopiero znaleziono zwłoki inspektora „Głoga” – „Kaliny”.

3.X. Wtorek. Próby uwolnienia „Norberta” i towarzyszy z więzienia w Zamościu na razie nie udały się. Złapano przy tym trzech uczestników, w tej liczbie wspomnianego „Kryjaka”.

Nastrój ciężki. Przyczyniają się do tego i wiadomości o beznadziejnej sytuacji w Warszawie, która wprost jak gdyby skazana jest na zagładę.

4.X. Środa. Komunikaty radiowe podały spodziewaną, lecz nie mniej straszną wiadomość o upadku Warszawy. Dawno już nie widziałem tak powszechnego przygnębienia jak obecnie.

Ja czuję się fatalnie, do czego przyczynia się jeszcze i to, że zupełnie wyraźnie zaczyna mi nawalać serce.

5.X. Czwartek. Przygniała nas myśl o Warszawie. Już nawet przez radio w Londynie mówiono, że pozostały tylko zgliszcza i trupy. Dziś w komunikacie radiowym było, że Niemcy kazali wszystkim mieszkańcom opuścić miasto. – Trudno jest w to wszystko uwierzyć.

U nas też nie jest dobrze. „Kryjaka”, co prawda puszczono, lecz wzięto dziś na ulicy w Zamościu „Zbura”, z kompanii „Wrzosa”. Wjazdy do Zamościa, ulice i place tak są obstawione przez milicję i szpiclów, że prawie wszyscy nasi ludzie musieli z miasta wywieźć. „Norbert” siedzi wciąż w więzieniu. Znów napisał kartkę, prosząc, żeby go wyrwać z rąk NKWD. „Grom” siedzi u nas i niecierpliwi się, że go dowództwo nie wzywa do wzięcia udziału w ratowaniu „Norberta”. Koniecznie chce jutro rano jechać do Zamościa, żeby na miejscu osobiście rozoznać się w sytuacji. Przedsięwzięcie dla niego wielce ryzykowne, bo go mogą bardzo łatwo poznać i aresztować. Jemu jednak nie daje spokoju myśl, że się za mało robi dla ratowania „Norberta”.

7.X. Sobota. Wczoraj rano miałem jechać do Zamościa, żeby przewieźć tam „Groma”. Nie było jednak koni, więc „Grom” pojechał rowerem z „Wredną”, która miała mu ułatwić skontaktowanie się z ludźmi w Zamościu. Do dzisiejszego dnia nie mieliśmy od nich żadnej wiadomości.

Tymczasem wczoraj dostali wezwanie do wojska dwaj lekarze szpitalni – dr Matuszewski i dr Jentys. Pojechałem więc dziś do Zamościa, żeby choć jednego z nich wyreklamować. Czy to się uda – nie wiadomo, bo chociaż na miejscu przeprowadziłem reklamację dra Matuszewskiego, to jednak ostateczna decyzja zależy od Lublina. Będąc w Zamościu starałem się dowiedzieć cokolwiek o „Gromie”

i „Wrednej”, lecz bezskutecznie. Nikt ich nie widział, bardziej zaś poufnych kontaktów szukać nie chciałem, bo ludzie poukrywali się dobrze, a wielu całkiem nawet wyjechało. Wróciłem do domu o godzinie 4 po południu. Pół godziny potem zjawił się u mnie zdyszany goniec z Zamościa od „Groma”: dziś w południe „Norbert” z kilkoma towarzyszami zostali wyprowadzeni z więzienia. Robotę nadzwyczajnie „czysto” przeprowadził „Grom”, nie było przy tym ani jednego strzału. U mnie w domu i w szpitalu osoby wtajemniczone dostały wprost szału z radości. Szczegółów żadnych jeszcze nie wiemy, tylko tyle, że po nieudanych próbach „Podkowy” i „Ciąga” rzecz zdawała się niemożliwa do przeprowadzenia.

Pozostaje teraz jeszcze do załatwienia sprawa wywiezienia „Norberta” z Zamościa. „Grom” pisał prosząc, żeby „za wszelką cenę” dostać w cukrowni samochód i dziś jeszcze zabrać ich stamtąd. Tu wystąpiły nowe trudności, bo wszyscy nasi ludzie, w tej liczbie „Czeremcha” i Kruca z cukrowni, pojechali do Zwierzyńca na pogrzeb „Głoga”, a dyrektor Maliński za nic nie chciał dać samochodu. Dopiero jutro rano pójdą konie. A drogi wszystkie są już obstawione. Nawet pod samym Szczepieszynem zatrzymano nas wczoraj i legitymowano, gdyśmy wracali z Zamościa. Wieczorem w mieście było NKWD i spodziewaliśmy się rewizji po domach. Ogólna sytuacja nasza staje się coraz cięższa.-

8.X. Niedziela. Rano zjawił się „Grom” i „Heniek”, jeden z uczestników wczorajszego napadu na więzienie w Zamościu. „Grom” jest wprost nadzwyczajny w swej skromności i w umniejszaniu swej zasługi w tym, czego wczoraj dokonał. A wyczyn był istotnie nie byle jaki. Bezpośredni udział w akcji brało tylko czterech ludzi („Grom”, „Warta”, „Heniek” i dozorca Nosewicz). „Hanka” i „Wredna” znajdowały się pod więzieniem. Prowadził „Grom”, „Heniek” był w mundurze berlingowca. Wdarli się do więzienia, sterroryzowali dozorców i naczelnika więzienia i wyprowadzili około 20 więźniów – tylko politycznych, pozostawiając wszystkich kryminalistów i Niemców.

Grom obiecał mi opisać dokładnie przebieg całej akcji. Zarządziłem na oczekaniu „nocne” śniadanie na cześć „Groma” i jego towarzysza z udziałem jeszcze kilku najbardziej zaufanych osób. Spędziłem parę godzin w dawno nie przeżywanym nastroju.

W tym czasie na rynku wysłannicy Komitetu Wyzwolenia Narodowego zorganizowali wiec. Przemawiało kilku mówców, których zgromadzeni słuchali w większości bez entuzjazmu. Dopiero gdy niespodziewanie wszedł na mównicę jeden z chłopaków z Kawenczyna („Tuluza”, „Francuz”), czynny członek dywersji, i wygłosił ex promptu przemówienie skierowane przeciwko „czerwonemu rządowi” – publiczność się rozkołysała i zasypała go oklaskami.

Wczoraj wieczorem aresztowano w Radecznicy byłego komendanta policji Kowalczyka, bardzo porządnego człowieka, czynnego członka organizacji, i Piotrowskiego, również z konspiracji.

9.X. Poniedziałek. Zamość wciąż jeszcze jest pod wrażeniem napadu na więzienie i uprowadzenia więźniów. Wszyscy się zachwycają „wspaniałą robotą”. Nie wiedzą jednak, kto to zrobił: NKWD, milicja i PPR wściekają się z bezsilności, zwłaszcza, że po poprzednich nieudanych próbach więzienie było strzeżone jak nigdy i wtargnięcie do niego zdawało się zupełnym niepodobieństwem. Nawet „Podkowa”, ryzykant znany z odwagi, spotkawszy się z „Gromem” w Zamościu tak mu sprawę przedstawił i wyjechał, nie biorąc żadnego udziału w napadzie. Tym więcej wtajemniczeni mają podziwu dla „Groma”.

W Zamościu krąży mnóstwo plotek dookoła tego wydarzenia. Ogólnie twierdzą ludzie wraz ze służbą więzienną, że w napadzie brało udział co najmniej trzydziestu kilku mężczyzn i dwie kobiety.

10.X. Wtorek. W niedzielę, 8 października późnym wieczorem, bolszewicy otoczyli Tomaszów i obchodząc po kolei wszystkie domy zabrali około 300 mężczyzn, przeważnie w wieku poborowym, wywieźli ich do Zamościa i umieścili w koszarach. Zaczynają więc i takich sposobów używać dla zasilenia szeregów Wojska Polskiego. Organizowanie tego wojska jakoś nie bardzo się udaje.

13.X. Piątek. W rannych godzinach dano nam znać, że w Sułowcu milicja peperowska z Sułowa aresztowała wczoraj wieczorem prof. „Farleya”, a w kilka godzin później Stefana Huskowskiego. Wszyscy byliśmy bardzo poruszeni tą wiadomością. Prof. „Farley” dopiero w zeszłym tygodniu od nas wyjechał. Od razu zabrano się do różnych zabiegów i starań, żeby ich uwolniono z aresztu przy posterunku w Su-

łowie. W południe już ich wypuszczono. Gdyby tego nie uczyniono, z pewnością byłiby odbici przed wywiezieniem do Zamościa. O godz. 5 po południu por. Stefan Huskowski był już u nas i opowiadał nam szczegóły aresztowania i pobytu w areszcie.

15.X. Niedziela. Wczoraj wieczorem zjawił się u nas „Adam”, nocował i był dziś przez cały dzień. Był też i „Orsza”. „Adam” zostawił mi na przechowanie najcenniejsze dokumenty dotyczące OP 9. Przedtem pokazał mi dużo naprawdę bardzo ważnych, zasadniczych pism, rozkazów, raportów, meldunków itp. Dla historyka istny skarb. Przeczytał wszystkie opracowane przeze mnie artykuły, a mam ich już 27. Około 5 wyjechał rowerem na dalszą swoją tułaczkę – do Zwierzyńca. Byłem potem na połączonych imieninach Teresy Biczynskiej („Wrednej”) i „Groma”. Zebrało się 20 kilka osób – sama dywersja. Znalazł się też i „berlingowiec” kpt. Wolski, komendant placówki w Zamościu, całkowicie oddany konspiracji. Przemawiając na cześć „Groma” oświadczył mi, że w koszarach zamojskich jego pluton stoi całkowicie do dyspozycji „Groma”.

Dziś rano jakiś oddział, rzekomo berlingowców, rozbroił w Radeczniczy milicjantów – PPR-owców i uprowadził ich ze sobą.

Całe społeczeństwo miało w tych dniach uwagę skierowaną na Moskwę i konferencje jakie tam odbywają się z udziałem Stanisława Mikołajczyka, Churchilla i Edena. Zdawało się wczoraj, że może wreszcie dojdzie do jakiegoś porozumienia. Dzisiejsze jednak komunikaty radiowe wskazują, że prawdopodobnie Mikołajczyk znów odjedzie z niczym.

16.X. Poniedziałek. Poznałem dziś nowego zastępcę „Adama” – „Janusza”. Zgłosił się do mnie szukając kontaktu z „Adamem”. Szpakowaty, ciemny brunet, zawodowy oficer, robi wrażenie człowieka zdecydowanego i bezwzględnego.

Gdzieś pod Zamościem zabity został niejaki Sawicki, Żyd, przywódca zamojskich komunistów.

Dochodzą wiadomości o coraz częstszych i coraz liczniejszych wypadkach uciekania z wojska berlingowców – w pełnym uzbrojeniu i umundurowaniu, nieraz całymi kompaniami.

18.X. Środa. Gwarno było dziś u nas. Na obiedzie mieliśmy „Katarzynę”, „Leszcza” i „Rafała”. Zjawił się w tym czasie komendant Adam,

a wkrótce po nim „Sas”, „Grom”, „Klinga”, „Wydra”, „Colt”, „Gruda”, „Szyszka”. „Adam” był zły i wciąż mi wymawia, że za dużo osób przewija się przez nasz dom i przez to zanadto narażam jak siebie, tak i szpital. Miałem przy tym sposobność jeszcze raz przekonać się jak go jednak nie lubią jego podwładni. Swoim szorstkim obejściem i bezwzględnością nieraz bardzo zraża do siebie ludzi. Tłumaczę „Adamowi”, że ja nikogo specjalnie nie zapraszam, tylko tak jakoś weszło w zwyczaj, iż niemal wszystkie szarże konspiracyjne nie omijają naszego domu, tu szukają kontaktów z różnymi ludźmi, tu załatwiają mnóstwo interesów. U mnie w kancelarii szpitalnej sekretarka pisze na maszynie tajne rozkazy i meldunki, a także kartki do powielacza, u mnie często fabrykuje się „lewe” kennkarty, u mnie w walizach kwatermistrzostwo przechowuje nieraz bardzo duże sumy pieniędzy i akta. „Adam” zostawia tu część swego najtajniejszego i najważniejszego archiwum itd. Przeze mnie załatwia się dużo bardzo poufnych spraw, jak na przykład drukowanie w Zamościu różnych blankietów na „lewe” legitymacje, zaświadczenia, a także pieczęcie niezbędne dla wystawienia „lewych” dokumentów.

W ogóle tak się ułożyło, że jesteśmy obecnie bardzo silnie związani z życiem organizacyjnym i z wieloma ludźmi z konspiracji.

Na noc zostali „Katarzyna”, „Adam”, „Szyszka” i „Leszcz”. Przy kolacji nawet komendant Adam popił, jak rzadko kiedy.

19.X. Czwartek. Byłem w Topólczy u „Norberta”, który obecnie tam się ukrywa. „Adam” polecił mi pisać historię OP 9. Zawiozłem mu archiwum pułku, składające się z niewielkiej paczki owiniętej w papier. „Norbert” w dobrej formie, trochę tylko zmizerniał. Stwierdziłem, że nie jest dokładnie poinformowany, co do przebiegu całej akcji mającej na celu zwolnienie go z więzienia i nie zdaje sobie należyte sprawy, jaką rolę w tym wszystkim odegrał „Grom”. I jeden i drugi piszą mi teraz szczegółowo swoje wspomnienia, przeżycia i wrażenia w związku z aresztowaniem i zwolnieniem tylu więźniów zamojskich.

Pod wieczór specjalny goniec z Zamościa. Zziany od szybkiej jazdy na rowerze, przywiózł mi wiadomość, że na Szczepieszynie i okolicę wyrusza jakaś ekspedycja (10 tankietek i 1000 żołnierzy na samochodach). Pisze o tym na konspiracyjnej kartce brat „Groma”, którego z kolei poinformował o tym kpt. Wolski – berlingowiec, komendant placu w Zamościu. Oczywiście natychmiast powiadomiłem o tym

kogo należy i w krótkim czasie już wszyscy zainteresowani otrzymali ostrzeżenie. Może jednak skończy się tylko na fałszywym alarmie. Na wszelki wypadek wszystko w domu pochowałem. Największy kłopot mam z tym, że „Leszcz” i „Katarzyna” mają ze sobą radiostację. Dziś nadawali depeszę szyfrowaną. Ale za to mamy teraz najświeższe wiadomości radiowe. Słuchałem parę razy komunikatów z Londynu, odbiór jednak jest fatalny i bardzo męczący, ponieważ naraz słyhać kilka stacji, a poza tym podczas nadawania komunikatów polskich specjalnie dużo jest jakichś postronnych szmerów, trzasków itp.

20.X. Piątek. Dzień dzisiejszy obchodzono w szpitalu wyjątkowo uroczysto, ponieważ jest to 25 rocznica przybycia mojego do Szczepieszyna i objęcia tutejszego szpitala. Dostałem dużo kwiatów, odbył się wspólny obiad dla całego personelu, wieczorem mieliśmy trochę gości u siebie.

Noc i dzień zeszły spokojnie. Dotychczas spodziewanej akcji nie było.

22.X. Niedziela. Pod Józefowem aresztowano Jeremiasza Bernarda, starszego już człowieka. Przy tej sposobności wzięto ppor „Beja”, oficera łącznikowego, który w tym czasie przebywał u niego, i jeszcze jakiegoś jegomościa. Z różnych stron dochodzą wiadomości o aresztowaniach właścicieli ziemskich.

24.X. Wtorek. Zapewne przygotowuje się jakaś wielka ofensywa bolszewicka. Już od paru dni zauważyliśmy wzmożony ruch na szosie, a dzisiejszej nocy wszystkimi drogami nieprzerwanym potokiem szły najrozmaitsze oddziały wojskowe – wszystkie rodzaje broni. W ciągu dnia sunęły tylko samochody – kierunek na Zwierzyniec. Żołnierze mówią, że idą na Kraków. Na mieście mnóstwo pijanych bolszewików. Handlują czym mogą, sprzedają różne rzeczy wojskowe, kupują wódkę i chleb. W nocy było kilka napadów rabunkowych.

Nie ustają aresztowania. W Zamościu aresztowano inspektora szkolnego Poniatowskiego, dyrektora Ubezpieczalni Społecznej Liper-ta, jego zastępcę i jeszcze wiele osób, nie wiem jednak kogo.

Zabity został niejaki „Spadochron” – żołnierz z oddziału „Groma”. Był to bardzo odważny i dzielny żołnierz w każdej akcji, lecz równocze-

śnie niepoprawny bandyta. Za różne wyczyny bandyckie miał już wyrok śmierci, lecz jakoś się wymigał. Poznałem go przed tygodniem na imieninach „Groma” i „Wrednej”. Niepokorny jegomość, średniego wzrostu o pospolitej twarzy. Nie zwróciłem na niego większej uwagi. W kilka dni potem poszedł na jakąś wyprawę bandycką, gdzie natknął się przypadkowo na podobną sobie grupkę bandytów. Wywiązała się strzelanina. „Spadochron” ranny w szyję zginął na miejscu. Ciekawy byłby jego życiorys – obok nie byle jakich wyczynów bojowych, za które dostawał od dowództwa „najwyższą pochwałę”, jak to było na przykład podczas napadu na posterunek policji ukraińskiej w Łukowej w październiku 1943 r. – miał on za sobą szereg napadów bandyckich, za które zasłużył na wyrok śmierci. Typów takich było więcej. Przypomina mi się taki „Wiewiórka” z Turzyńca – z oddziału „Podkowy”, odznaczony jeszcze w czasie pierwszej wielkiej wojny krzyżem *Virtuti Militari*. Był komendantem placówki. Nieustraszony i odważny bezprzykładnie, lecz równocześnie bandyta, którego musiano zlikwidować, na wiosnę tego roku.

25.X. Środa. Dziś aresztowano w Rozłapach „Kraśnika”, komendanta rejonu w Radechnicy. Sprowadził enkawudzistów chłop z Zapoża, jego były podkomendny.

W dalszym ciągu przechodzi przez miasto bardzo dużo wojska. Przerzucają je z Rumunii. Idą w kierunku na Sandomierz.

26.X. Czwartek. Wciąż przechodzą przez miasto wojska sowieckie. Wygląd oficerów i żołnierzy nie wzbudza zaufania. Szara, bezbarwna masa, bez należytego bojowego wyrazu. Przechodzące w swoim czasie wojska niemieckie przedstawiały się całkiem inaczej. Biła od nich potężna siła militarna, której zupełnie nie znać na formacjach sowieckich. Przekonywujemy się jednak, że tak jest tylko pozornie. Dziwimy się zarazem, że te znakomite, wspaniałe wyćwiczone i we wszystko wyposażone armie niemieckie muszą w końcu ulec swoistej potędze idącej od wschodu.

Z naszego terenu dochodzą wiadomości o wciąż nowych aresztowaniach, zwłaszcza w środowisku tzw. dziedziców, właścicieli majątków ziemskich lub nawet tylko dzierżawców. Szereg osób z tej sfery aresztowano właśnie w powiecie biłgorajskim. Na razie znam tylko 4 nazwiska – Jagowda, Ciuńdziewickiego, Łopuskiego, Matrasia.

27.X. Piątek. Aresztowanymi są Postuszyński, sekrestarz gminy Radecznicza, Osmulski – urzędnik sejmiku w Zamościu, Baran – komendant placówki w Niedzieliskach, Stefan Matraś z Tworyczowa. Wczoraj o 8 wieczór wzięto komendanta naszego rejonu, Franciszka Muchę – „Komara”, magazyniera cukrowni Klemensów. Wszystkie te coraz liczniejsze aresztowania sprowadzają bardzo ciężki nastrój w sferach zainteresowanych. Ludzie znani powszechnie w terenie nie wiedzą co z sobą robić. Siedzą w ukryciu, starają się jak najmniej pokazywać, robita na tym cierpi, wszystko się rwie.

W Zamościu jeszcze gorzej. Tam już wszystko z konspiracji weszło w głębsze nawet podziemie, aniżeli przy Niemcach. Niektórzy są formalnie osaczeni przez szpiclów. Taki na przykład „Sas” nie ma nawet gdzie nocować. Mjr „Wacław” zmuszony warunkami, ma wyjechać w inny teren, gdzie go nie znają. „Żuraw”, jeden ze zwolnionych z więzienia razem z „Norbertem”, już po raz trzeci wpadł w ręce NKWD. W dodatku został ranny.

Ja osobiście czuję się bardzo niepewnie. Jeżeli biorą już coraz więcej ludzi nie tylko ze środowiska czynnych oficerów i żołnierzy AK, zajmujących pewne stanowiska w organizacji, lecz i tych którzy byli w bliższym z nimi kontakcie, to w takim razie ja szczególnie jestem mocno zagrożony. Odczuwają już to i inni. Przebywanie na terenie szpitala nie jest już uważane za tak bezpieczne jak dawniej. W ostatnich dniach przychodzi już do nas mniej osób. Dziś wieczorem przy ciśnięci koniecznością przyszli do mnie Stefan Huskowski ze swym wujem Skolimowskim, obydwaj obecnie bezdomni, żeby ich przemocować i poszli spać do stajni... Po Stefana Huskowskiego przychodzili wczoraj znów do Sułowca. Dziś nawet matka jego wraz z rzeczami, jakie pozwolono jej zabrać, wyjechała z Sułowca.

Pomimo takiego bardzo niepewnego stanu rzeczy nie przerywam swej pracy redakcyjnej i przygotowuję coraz to nowe artykuły. Materiał mój rośnie jak na drożdżach. Mam już aż 3 opisy uwolnienia „Norberta” z więzienia – „Groma”, „Warty” i „Heńka”, czyli najważniejszych trzech uczestników, brakuje mi tylko czwartego – Nosewicza. Teczkę z materiałami do okupacji bolszewickiej muszę trzymać w głębokim ukryciu. Opracowywanie i przepisywanie na maszynie rzeczy z tego okresu odbywa się przy ciągłej czujności, co w niemałym stopniu utrudnia mi pracę. Tak jestem zajęty, że zupełnie nie mam czasu na

przepisywanie na maszynie swego pamiętnika. Przepisałem zaledwie sto kilkadziesiąt stron, reszta pozostaje w rękopisie. A tak chciałbym sam doprowadzić całość do porządku, bo jednak surowy rękopis wymaga wielu poprawek i uzupełnień.

30.X. Poniedziałek. Jeździłem rano do Zamościa. Lotnicy sowiecy dali mi samochód do mojej dyspozycji. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że szofer w Zamościu tak się upił, iż nie mógł prowadzić maszyny tak jak się należy. Wreszcie już pod samym Szczepieszynem całkiem stracił panowanie nad kierownicą i wyrznął bokiem samochodu w słup telefoniczny. Musieliśmy wysiąść i wróciliśmy do domu piechotą.

W Zamościu nastrój bardzo przykry. Wszyscy z konspiracji poszli w głębokie podziemie. Na ulicy nie widzi się nikogo z naszych ludzi. Spotkałem jednego tylko „Heńka”, wyglądającego też jak zaszcute zwierzę. Dużo jest berlingowców, formuje się kilka szpitali. Komentantem największego szpitala i równocześnie szefem sanitarnym bazy jest dr Sawicki. Połowy szpital chirurgiczny ma organizować dr Jentys przy pomocy dr Matuszewskiego, obydwaj ze szpitala w Szczepieszynie.

Wobec tego, że zostaję sam, zaangażowałem i przywiozłem z Zamościa medyczkę Helenę Poradowską, była lekarzką z OP 9 – znaną jako dr „Helena”.

31.X. Wtorek. Tak jak było zapowiedziane przyjechał wczoraj pod wieczór „Adam”. Przybyły też z Zamościa dwie jego znajome – „Ada” ze sztabu i „Irena” z BIP-u. Z gości zamówionych przez „Adama” byli jeszcze „Podkowa” i „Orkisz”. Nikogo więcej „Adam” nie chciał widzieć i awanturował się, że u nas ciągle ktoś jest. Najwięcej pieniał się z powodu „Leszcza”, który musiał szukać dla siebie jakiejś innej kwatery. Wieczór przeszedł nie w takim nastroju jak u nas zwykle. W dodatku zachowanie się „Ireny”, byłej aktorki dramatycznej, pozostawiało wiele do życzenia. „Adam” też nie był na właściwym poziomie. Na naszym odcinku wewnętrznym zaczyna być coraz gorzej.

Dziś rano milicja sułowska aresztowała nauczyciela Władysława Drabika „Wichra” z Deszkowic. Gdy ten, już w Szczepieszynie zaczął uciekać, jeden z milicjantów strzelił i zabił go na miejscu. W nocy

zlikwidowano niejakiego Hałasę, fotografa, który – jak to wywiad ustalił z całą pewnością – był konfidentem NKWD.

W nocy w kilku miejscach przeprowadzano bardzo ścisłą rewizję, a więc na „Husie”, w Błoniu, u „Dęba”, czyli u nauczyciela Krawczyka w Kawenczynie, u „Kawki”, Samulaka i Martyny. Na „Kępie” już czwarty raz byli po „Młota” i też w ciągu kilku godzin robiono dokładną rewizję, szukając broni, a na „Husie” i u „Dęba” całkiem wyraźnie tropiono „Adama”. Przez cały dzień łążą po mieście enkawudziści, koło szpitala kręcili się milicjanci. „Podkowa” i „Orkisz” po śniadaniu ulotnili się. „Adam” przeczekał do 4 i o swojej zwykłej porze, kiedy zaczyna się zmierzch, wyjechał rowerem gdzieś w stronę Zwierzyńca. Mnie ostrzeżono, żebym był na baczności, bo spodziewają się, że może jeszcze dzisiejszej nocy będą u mnie szukali „Adama” lub kogoś innego. Wobec tego nikt już „obcy” w szpitalu dziś nie nocuje, różne rzeczy pochowałem. Pudło z odbiorczo – nadawczym aparatem radiowym zostało wydobyte z ukrycia i przeniesione w inne miejsce, poza teren szpitala. W mieście wśród ludzi mniej lub więcej zainteresowanych panuje ciężki nastrój. W domu nikt nie nocuje. Na ulicach – pomimo jasnego światła księżycowego – na długo przed oficjalną godziną policyjną pusto, ani żywej duszy. Zupełnie jak to bywało przy Niemcach w okresie aresztowań i łapanek.

1.XI. Środa. Wbrew oczekiwaniom noc i dzień przeszły spokojnie.

2.XI. Czwartek. Śmierć „Wichra”, który padł zabity przez milicjanta, wzburzyła szeregi naszych żołnierzy. Zlikwidowanie milicjantów w Sułowie miało nastąpić jeszcze tego samego dnia. Coś jednak przeszkodziło temu zamiarowi. Zabity został tylko jeden, nie wiem przez kogo. Wczoraj natomiast o godzinie 3 w dzień, przeprowadzono już dobrze obmyślaną akcję na cały posterunek milicjantów – peperowców w Sułowie. Zlikwidowano 7 milicjantów. Komendant Magdziak, najgorszy z nich wszystkich, ukrył się na strychu i przez to się uratował (na razie!).

Są to sprawy niezmiernie przykre, ale niestety nieuniknione. Sułowscy milicjanci znani byli w całej okolicy i wiele już złego ludziom zrobili. Zabicie „Wichra” przebrało miarkę. Będzie to dobra naučka dla innych.

Miałem dziś sposobność przekonać się, w jak ciężkich warunkach pracują niektórzy nasi oficerowie. – Dziś np. „Leszcz” poszedł na wieś, do Kawenczyna, gdzie zainstalował swą radiostację i zaczął pracować wystukując o umówionej godzinie depeszę do Londynu. Wykryły to aparaty podsłuchowe na lotnisku w Klemensowie i zaraz wysłano ekspedycję z dwudziestoma żołnierzami sowieckimi na przyłapanie stacji. Nasze ubezpieczenie spostrzegło zbliżających się żołnierzy i zaalarmowało „Leszcza”, który w ostatniej chwili zdążył złożyć aparat i zwiać. I tak jest ciągle. Co parę dni radiostacja musi zmieniać miejsce postoju. „Leszcz”, „Katarzyna” (szyfrantka) i cała załoga pracują w ciągłym niepokoju, że ich w końcu przyłapią. A niebezpieczeństwo jest znacznie większe, aniżeli przy Niemcach.

3.XI. Piątek. Po mieście kręcą się enkawudziści i „berlingowcy” będący na usługach NKWD. W kilku miejscach przeprowadzono rewizje. Jest kilku aresztowanych, w tej liczbie były policjant granatowy, który ostatnio przebywał w oddziale „Groma” – Drabik, stryjeczny brat zabitego „Wichra”, i ppor. Drożdżyk, współwłaściciel młyna, znany w organizacji pod pseudonimem „Konar”. Mnie wciąż ostrzegają, żebym się miał na baczności, bo w każdej chwili mogą zawitać do szpitala.

4.XI. Sobota. Drabika puszczono, aresztowano natomiast dzisiejszej nocy por. Józefa Kołłątaja – „Ikara”, byłego nauczyciela, Haśca – „Wandecznego”, też byłego nauczyciela, obecnie „tytoniarza”, Feliksa Budzyńskiego – właściciela zakładu mechanicznego nie mającego nic wspólnego z organizacją, Hołowińskiego – byłego nauczyciela i jednego z żołnierzy kompanii wołyńskiej „Romka”, który przez dłuższy czas przebywał w szpitalu. Nie wiem kogo jeszcze wzięli. Byli w różnych miejscach, lecz poszukiwanych nie zastawali w domu. Ludzie się pochowali. U mnie od kilku dni nikt już nie nocuje. Szpital uważany jest obecnie za mocno skompromitowany i całkiem niebezpieczny.

Gdy się ściemniło przyjechał komendant „Adam” i zatrzymał się w aptece. Na jego wezwanie stawił się z Zamościa nowy zastępca komendanta, „Antoni” (dawniej „Janusz”). Wstąpił do nas, a ja go dopiero zaprowadziłem do „Adama”. Klnie Adam bez ogródek, za to, że przy tak niepewnej sytuacji w Szczepieszynie, ściąga tu ludzi i naraża ich

na niebezpieczeństwo. Na konferencji był nie dłużej jak pół godziny i wrócił do nas. Na noc ulokowaliśmy go u „Wrednej” i „Wydry”.

Bardzo jest teraz u nas nieprzyjemnie. Nawet przy Niemcach w ostatnich czasach czuliśmy się znacznie pewniej.

5.XI. Niedziela. Miałem dwugodzinną rozmowę z „Adamem”. Poruszyłem sprawę mojego udziału w rozwoju ruchu kulturalnego i umysłowego w Zamościu. Wobec tego, że przed wojną byłem bardzo czynny i przejawiałem dużo inicjatywy w tej właśnie dziedzinie, trudno mi obecnie usuwać się od wszystkiego. Zresztą nie widzę żadnej racji. Nie chciałbym przy tym, żeby to, co w swoim czasie robiło Koło Miłośników Książki lub mec. Rosiński i ja, brali teraz w swoje ręce ludzie niepowołani i prowadzili dalej tendencyjnie. „Adam” zgodził się w końcu z moim stanowiskiem i nie stawia już takich przeszkód jak przedtem. Wobec tego jadę jutro do Zamościa, żeby przystąpić do uporządkowania i otwarcia muzeum, zrobić coś z naszą biblioteką publiczną, z której książki znajdują się w piwnicy magistratu itd. Mam również dać do druku pierwszy tom naszego „Wydawnictwa materiałów do dziejów Zamojszczyzny” w latach obecnej wojny. Pójdą artykuły dotyczące wyłącznie terroru niemieckiego.

6.XI. Poniedziałek. Jeździłem do Zamościa. Złożyłem w drukarni, pierwszą część rękopisu do druku na ręce kierownika drukarni Sokółowskiego, z którym już od przeszło dwudziestu lat stale miałem do czynienia, ponieważ wszystkie nasze druki zamojskie to jego dzieło techniczne. Serdecznie uścisnęliśmy sobie dłonie na znak, że podejmujemy na nowo przerwana przez wojnę naszą działalność wydawniczą z życzeniem, żeby ten rozpoczynający się nowy okres był jeszcze bardziej owocny niż poprzedni.

Widziałem się z prof. Gajewskim. Już usunięto go ze stanowiska burmistrza i wrócił do gimnazjum na nauczyciela. Burmistrzem został niejaki Kowalski z zawodu murarz. Zastępcą jego – Kazanecki, znany działacz PPS, były kierownik w spółdzielni. Prof. Gajewski prawdopodobnie obejmie – po porozumieniu się z naszymi władzami miejskimi – prowadzenie muzeum jako jego kustosz.

Biblioteka naszego Koła Miłośników Książki, a właściwie jej szczątki, została już zabrana z komórki przy magistracie i wcielona do

powstającej nowej Biblioteki Powiatowej, organizowanej przez kierownika referatu kultury i sztuki przy Powiatowej Radzie Narodowej – Nachwaciuka.

W Zamościu nastrój nieprzyjemny. O nowych aresztowaniach co prawda nie słyszałem, ale przygnębia ogół społeczeństwa obecna rzeczywistość: rządzą nami ludzie nie mający żadnego przygotowania do stanowisk kierowniczych, nie orientujący się w sprawach zasadniczych. A to się fatalnie odbija na całości życia społeczno – gospodarczego. Wszędzie panuje niebywały chaos. I w dalszym ciągu – podobnie jak przy Niemcach – marnuje się dużo sił ludzkich, jak i naszego dorobku kulturalnego. Tak na przykład przy zabieraniu i parcelowaniu majątków ziemskich ulegają przeważnie zniszczeniu nieraz bardzo cenne dzieła sztuki, obrazy, meble, książki itp. Pomimo wydanych zarządzeń władze wykonawcze nie są w stanie zabezpieczyć tego wszystkiego. Ludzie rozchwytną co się da, co im wpadnie pod rękę: tym sposobem giną rzeczy częstokroć bardzo wartościowe, które powinny się znaleźć w muzeach i bibliotekach, jeżeli już nie mogą pozostać w rękach prawowitych właścicieli. Zaczynam już i ja obawiać się o los moich zbiorów.

Powróciwszy do Szczepieszyna dowiedziałem się o dalszych aresztowaniach. Wzięto mianowicie dezertarów berlingowców, podch. „Rysia”, ppor „Haka” i Leszczyńskiego brata „Kory”. O ile wiem, brali ostatnio udział w napadzie na sułowskich milicjantów.

NKWD było jeszcze w wielu miejscach, między innymi u „Wyrwy”, „Orlicza” i „Żegoty”. Nikogo nie zastali w domu. „Wyrwa” był w tym czasie w ogrodzie i zdążył zwać.

Taka nagonka paraliżuje oczywiście bardzo dotkliwie wszelką pracę konspiracyjną. Ludzie przede wszystkim muszą szukać dla siebie jakiegoś schronienia, nie mogą swobodnie poruszać się nie tylko po ulicach miasta, lecz w ogóle po całym terenie, ponieważ są znani, a wśród peperowców, milicjantów i gorliwych berlingowców coraz więcej jest byłych żołnierzy i podoficerów z oddziałów leśnych i czynnych dawniej członków organizacji. Konspiracja jest teraz o wiele trudniejsza, aniżeli przy Niemcach.

7.XI. Wtorek. Nasi ludzie tak mało się teraz udzielają, że nie mogą nawet dokładnie dowiedzieć się, kto faktycznie był wczoraj aresztowany.

W Zwierzyńcu aresztowano dziś Gustawa Świdę, obecnego ple-nipotenta Ordynacji Zamojskiej. Taka niepewna sytuacja ogromnie nas męczy i przeszkadza w pracy. Ja też nie mogę, jak się należy roz-łożyć ze swoją robotą. Muszę wciąż pamiętać o tym, że lada chwila może zjawić się u mnie NKWD i dlatego prawie wszystko mam po-chowane. Pracuję tylko dorywczo i ukradkiem.

8.XI. Środa. W Zwierzyńcu oprócz Świdy aresztowano jego sio-strzeńca Hempla z żoną i „Kaktusa”, syna policjanta Czernickiego, zmarłego w Oświęcimiu. W Szczepieszynie wzięto na ulicy Feliksa Radziszewskiego i jeszcze kogoś. Chodzą po mieście jakieś podejrzane typy bardzo źle ubrane, mówią po rosyjsku, czatują nieraz po kilka godzin w jednym miejscu i wypatrują nowych ofiar. Są to przebrani po cywilnemu enkawudziści. Taki stan rzeczy fatalnie wpływa na psy-chikę społeczeństwa. Ludzie są niezdecydowani nie wiedzą co robić. O aresztowanych dochodzą bardzo skąpe wieści, że trzymają ich w Zamościu w piwnicach, odżywiają bardzo źle, chociaż podczas badania nie biją. Żadnych paczek dostarczać nie wolno. W ogóle dowiedzieć się cokolwiek jest niesłychanie trudno. Rodziny aresztowanych bez-skutecznie siedzą w Zamościu i po całych dniach na próżno starają się zasięgnąć jakichkolwiek informacji o swoich najbliższych. Młodzież zaczyna coraz liczniej zapisywać się do wojska widząc w tym jedyne wyjście, chociaż też niepewne, bo w ostatnich czasach coraz więcej zdarzają się wypadki aresztowań berlingowców.

Zmieniają się i ogólne nastroje wśród ludności, zwłaszcza po wsiach. Chłopi nie są już dziś tak ofiarni i oddani sprawie jak w ostat-nich latach podczas okupacji niemieckiej. Nie są już tak skłonni do bezinteresownej pracy jak dawniej. Mieliśmy kapitalny przykład tego niedawno. Chodziło o wykopanie siedmiu grobów na cmentarzu w Szczepieszynie dla pochowania ekshumowanych zwłok żołnierzy z jednego oddziału dywersyjnego, zabitych przez Niemców w zasadz-ce niedaleko Rozłop. I chociaż pełno jest w Szczepieszynie i w okoli-cy naszych żołnierzy, to jednak nie można było nikogo skłonić, żeby wziął łopatę i wykopał grób dla swego kolegi. Musiał to w końcu zro-bić i za opłatą zawodowy grabarz cmentarny.

10.XI. Piątek. W dalszym ciągu sytuacja u nas naprężona. Nasi ludzie siedzą w ukryciu, po mieście nie chodzą. Wczoraj i dzisiaj był u nas tylko „Doniec”, który spędza tu po kilka godzin dziennie, nie wiedząc co z sobą robić, bo u siebie w domu nie może ani nocować, ani być dłużej. Już po niego przychodzili. Nic przez to nie wiemy co się dzieje na świecie i na naszym terenie. Mamy tylko legalne gazety. NKWD krąży po mieście nieustannie. Dziś aresztowano na przedmieściu dwóch Surmów, w mieście młodego Górnika. Z więzienia w Zamościu wypuszczono inspektora szkolnego Pomianowskiego. Wciąż spodziewane są u nas dalsze aresztowania.

11.XI. Sobota. Święto Niepodległości. Uroczyste nabożeństwo, potem akademie w sali kina. Przemówienie nauczyciela gminnego Niechaja „Rebusa” (zupełnie dobry mówca) i produkcje wokalne. Byli obecni przedstawiciele wojska sowieckiego. Jeden z nich też przemawiał. Po akademii odbyło się zarządzone przez zarząd miasta śniadanie, na które zostali zaproszeni oficerowie sowieccy w liczbie ośmiu i kilkanaście wybranych osób jako przedstawiciele miejscowego społeczeństwa. Posadzono mnie pomiędzy pułkownikami i przez to miałem możliwość cały czas z nimi rozmawiać i z bliska obserwować. Kilku miało wyjątkowo przyzwoity, najzupełniej europejski wygląd i zadziwili mnie swoją inteligencją. Bardzo zwracali uwagę na formy towarzyskie. Prawie wszyscy przemawiali wznosząc propagandowe toasty na różne sposoby wspominając „wielką, niepodległą, demokratyczną i suwerenną” Polskę, rolę Czerwonej Armii w oswoobodzeniu „bratniego narodu”, „wielkiego towarzysza Stalina”, ronili łzy nad dolą nieszczęsnych Polaków jęczących w niewoli niemieckiej itd. itd. Oczywiście wszyscy popili, ale muszę przyznać, że oficerowie sowieccy byli bardziej wstżemieźliwi od niektórych obywateli miasta. Dużo śpiewano. Patrzyłem na wszystko bardzo krytycznym okiem. Z ciekawością obserwowałem poszczególne typy ludzkie i ich zachowanie w miarę wzmagania się działania alkoholu. Ogarniało mnie uczucie wielkiego niesmaku, gdy niektórzy przesadzali w uprzejmości, kadzeniu i „brataniu” się z poszczególnymi oficerami, na przykład z takim młodszym lejtnantem Niewolinem, komendantem wojennym miasta, którego nawet siedzący obok mnie podpułkownik nazwał pogardliwie i lekceważąco „soplak”, co znaczy dosłownie „zasmarkany

szczeniak”. Zbyt dużo śpiewano po rosyjsku, zbyt dużo wychylono kieliszków na cześć Armii Czerwonej. Z ulgą odetchnąłem, gdy się śniadanie nareszcie skończyło i mogłem wrócić do domu. W międzyczasie aresztowano nauczyciela szkoły powszechnej Adama Szyduczyńskiego, najspokojniejszego człowieka, który nigdy nie należał do żadnych tajnych organizacji i nic nie miał wspólnego z AK. Jeszcze dziś rano widziałem go jak prowadził do kościoła dzieci szkolne z Błonia z biało-czerwonymi chorągiewkami w rękach.

Dzisiejszej nocy przeprowadzono rewizję u „Wyrwy” szukając trzech braci Książków – „Wyrwę”, „Nieuchwytnego” i „Orlicza”. Na przedmieściu szukano Biziora, czyli „Kruka” – szefa kompani od Podkowy, w mieście byli u Poździka „Wrzosa” i u Ryznera „Pioruna”. Jak widać mają zamiar wyłapać stopniowo wszystkich członków AK, natrafiając czasem na zupełnie niewinnych ludzi, stojących na uboczu od wszelkiego ruchu społecznego czy też politycznego.

Wczoraj wieczorem miał przyjechać do Szczepieszyna „Adam”. Dotychczas go nie ma. Ponieważ jest zawsze bardzo punktualny i niezawodnie stawia się na wyznaczone z góry miejsca, więc jesteśmy zaniepokojeni czy coś się nie stało, bo w ostatnich czasach parę razy już o mały włos nie wpadł w ręce milicjantów peperowskich – w Zamościu i w Lublinie. Na spotkanie z „Adamem” już przyjechało parę osób. „Antoni” i „Orkisz” zamówieni przez „Adama”, byli u nas na kolacji. Nikt jednak teraz u mnie nie nocuje, uważając szpital za punkt mocno zagrożony.

12.XI. Niedziela. „Adam” i dziś nie przyjechał, pomimo zapowiedzianej odprawy. Zebrali się u mnie „Orsza” z adiutantem, „Łyś”-”Norweg”-”Żelazny”, „Orkisz”, „Doniec”. Niektórzy siedzieli prawie przez cały dzień, aż do zmroku, na próżno czekając jakichkolwiek wiadomości o „Adamie”. Teraz nie mamy już wątpliwości, że musiały zajść nie byle jakie okoliczności, jeżeli sam nie przyjechał na odprawę i nie zawiadomił, że stawić się nie może. Oficerowie nasi są w takiej depresji jak jeszcze nigdy, zwątpieni, zrezygnowani, bezradni. NKWD w dalszym ciągu krąży po mieście starając się wyłapywać młodzież wojskową. Nauczyciela Szyduczyńskiego – wypuszczono.

14.XI. Wtorek. Nie mamy żadnych wiadomości ani o „Adamie”, ani o „Leszczu”. W Zamościu zabito dwóch oficerów sowieckich w chwili,

gdym chcieli legitymować jakichś cywilów, z tego powodu obawiamy się jeszcze większych represji. Wczoraj pod wieczór „podgazowany” lotnik zrzucił bombę nad Brodami. W tym czasie wracały właśnie dzieci ze szkoły. W rezultacie dwoje dzieci zabitych, dwoje rannych.

16.XI. Czwartek. W cukrowni Klemensów aresztowano szefa kancelarii Stefana Jaworskiego „Czeremchę” i gospodarza Engelhardta, który o ile – o ile wiem – wcale nie brał udziału w życiu organizacyjnym. W Zamościu aresztowano sędziego Miklińskiego i jego żonę, u której był punkt kontaktowy. „Antoni” pojechał do Lublina po informacje – co robić dalej. Część aresztowanych wywieziono już z Zamościa. Dokąd – nie wiadomo. O „Adamie” i „Leszczu” w dalszym ciągu nie ma żadnych wiadomości. Sieć organizacyjna rwie się coraz bardziej. Ludzie pozostali jeszcze na wolności są zdezorientowani, główny ich wysiłek kieruje się ku temu, gdzie by się ukryć, bo teraz wszędzie jest bardzo niebezpiecznie. Wszelka robota coraz bardziej zamiera. Już od dawna nie mamy żadnych komunikatów radiowych. Jest całkiem źle i nie ma nadziei, żeby w najbliższym czasie sytuacja poprawiła się na lepsze.

Wczoraj niespodziewanie dostałem napadu sercowego. Dziś cały dzień leżę w łóżku.

17.XI. Piątek. Dziś rano ku naszej niepomiernej radości zjawili się nagle „Leszcz” i „Katarzyna”, których mieliśmy już za straconych. W Suścu aresztowano nadleśniczego Ordynacji Zamojskiej Kazimierza Pożarskiego i jego paru urzędników.

Coraz więcej naszych chłopców idzie do wojska. Zdaje się, że nie ma innego wyjścia. – Ostatnio zgłosił się do wojska „Sławian” wraz z kilkoma kolegami. W liście do „Orszy” tłumaczy się ze swego kroku: chce nabyć większej wiedzy wojskowej i zwalczać komunizm od wewnątrz.

18.XI. Sobota. Dziś w południe zmarł nagle na serce Jan Bac, emerytowany urzędnik cukrowni, legionista I Brygady. Bardzo porządny człowiek, cieszący się ogólną sympatią.

19.XI. Niedziela. Aresztowania nie ustają. W Zamościu aresztowano „Haka” Kazka – jednego z tych czterech, którzy brali udział w uwol-

nieniu „Norberta” z więzienia. W Szczepieszynie wzięto Dubiela i Aleksandra Józwiakowskiego, w cukrowni Marczaka. Engelhardta zwolniono. O „Adamie” krąży, na razie jako plotka, wiadomość, że został aresztowany w Lublinie.

Na mieście rozlepiono nowe zarządzanie komendanta wojskowego na powiat zamojski: chodzić można tylko od 7 rano do 7 wieczór, nie wolno nikogo zatrzymywać na noc bez uprzedniego zameldowania, zaciemnianie okien musi być ściśle przestrzegane. Należy zarejestrować wszystkie maszyny do pisania, oddać wszystkie rzeczy wojskowe. Nie stosującym się do tych przepisów grozi sąd polowy. Słowem nową okupację odczuwamy już w całej pełni. Żywo przypomniały mi się czasy niemieckie.

21.XI. Wtorek. Wczoraj około godziny 6 wieczorem wpadło do mego mieszkania dwóch bandytów w czapkach mocno nasuniętych na oczy, z twarzami całkowicie zasłoniętymi szalikami, z „uisami” w rękę. Trzeci pozostał w przedpokoju. Oczywiście w jednej chwili sterroryzowali nas wszystkich, każąc kłaść się na ziemię. Herszt bandytów zaczął mnie bić i kopać, żądając natychmiastowego wypłacenia 100 tysięcy złotych. Dałem, ile miałem w szufladzie i w portfelu, w sumie około 15 tysięcy złotych. Następnie przeszedł do pokoju sypialnego żony i tam wraz z drugim napastnikiem zaczęli plądrować po szafach i zabierać wszystko, co cenniejsze, co tylko wpadło im w ręce. W rezultacie zrabowano biżuterie żony, trzy nasze zegarki, prawie całą bieliznę, ubrania, palto, obuwie. Poniesione straty można w przybliżeniu obliczyć na przeszło milion złotych. Byli więcej jak pół godziny. Przez cały czas przynaglali do pośpiechu, kazali nam wiązać toboły z rzeczami, podawać sobie różne przedmioty, a przy czym główny bandyta kilka razy mnie uderzył. Gdy już mieli odchodzić, kazali nam znów położyć się i ten sam bandyta zaczął mnie mocno kopać butami, wypominając rzekomo złe obchodzenie się z rannymi żołnierzami w 1939 r. i „wyrzucanie” ze szpitala żołnierzy zza Buga w ostatnich miesiącach. Tymczasem w przedpokoju gromadziło się coraz więcej osób, gdyż stojący tam na warcie bandyta zatrzymywał każdego wchodzącego i kazał mu kłaść się na podłogę.

Bardzo dzielnie zachowała się pielęgniarka szpitalna Michalina Wosińska, która w chwili wtargnięcia bandytów przypadkowo była

u mnie w gabinecie. Zaczęła z nimi kłócić się i wymyślać im przede wszystkim dlatego, że obydwóch od razu poznała. Ten, który mnie bił, to „Sten” Tadeusz Niedźwiecki, syn byłego woźnego gimnazjum w Szczepieszynie, były policjant za czasów niemieckich, potem żołnierz w kompani „Podkowy”. Po rozbrojeniu naszych oddziałów przez pewien czas leczył się u mnie w szpitalu. Drugi to „Piorun” Wiatrowski ze Szczepieszyna żołnierz z oddziału „Wrzosa”.

W pewnym momencie „Sten” Niedźwiecki strzelił. Kula utkwiła w suficie nad moim biurkiem. Wreszcie odeszli nakazując, żebym przygotował 100.000 złotych, po które zgłoszą się za tydzień. Po ich odejściu dowiedziałem się, że w pokoju żony, z szafy, zabrali 30.000 złotych, które dopiero co otrzymała z kwatermistrzostwa „Katarzyna” na utrzymanie stacji radiowej. Bo właśnie obecnie „Katarzyna” gości u nas.

Zbity i skopany zacząłem zbierać myśli. Mieszkanie wyglądało tak, jak zwykle po pogromie. Stratami materialnymi i tym, że pozostatała mi tylko jedna koszula i jedna para skarpetek, jakie miałem na sobie – nie przejmowałem się wcale. Bolało mnie co innego, mianowicie fakt kopania mnie i bicia z zarzutami najzupełniej bezpodstawnymi. Bo przecież w 1939 r. dałem całego siebie przy organizowaniu opieki i leczeniu rannych żołnierzy, a obecnie – jeszcze do dziś, od chwili rozbrojenia, czyli od 30 lipca, trzymam u siebie kilku zupełnie zdrowych żołnierzy wołyniaków z kompanii „Białego”, którzy nie chcą nigdzie pracować, łążą po mieście, piją i robią awantury. Ale to już tak teraz powszechnie utarło się, że przy napadach, bandyci wysuwają jakieś pobudki patriotyczne dla usprawiedliwienia rabunku. Mieliśmy przy tym przed oczyma nad wyraz smutny obraz strasznej demoralizacji w szeregach byłych naszych żołnierzy dywersji. Nigdy nie przypuszczałem, że którykolwiek z żołnierzy OP 9 będzie mógł dokonać napadu bandyckiego na mnie, gdyż zanadto byłem znany i za blisko współżyłem z ludźmi „z lasu”.

Tak się jednak ułożyły warunki. Do berlingowskiego” wojska chłopcom naszym iść nie pozwolono, nie zaopiekowano się nimi tak, jakby to należało, puszczono samopas, żołd wypłacono w wysokości nie wystarczającej do utrzymania się, zwłaszcza dla tych, którzy lubią i wypić i zabawić się. Przy słabych więc podstawach moralnych, odzwyczajeni od zwykłej pracy, zaprawieni już do różnych gwałtów,

niektórzy zaczęli łątwo pozbywać się skrupułów i stali się faktycznie bandytami. Dlatego podobne napady rabunkowe dokonywane przez byłych żołnierzy dywersji w ostatnich czasach są zjawiskiem niemal codziennym. I, niestety, zapewne będą jeszcze częstsze.

Zgnębieni jesteśmy bardzo jeszcze czym innym. Tym mianowicie, że jeden po drugim giną nasi najlepsi ludzie. W sobotę, 18 listopada, około godziny 6 wieczorem wyszedł od nas „Leszcz” w towarzystwie niejakiego Wiśniewskiego ze Szczebreszyna. Udali się w stronę Kawenczyna, gdzie mieli bardzo ważną i terminową czynność przy radiostacji. Lecz do Kawenczyna nie dotarli i wszelki ślad po nich zaginął. A przedwczoraj, w niedzielę 19 listopada o godzinie 7 wieczorem wyszedł od nas najbardziej wartościowy i najinteligentniejszy oficer ze sztabu inspektoratu przemiły Antoś „Orkisz”, który miał przenocować w Szczebreszynie, niedaleko szpitala i wpadł w ręce NKWD. Wczoraj rano powinien być u nas służbowo. Nie stawiał się, tam gdzie miał nocować również nie był. Nie mamy wątpliwości, że i on przepadł. Zauważyliśmy, że w pobliżu szpitala, pod wieczór, już od kilku dni kręca się jakieś podejrzanym typy sowieckie. Wczoraj chcieli zatrzymać „Dońca”, gdy wychodził ze szpitala, ale ten im uciekł.

W Zamościu aresztowano „Karola”, w Lublinie zatrzymują zgłaszających się do wojska akowców.

Tymczasem ogólna sytuacja u nas jest katastrofalna. Z okręgu z Lublina przesłano depeszę szyfrowaną do Zamościa, by nadać ją do Londynu. Bo trzeba wiedzieć, że jedyna w okręgu lubelskim stacja nadawczo-odbiorcza, która była jeszcze czynna, zmieniając co parę dni swoje miejsce postoju, to była stacja „Leszcza”. Szyfrantką u niego jest „Katarzyna”. Oboje przed paru dniami przyjechali do nas na chwilowy odpoczynek, przy czym „Leszcz” montował stację w Kawenczynie chcąc stamtąd nadać i odebrać depeszę z Londynu. Tymczasem „Leszcz” znikł, „Karol”, który też umiał posługiwać się aparatem, został aresztowany. Jest jeszcze „Iskra” obeznany z tą czynnością „Iskra”, lecz ten siedzi o 50 kilometrów od nas i dopiero mogą pójść po niego konie. A depesza przesłana z Lublina jest niezmiernie ważna i pilna. Odcyfrowała ją „Katarzyna”. Jest to meldunek-wezwanie do gen. Kopańskiego od „Ignacego”, obecnego komendanta okręgu. Zaczyna się od słów „Okręg rozbity...”, dalej idą krótkie wiadomości o masowych aresztowaniach, rozstrzeliwaniu bez sądu, o konieczności natychmia-

stowej, jak najszybszej interwencji rządów Anglii i Ameryki. Kończy się depesza trzykrotnym (!) „SOS”. I takiej depeszy datowanej jeszcze na 15 listopada, nie można nadać, bo nie ma ludzi obeznanych z aparatem. Jedyna nadzieja, że może jeszcze "Iskra" przyjedzie..

22.XI. Środa, rano. Taki jestem zбитy i tak mnie wszystkie gnaty bołą, że wczoraj prawie cały dzień leżałem. Zajście przedwczorajsze odbiło się zwłaszcza na moim sercu, które w ostatnim tygodniu mocno szwankowało. I dziś z trudem mogę chodzić, tak mnie boli pokopana noga. Siedzę więc w mieszkaniu i staram się pisać różne rzeczy, lecz muszę to czynić z wielkimi ostrożnościami, ponieważ wciąż żyjemy pod grozą najścia NKWD. Najbardziej kompromitujące mnie materiały usunąłem całkiem poza obręb szpitala. Ciężko idzie mi praca w takich warunkach, ale w żaden sposób nie mogę usiedzieć z założonymi rękami, zwłaszcza jeśli mam jeszcze tak dużo do zrobienia.

Zaiste dziwne dzieją się rzeczy. Siostra Michalina, zawsze bardzo odważna, poszła wczoraj do meliny Niedźwieckiego i odbyła z nim długą rozmowę na temat dokonanego napadu. W rezultacie podobno wyrażał wielki żal z powodu tego, co się stało i oddał parę drobniaków, w tym mój srebrny wawrzyn akademicki, o który mi bardzo chodziło. Wyjaśnił też ciekawy szczegół, że szli do szpitala z zamiarem zabicia mnie, a potem zrabowania całego mieszkania. Obecność siostry Michaliny w gabinecie tak ich speszzyła, że ograniczyli się jedynie do pobicia mnie i rabunku. Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to tylko przypadkowi zawdzięczam życie.

Wieczorem wpadł do mnie Sęp, który też przyniósł parę złotych pięćorublówek i upewnił, że stara się o odebranie wszystkiego, co się tylko da, chociaż jest to bardzo trudne ze względu na dokonany podział łupu. Mówił, że Niedźwiecki bezwarunkowo będzie „rąbnięty”. W tej sprawie głosu nie zabieram. Nie żądam tego rodzaju kary, ale i nie bronię wcale. Niech robią, co będą uważali za stosowne...

Wieści coraz gorsze. Dziś rano w Zwierzyńcu aresztowano komendanta placówki „Pociska” (nauczyciel Jan Pacześny/) i byłego adiutanta „Adama” – „Cezarego” (Marian Kleban). Oprócz tego młodego Czerneckiego, syna policjanta i jeszcze kilku młodych chłopców na Rudce, u których znaleziono broń i amunicję. Rewizji i aresztowań dokonywali żołnierze mówiący po polsku w mundurach berlingowców.

Z Zamościa nadeszły straszne wiadomości: „Orkisz” i „Leszcz” siedzą w jakiejś piwnicy, przy czym „Leszcz” pod terrorem napisał kartkę do pewnego jegomościa (Kuklińskiego w Tomaszowskiem), u którego złożony był sprzęt jednej ze stacji radiowych z poleceniem wysłania go. Oczywiście zabrano i sprzęt i Kuklińskiego. Co będzie dalej? Czy „Leszcz” potrafi nie powiedzieć czegoś więcej, czy nie wskaże stacji w Kawenczynie, czy nie powie czegoś o „Katarzynie”, o nas? Jesteśmy wszyscy doszczętnie zgnębieni, ręce ludziom opadają, nie wiemy co robić. A jednak musimy do ostatka trwać na swoim stanowisku. Ja zdaję się, jak dotychczas, na los szczęścia. Pomimo wszystko siedzę przy biurku i przepisuję na maszynie pierwszą część swojego pamiętnika z czasów obecnej wojny.

24.XI. Piątek. Wczesnym rankiem zauważyliśmy przez okno, że „berlingowcy” obstawili naprzeciw nas kamienicę Guzowskiego i czegoś tam szukają. Przy pilniejszej obserwacji przekonaliśmy się, że tak jest w całym mieście.

Przed ósmą weszło do szpitala około 10 bolszewików i dwóch wojskowych w mundurach polskich – podporucznik i szeregowiec. Wśród bolszewików było 3 oficerów. Sowiecki kapitan poprosił mnie do kancelarii na rozmowę w cztery oczy, reszta rozlazła się po całym szpitalu. Kapitan, bardzo spokojny, uprzejmy, starający się okazać życzliwość, zaczął mnie wypytywać niemal z punktu o Armię Krajową: ilu miałem i mam u siebie akowców, czy często tu przychodzą itd. „Niech pan się nie obawia, my pana niepokoić nie będziemy, chociaż pan też jest w AK. My dobrze o tym wiemy...” itd. Rozmowa trwała długo. Zażądał wykazu pracowników i spisu chorych. Interesował się przede wszystkim nazwiskami młodych ludzi od 20 do 30 lat. Wyciągnął z kieszeni kilka arkuszy zapisanych pismem maszynowym i sprawdził, czy niektórych wyczytywanych przeze mnie nazwisk nie ma na swojej liście. Potem kilkakrotnie pytał o jakiegoś Wróblewskiego, intendenta zaś zapytywał o Książka, tzn. o „Wyrwę”. Następnie obezliśmy cały szpital. Zaglądali wszędzie, nie pominęli żadnego kąta, żadnej szafy, żadnej szczeliny. Tak szczegółowej rewizji nie mieliśmy jeszcze nigdy, nawet przy Niemcach. U mnie w mieszkaniu, w pokoju sypialnym, przejrzeli wszystkie szafy, ale tylko powierzchownie. Szczegółowiej przetrząsnęli szafę synka i dużą skrzynię z ubraniami.

– Gdy weszli do mego gabinetu, w którym wszystkie ściany zastawione są od podłogi do sufitu półkami z książkami, kapitan pokiwał głową i powiedział: "Ależ ma pan bogatą bibliotekę. No, to tu już szukać nie będziemy. I niczego nawet nie tknęli. Natomiast w sąsiednim pokoju dra Matuszewskiego, o którym wyjaśniłem im, że jest powołany do wojska i znajduje się w szpitalu wojskowym w Zamościu, przeprowadzili tak ścisłą rewizję jak w żadnym innym pomieszczeniu. Najgorliwszym okazał się ppor. Kowalski szef wydziału bezpieczeństwa na powiat zamojski. Przeglądał wszystkie książki i pisma na półce, przejrzał najdokładniej zawartość wszystkich szuflad w biurku, szafy, tapczan, walizki, pudełka itp.

Bardzo nieprzyjemne zajście miało miejsce w piwnicy. Znaleźli tu mianowicie w kartoflach Niemca, młodego 19-letniego chłopaka, który jako żołnierz ciężko ranny w głowę w lipcu tego roku pozostał w szpitalu i po wyleczeniu się pracował u nas przy gospodarstwie szpitalnym na podwórzu. Trzymałem go u siebie ponieważ okazał się doskonałym robotnikiem, niezwykle starannym. W swoim czasie meldowałem komendantowi wojennemu, że mam ранego Niemca jeńca w szpitalu i nigdy go przed nikim specjalnie nie ukrywałem. Teraz ze strachu sam się schował i oczywiście wpadł fatalnie. Myślałem, że jeden z oficerów zastrzeli go tu na miejscu. Zabrali go ze sobą.

Rewizja trwała przeszło 3 godziny. Przez ten czas nikogo ze szpitala nie wypuszczali, a wszystkich wchodzących zatrzymywali w poczekalni zapytując, po co kto przychodzi. Przed odejściem oficerowie wraz z dwoma innymi, którzy nadeszli pod końcem rewizji zamknęli się w łazience i tam odbyli jakąś naradę. Czuliśmy, że się ważą nasze losy. Wreszcie wszyscy opuścili szpital nie kiwnąwszy nam nawet głową na pożegnanie. Odetchnęliśmy, lecz tylko na razie, bo absolutnie nie mamy pewności, czy do nas nie wrócą jeszcze raz i czy znowu nie zaczną czegoś szukać. Z tego, co mówili czasem między sobą, mogłem zrozumieć, że spodziewali się u nas obfitszego plonu.

Przez resztę dnia szpital był jak zapowietrzony – nikt z miasta do nas nie przychodził i myśmy nigdzie nie wychodzili. Tylko poczciwy „Doniec” przysłał jakąś dziewczynę, zapytując o nas. Wiemy jednak o bardzo licznych rewizjach i o zabraniu wielu ludzi. Szczegóły będą znał dopiero jutro. Dużo nerwów kosztował mnie dzień dzisiejszy.

25.XI. Sobota. Bardzo mało dowiedziałem się o wczorajszym dniu w Szczepieszynie i nie mam dokładnego spisu aresztowanych. Najwięcej jednak osaczony był szpital i kamienica Budzyńskiego, gdzie mieściła się restauracja, popularnie zwana „Aliantką”, założona przez grupę byłych dywersantów po rozbrojeniu naszych oddziałów przez bolszewików. Przez długi czas skupiali się tam niemal wszyscy byli żołnierze i nieraz po kilkunastu zasiadali przy jednym stole, nic sobie nie robiąc z władz sowieckich. Dopiero gdy na serio zaczęły się prześladowania AK, restauracja opustoszała i zatraciła swój dawny charakter. – Otóż wczoraj aresztowano tam pracowników – Cichocką, Stropkównę i Miecicia Stoińskiego.

Na mieście w różnych miejscach aresztowano kilku Volksdeutschen (Teofila Okrosia, Piotra Rypina, żonę chorego Franciszka Rypina, Wójtowicza i innych), młodego Leszczyńskiego, ucznia gimnazjum Zdzisława Błazuckiego, właściciela kina Krzeszowskiego, w cukrowni urzędnika z biura Małkowskiego i jeszcze wielu innych, o których będę w dalszym ciągu starać się zasięgnąć informacji, chociaż kontakt mój z miastem prawie całkowicie został przerwany.

Miałem dziś znowu ciężką wizytę. O godzinie 3 po południu przyszedł do szpitala wczorajszy podporucznik Kowalski i jakiś nowy major NKWD w asyście dwóch żołnierzy. Wzięli mnie do kancelarii na badanie. Najpierw w sprawie znalezionej w piwnicy Niemca. Zadawano mi szereg pytań, przy czym Kowalski pisał protokół, który potem dał mi do przeczytania i podpisania. Mówiąc nawiasem ppor. Kowalski pisał ów protokół po polsku, lecz bez żadnego pojęcia o ortografii. Potem już bez protokołu zaczęto mnie indagować o stosunki z AK, o moje sympatie dla „faszystów” itp. Powiedzieli, że wszystko o mnie wiedzą, że ukrywam u siebie różnych „bandytów” poszukiwanych przez władze bezpieczeństwa, że mają dokładne dane o tym, kiedy, gdzie i z kim rozmawiałem itd. Zaprzeczyłem kategorycznie, jakoby miał należeć do AK lub ukrywać u siebie bandytów, a że wielu ludzi znam, to nie ma w tym nic dziwnego, jeżeli już przeszło 25 lat mieszkam na jednym miejscu. W tym momencie Kowalski wyciągnął z kieszeni portfel, wyszukał w nim jakąś fotografię i pokazując mi ją powiada: „Kto to jest ten pan? – A ja wiem kiedy i gdzie pan z nim ostatni raz rozmawiał”. Była to oderwana z legitymacji, nosząca jeszcze na sobie ślady pieczęci niemieckiej, fotografia starego Skolimow-

skiego, wuja Stefana Huskowskiego, dziedzica z Surhowa w powiecie krasnostawskim, który po odbiciu go z więzienia w Krasnymstawie rzeczywiście ukrywał się jakiś czas w Szczepieszynie i kilka razy był w szpitalu. Wreszcie major oświadczył, że ze mną nie jest dobrze, że będą prowadzili dalsze dochodzenia i jeżeli ja w dalszym ciągu będę podobnie się zachowywał lub jeżeli zeznania pracowników szpitalnych i chorych potwierdzą prawdziwość posiadanych przez nich informacji o mnie, to chyba sam to rozumiem – los mój będzie przesądzony. Trzymano mnie równo półtorej godziny. Zmordowany byłem strasznie. Teraz dopiero pojąłem jaka to jest piekielna rzecz ciągle powtarzające się badania trwające nieraz po kilka lub kilkanaście nawet godzin, ile trzeba przy tym wysiłku, ażeby opanowywać się, mocno trzymać się i nie pokazać po sobie jakiegokolwiek zdenerwowania albo niepokoju, czując na sobie przenikliwy, badawczy wzrok enkawudzisty.

Gdy już wreszcie skończyło się dzisiejsze badanie, wróciłem do siebie do mieszkania kompletnie rozbity, jeszcze więcej niż wczoraj. Ze strachem i wstrętem myślę o ewentualnych dalszych badaniach, a już teraz nie wątpię, że będą mnie często nachodzili. Oczywiście przesładuję mnie również myśl, co ze mną ostatecznie zrobią – czy aresztują i wywiezą gdzieś, czy też zostawią mnie na wolności. W każdym razie bez wahania postanowiłem trzymać się mojej stałej zasady: nie uciekać, nigdzie się nie ukrywać, trwać do ostatka na swoim stanowisku i zdać się na los szczęścia.

Z Zamościa nadeszła niesprawdzona zresztą wiadomość, że przed paru dniami na lotnisku w Mokrem wylądował samolot amerykański i dziewięciu Amerykanów przebywa teraz w mieście, wywołując wśród publiczności niesłychaną sensację i entuzjazm. Wszyscy zadają sobie pytanie, co to ma znaczyć? Nowe marzenia, nowe nadzieje...

W gajówce Krzywe, w brodzkim lesie, aresztowano gajowego Kawkę z całą rodziną, gajowego Lota i jeszcze parę osób. Przeprowadzono tam nadzwyczaj szczegółową rewizję, znaleziono różne rzeczy. Gajówka Krzywe podczas okupacji niemieckiej, zwłaszcza w 1943 i 1944 roku odgrywała niemałą rolę w życiu oddziałów leśnych. Pomimo bliskości Szczepieszyna, przewijały się tędy setki partyzantów. Tu była siedziba por. „Wrzosa”. Bezspornie gajówka ta i jej gospodarz zasłużyli na osobny rozdział w historii zamojskiej partyzantki.

26.XI. Niedziela. Dzisiejszej nocy aresztowano Głowackiego, właściciela małej restauracji uczęszczanej przeważnie przez akowców, oraz starego Skibę.

Wszyscy jesteśmy okropnie zmęczeni i wyczerpani nerwowo. Dowiedziałem się dziś z gazet sowieckich, że Mikołajczyk ustąpił i premierem nowego rządu polskiego został Jan Kwapiński. Wstąpiła w ludzi nadzieja, że może teraz dojdzie wreszcie do porozumienia, którego tak gorąco pragnie cały naród, całe społeczeństwo polskie.

Niech rząd będzie jak najbardziej lewicowy – ja zawsze twierdziłem, że po wojnie nie może być inny – ale niechże życie nasze wejdzie na jakieś normalne tory, niech już wreszcie przestaną ginąć najlepsi nasi ludzie. I żeby nikt nieproszony nie wtrącał się do naszych spraw wewnętrznych.

28.XI. Wtorek. Wczoraj o godzinie 8 wieczorem przyszło do szpitala dwóch uzbrojonych żołnierzy w mundurach polskich. Po krótkiej rozmowie ze służbą i zapaleniu w kuchni papierosa, zabrali posługaczkę Julię Rokoszną i wprowadzili ją ze sobą. Podczas okupacji gorliwie służyła ona Niemcom pracując na lotnisku i utrzymując z nimi aż nazbyt bliskie stosunki. Obecnie podejrzewano ją o jakieś konszachty z „berlingowcami”. Uważano ją również za bardzo niebezpieczną w razie badania przez NKWD, ponieważ z całej służby była najbliższym świadkiem tego, co się w tym szpitalu działo, kto u nas przebywał, kto nocował itd. Myśleliśmy, że ją gdzieś „rozwałą”, tymczasem około 3 w nocy wróciła do szpitala. Nic nie mówi, gdzie była. My jednak już wiemy, że wzięto ją na badanie, które przeprowadzał „Gruda”, przy czym dostała porządne lanie. Zapowiedziano jej, że jeżeli choć cokolwiek będzie mówiła, co by mogło nam zaszkodzić, to ją „rąbną” bez żadnego gadania.

Dziś o zmroku zebrała się na cmentarzu grupka dywersantów – „Gruda”, „Piorun” (Ryzner), „Błyskawica”, „Mongol”, „Sten” (Niedźwiecki) i jeszcze paru innych. Wszyscy uzbrojeni, jak się należy. Wybierają się na jakąś „mokrą” robotę. Mają zlikwidować jakiegoś rzekomo szkodliwego szpicla. Widziała się tam z nimi i rozmawiała siostra Michalina.

Mam jednak duży niesmak wiedząc, że nasi oficerowie działając z pobudek ideowych dopuszczają do współpracy z sobą takich jaw-

nych bandytów jak np. Niedźwiecki, „Piorun” (Wiatrowski) itp. Takie tolerowanie bandytyzmu w szeregach organizacji uważam za objaw bardzo smutny, świadczący o zaniku elementarnych zasad etyki. W danym wypadku odgrywa pewną rolę i to, że Niedźwiecki dokonał napadu właśnie na mnie, zbił mnie i skopał, a pomimo tego nie został ukarany chociażby przez odsunięcie od pracy w ramach organizacji.

Działalność NKWD na mieście nie ustaje. Dziś rano aresztowano na ulicy jednego z moich byłych chorych, żołnierza kompanii wołyńskiej Zwolaka, którego w żaden sposób nie mogłem pozbyć się ze szpitala. Obawiam się, że znów będę miał nieprzyjemności z tego powodu. W ogóle dookoła mojej osoby tyle nagromadziło się teraz obciążających mnie okoliczności i wydarzeń, że czuję się o wiele mniej pewnie, aniżeli przy Niemcach. Przytłacza mnie przede wszystkim uczucie ogromnego zmęczenia nerwowego. Odłożyłem wszystkie moje prace bieżące związane z wydawnictwem materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny. Musiałem na pewien czas schować i maszynę do pisania i rękopisy przeznaczone do opracowania. Nie mogę jednak siedzieć beczynnie i przygotowuję rozprawkę, względnie odczyt pod tytułem „Okrucieństwa niemieckie w Zamojszczyźnie”. To przynajmniej mogę pisać jawnie i nie potrzebuję chować swoich notatek.

29.XI. Środa. Wypuszczono kilku aresztowanych – Budzyńskiego, starego Niedźwieckiego (ojca „Stena”), Górnika, gajowego Lota, Leszczyńskiego i jeszcze parę osób. U nas jednak w dalszym ciągu wszyscy żyją pod strachem. Ludzie boją się zwłaszcza nocy, bo bolszewicy łążą po mieście, dobijają się do niektórych domów, przeprowadzają rewizję, nierzadko przy tym rabując.

Od kilku dni nie mamy żadnych gazet. Prasa podziemna teraz do nas nie dociera, wiadomości radiowych również nie mamy. Wszystko u nas zamarło. A szpital specjalnie jest całkowicie odseparowany od świata zewnętrznego, ze względu na niebezpieczeństwo ze strony NKWD, które nas obserwuje i śledzi każdy nasz krok. Takie przynajmniej mamy wrażenie. Wszyscy z napięciem oczekują, co nam przyniesie zmiana na stanowisku premiera Rządu Polskiego w Londynie.

30.XI. Czwartek. Znów miałem ciężkie przedpołudnie z powodu zjawienia się oficera NKWD, który przeprowadził do szpitala na

konfrontację aresztowanego przedwczoraj Zwolaka. Badanie i pisanie protokołu trwało prawie 3 godziny. Pokazywano mi fotografie, kazano rozpoznawać niektórych mężczyzn. Trzech wypisanych ze szpitala „wołyniaków” musiałem poznać, zresztą nazwiska ich były już znane, czwartego natomiast nie poznałem, pomimo że w danej chwili znajdował się on u mnie na sali chirurgicznej. Badanie to okropnie mnie zmordowało. Dziś znów jestem do niczego. Gnębi mnie i to, że nie widzę na razie końca tego wszystkiego co wali się na moją głowę.

W bardzo silnym stopniu przytłacza mnie myśl o zastraszająco rozwijającej się „bandziorce” w szeregach byłych partyzantów. Wciąż powtarzają się napady rzekomo na szpiclów, z rabunkiem. Wczoraj wieczorem w Szczepieszynie zrabowano doszczętnie rodzinę Pikulów, prowadzących mały sklep kolonialny. W napadach tych biorą udział skądinąd nawet bardzo dzielni oficerowie i żołnierze. A więc [...]² dalej tacy bandyci jak „Sten” i „Piorun” i wielu, wielu innych. Pod Zamościem działa grupa „Urszuli”. W przypadkowym spotkaniu z tą właśnie grupą zginął przed kilkoma tygodniami „Spadochron”. Czynny udział w tych akcjach bierze [...] jako jeden z dowódców. Niestety, jak dowiedziałem się dzisiaj, to [...] pod tym względem nie jest wolny od zarzutów. Trudno mi w to uwierzyć, ale rodzony młodszy jego brat [...] opowiadał nam kiedyś jak mu było nieprzyjemnie, gdy pewien ksiądz, u którego [...] gościł niejednokrotnie, żalił się mu, że tenże [...] dokonał na jego plebanię napadu rabunkowego i nawet podłogę kazał zrywać szukając cenniejszych rzeczy. Opowiadano mi również i o [...] jak obrabował jednego ze swych kolegów, z którego gościny często korzystał. Notuję to co słyszałem od osób kompetentnych pozostających w ścisłym kontakcie z tymi ludźmi z obowiązku historyka-kronikarza. Byłbym rad, gdyby ktoś potrafił sprostować te wiadomości i udowodnić, że się mylę.

1.XII. Piątek. NKWD i „berlingowcy” wyłapują po okolicznych wioskach młodzież w wieku poborowym. Przy sposobności starają się dostać w swoje ręce i kogoś innego. W Szczepieszynie aresztowano wczoraj szofera Feliksa Krukowskiego, Volksdeutscha, który był

2 Pseudonimy żołnierzy, o których mówi Klukowski, że brali udział w napadach bandyckich – zostały pominięte, ze względu na brak dowodów potwierdzających prawdziwość tych zarzutów.

straszliwie zbity i skatowany przez Niemców w obozie w Zwierzyńcu i leczył się potem u nas przez długie miesiące. W tym właśnie czasie żona chcąc ratować męża z obozu zapisała siebie i jego na Volksdeutscha. W Zamościu na ulicy aresztowano „Gwiazdora” (Nizio) podoficera z partyzantki, który już nawet przyjęty został do wojska i dostał przydział do szpitala dr Jentysa.

Zapomniałem w swoim czasie zanotować – zresztą wiadomość nie była jeszcze wówczas sprawdzona, że w Biłgoraju podczas urlopu został aresztowany przed paru tygodniami dr Jan Snacki, były lekarz powiatowy w Biłgoraju za czasów niemieckich, a ostatnio komendant wojskowego szpitala ewakuacyjnego w Zamościu. Prawdopodobnie ma to jakiś związek ze zbyt wielką gorliwością z jaką wystługiwał się Niemcom.

3.XII. Niedziela. Dzisiejszy dzień spędziłem w takim nastroju jak jeszcze nigdy od 1939 r. Jest święto książki. Organizują je szkoły na polecenie kuratorium w Lublinie. Do mnie zwrócono się o urządzenie wystawy książki. Oczywiście zgodziłem się jak najchętniej. Wybrałem ze swego zbioru co ciekawsze, co ważniejsze i co ładniejsze książki i rozłożyłem te moje skarby na dwudziestu kilku stołach w jednej z sal szkolnych. Młodzież przychodziła grupami, które oprowadzałem po wystawie odbywając równocześnie pogadankę o książce. Mówiłem w sumie około czterech godzin. Byłem w swoim żywiole. Nareszcie po tylu latach miałem możliwość wydobyć na światło dzienne moje książki i przemówić publicznie. Pomimo całej obecnej nagonki na AK odczuliśmy wszyscy, że jednak duża jest różnica z okupacją niemiecką, bo przy Niemcach nie do pomyslenia była żadna kulturalna impreza polska.

Wczoraj na ulicy w Zamościu milicjant polski aresztował „Ikę” – szyfrantkę, która pracowała na naszym terenie. Dziś w Szczepieszynie wzięto pewną liczbę Volksdeutschów, w tej liczbie Franciszka Rypina miejscowego rzeźnika jednego z „gorliwców” z czasów okupacji niemieckiej.

5.XII. Wtorek. Wypuszczono w Zamościu trochę więźniów, w tym ze Szczepieszyna: Krzeszowskiego, Luchowskiego i Gąskę.

Zamość przeżywa dużą sensację: zginęło naraz 11 milicjantów perowców. Przez anonim dano znać na milicję, że w Majdanie u jed-

nego gospodarza pod kieratem zakopana jest broń. Milicjanci zaraz tam pojechali, zaczęli we wskazanym miejscu szukać broni i natknęli się na minę, która wybuchła i zabiła 11 milicjantów i jednego gospodarza. Dokonał tego żołnierz „Podkowy”.

Był dziś u mnie z pożegnaniem „Sęp”, który wstąpił jednak do wojska jako rotmistrz kawalerii. A dawniej zaklinał się, że nigdy tego nie zrobi, że nie będzie „zdrajcą ojczyzny”, za jakiego uważał każdego żołnierza z armii berlingowskiej. Zostawił u mnie list do „Groma” i „Norberta” tłumacząc się ze swego kroku. List ten dał mi do przeczytania. Podpisał się „ks. Tadeusz Wojciech Marek Ogiński”. Żalił się przede mną na krzywdzący stosunek do niego komendanta Adama, na niesłuszne posądzenie go o zdefraudowanie 35 tysięcy złotych...

Zabierają od nas Volksdeutsche. Wyłapują wszystkich mężczyzn i wywożą na razie do Zamościa. Kobiety też prawdopodobnie nie będą mogły pozostać w mieście, chociaż na razie ich nie ruszają.

Jak się wyjaśniło napad na Pikulów miał charakter wyłącznie rabunkowy. Nie mogę pogodzić się z myślą, że prowadził ludzi na tę „robotę” [...]³, a brali w niej udział tak popularni partyzanci jak [...].

6.XII. Środa. W Zamościu odbył się wczoraj uroczysty pogrzeb 12 zabitych od bomby na Majdanie. Pochowano ich pośrodku parku miejskiego. Pozostaję jednak pod bardzo przykrym wrażeniem tego wydarzenia, ponieważ jestem zdecydowanym przeciwnikiem walk bratobójczych i podobne metody wzbudzają we mnie coraz większą niechęć w stosunku do inicjatorów. W ogóle w ostatnich tygodniach coraz bardziej rozczarowuję się co do wartości moralnej wielu ludzi z organizacji. Ideowość staje się często mocno problematyczną, bandytyzm szerzy się w sposób zastraszający, objawy rozkładu wewnętrznego są coraz głębsze. Czuję jak maleją moje sympatie dla AK. Zaczyna mnie po trosze gnębić to, że nie mogę tego mówić głośno i otwarcie, bo posądzono by mnie o odszczepieństwo, a nawet o zdradę i o to, że idę „z wiatrem”.

Brak „Adama” daje się mocno odczuwać na terenie inspektoratu. Jednak pomimo wszystkich swoich wad i śmieszności trzymał on dość mocno w garści ster wszystkich spraw organizacyjnych. Obecnie

3 Patz przypis 2.

nie znać w robocie kierowniczej ręki. „Wacław” jest za spokojny, za mało ruchliwy i zanadto skrupulatnie się ukrywa. Szeregi organizacyjne topnieją coraz bardziej: coraz więcej oficerów i podoficerów idzie do wojska, bardzo dużo jest aresztowanych, a pozostała reszta traci grunt pod nogami i nie wie, co ma z sobą robić. Tylko nieliczna garstka trwa na swym niezłomnym, bezkompromisowym stanowisku.

7.XII. Czwartek. Dziś aresztowano Antoniego Koczona „Górnego”, który po „Komarze” był komendantem rejonu. Ukrywał się ostatnimi czasy bardzo, nigdzie się nie pokazywał, na chwilę tylko wszedł do domu i bezpośrednio po nim wpadło do mieszkania pięciu enkawudzystów. Widocznie czatowano na niego.

W Zamościu aresztowano wczoraj Władysława Otto naczelnika wydziału lasów Ordynacji Zamojskiej. Przyjechał on wraz z innymi urzędnikami do starostwa w sprawach ordynacji i po kilku godzinach został aresztowany w mieszkaniu adwokata Krosińskiego.

W ostatnich dniach znów więcej słyszy się o aresztowaniach. Prawdopodobnie ma to związek z zabójstwem 12 milicjantów zamojskich. Ja też znów czuje się bardzo niepewnie, bo jak się dowiedziałem, NKWD wciąż pyta o mnie różnych ludzi.

Jedną tylko mamy dobrą wiadomość, że „Orkisz” jest na wolności. Jakim sposobem go puścili, pozostaje dla nas zagadką.

A „Cezary” rzeczywiście uciekł z jakiejś piwnicy i, jak powiadają, natychmiast uroczyście z kimś się zaręczył.

8.XII. Piątek. W Zwierzyńcu aresztowano komendanta milicji. W Zamościu natomiast znów wypuszczono szereg ludzi, między innymi „Gwiazdora”.

9.XII. Sobota. Jeździłem do Biłgoraja. Wróciłem pod bardzo ciężkim wrażeniem. Miasto puste, na ulicach zwykłej publiczności nie widać zupełnie. W dodatku przybiła mnie wiadomość, że wczoraj wpadł w ręce NKWD cały BIP obwodu biłgorajskiego, a więc szef BIP-u „Szyszka” jego sekretarka „Dunia” i „Mur” wraz z całym archiwum, maszyną do pisania, maszyną do powielania i aparatem radiowym. Komendant obwodu mjr „Orsza”, który w tym czasie był razem z nimi, zdołał uciec, ale ranny jest w nogę. Tym sposobem obwód rozbity jest

całkowicie. Na wolności pozostało pracujących w dalszym ciągu zaledwie pięciu ludzi.

Po drodze spotkałem chyba ze 300 furmanek z Ukraińcami przesiedlanymi z powiatu biłgorajskiego na wschód. Jechali z całym swym dobytkiem i sprzętem gospodarskim. Niektóre furmanki zaprzężone były w krowy.

Po powrocie dowiedziałem się, że w więzieniu w Zamościu osadzono „Skibę” – dra Bieleckiego, byłego lekarza naczelnego OP 9.

Czuję się bardzo źle i psychicznie i fizycznie. Ogarnęła mnie silna depresja, którą staram się utaić przed otoczeniem, bo wiem jak to fatalnie oddziałuje na wszystkich, ale nie bardzo mi się to udaje. Zawsząd wyziera taka dziwna beznadziejność. Chwilami jestem tak zmęczony i wyczerpany, że chciałbym umrzeć, lecz z drugiej strony pragnę żyć, pracować i jeszcze niejedno dać z siebie. Duszę się jednak w tej atmosferze gwałtu, bezprawia i niewoli, w jakiej faktycznie się znajdujemy. W dodatku to ciągłe poczucie własnego niebezpieczeństwa i osamotnienia we wszystkim, co teraz przeżywam. Coraz bardziej zamykam się w sobie. Czuje też doskonale, że serce moje pracuje coraz mniej sprawnie, dręczy mnie uczucie specjalnego sercowego lęku i niepokoju.

10.XII. Niedziela. Prawie cały dzień przeleżałem w łóżku, żeby dać odpoczynek sercu. Nic nie wiem, co się dzieje w terenie, bo dla bezpieczeństwa trzeba było zerwać wszelkie kontakty z ludźmi i nikt u nas teraz nie bywa. Ci, którzy pozostali na wolności, jak „Łyś”, „Wy-rwa”, „Doniec”, „Gruda” i inni – ukrywają się bardzo starannie i można z nimi skontaktować się tylko przez kobiety. Z przejęciem studiuję historię wielkiej wojny Dąbrowskiego – dwa duże tomy w wydaniu Trzaski, Everta i Michalskiego. Oderwałem się od rzeczywistości i dzisiaj czuję się już znacznie lepiej.

11.XII. Poniedziałek. Miałem dziś nieprzyjemny dzień. W południe zjawił się w moim mieszkaniu jakiś młodzieniec, z tajemniczą miną oświadczył mi, że chce ze mną porozmawiać na osobności i wyciągnął z kieszeni swoją legitymację, z której dowiedziałem się, iż jest ze służby bezpieczeństwa. Na moje zapytanie, czym mogę służyć, odpowiedział, że mam udać się z nim do komendanta wojennego celem dania jakichś wyjaśnień i zaraz potem wróć do domu. Zacząłem

się przebierać, a ów młodzieniec wyszedł do przedpokoju, gdzie miał na mnie czekać. Nie zdążyłem jeszcze ubrać się i pożegnać z żoną, gdy wrócił do mego pokoju i znów poprosił o chwilę rozmowy w cztery oczy. Zaczął mnie przeproszać, że zaszła pomyłka, że – jak wyjaśnił z kolegami, którzy na niego czekali, – to nie o mnie chodziło, tylko o kogoś innego. Prosił usilnie o zachowanie dyskrecji i nie rozgłaszanie, że byli u mnie. Jak się okazało przyszli do szpitala we trzech. Ubrani byli po cywilnemu. Nic nie rozumiem, co to ma znaczyć. Do wieczora lada chwila spodziewałem się ich ponownego przyjścia i zabrania mnie.

W ciągu dnia byli w Kawencynie u „Kawki”, u „Dońca” i u Ki-jowskiej, którą zapytywali o mnie. Aresztowali naczelnika poczty Kajetana Paździorę.

Od „Jastrzębca” otrzymałem dziś jako „bardzo pilną” karteczkę z ostrzeżeniem o wysypaniu biłgorajskiego BIP-u z „Magnusem” („Szyszka”) na czele. Powiadomiamą mnie o tym, żebym się miał na baczności.

12.XII. Wtorek. W Zamościu aresztowano „Bronkę”, komendantkę WSK. U nas dzień przeszedł spokojnie, ale ja wciąż czuję się bardzo niepewnie.

14.XII. Czwartek. Wczoraj o godzinie 6 wieczorem zabito w Szperówce we własnym mieszkaniu dwóch braci Dziochów, Czesława i Jana. Czesław przed wojną był lotnikiem.

Sytuacja nasza jest ciężka, wprost beznadziejna. Terror coraz większy. W Zamościu w NKWD przy badaniu coraz częściej już biją, czego przedtem nie robiono. Krążą wieści o zaostrozającym się bardzo poważnie konflikcie amerykańsko – sowieckim. Miałoby to dla nas doraźne skutki fatalne. Nawet nie wyobrażam sobie, jakbyśmy wytrzymali nową wojnę amerykańsko – sowiecką. W jakim położeniu znalazłoby się nasze wojsko?

A tymczasem całe życie gospodarczo-społeczne przestawia się u nas zdecydowanie na modłę sowiecką. Reformę rolną przeprowadza się w bardzo szybkim tempie. Na przykład w powiecie zamojskim jest już ona na ukończeniu. Rady narodowe różnych stopni wszystko biorą w swoje ręce. Po fabrykach, zakładach przemysłowych i użyteczności publicznej rodzą się rady zakładowe. Cała prasa nosi piętno wyłącznie

komunistyczne. O wolności słowa nie ma mowy. Mnie osobiście nie przeraża ów wybitnie lewicowy kierunek rządów, gnębi mnie tylko wielki terror, przymus i krepowanie wolności myśli i słowa. A przede wszystkim oburza ingerencja obcego państwa, które stara się nam wszystko narzucić i wtrąca się do naszych spraw wewnętrznych.

15.XII. Piątek. Jeździłem do Szperówki na oględziny sądowo-lekarskie zwłok zabitych Dziochów. Zlikwidowanie ich ma jakiś związek ze wyspą „Leszcza”. Czesław Dzioch brał udział w pertraktacjach z lotnikiem sowieckim co do wspólnej ucieczki samolotem do Włoch. Mieli lecieć „Leszcz”, „Doniec”, ów sowiecki lotnik i jeszcze dwóch naszych chłopców. Czekano tylko na przymrozki. Szczegóły omawiano nawet na terenie szpitala. Mnie proszono o pośrednictwo przy ostatecznej rozmowie ze względu na znajomość języka rosyjskiego. Jakoś nie miałem zaufania do owego lotnika, przeczuałem prowokację i nie chciałem uczestniczyć w ich naradach. I to mnie uratowało. Bo jak się okazało lotnik rzeczywiście był prowokatorem: „Leszcza” złapano koło szpitala pół godziny po rozmowie z owym lotnikiem. Już na niego czatowano. „Doniec” zdążył uciec. Dziochowi w tym czasie robiono fałszywą kennkartę, ja zaś dawałem czarną farbę do odcisku palca...

19.XII. Wtorek. Dziś o północy wybuchł pożar w składzie szpitalnym sąsiadującym bezpośrednio z naszym mieszkaniem. Zerwano mnie z głębokiego snu. W jednej tylko bieliźnie rzuciłem się do gaszenia ognia. Pomimo, że płomień zajął już kilka półek i rozszerzał się bardzo szybko, udało mi się jakoś przy pomocy zaalarmowanych ludzi, którzy znosili wodę, pożar ugasić. Przemoczony byłem zimną studzienną wodą do cna. Myślałem, że odchoruję to i zapobiegawczo cały dzisiejszy dzień przeleżałem w łóżku. Już to w ciągu ostatnich kilku tygodni los nie szczędzi mi wielkich emocji.

„Bronkę” w Zamościu wypuszczono na wolność. Jakoś udało się jej wykręcić.

Chociaż ostatnie dni przeszły niby spokojnie, to jednak nie opuszczają nas obawy o dalsze aresztowania.

Dzisiaj dr „Helena” i siostra Michalina były w Kawenczynie u chorego „Pędziwiatra” z oddziału „Podkowy”. Przy sposobności widziały się z „Wyrwą”, którego zastały w licznym towarzystwie daw-

nych partyzantów. Jestem nieprzyjemnie zdziwiony, że nawet „Wy-rwa” może przystawać z takimi zdecydowanymi bandytami, jak na przykład „Sten” Niedźwiecki, „Burza”, „Wydra” i paru innych.

Wczoraj o godzinie 5 po południu dokonano napadu na aptekę. Zabrano z kasy gotówkę z dziennego obrotu.

Dowiedziałem się przez siostrę Michalinę, że na dzisiejszy wie-czór też szykuje się jakiś napad.

20.XII. Środa. Wczorajszy wieczór był wyjątkowo krwawy: około godziny 7 zabito czapnika Mularskiego z żoną, młodego szewca Hoj-dę z żoną i teściową oraz starego Hojdę, który przypadkowo, w tym właśnie czasie przyszedł do syna. Urowadzono zaś ze sobą listonosza Golenia i jego służącą. Ten uchodził za komunistę jeszcze w roku 1939 i był w czerwonej milicji podczas 8 – dniowego pobytu u nas wojsk so-wieckich. Prawdopodobnie już go też zlikwidowano. Wszyscy zabici mieli być rzekomo konfidentami bolszewickimi. Po zabiciu gospodarzy zabierano z domu wszystko, co cenniejsze.

Napady te i zabicie tylu ludzi na raz o jednej i tej samej porze wywołały w mieście zrozumiałe silne wrażenie. Niektórzy drżą teraz i o swoją skórę.

Dziś nieco przed 7 wieczorem słychać było na mieście gęstą strze-laninę. Oczywiście nikt o tej porze na ulicę już nie wychodzi, więc nie wiemy jeszcze, co to było.

21.XII. Czwartek. Stało się wiadomym, że w napadzie na Mular-skich brał udział „Piorun” – Ryzner. Poznał go synek Mularskich. Jednak takie masowe zabójstwa wywołują sprzeczne uczucia. Czy rzeczywiście zabici byli szkodliwymi szpiclami? Kto jest upoważniony do wydawa-nia wyroków śmierci? Jeżeli już wykonanie wyroku jest konieczne, to dlaczego obowiązkowo musi temu towarzyszyć ordynarny rabunek?

Należy spodziewać się jakiejś reakcji ze strony obecnych władz, które chyba nie puszczą tego płazem. Dzisiaj polska szturmówka prze-prowadziła obławę w Szperówce, prawdopodobnie w związku z zabi-ciem Dziochów. Zabrano około 15 gospodarzy.

23.XII. Sobota. Wczoraj po południu przyjechało do Szczebrieszyna kilku enkawudzistów. Zamknęli się w magistracie z sekretarzem Skór-

czyńskim. Kazali mu pokazać księgi ludności i odczytywać po kolei nazwiska wszystkich mieszkańców. Sprawdzali przy tym jakieś przywiezione przez siebie listy i wykazy. Wiadomość ta bardzo szybko rozeszła się po mieście i ludzi obleciał nie byle jaki strach, bo wszyscy wiedzą dobrze, czym to pachnie, gdy Gestapo czy NKWD przegląda w magistracie spisy ludności. Podobno ci z NKWD mają pozostać w mieście na dłuższy czas dla zaprowadzenia tu ładu i spokoju. Są to następstwa ostatnich wydarzeń na terenie Szczepieszyna i okolicznych wsi.

Horoskopy na najbliższą przyszłość są na razie niewesołe. Organizacja w Zamojszczyźnie jest rozbita prawie zupełnie. Mjr „Wacław” siedzi w Zamościu w takim ukryciu, że dostęp do niego ma tylko kilku najbardziej zaufanych i niczym na oko nieskompromitowanych ludzi. Jest całkowicie bezradny i zdezorientowany, bo już od dłuższego czasu nie otrzymuje z okręgu w Lublinie żadnych dyrektyw i wskazówek. Wysyłane wciąż kurierki stale wracają z niczym. A tymczasem życie idzie naprzód, wysuwają się coraz to nowe zagadnienia i powstają sytuacje wymagające zajęcia jakiegoś wyraźnego stanowiska. Nieraz bywają sprawy bardzo poważne i trudno powziąć jakąś decyzję bez porozumienia się z władzami. Zbyt wielka odpowiedzialność spada na jednego człowieka. Wszelkie kontakty są przeważnie porwane, w najlepszym razie wielce utrudnione. Stacja radiowa nieczynna. Ludzie pozostali w terenie często działają na własną rękę, czyniąc nieraz posunięcia niewłaściwe i mało przemyślane. „Bandziorka” stała się zjawiskiem powszechnym i nie widać, żeby starano się to ukrócić. Propagandy właściwie nie widać żadnej. Nawet do mnie nie dociera obecnie żadna prasa podziemna, ani miejscowa, ani z okręgu. Autorytet i znaczenie organizacji maleje całkiem wyraźnie z każdym dniem. A równocześnie bardzo dużo chłopców ukrywa się głównie po wsiach, do wojska legalnego nie chcą iść, rwą się „do lasu” i trudno niektórym powstrzymać od jakiejś akcji na własne ryzyko. Ludzie zwracają się do mjr „Wacława”, jako zastępcy inspektora i dowódcy pułku, po radę co robić. A on rozgoryczony i zgnębiony bezradnie rozkłada ręce i nie wie, co ma odpowiedzieć. Czekać na dyrektywę z góry i więcej nic. W terenie są jeszcze „Norbert”, „Grom”, „Podkowa”, „Wir”, „Wyrwa”, „Orkisz” i inni, lecz główny ich wysiłek i uwaga muszą być teraz skierowane na ukrycie samych siebie i przez to tak są skrzepowani, że działalność ich z konieczności jest bardzo ograniczona.

27.XII. Środa. Dni świąteczne jakoś przeszły u nas spokojnie, nikogo nie zabito, nikogo nie aresztowano, tylko dwa razy było NKWD u „Dońca”, którego mocno szukają, a który wraz z żoną i dzieckiem znakomicie gdzieś się ukrywa, chociaż wiemy, że terenu naszego nie opuścił, tylko jest poza miastem.

Na dzień dzisiejszy komendant wojenny młodszy lejtnant Niewolin zaprosił do siebie na konferencję około 10 obywateli miasta – kierowników poszczególnych urzędów, instytucji i fabryk. Oprócz komendanta – smarkacza, pijaka i awanturnika – był bardzo stateczny major, oczywiście z NKWD, który miał do nas dość długą przemowę. Chodzi o zaprowadzenie w mieście ładu i porządku. Trzeba wzmocnić ochronę miasta oraz poszczególnych ulic i gmachów. Gotowi są nawet dać karabiny takim instytucjom jak cukrownia, poczta, szpital, młyn. Należy ściśle przestrzegać godzin policyjnych, zaciemniać okna, mieć wszędzie schrony przeciwlotnicze itp. Sowietci – oczywiście – nie mają najmniejszego zamiaru wtrącać się do naszych spraw wewnętrznych, ale musimy pamiętać, że jesteśmy jeszcze w pasie przyfrontowym. Mają odbywać się częstsze kontrole dokumentów na ulicach, sprawdzanie, czy gdzie nie nocują obcy ludzie itp. Słowem musi być porządek.

Mnie komendant specjalnie wytknął, że pracownicy szpitala szczególnie lekceważą przepisy, chodzą po mieście po 7 wieczorem, nie zaciemniają okien itd.

Przysłano mi dziś z Zamościa „Gwiazdkowy prezent od BIP-u” – ostatni numer „Wytrwamy”, z 25 grudnia, odbity na powielaczu. Trudne zadanie ma teraz nasz BIP. Dla propagandy stara się wykorzystać każde nawet mało znaczące i niezobowiązujące zdanie czy to Roosevelta, czy Churchila lub różnych posłów oraz głosy prasy zagranicznej. Kruche są to postawy, obrona naszego rządu londyńskiego i zwalczanie rzeczywistości w kraju nie są nadto mocne i mogą przekonać dalece nie wszystkich. W każdym razie mam wielkie uznanie dla tej nielicznej już, niestety, garstki ideowych bojowników, którzy nie bacząc na ogromne trudności i niebezpieczeństwo nie ustają w swej ofiarnej pracy.

Mówiono mi, że po ostatnich wypadkach na Zamojszczyźnie, to znaczy po zabiciu tylu ludzi, znacznie pogorszyły się warunki dla więźniów trzymany w Zamościu po piwnicach i w więzieniu. Opowiedano mi też o/Antosiu Koczonie „Górnym”, że zdradza objawy choroby

umysłowej, często miewa jakieś napady, rzuca się, krzyczy, tłucze głową o ścianę, to znów siedzi, całymi dniami wpatrzony w jeden punkt.

Niektórzy mają nadzieję, że na Nowy Rok będzie jakaś amnestia, ale ja w to nie bardzo wierzę.

28.XII. Czwartek. Dostałem dziś kartkę od kogoś z otoczenia „Orszy” podpisaną pseudonimem „Kulski”. Píše, że „Orsza” uciekał z okrażonego już domu, w którym miał miejsce postój „Szyszka” z całym BIP-em, i dostał dwa strzały w nogę. Biegł o własnych siłach jeszcze około sześciu kilometrów. Jedna kula została wyjęta. Najgorzej obecnie przedstawia się stopa. Chodzić zupełnie nie może. Rana wymaga częstych fachowych opatrunków. Przez cały czas, od grudnia przewożą go wciąż od wioski do wioski w powiecie biłgorajskim. Lecz – jak pisze „Kulski” – „wobec penetracji NKWD i ostatnio rozcalenia BCh – dalsze ukrywanie go w Biłgorajskim stało się niemożliwe. „Orsza” prosi mnie o radę, co mają z nim dalej robić, czy ewentualnie nie przewieść do mnie do szpitala. Gdyby to było niebezpieczne, czy mógłby ode mnie przyjeżdżać ktoś do niego na opatrunki. Po krótkiej naradzie odpowiedziałem, że wobec ostatnich wypadków pobyt jego na terenie Szczepieszyna i najbliższej okolicy połączony jest z wielkim niebezpieczeństwem. Tym bardziej w szpitalu, który stale jest pod obserwacją. Poradziłem więc, żeby wynaleźli nam jakąś pewną kwaterę nie bliżej niż 6 – 7 kilometrów od Szczepieszyna, z wykluczeniem Szperówki, Rozłop, Kawenczyna i Błonia, zapewniając, że na opatrunki będzie stale ktoś do niego dojeżdżał. Okropnie nam go żal, radzi byśmy wszystko dla niego zrobić i przy Niemcach bez wahania przyjąłbym go do szpitala i tu przechował. A dzisiaj uważamy szpital za bardziej niebezpieczny dla niego, aniżeli tułanie się po chłopskich chałupach.

Szczegółowo wszystko zanotowałem dla upamiętnienia w jakich znaleźliśmy się obecnie warunkach („wolna, niepodległa, suwerenna”) i na co narażeni są ludzie pracujący ideowo dla lepszej przyszłości narodu.

Obwód biłgorajski jako komórka organizacyjna przestał właściwie istnieć. Bardzo charakterystyczne jest owo „rozcalenie” Batalionów Chłopskich, które w Biłgorajskim przeszły oficjalnie do obozu zwolenników PKWN, zrywając scalenieowy związek z Armią Krajową. Prze-

proceedził to komendant BCh „Brzask”, wydając w ręce NKWD spisy wszystkich członków BCh i nakazując im oddanie posiadanej broni...

Ciekaw jestem jakie stanowisko zajmą Bataliony Chłopskie w innych obwodach. Zapewne też zaczną stopniowo odpadać od Armii Krajowej.

30.XII. Sobota. Doznałem niezwykłego wzruszenia. Przysłano mi z drukarni w Zamościu do korekty pierwsze kolumny mojego wydawnictwa. Już przeszło 5 lat nie robiłem żadnej korekty! Przystępowałem do niej z przyśpieszonym biciem serca. Przybyła mi teraz nowa troska – czy doprowadzę choć pierwszy zeszyt do końca? Od 8 do 10 arkuszy druku. Z czego pokryję koszty wydawnictwa? Czy nie będę miał jakich przykrości ze strony NKWD?

ROK 1945

1.I. Poniedziałek. Rozpoczęliśmy dziś Nowy Rok, a więc kalendaryzowy siódmy rok wojny. Na wstępie przynosi on nam nie lada nowinę: Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przekształcił się już wczoraj oficjalnie i uroczysto w Rząd Tymczasowy.

A Zamość jak przed wojną, tak i teraz we wszystkim produkuje. Spośród powiatów wyzwolonych spod okupacji niemieckiej pod wieloma względami wysuwa się na pierwsze miejsce. Zapewne dlatego właśnie obecny nowy rząd z prezydentem Krajowej Rady Narodowej Bierutem, z premierem Osóbką-Morawskim i gen. „Rola” Żymierskim na czele spotykał Nowy Rok nie w Lublinie, a w Zamościu.

Dzisiaj, pomimo święta Nowego Roku, zjawił się w magistracie przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej Żuk-Dudek przywożąc ostre zarządzenie, żeby natychmiast przeprowadzić spis ludności poczynając od urodzonych w roku 1926 i spis ten dostarczyć do dnia 6 stycznia pod osobistą bardzo surową odpowiedzialnością burmistrza. Wszystkie gminy w powiecie oczywiście też otrzymały takie samo zarządzenie. Dziwi nas ten niesłychany pośpiech. Przypuszczamy, że są to przygotowania do jakichś wyborów. Mówi się też dużo o przewidywanej powszechnej mobilizacji. Niektórzy jeszcze się łudzą, że będzie jakaś amnestia.

3.1. Środa. Wciąż jeszcze największe zainteresowanie wzbudza utworzenie Rządu Tymczasowego oraz przemówienia programowe prezydenta. Bieruta i premiera Osóbki – Morawskiego. O amnestii dotychczas ani słowa.

5.1. Piątek. W Zwierzyńcu aresztowano „Wita” – Wysockiego, bardzo wartościowego bojownika z dywersji OP 9. W swojej tece redakcyjnej mam kilka jego wspomnień o akcjach, w których brał udział. W Płonce ujęto por. „Natana”, popularnego oficera AK, o którym w ostatnich miesiącach powszechnie mówiono, że nie gardzi zwykłą „bandziorką”.

Magistrat otrzymał tajne zarządzenie przygotowania spisu i niewymeldowania mężczyzn urodzonych w latach 1911-1920 oraz 1926 – 1927. (Roczniki 1921-1925 były już powołane). Oczywiście jest to przygotowanie do mobilizacji. Powołują do wojska coraz więcej lekarzy. Ostatnio w Zamościu wzięto do służby wojskowej dr Skotnickiego – okulistę, dr Gawińskiego – ginekologa, dr Grabowskiego – chirurga, w Szczepieszynie – dr Spoza. W terenie pozostaje coraz mniej lekarzy.

Stopniowo coraz więcej byłych oficerów i podoficerów, którzy dotychczas zajmowali nieprzejezdne stanowisko i w myśl zarządzeń dowództwa uchylali się od służby w wojsku berlingowskim, obecnie zgłasza się na komisje poborowe. W tych dniach wstąpił do wojska stając na komisji w Lublinie Stefan Suchodolski „Dniestr”, który po „Sępie” objął dowództwo konnego zwiadu w OP 9. Już wcześniej poszli do wojska „Dolina”, „Sęp”, „Bizoza”, „Suchy”, „Sikora”, „Leszczyzna”, „Sławian”, „Gwiazdor”, Tałanda, Nowiński, „Czerw”, Gałazowski, Floriewicz i mnóstwo innych, których nawet trudno zapamiętać.

8.1. Poniedziałek. Wciąż napady i napady. Ogromną sensacją w dniu dzisiejszym stanowi niezwykle zuchwały napad na „Rolnika”. O godzinie 3.30, kiedy wszyscy wszędzie byli jeszcze w biurze, weszło do „Rolnika” dwóch młodych mężczyzn, którzy po sterroryzowaniu wszystkich obecnych zabrali z kasy osiemdziesiąt kilka tysięcy złotych. Jako pikantny szczegół warto przytoczyć, że biuro „Rolnika” mieści się w tym samym domu, co wojenna komendantura miasta. Jedną połowę pierwszego piętra zajmuje „Rolnik”, drugą komendantura. Prowadzą do nich tylko jedne schody. Przy wejściu do komendantury stał wartownik. Jeden z napadających wrócił jeszcze ze schodów do

„Rolnika” po czapkę. Wyszedłszy na ulicę wsiedli do oczekującej ich taksówki i odjechali w stronę Zamościa. Kto dokonał tego napadu – jeszcze nie wiem.

Różni ludzie biorą teraz udział w napadach rabunkowych. W sferach wtajemniczonych wiadomo jest, że w paru napadach rabunkowych brał udział między innymi jeden z rodzonych braci komendanta obwodu „Łysia” – „Norwega” – „Żelaznego” (Polak z Rozłop). Walka z bandytyzmem jest ogromnie trudna. Obecnie władze państwowe są bezsilne. Niestety, nie widzę, żeby i dowództwo podziemne starało się tępić tę straszną plagę. Mam nawet wrażenie, zresztą całkiem uzasadnione, że na tego rodzaju wyczyny dowództwo patrzy dziwnie pobłaźliwie, najwyraźniej przez palce.

10.I. Środa. Przed południem w jednej chwili rozniosła się po mieście wieść, że urzędy (poczta, magistrat) nie przyjmują już starych pieniędzy „Banku Emisyjnego w Polsce” czyli tzw. „krakowskich”. Wszczął się popłoch. Ludzie na gwałt zaczęli wyzbywać się starych pieniędzy, płacić długi, kupować byle co, aby tylko nie mieć tych starych banknotów. Ale w ostatecznym rezultacie gdzieś ugrzęzną te liczne miliony złotych i jeżeli nie będzie jakiejś wymiany, to dużo ludzi zostanie niesprawiedliwie skrzywdzonych. Zdaję się, że najwięcej ucierpi ludność wiejska, bo chłopci mają dużo pieniędzy w gotówce.

Przed kilkoma dniami został zabity przez milicjanta ze Zwierzyńca młody Podczaski („Paździórka”) z oddziału „Podkowy”. Naprawdę tragiczna to rodzina tych Podczaskich. Oboje rodzice zmarli w niedługim czasie po aresztowaniu w więzieniu w Biłgoraju wskutek katowania przy badaniu. Jeden młody Podczaski, też podkowiak zginął w jakiejś akcji dywersyjnej z rąk niemieckich, teraz ginie drugi brat. Pozostała przy życiu tylko jedna siostra ich, młoda panienka.

Ubiegłej nocy dokonano napadu na szewca Wiatrowskiego. Pobito go dotkliwie i zabrano 14 par butów. Też nocy zrabowano Szczerbaków, właścicieli małego sklepiku galanteryjnego, bardzo porządnym młodym ludzi. W tym napadzie – o ile mi wiadomo, – brali udział bracia Józwiakowscy („Huzar” i ?).

Nasi komendanci placówek, rejonów i obwodów dobrze wiedzą o większości napadów i tolerują je. Oczywiście przez to bardzo obniża się wartość ich pracy ideowej.

11.I. Czwartek. Jeździłem do Zamościa w sprawie mojego wydawnictwa. Złożono już pierwsze dwa arkusze, które idą właściwie pod prasę. Musiałem omówić niektóre szczegóły i dać pewne wskazówki. Ogromnie się cieszę, że praca moja ruszyła wreszcie z miejsca i posuwa się naprzód.

W Zamościu – podobnie jak u nas wczoraj – najważniejszym wypadkiem dnia jest wycofanie banknotów „krakowskich” bez zamiany na nowe. Tylko instytucje do godziny drugiej mogły oddawać pieniądze do wymiany. W wydziale powiatowym i w drukarni panował gorączkowy ruch, wszyscy liczyli pieniądze w pośpiechu, żeby zdążyć na drugą. A przygotowywano do wymiany przeszło 400 tysięcy złotych. Jednak cała ludność jest mocno poszkodowana tracąc w sumie miliony złotych. Już teraz odczuwa się brak monety obiegowej. Za stare pieniądze nie można kupić absolutnie nic, natomiast nowych papierków kursuje jeszcze bardzo mało. U nas sklepy wczoraj po południu i dzisiaj były przeważnie pozamykane.

Otrzymaliśmy trochę wiadomości o „Leszczu”. Jednak niesłusznie z początku posądzano go o to, że „sypie”. Wskazał, gdzie był ulokowany jeden aparat radiowy, bo musiał powiedzieć, ale zastrzegł się kategorycznie, że w miejscu, gdzie go zostawił w pace nikt nie wie, co ta paka zawiera. Na tej podstawie zwolniono po paru dniach Kuklińskiego i nikogo ze współpracowników „Leszcza” nie aresztowano. Poza tym o „Leszczu” nie ma żadnych wiadomości. Jest przypuszczenie, że go wywieziono z Zamościa. W każdym razie polowano na niego bardzo długo używając rozmaitych podstępów.

12.I. Piątek. Dzisiejszej nocy zaczęła się ofensywa sowiecka na naszym froncie. O dziewiątej rano zajęty został Staszów na zachód od Sandomierza. Doskonale słychać silną kanonadę artyleryjską.

Z Zamościa wyjechał gdzieś pod Otwock szpital wojskowy dr Jentysa. Tak dalece nie mieli ochoty wyjeżdżać, że siedmiu podoficerów i żołnierzy związało, między innymi „Gwiazdor” i „Czerw” z Kawenczyna. Ze szpitala dra Kaczkowskiego, który ma też jechać za tydzień, uciekło już 10 żołnierzy.

16.I. Wtorek. Z napięciem śledzimy przebieg ofensywy sowieckiej. Dziś nadeszły wiadomości o zajęciu Kielc i Radomia. Armia Czerwona ma być już tylko 30 kilometrów od Krakowa.

U nas kilka ostatnich dni było zupełnie spokojnych bez ważniejszych wydarzeń. Dziś było trochę niepokoju, bo zatrzymano na ulicach kilka osób, które jednakże po krótkim czasie zostały wypuszczone.

Zmiana pieniędzy i brak monety obiegowej jednak wpłynęły na obniżkę cen. Dziś na jarmarku masło sprzedawano już po 200 złotych za kilogram (dawniej 300), jaja po 10 (dawniej po 14 – 15).

17.I. Środa. W mieście nadzwyczajne podniecenie z powodu nadspodziewanych sukcesów na froncie. O godzinie 1 w południe z poczty zatelefonowano do nas, że Warszawa została odbita, pod wieczór milicja zawiadomiła, że Kraków też został zajęty. Polecono wywiesić flagi narodowe.

A dziś dopiero 5 dzień rozpoczęcia ofensywy!

18.I. Czwartek. Na mieście niemal jedynym tematem rozmów jest ofensywa sowiecka. Nadeszły wiadomości o zajęciu Częstochowy. Wojska sowieckie mają już podchodzić do dawnej granicy Niemiec. W Szczepieszynie niektóre oddziały sowieckie już wyjechały. Całe lotnisko i wszystkie formacje lotnicze przygotowują się do wyjazdu. Oddziały polskie z Zamościa wyjeżdżają do Radomia.

19.I. Piątek. Wiadomość o ustąpieniu Niemców z Krakowa okazała się nieprawdziwa. Mówili mi dzisiaj poważniejsi oficerowie lotnicy, że walki toczą się tam na ulicach miasta. Lotnicy otrzymali surowy rozkaz bombardowania tylko dworca kolejowego. Innych obiektów nie wolno. Podobno Niemcy wysadzają w powietrze najcenniejsze zabytki naszego budownictwa – Wawel, Sukiennice... Nie mogę w to uwierzyć, nie chcę o tym myśleć...

Ale w ogóle ofensywa bolszewicka rozwija się znakomicie.

Dzisiejszej nocy bolszewicy aresztowali w Kawęczynie około 10 osób. Większości udało się po drodze uciec (w tej liczbie i „Kawce”), pozostał jednak w rękach NKWD Wojciech Kołczan jeden z najporządniejszych gospodarzy, u którego ostatnio stale wszyscy dywersanci bardzo często przebywali. Przy rewizji znaleziono u niego pepe-

szę, amunicję i różne kompromitujące dokumenty, między innymi wśród rzeczy Niedźwieckiego – „Stena” kennkarty zabitych niedawno w Szczepieszynie ludzi.

Pomimo bardzo ciężkich warunków w terenie ukazują się u nas od czasu do czasu odbijane na powielaczu pisemka – w obwodzie zamojskim „Płomień”, w biłgorajskim „Wytrwamy”. Pierwsze jest bardzo słabe, drugie znacznie lepsze – wydaje go „Wir”, który wciąż trzyma się gdzieś w swoim rejonie. Dziś właśnie otrzymałem najświeższy numer z 15 stycznia.

20.I. Sobota. Jest już oficjalny komunikat o wzięciu Krakowa i Łodzi. Już dawno z takim napięciem nie śledzili ludzie przebiegu walk na froncie jak teraz. Czy wojska sowieckie zatrzymają się na dawnej granicy Niemiec, czy pójdą dalej na zachód, na Wiedeń, na Berlin? To pytanie najwięcej nas obecnie interesuje.

Mówiono mi dziś jako wiadomość zupełnie pewną, że „Adam” siedzi na Zamku w Lublinie.

Muszę teraz zanotować jedną bardzo przykrą sprawę. Przed kilkoma dniami milicja Zwierzyniecka przywiozła do kostnicy szpitala zwłoki zabitego młodego chłopca – lat około 20. Nazwisko nieustalone.

W obecności sędziego dokonałem oględzin sądowo-lekarskich. Na zwłokach było kilkanaście ran postrzałowych zadanych z broni maszynowej i 4 rany kłute na twarzy. Dziś poinformowano mnie, że jest to jeden z uczestników napadu na kasę „Rolnika”, uciekinier z wojska z Białki. Chwalił się, że ma kilkanaście tysięcy złotych. Napadli na niego chłopcy wiejscy z Topólczy i zabili dla zrabowania tych pieniędzy. Razem z nim zginął jeszcze drugi chłopiec, też uciekinier z Białki. Zwłoki jego znaleziono koło Topólczy. Koledzy po kryjomu w nocy pochowali go na cmentarzu w Szczepieszynie. Piszę o tym dla zaznaczenia szerzącej się coraz bardziej demoralizacji.

Przy sposobności dowiedziałem się, że napad na „Rolnika” przeprowadzili nasi dywersanci z polecenia dowództwa („Wyrwy?”). – Zdaje mi się, że jakoś tu nie wszystko jest w porządku.

21.I. Niedziela. Rozeszła się pogłoska przywieziona z Lublina, że na wszystkich frontach nastąpiło zawieszenie broni. Na razie jest to tylko plotka i nie notowałbym jej, gdyby nie reakcja ze strony ludno-

ści, która wcale tym się nie cieszy. Wszyscy pragną wtargnięcia wojsk alianckich w głąb Niemiec, dotarcia do Berlina, całkowitego zniszczenia Niemców i dokonania na nich zemsty. Zawieszenie broni w znacznym stopniu utrudniłoby przeprowadzenie krwawej zemsty, a ludzie pożądamy przede wszystkim takiej.

Wieczorny komunikat radiowy podany nam telefonicznie z poczty nic jednak o tym nie mówi. Podaje natomiast szczegóły o dalszych sukcesach wojsk sowieckich, o zbliżaniu się do Królewca, o przekroczeniu granicy niemieckiej na zachód od Częstochowy i Krakowa i posunięciu w głąb Niemiec o 35 kilometrów w kierunku na Wrocław.

22.I. Poniedziałek. Potwierdzenia wiadomości o zawieszeniu broni nie ma, krążą natomiast fantastyczne plotki o zwycięstwach na zachodzie...i na wschodzie oraz o klęskach niemieckich.

23.I. Wtorek. Dziś skończyłem 60 lat. Zaczynam siódmy krzyżyk. Ale jakoś wcale tego nie czuję.

24.I. Środa. Jeździłem do Zamościa. Druk mojego wydawnictwa na razie utknął. Drukarnia zawalona jest robotą. Można już teraz z pewnością twierdzić, że zdystansowała ona drukarnie lubelskie. Pilne zamówienia rządowe i wojskowe wykonywane są pod kontrolą delegowanych specjalnych urzędników i oficerów. Obecnie siedzi tam jakiś major WP i pilnuje druku licznych ksiąg dla intendentury wojskowej, poza tym mają do zrobienia 500 tysięcy książeczek wojskowych z dostarczonego przez wojsko papieru. Świeżo wydrukowany pierwszy numer tygodnika „Nowa Epoka” redagowanego przez W. Rzymowskiego jako organ Stronnictwa Demokratycznego przedstawia się znakomicie. Ładny, nie szablonowy, układ kolumn przy swoistym uroku czcionki Pułtawskiego sprawia naprawdę bardzo dobre wrażenie. Teraz znów mają tłoczyć terminowo „Dziennik Urzędowy Kuratorium Lubelskiego” – 64 strony dużego formatu. Jest nadzieja, że z chwilą przeniesienia Rządu Tymczasowego do Łodzi, odpadną te zamówienia rządowe i drukarnia będzie wolniejsza. Wtenczas dopiero przystąpię do ukończenia mojego tomu.

Kustoszem muzeum został po dawnemu Kabat, buchalter magistratu. Skrzynie z biblioteką i ze zbiorami Rosińskiego ocalały. Kabat

z prof. Gajewskim zaczęli już porządkować Zamościana Rosińskiego. Będą one wcielone do działu archiwalnego Muzeum. Tworzy się też osobny dział poświęcony latom wojny.

Ruch w Zamościu ogromny. Wojskowych sowieckich bardzo mało. Wiele osób wybiera się na zachód. Aby tylko były możliwości komunikacyjne.

Chciwie chwytamy wszelkie wiadomości o Warszawie, a coraz to ktoś stamtąd przyjeżdża. Z opowiadań widzimy, że przedstawia się ona znacznie gorzej, aniżeli to sobie wyobrażaliśmy.

Do zamojskich szpitali przywieziono już z frontu rannych żołnierzy polskich.

Na słupach i na murach pełno rozmaitych plakatów, obwieszczeń, wezwań i haseł. Przy wejściu do magistratu (dawne starostwo) na ścianie po prawej stronie rzuca się w oczy olbrzymi napis: „Precz z bandytami spod znaku AK!”

27.I. Sobota. Jakiś czas mieliśmy względny spokój. W mieście nie było żadnych aresztowań, ani rewizji. Nagle dzisiaj zjawiła się grupa polskich żołnierzy, zapewne ze służby bezpieczeństwa z Zamościa i zaczęły się aresztowania. Podobno wzięto i wywieziono do Zamościa, względnie do NKWD w cukrowni, około 10 osób. Ja na razie wiem tylko o niektórych: Czesław Spoz – buchalter z młyna Perety, Boguś Lepionka – dawny ordynans „Sępa” i Zdun – właściciel fabryki wody sodowej. W cukrowni: Borowiec – kasjer, Engelhardt – gospodarz. Dwaj ostatni aresztowani byli jeszcze wczoraj.

U mnie przed południem był jakiś bardzo podejrzany typ ubrany po cywilnemu i pytał o Teresę Bączyńską. To samo w kancelarii. Dowiedziałem się, że szukano jej także w aptece Szczygłowskiego. Oczywiście chodzi tu o „Wredną”. U nas naturalnie wszyscy powiedzieli, że takiej nigdy nie było.

28.I. Niedziela. Nowy ewenement. Wczoraj wieczorem na Przedmieściu w mieszkaniu Króla zabity został żołnierz sowiecki. Różne są przypuszczenia i domysły. Dochodzenie wykazuje, że sprawcami byli prawdopodobnie Ukraińcy. Z magistratu zażądano wykazu wszystkich mieszkańców miasta – Ukraińców. W mieście znów zaniepokojenie, czy zabójstwo to nie pociągnie za sobą jakichś następstw. Na razie

aresztowano na Przedmieściu tylko Radzika, robotnika z cukrowni i Króla.

30.I. Wtorek. W dalszym ciągu działa polska służba bezpieczeństwa i NKWD. Dzisiejszej nocy przeprowadzono w kilku miejscach dokładne rewizje. (u Drożdżykowej, u Łopuszyńskiego, w domu Zaworskiej). Parę osób aresztowano. W Zwierzyńcu aresztowano dwóch braci Bogusława i Zygmunta Śmieciuszewskich, jeometrę i kasjera Ordynacji Zamojskiej, Zienkiewicza – dyrektora browaru i Józefa Kuratowicza – buchaltera browaru ordynackiego. Aresztowania te są dla wszystkich zorientowanych dużą niespodzianką. U nas wszyscy coraz więcej niepokoją się i obawiają aresztowań.

Doszła do mnie niesprawdzona na razie wiadomość o rzekomym odbiciu więźniów z biłgorajskiego więzienia.

31.I. Środa. Jeździłem do Zwierzyńca. Wszyscy są przygnębieni ostatnimi aresztowaniami i likwidowaniem Ordynacji. Zostanie tylko kilku urzędników, co będzie robiła reszta starych zasiedziały pracowników ordynackich? Lasy już zostały upaństwowione. Niektóre folwarki pozostają jako ośrodki doświadczalne. Jest już wyznaczony komisarz – Ordon.

O biłgorajskim więzieniu nic pewnego dowiedzieć się nie mogłem. Jednak mówią ludzie, że uwolniono sześćdziesiąt kilka osób.

1.II. Czwartek. A więc więzienie w Biłgoraju zrobił „Wir”. Pomimo swego ciężkiego kalectwa osobiście prowadził całą akcję. „Szyszka” niestety nie był w więzieniu. Trzymają go w jakiejś piwnicy. Uwolniono natomiast jego sekretarkę „Dunię”. Podczas akcji bardzo silnie pobito naczelnika więzienia odznaczającego się złym obchodzeniem z więźniami.

Był dziś w szpitalu po poradę niejaki Gosuń, młody człowiek aresztowany niedawno w Rozłopach podczas swojego wesela. Wczoraj dopiero został wypuszczony z aresztu przy Milicji Obywatelskiej. Na ciele ma dużo sińców od uderzeń gumowych pałek. Opowiadał jak go mocno bili – polska służba bezpieczeństwa!

3.II. Sobota. Dzisiejszej nocy na Przedmieściu zlikwidowano Jana Surmę. Podczas okupacji niemieckiej był on wachmanem (strażni-

kiem) na lotnisku, obecnie konfidentem bolszewickim. Aresztowano natomiast w Zamościu starego fryzjera Kwiatkowskiego ze Zwierzyńca. W mieszkaniu przeprowadzono ścisłą rewizję. Również bardzo skrupulatną rewizję dokonano w domu Jacka Rogowskiego w Zwierzyńcu. On sam zdążył się ukryć. W służbie bezpieczeństwa w Zamościu wybitne stanowisko zajmuje obecnie niejaki Tchórzewski. Dawniej był on w kwatermistrzostwie w obwodzie zamojskim. Przez kilka miesięcy siedział w obozie w Zamościu, potem na Majdanku. Zna mnóstwo ludzi z „lasu” i z dywersji. Na terenie Zwierzyńca wyróżnia się Biberman swoją szkodliwą i złośliwą działalnością jako milicjant. On również doskonale zna wszystkich miejscowych ludzi.

Z więzienia w Zamościu wywieziono już bardzo dużo naszych ludzi. I właściwie nie wiadomo dokąd.

5.II. Poniedziałek. W nocy aresztowano szewca Romana Kalitę, kupca Feliksa Kalitę z synem, Wandę Barańską z apteki i innych. Wandę B. po kilku godzinach puścili. Pokazywali jej fotografię i pytali o Teresę Bączyńską. Feliksa Kalitę zwolniono w ciągu dnia. Wczoraj większa grupa berlingowców przeprowadzała obławę i rewizje w Kawenczynie. W czasie akcji zabito kilkunastoletniego chłopca Mazura.

Największą jednak sensacją dnia jest zabicie Bibermana obecnego komendanta milicji w Zwierzyńcu. „Rąbnięto” go dzisiaj o 10-ej rano przed gminą w Zwierzyńcu.

6.II. Wtorek. Dziś w południe aresztowano „Błyskawicę” – (Jana Guzowskiego) w mieszkaniu rodziców naprzeciw szpitala. W domu nie mieszka, nigdy tu nie nocuje, bo był czynnym członkiem kawencyńskiej „szturmówki” i bardzo się pilnował. Wpadł do domu na krótko, zapewne ktoś doniósł o tym milicji i natychmiast po niego się zjawili.

Wielką niespodziankę sprawił nam „Grom”, który przejeżdżając samochodem przez Szczepieszyn wstąpił do nas, żeby się pożegnać, bo całkiem opuszcza tutejsze strony i jedzie w swoje rodzinne Poznańskie. Obiecuje odwiedzić nas po wojnie. Szkoda, że od nas wyjeżdża, bo lubiłem go więcej od innych i ceniłem za wyjątkową dzielność i odwagę.

7.II. Środa. Aresztowania nie ustają. Nazwisk wszystkich nie znam. Trudno jest prowadzić dokładną ewidencję, zwłaszcza, że niektórych

zatrzymanych po badaniu wstępnym puszczają, a my nie zawsze o tym wiemy. Ostatnio aresztowano w Zamościu wójta gminy Zwierzyniec Paszkowskiego, w Bondyrzu współwłaściciela fabryki wyrobów drzewnych Jacka Jakimowicza i jego szwagra Rodaka z Zamościa, właściciela składu papieru. Największą jednak sensacją w Zamościu jest wiadomość o aresztowaniu starosty Dubiela, który był wyznaczony gdzieś na zachód na wicewojewodę i miał już wyjeżdżać. Jest to przecież zdeklarowany od dawna peperowiec, dotychczas jak najlepiej widziany przez władze bolszewickie. Jesteśmy zupełnie zdezorientowani i nie możemy zrozumieć, kto właściwie jest dziś bezpieczny, komu nie grozi aresztowanie, kto może spać spokojnie.

Podczas dochodzeń prowadzonych w ostatnich tygodniach w siedzibie NKWD w cukrowni zapytywano badanych o dr „Helenę”, była lekarkę oddziałową, obecnie pracującą u mnie w szpitalu.

Wypuszczono z więzienia Jana Hołowińskiego, z zawodu nauczyciela, byłego komendanta milicji w Szczepieszynie.

Również sensacją jest wiadomość, że w Warszawie zdołano jednak zlikwidować Władysława Kłokockiego, jednego z najpopularniejszych i najdawniejszych Volksdeutschów zamojskich. Uciekł on z Niemcami, lecz nie zdołał ukryć się w Warszawie. Byliśmy zawsze pewni, że prędzej czy później spotka go taki zasłużony los. Razem z nim wyjechała ze Zwierzynca wielka jego przyjaciółka Maria Kostecka, żona naczelnika wydziału lasów Ordynacji Zamojskiej. W tych dniach, wróciła do Zamościa. Mam wrażenie, że pewne konsekwencje i ona będzie musiała ponieść za swoje nietaktowne i pozbawione godności narodowej zachowanie w stosunku do Niemców.

8.II. Czwartek. Ku największemu naszemu zdziwieniu wypuszczono wczoraj „Błyskawicę” Guzowskiego. Zwolniono również z więzienia w piwnicy w Zamościu szereg ludzi, między innymi wszystkich aresztowanych przed kilkoma dniami w Kawenczynie. Niemałą sensacją jest zupełnie niespodziewane odwołanie wojennego miasta lejtnanta Niewolina. Podobno odwołano wszystkich okolicznych komendantów, nawet zamojskiego, majora Zasuchina – i nowych już nie będzie. Trochę trudno w to uwierzyć. Zobaczmy, co nam pokażą najbliższe dni. Niektórzy sądzą, że może to ma jakiś związek z odbywającą się właśnie konferencją „wielkiej trójki” – Roose-

velta, Churchilla i Stalina, i łudzą się, że nastąpią jakieś bardzo ważne zmiany u nas.

Sowieckie czołówki docierają już do przedmieść Berlina! Wprost nie do uwierzenia. Wszyscy z najwyższym zainteresowaniem śledzą teraz przebieg walk, zwłaszcza na wschodnim froncie.

12.II. Poniedziałek. Kilka dni przeszło spokojnie. Komendanci wojenni zewsząd powyjeżdżali. Nowych na razie nie ma. Pozostała tylko milicja. Naszych dawniejszych milicjantów zabrano do Zamościa, tu przysłano nowych. Bardzo nieprzyjemne i niepewne typy – peperowcy, na których ludność bardzo narzeka. Ale są też enkawudziści. Ubiegłej nocy byli wraz z milicjantami w kilku miejscach. Aresztowano młodego Pilipa i Tadeusza Józwiakowskiego. Obydwóch od razu wywieźli do Zamościa.

Poza tym nic u nas nowego.

13.II. Wtorek. Dowiedziałem się, że Bibermana w Zwierzyńcu zlikwidowali „Sten” Niedźwiecki i „Huzar” Józwiakowski.

14.II. Środa. W Zamościu zwolniono aresztowanego onegdaj „Motylka” Józwiakowskiego. Jest to dla nas również niespodzianką, jak i zwolnienie „Błyskawicy”. Dopatrujemy się w tym „złagodnienia kursu”.

Dochodzą do nas wieści, że na konferencji „trzech” doszło do jakiegoś porozumienia w sprawie Polski i że nastąpi jakaś zmiana rządu. W najbliższych zaś miesiącach mają być przeprowadzone pod kontrolą trzech państw wybory do ciał ustawodawczych. Wszyscy z niecierpliwością oczekujemy gazet, żeby dowiedzieć się coś pewnego.

16.II. Piątek. Gazet legalnych, które podają wyniki konferencji „trzech”, jeszcze nie mamy, chyba że przywiózł ktoś przyjeżdżający z Lublina, ale ja nie widziałem. Natomiast otrzymałem dziś komunikaty radiowe wydane przez BIP obwodu zamojskiego. Jestem pod ciężkim wrażeniem. Gdyby nasza wschodnia granica poszła po „linii Curzona”, to stracilibyśmy prawie połowę naszego dotychczasowego terytorium i około 11 milionów mieszkańców. Byłby to IV rozbiór Polski. Zdobyte na zachodzie nie pokrywają tych strat. Nie mogę sobie wyobrazić

niepodległej Polski bez Wilna, Lwowa, Krzemieńca... W myśl jednej z uchwał konferencji „trzech” nad ustrojami poszczególnych państw mają czuwać przedstawiciele mocarstw sprzymierzonych. Mimo woli budzi się protest przeciwko tego rodzaju opiece nad nami. My jej nie potrzebujemy. Sami damy sobie radę. Rząd Polski w Londynie wystosował orędzie, w którym kategorycznie oświadczył, że nie zgadza się ze stanowiskiem przedstawicieli mocarstw sprzymierzonych w sprawie Polski. Jakie wobec tego powstaną dalsze konsekwencje? Czy dojdzie do jakiegoś porozumienia? Czy będzie zmiana rządu? Czy pozbędziemy się wreszcie obecnych „opiekunów”, naszych „przyjaciół” z NKWD na czele? Czyż nie wypuszczą naszych więźniów politycznych, nie ustaną wreszcie masowe aresztowania i bezsensowne prześladowania „faszystów”(!) z Armii Krajowej? A po pierwszych wiadomościach o przebiegu konferencji mieliśmy także dużo nadziei na to! Warto też zanotować, że już przed paru tygodniami rząd nasz w Londynie wydał rozkazy i zarządzenia, żeby zaprzestać dalszego bojkotu i sabotażu w kraju, żeby zajmować wszelkie możliwe stanowiska i do wszystkich dziedzin życia wprowadzać swoich ludzi. Została też rozwiązana Amia Krajowa. Mieliśmy wrażenie, że były to wstępne posunięcia do umożliwienia zawarcia wzajemnego porozumienia, żeby wreszcie zaprzestać zgubnej walki wewnętrznej, a wytężyć wszystkie siły całego narodu dla obrony Polski przed nowym rozbiorem. Zdawałoby się, że walka o Wilno i Lwów powinna teraz wysunąć się na pierwszy plan jak również obrona przed ingerencją bolszewików w nasze sprawy wewnętrzne. Z niecierpliwością oczekujemy, co nam przyniosą najbliższe dni.

Pisał do mnie „Wyrwa”. Przeniósł się gdzieś na nowy teren. W dobrej formie, pełen zapału, przystępuje do wydawania nowego pisma „Zerwij pęta”. Prosi mnie o współpracę i nadsyłanie artykułów. Z programu i z treścią pożądanym tematów do opracowania, wynika że walka z bolszewikami przygotowuje się nie na żarty.

17.II. Sobota. Otrzymałem świeży numer „Wytrwamy”. Jest w nim orędzie prezydenta Raczkiewicza i rozkaz dowódcy Armii Krajowej. Wobec oczyszczenia z Niemców całego terytorium Polski, AK zostaje rozwiązana. Pozostali jej żołnierze mają dalej czuwać i walczyć o prawa Polski i o jej całość.

Tak więc zakończył się pewien okres historyczny. Armia Krajowa w dotychczasowej formie przechodzi już do historii. Zaczynamy jednak nowy etap walk, być może jeszcze cięższy, trudniejszy i dłuższy. W tych dniach odbyła się koło Krasnobrodu duża odprawa oficerów naszego inspektoratu. Mjr „Wacław” jest obecnie inspektorem. Nie znam jeszcze przebiegu obrad i uchwał tej odprawy, jest jednak pewne, że oficjalne rozwiązanie AK jest tylko formalnością. Pozostaje nadal czynna armia podziemna, zapewne pod jakąś nową nazwą. Jeszcze tego nie wiem. Z pewnością będzie lepiej zakonspirowana, aniżeli AK przy Niemcach. Pozostaję oczywiście w szeregach walczących, – na swój sposób – jako lekarz i głównie jako historyk.

18.II. Niedziela. Widziałem się dziś z Cyprianem Łysiem, uczestnikiem ostatniego napadu na więzienie w Biłgoraju. Opowiedział mi szczegółowo o przebiegu akcji. Napadu dokonano o godzinie 10 wieczorem. Brało w nim udział 23 ludzi. Prowadził „Wir”, obok niego „Wrzos” i „Orkisz”. Po przystawionej do muru drabinie dostali się na podwórze więzienia „Orkisz” i dwóch żołnierzy. Wówczas pozostali zaczęli dzwonić do bramy. Gdy wartownicy podeszli do bramy „Orkisz” ze swymi żołnierzami skoczył ku nim i rozbroił w jednej chwili. Dalej wszystko poszło już bardzo łatwo. Wypuszczono wszystkich więźniów bez wyjątku, nawet kryminalistów. Wśród wypuszczonych znaleźli się „Dunia”, sekretarka „Szyszki”, „Mur”, „Ney” Iwanowski – buchalter szpitala w Biłgoraju i wielu innych ludzi z organizacji. Był też doktor Snacki. Wczoraj ze źródła w Kawenczynie rozeszła się wiadomość, że komendant „Adam” został zwolniony z więzienia na Zamku w Lublinie. Trudno mi uwierzyć, żeby to mogła być prawda. Jednak nawet taka niepewna plotka wywołała nie byle jakie poruszenie w sferach organizacyjnych. Dowodzi to popularności „Adama” i jego znaczenia jako dowódcy.

20.II. Wtorek. Dowiedziałem się, że został „rąbnięty” Tadeusz Niedźwiecki „Sten”, ten który w listopadzie dokonał napadu na mnie. W jakich okolicznościach zginął – czy podczas jakiejś akcji, czy też z wyroku – nie wiem. Miało to miejsce w Bortatyczach pod Zamościem.

21.II. Środa. Jeździłem do Zwierzyńca do Zarządu Ordynacji. Dziś jest ostatni dzień istnienia Ordynacji Zamojskiej! Miało nastąpić

właśnie oficjalne przekazanie ordynacji na rzecz państwa. Zgłaszałem pretensje w sprawie uregulowania fundacji na rzecz gimnazjum i zobowiązań w tej mierze ze strony ordynacji. Główny gmach Zarządu Ordynacji Zamojskiej zajęty cały przez Wojsko Polskie. Nawet lokal archiwum częściowo jest zabrany. Wszystkie akta rzucono do ostatniego pokoju, który zamknięto na głucho i nikt nie ma do niego dostępu. Resztki biura mieszczą się w trzech pokojach w mieszkaniu Engelhardta. Kilku starych urzędników zgnębionych i załamanych psychicznie, odrabia przy biurkach ostatnie swoje prace ordynackie. – Ordynacja Zamojska przechodzi więc do historii.

22.II. Czwartek. W mieście swoista sensacja. Wyszedłszy rano na ulicę, ludzie zobaczyli w wielu miejscach rozlepione jakieś nowe ogłoszenie pisane na maszynie. Była to odezwa do milicjantów miasta Szczepieszyna, wzywająca ich do zaprzestania aresztowań, rewizji i legitymowania, żeby tylko pilnowali porządku, a nie byli narzędziami do prześladowania Polaków w ręku NKWD. Jeżeli nie zastosują się do tego, wszyscy będą zlikwidowani. Odezwę podpisał jakiś „Ostroga” – porucznik. Nie wiem jeszcze, kto to taki. Zapewne ktoś przybrał nowy pseudonim. Wrażenie było ogromne. Ludzie zbierali się grupkami i po kilka razy czytali tę odezwę, nie szczędząc rozmaitych uwag pod adresem bolszewików i milicjantów, którzy mocno już dali się we znaki całej ludności.

W ogóle w ostatnich dniach zaczęło ukazywać się więcej różnych ulotek propagandowych niż zwykle. Idą przygotowania do kampanii przedwyborczej. Po przeszło półrocznej gospodarce, bolszewicy i peperowcy mają już coraz mniej sympatii w najszerszych warstwach społeczeństwa.

Przed kilkoma dniami gdzieś zniknął niejaki Komajda z Michalowa, znany szpicel bolszewicki. Znalaziono teraz zwłoki jego z postzeloną głową, pływające w Wieprzu.

24.II. Sobota. Wzmogła się dezercja z Wojska Polskiego. Ostatnio z zamojskiego garnizonu uciekło wyjątkowo dużo żołnierzy. Władze organizacyjne starają się nimi zaopiekować i odpowiednio ulokować po wsiach. Nawet zakonnice w pałacu w Michalowie przechowały u siebie przez kilka dni sześciu takich dezertersów. Na wiosnę spodziewana jest masowa ucieczka z wojska. Ewentualnie „do lasu”.

W ostatnich dniach przybyło mi dużo nowych artykułów do historii Zamojszczyzny w latach wojny. Nie mogę wprost nadażyć z opracowaniem wszystkich rękopisów. „Norbert” przysłał mi artykuł o bolszewickich oddziałach partyzanckich, inżynier Klimek o budownictwie w pow. zamojskim, Paluch i Jurkowski dwa artykuły o melioracji, „Żar” Piasecka bardzo ciekawe wspomnienie swoje „Kurierka, gestapo i bandziory”, „Osa” dwa fragmenty: o napadzie na posterunek policji niemiecko – ukraińskiej w Łukowej i rekwizycji świń na stacji Biały Słup.

Zebranego materiału mam już na 3 tomy. Niestety druk posuwa się bardzo powoli, ponieważ drukarnia wciąż zawałona jest zamówieniami wojskowymi i rządowymi. Dlatego też nie wiem kiedy ukaże się mój wymarzony pierwszy tom.

Potwierdza się wiadomość o uwolnieniu stu kilkudziesięciu więźniów z Zamku w Lublinie. I znów robota była bardzo efektowna. Nie wiemy jeszcze, czy wśród uwolnionych byli ludzie z naszego terenu i kto. Najwięcej wszystkich interesuje „Adam” i „Leszcz”. Lecz nie wiadomo nawet, czy byli oni w ogóle na Zamku.

26.II. Poniedziałek. Wczoraj w Zamościu w biały dzień w restauracji przy ulicy Ormiańskiej został postrzelony kierownik wydziału śledczego Penconek, jak mówią – były student medycyny. Niestety wpadł w ręce milicji jeden z dwóch uczestników napadu. Uciekł ten, który strzelał.

Rozeszła się wiadomość, że Turcja wypowiedziała wreszcie wojnę Niemcom i Japonii. Zapewne jeszcze bardziej przyspieszy to koniec wojny.

1.III. Czwartek. Dziś rano – jak to było zawczasu planowane – w wielu miejscach na mieście rozlepiono kartki „Uwaga! Szpicle!” z wezwaniem do nich, żeby zaprzestali współpracy z NKWD. Wrażenie i tym razem bardzo duże.

2.III. Piątek. Mam trochę wiadomości z terenu. Przed kilkoma dniami służba bezpieczeństwa z Biłgoraja przeprowadziła obławę w Majdanie koło Józefowa. Wywiązała się strzelanina. Zginęło kilku, naszych chłopców, w tym bardzo dzielny żołnierz „Kryzych” – Krystian

Herc. Po stronie peperowskiej też było parę trupów. Przed dwoma dniami odbyła się odprawa w Wielączy. W paru sąsiadujących domach było około 10 naszych ludzi. Był też „Podkowa”. Wskutek donosu zjechała służba bezpieczeństwa z Zamościa z Tchórzewskim na czele. Do jednej z chałup rzucono granat. Zginęło 5 bechowców. Jeden miał pseudonim „Grom”. Po całej okolicy szybko rozniosła się wieść, że zabity został por. „Grom” – najpopularniejszy obok Podkowy dowódca oddziału na naszym terenie. Ja byłem najzupełniej pewny, że to nie ten, bo go nie ma w naszej okolicy. Ale dziś dopiero definitywnie wyjaśniliśmy szczegóły.

W Kawenczynie był dziś „Podkowa”. Nawiązywaliśmy z nim kontakt. Ma obecnie pseudonim „Feliks”, jest dowódcą dywersji na obwód zamojski. Oficjalnie nie ma dziś u nas ani Armii Krajowej ani Batalionów Chłopskich. Wszystko złało się w jedną całość. „Podkowa” jeździ po całym powiecie i obejmuje wszystkie placówki. Przewiduje się ożywiona działalność skierowana przeciwko służbie bezpieczeństwa, milicjantom, szpiclom, szkodliwym peperowcom. Idą też duże przygotowania do kampanii przedwyborczej. Nareszcie przystąpili do zwalczania bandytyzmu. Tak przynajmniej twierdzi „Podkowa”. Zagrożono wszystkim, którzy uprawiali „bandziorkę” na własną rękę, że jeżeli nie zaprzestaną rabunków będą zlikwidowani. Do takich należał między innymi „Niebora” ze Szperówki, bardzo popularna postać od „Podkowy”. Klęcząc i płacząc prosił o darowanie mu życia. „Stena” Niedźwieckiego, który pomimo wielokrotnych ostrzeżeń i nagan nie mógł powstrzymać się od rabunku, zastrzelił – jak twierdzi „Podkowa” – osobiście ppor. „Czarny”. Przeszedł on teraz całkowicie do dywersji. Przed rozbrojeniem był w kompanii wołyńskiej, potem pracował w młynie u Perety, obecnie czynny jest wraz „Podkową”. W rzeczywistości jednak zabił go [„Stena”] sam „Podkowa”. Ciężkim zagadnieniem jest opiekowanie się dezertarami z wojska. Liczba ich wzrasta z każdym dniem i nie wiadomo, co z nimi robić, gdzie lokować, gdzie ukrywać.

Na stacji w Krasnobrodzie chłopcy z dywersji poznali wysiadającego z pociągu młodego porucznika, zastępcę komendanta szturmówki z Biłgoraja. Rozbroili go, uprowadzili do lasu, przeprowadzili odpowiednie badanie, biciem wydobyli dużo wiadomości o jego działalności i w końcu rozstrzelali.

3.III. Sobota. Rano zjawił się w szpitalu major NKWD, ten który już kiedyś u mnie był, w towarzystwie trzech berlingowców – szukali jakiegoś rannego, który rzekomo miał umrzeć u mnie w szpitalu. Upewniłem, że takiego nie było. Zadowolił się moim oświadczeniem i na sale chorych nie wchodził. Później dopiero dowiedziałem się, że szukano „Błyska” – jednego z braci Józwiakowskich (Aleksandra), który przypadkowo postrzelił się sam, operowany był w szpitalu w Zamościu i tam zmarł.

4.III. Niedziela. Dziś rano chodziłem na spotkanie z „Dońcem” w wyznaczonym miejscu. Rozmawiałem z nim chyba ze dwie godziny. Nie widziałem go przeszło 3 miesiące. Zmienił pseudonim. Czasem występuje jako „Ostroga”. On to właśnie redagował i podpisał odezwę do milicjantów, o czym już pisałem. W kwatermistrzostwie zwie się „Zagórny”. Jednak wszyscy po staremu nazywają go „Dońcem”. Ja też zmieniłem swój pseudonim na „Satyr”. Dowiedziałem się dużo nowin z wewnętrznego frontu organizacji. Upewniał mnie, że na serio wzięto się nareszcie do uporządkowania stosunków w szeregach żołnierzy dywersji. Wydano nowy, już nie wiadomo który, zakaz nadużywania alkoholu. Mają bezwzględnie tępić bandytyzm. Wszystkie dotychczasowe rabunki dokonywane były na własną rękę. Przy likwidowaniu szpiclów nie wolno było rabować, a jednak rabowali wszystko co się dało. Ma być „rąbnięty” „Piorun” (Ryzner), który podczas napadu rabunkowego na szewca Wiatrowskiego zgwałcił jego siostrę. „Doniec” też mówił, że jednym z czynniejszych bandytów był „Niebora” ze Szperówki, że już go mieli „rąbnać”, lecz wybłagał darowanie mu życia, obiecując poprawę całkowitą.

W ogóle stosunki są przykre. Wciąga się ludzi do pracy. Posyła się ich na najbardziej niebezpieczne akcje. Toleruje się i przez palce patrzy na ich równoczesną działalność rabunkową. Dowództwo nie stara się w należyty sposób pokierować tymi ludźmi i po pewnym czasie niektórzy bywają likwidowani przez swoich byłych współtowarzyszy.

5.III. Poniedziałek. Dziś odbył się pogrzeb „Stena” Niedźwieckiego. Publiczności było dużo. Gdy podniesiono wieko trumny można było widzieć na piersiach biało-czerwoną kokardę. Opowiadali mi ci, którzy byli na pogrzebie. Pomimo wszystko, żal mi tego młodego

życia. Była to dziwna mieszanina bandyty i żołnierza, który szedł na najbardziej niebezpieczne i ryzykowne roboty. Twarda ręka dobrego i taktownego dowódcy mogłaby z niego wydobyć nie byle jakie wartości i nie dopuścić do przekształcenia się w bandytę. W Zamościu aresztowano sekretarza wydziału powiatowego Kościńskiego z synem, urzędnika starostwa Górskiego i jeszcze kilka osób. W żaden sposób nie możemy dojść przyczyny ich aresztowania.

10.III. Sobota. Jak było przewidziane „rąbnięto” „Pioruna” (Ryznera). Jednak te zabójstwa, „likwidowania” i „rąbnięcia” wzbudzają coraz większy niesmak.

14.III. Środa. Dzisiejszej nocy umarła w szpitalu Fela Sankowska „Kozak”, jedna z najpopularniejszych kobiet w dywersji zamojskiej. Była to wyjątkowo dzielna dziewczyna, śmiała, odważna, ofiarna. Śmierć jej odczuliśmy wszyscy tym mocniej, że ostatnie 6 tygodni mieszkała u nas, ukrywając się przed NKWD, które jej poszukiwało. W chwili gdy umierała, napisałem o niej wspomnienie pośmiertne jako przedmowę do fragmentów jej wspomnień o pracy w organizacji i w dywersji. Pisała te wspomnienia na skutek moich nalegań, lecz niestety nie skończyła ich. Przez cały dzień przepisywałem dziś na maszynie jej wspomnienia. Tym sposobem nie przerwałem jeszcze obcowania z Felą, do której w ostatnich czasach tak bardzo przywykłem. Pamięć o niej pozostanie mi na zawsze droga, a równocześnie bolesna, mam bowiem pewne wyrzuty, że zaraziła się tyfusem w czasie, kiedy mieszkała u nas i mogła zarazić się tylko przez wesz, przyniesioną od chorego przez kogoś z personelu.

Na naszym terenie żadnych nowin. Jesteśmy tylko trochę zaniepokojeni, bo dowiedzieliśmy się od milicjantów, że jest jakaś nowa lista z 20 nazwiskami ludzi, mających być aresztowanymi w Szczepieszynie i cukrowni.

16.III. Piątek. Młodego Kościńskiego zwolniono, ojca przewieziono do więzienia. Aresztowano Andrzejewskiego, dyrektora ubezpieczalni społecznej w Zamościu, sędziego Pokornego, pracującego w starostwie i innych. Ludzie spodziewają się dalszych aresztowań. Przesłano mi z Zamościa trzeci, odbity już arkusz wydawnictwa i dalszą korektę. Druk

posuwa się bardzo powoli, ale nie można temu się dziwić, bo drukarnia ma bardzo dużo roboty rządowej, a oprócz tego czynna jest obecnie tylko w godzinach wieczornych i nocnych — od 5 po południu do 5 rano. Bowiem tylko w tych godzinach elektrownia daje prąd. Z tego powodu wielu ludzi musi pracować w godzinach nocnych.

Mało mamy wiadomości z frontów i ze świata. Gazety przychodzą bardzo nieregularnie. Nieraz tydzień i więcej nic nie mamy. Potem naraz otrzymujemy gazety z kilku dni. „Lewe” gazetki i komunikaty radiowe dochodzą do nas też tylko dorywczo.

17.III. Sobota. Odbył się pogrzeb Feli „Kozak”. Jeszcze nie przeniknęło do mojej świadomości to, że ta młoda, pełna sił żywotnych dziewczyna nie żyje. Pochowano ją na wojskowym cmentarzu, jak przystało partyzantce.

18.III. Niedziela. Dyrektora Andrzejewskiego zwolniono z więzienia. Mamy pewną wiadomość, że „Leszcz” jest na wolności. Znalazł się wśród uprowadzonych przed kilkoma tygodniami z więzienia na Zamku. O „Adamie” dotychczas właściwie nic nie wiadomo. Same plotki. Dowiedziałem się, że młody „Sowa” Podczaski ze Zwierzyńca został „rąbnięty” przez swoich za niepoprawny bandytyzm.

19.III. Poniedziałek. Widziałem się z „Wrzosem”. Jest teraz z „Orszą” i „Wirem” w okolicach Krasnobrodu i Józefowa. Zajęci są bardzo agitacją po wsiach. Warunki są ciężkie. W niektórych wsiach nie mogą się pokazać na przykład w Łukowej, Aleksandrowie, z powodu opanowania ich przez peperowców i bechowców, którzy – jak wiadomo – ulegli „rozcaleniu”. Wciąż muszą zmieniać miejsce pobytu, żeby nie wpaść w ręce tych, którzy ich tropią. W tamtych stronach kręca się również „Orkisz” jako zastępca komendanta obwodu, „Radwan” – który prowadzi teraz BIP, „Korab” na wywiadzie. Przepadły archiwa obwodu biłgorajskiego, rejonu józefowskiego i BIP-u. Zawierały one cenny materiał historyczny, staranniej gromadzony niż w innych obwodach, ponieważ „Orsza” przydawał temu większe znaczenie.

23.III. Piątek. Był u mnie „Radwan”. Omawialiśmy sprawę zbierania materiałów historycznych. Obiecał mi dostarczyć dużo rzeczy swo-

ich i innych. W Biłgoraju niepokój. Przeprowadzono bardzo staranną rewizję w szpitalu. Aresztowano trzech uczniów gimnazjum – zatrzymano jednak tylko jednego, u którego znaleźli pistolet („szóstkę”). Aresztowano panią Gebhardtową, – kierowniczkę RGO w Biłgoraju.

W Zamościu wczoraj odbył się pogrzeb zabitego Penconka, kierownika wydziału śledczego.

U nas nastrój mocno niepewny. Mamy ostrzeżenie, że jest nowa lista ludzi podlegających ewentualnemu aresztowaniu i że figuruje na niej ktoś ze szpitala.

Dopiero dziś dowiedziałem się jak brzmi oficjalnie nazwa organizacji podziemnej: „Ruch Oporu Stronnictw Politycznych i Organizacji Społeczno-Pracowniczych” w skrócie ROSP.

26.III. Poniedziałek. Byłem w Zwierzyńcu. Atmosfera beznadziejna. Przygnębienie ogromne. Ludzie nie mogą pogodzić się z myślą, że Ordynacja już nie istnieje. Starzy urzędnicy i emeryci nie mogą sobie wyobrazić życia bez Ordynacji. Niektórzy łudzą się, że w razie zmiany rządu Ordynacja wróci do dawnego stanu. Ja osobiście jestem głęboko przekonany, że niezależnie od formy rządu już się nie odrodzi.

Przy mnie nadeszła telefoniczna wiadomość z Zamościa, że wypuszczony został z więzienia ostatni naczelnik wydziału lasów Władysław Otto.

Około godziny 9 wieczorem słychać było na mieście gęstą strzelaninę. Po chwili przyniesiono rannego komendanta tutejszej milicji Mikołaja Pindę. Zjawiła się równocześnie wielka liczba – chyba kilkunastu – bolszewików z majorem NKWD na czele. Major prosił mnie, żebym stwierdził, że ranny jest pijany. Ranny upewnia, że postrzelił go „bandyta”, tymczasem major dowodził, że strzelał kto inny. Cała historia jest jakaś niepewna i podejrzana. Nie wiadomo jeszcze jaki weźmie obrót. Niektórzy żołnierze odgrążali się, że jutro dobrze przetrząsną całe miasto i z pewnością znajdą tego, co strzelał.

28.III. Środa. Wczoraj przez cały dzień od wczesnego rana mieliśmy w szpitalu wizyty milicjantów i oficerów NKWD, którzy odwiedzali i badali rannego komendanta milicji. Panował wyraźny nastrój zdenerwowania, który wzmógł się znacznie w godzinach wieczornych. Już około godziny 10 rano przyszedł do mnie woźny z sądu Gąska z tym,

że jest rozkaz „rąbnięcia” komendanta i zapytuje, czy nie można by mu dać jakiegoś śmiertelnego zastrzyku. Odpowiedziałem, że w danym wypadku jest to niemożliwe. O godzinie 6 wieczorem zgłosił się do mnie młody Olczyk przysłany bezpośrednio z organizacji z oświadczeniem, że Pinda musi być dziś jeszcze zabrany przemocą ze szpitala. Prosił o ułatwienie zadania: wskazanie sali i miejsca, gdzie leży ranny, pozostawienie bramy niezamkniętej itd. Odbylem z nim dłuższą naradę w obecności Michaliny. Tłumaczyłem, że to się nie da zrobić ze względu na obecność na sali dwóch sowieckich żołnierzy – ozdrowieńców, z których jeden ma przy sobie karabin. Łatwiejsze byłoby zabicie go na miejscu, ale dowodziłem równocześnie, że to byłoby zgubą dla szpitala, dla mnie w szczególności. Prosiłem, żeby przedstawił odpowiednio sprawę dowództwu. Za godzinę miał mi dać znać. Wykonanie zadania było wyznaczone na godzinę 7.30 wieczorem.

W międzyczasie usunąłem z mieszkania wszystko, co mogłoby mnie kompromitować i poczyniłem różne przygotowania do ewentualnego aresztowania, byłem bowiem najzupełniej pewny, że w razie zamachu będę wzięty natychmiast, gdyż będą mnie posądzać o współpracę z napadającymi. Tak bywało dotychczas po napadach na kasy – w cukrowni, w „Rolniku”, w browarze w Zwierzyńcu i po uwolnieniu więźniów w Biłgoraju. W każdym wypadku aresztowano kierowników danej instytucji.

Z niecierpliwością oczekiwałem ponownego przybycia Olczyka. Przyszedł nawet przed godziną 7. Powiedział, że odstępują od zamiaru uprowadzenia rannego żywcem, zlikwidować go jednak muszą. Przyjdą w mundurach wojskowych. Michalina, bardzo dzielna dziewczyna, dobrowolnie objęła dyżur w szpitalu, przejmując przez to na siebie znaczną część odpowiedzialności. Dała pewne informacje, które weszły, jak wyjść, pokazała okno, przez które można wejść, gdy już drzwi będą pozamykane itp. Jeszcze raz prosiłem, żeby się dobrze zastanowili nad tym, co robią biorąc pod uwagę, że tym sposobem gubią i szpital i mnie i Michalinę. Olczyk dowodził, że mają taki rozkaz i muszą go wykonać, lecz obiecał zameldować dowództwu moje stanowisko w tej sprawie i prosił, żeby nie robiono tego na terenie szpitala. Oprócz mnie i Michaliny nikt o niczym nie wiedział. Moje zdenerwowanie w miarę zbliżania się oznaczonej godziny zwiększało się coraz bardziej. Nie mogłem się opanować i w domu to zauważono.

Tłumaczyłem, że dano mi znać, iż będą aresztowania i ja jestem na liście na jednym z pierwszych miejsc.

Minęła 7.30, 8, 9... i nic. Żeby zbytnio nie zwracać uwagi położyłem się o zwykłej porze do łóżka, rozebrawszy się tylko częściowo. Nasłuchiwałem. Nie mogłem ani pisać, ani czytać. W końcu zmorzył mnie sen. Budziłem się często i patrzyłem na zegarek. Uspokoiłem się dopiero, gdy już zaczęło świtać.

Gdy w godzinach rannych przyszedł wczoraj sędzia by wy badać rannego z polecenia prokuratora, Pinda powiedział, że wie kto go postrelił, ale może to powiedzieć sędziemu tylko „na ucho”. Dowiedziałem się od sędziego, że wymienił mu nazwisko piekarza Taładę. Gdy to usłyszałem natychmiast przez zaufanych powiadomiliśmy zainteresowanego. Momentalnie zwiął.

Godzina 9 wieczorem. Na kateryczne żądanie komendy milicji w Zamościu rannego Pindę, ku mojej wielkiej radości, przewieziono dziś do szpitala wojskowego w Zamościu. Mieliśmy z Michaliną wrażenie, że go gdzieś rąbną po drodze. Przynajmniej na to się zanosilo. Ale jakoś dojechał cało.

W Radecznicy zabito dwóch żołnierzy, którzy przyjechali tam do ściągania kontyngentu.

W Skierbieszowie zabito milicjanta i spalono gminne budynki oraz zabudowania wójta.

Z różnych stron dochodzą nas wiadomości o napadach na milicję i na członków służby bezpieczeństwa.

Dezercja też wciąż się wzmaga.

30.III. Piątek. Jacyś uzbrojeni ludzie w mundurach wojskowych zaraz przy wjeździe do kosobudzkiego lasu zabrali chłopom, którzy pojechali po drewno, dwie pary koni z wozami. W Mokremlipiu 8 mężczyzn, również w wojskowych płaszczach, rozbroiło dwóch milicjantów z Sułowa. W Chłopkowie którejś nocy rozebrano doszczętnie cały dom jednego gospodarza, który jest obecnie milicjantem w Zamościu. W Bodaczowie zlikwidowano szpicla Feliksa Piłata. [...]

Były też jakieś napady w Biłgoraju, Tomaszowie, Janowie, lecz nie wiemy o nich żadnych szczegółów.

31.III. Sobota. Jeździłem do Topólczy na spotkanie z „Norbertem”. Omawiałem z nim sprawę materiałów historycznych. Podałem mu kilka tematów do ewentualnego opracowania. Dziś rano przysłał mi dobrze napisaną relację o pobycie i uwolnieniu z więzienia w Zamościu. Jest w dobrej formie, jak zawsze spokojny, zrównoważony.

W Zamościu zabity został Franciszek Kazanecki.

„Orkisz” zawiadomił mnie, że przypadkowo został ranny „Korab”. Jutro rano mają go przywieźć do szpitala.

1.IV. Niedziela (Wielkanoc). Rano „Radwan” przywiózł do szpitala „Koraba”, który ma postrzeloną nogę w okolicy kolana, ze strzaśkaniem kości. Nie wiadomo jakim sposobem wystrzelił rewolwer, który miał w kieszeni. Konwojował rannego i Antoś „Orkisz”, lecz pozostał w Kawenczynie u „Zagłoby”, bojąc się jechać aż do szpitala, koło którego już był raz aresztowany. Pojechałem więc sam do Kawenczyna, żeby się z nim zobaczyć. Opowiedział mi szczegółowo jak go aresztowali bolszewicy w chwili, gdy wychodził ode mnie, jak go badano i jak dokładnie są o wszystkim poinformowani. Dziś pytali go o mnie, wymieniali przy tym ludzi, którzy u mnie bywali. Był pewny, że aresztują mnie jeszcze tej samej nocy.

Opowiedział mi o ostatniej akcji „Wira”. Zorganizował mianowicie większy napad na obóz w Hamerni przeznaczony dla akowców i Volksdeutschów. Jednak więzionych, na parę godzin przedtem, wywieziono gdzieś w niewiadomym kierunku. Rozbrojono tylko 200 żołnierzy – wartowników i schwytano kilku oficerów, w tym jakiegoś majora Żyda, prawdopodobnie komendanta obozu. Przeprowadzono badanie, wydobyto ważne zeznania, rozstrzelano.

„Radwan” przyniósł mi do moich zbiorów rzecz nadzwyczajną: „Jednodniówkę” więźniów politycznych z AK. Wydana, oczywiście ręcznie, w więzieniu w Biłgoraju 21 stycznia 1945 r.

W drodze powrotnej z Kawenczyna spotkałem ciężarówkę z polską chorągiewką przy chłodnicy. Pełno było na niej mężczyzn ubranych po cywilnemu. Żadnej broni na zewnątrz nie było widać. Jednak wygląd tych pasażerów wydał mi się mocno podejrzany. Wkrótce wyjaśniło się, że była to przebrana szturmówka, która jechała na obławę. Byli najpierw w Kawenczynie, potem w Brodach. Aresztowano młodego Kowalczyka, syna „Kawki”, ucznia gimnazjum, Stanisława

Kończana „Czerwienia”. Zabity został na Kawenczynie Sudak, który zorientowawszy się, że to obława, zaczął uciekać. W Brodach aresztowano „Kryjaka” – Edwarda Zalejskiego męża „Warszawianki” – Klebanówny, siostry „Cezarego”, zabito gońca Stachulę. Szturmowcy są w mieście. Zostali na noc. Razem z milicją – wszyscy pijani. Ludzie są zaniepokojeni i zdenerwowani. Wszyscy zainteresowani i zagrożeni wyjechali z miasta. Ja czuję się bardzo niepewnie. W domu nasłuchują, co się dzieje w mieście, czy kto nie idzie i nie dobija się do szpitala.

Ładne i przyjemne mamy święta!

4.IV. Środa. W ciągu paru ostatnich dni nastrój u nas był bardzo podniecony. Z Zamościa w formie „murowanych” wiadomości dochodziły sensacyjne plotki o „rąbnięciu” 14 milicjantów, to znów o odbiciu więźniów z więzienia.

Jeździłem dziś do Zamościa i przekonałem się osobiście, że to wszystko bujda. Natomiast pierwszego dnia świąt przeprowadzono obławę na Górniki pod Józefowem, gdzie właśnie tego dnia przebywał „Wir” ze swymi przyjaciółmi. W rezultacie jeden człowiek został zabity. „Wir” i paru innych zdołało uciec, „Żar” i „Nina” zostały schwytane. Dziś, gdy jechałem do Zamościa, wyminęły mnie 3 duże ciężarówki pełne aresztowanych, konwojowanych przez żołnierzy sowieckich. Prawdopodobnie byli to chłopcy z Górecka, skąd mieli zabrać dużo ludności. Te samochody z aresztowanymi zrobiły na mnie bardzo ciężkie wrażenie.

Byłem na posiedzeniu budżetowym Powiatowej Rady Narodowej. Poznałem obecną władzę: nowego starostę Mościckiego, nowego przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej Trąda. Patrzyłem na nich i nie wierzyłem własnym oczom. Trąd – to na wpół analfabeta, który z trudem podpisuje swoje nazwisko. Mościcki – to podobno jakiś tragarz. I na takiego wygląda, chociaż postawy jest dość mizernej. Nie orientują się oni zupełnie w pracach i zadaniach samorządu, nie mają do kierowniczych stanowisk najmniejszego przygotowania ani kwalifikacji. Kierują nimi dawni urzędnicy i to podrzędnej kategorii – słowem administracja przedstawia się smutno. Charakterystyczne też jest ustosunkowanie się do swych obowiązków. Dawniej na posiedzenia Wydziału Powiatowego członkowie schodzili się punktualnie i posiedzenia te miały odpowiednią powagę. Dzisiaj jest inaczej:

posiedzenie wyznaczono na godzinę 9 rano. Pierwsi dwaj członkowie przyszli około w pół do 12. Rozpatrywanie budżetu rozpoczęliśmy w obecności wiceprzewodniczącego i jednego członka. Dopiero potem zjawił się sam przewodniczący Trąd, który usiadł z boku i ani słowem się nie odezwał. Czegoś podobnego jeszcze nigdy nie widziałem.

W magistracie widziałem się z Bolesławem Kazaneckim, przedwojennym czołowym działaczem PPS w Zamościu. Zjawił się po przeszło dwuletnim pobycie poza Zamościem. Prosił mnie o wygłoszenie odczytu w Towarzystwie Uniwersytetu Robotniczego. Zgodziłem się podając temat: „O okrucieństwie niemieckim z Zamojszczyźnie.” Spotkałem też swego byłego ucznia z Seminarium Nauczycielskiego – Kolanio, który obecnie jest kierownikiem działu oświaty i kultury przy starostwie zamojskim. Projektując założenie w Szczebrieszynie Domu Kultury.

Wracałem niezbyt zbudowany całokształtem spraw w powiecie. W domu spotkała mnie wielka przyjemność, dostaliśmy mianowicie własnoręcznie napisaną kartkę przez „Leszcza”, który wy dostał się szczęśliwie z więzienia i znów znalazł się na naszym terenie.

5.IX. Czwartek. Dziś rano miałem spotkanie z „Wyrwą” – na łące między Brodami a młynem Łysaka na Kępie. Jak zawsze, tak i teraz jest dobrej myśli i „trzyma” należyty fason. Widział się z „Leszczem”, który dwa razy był skazany na śmierć. Szczęśliwym trafem znalazł się wśród 70 uprowadzonych z więzienia. Przez pewien czas w więzieniu miał kontakt z Adamem”, siedział z nim przez miesiąc w jednym budynku. Potem nagle wszystko się urwało. Przypuszcza, że „Adam” został rozstrzelany.

Rozmawialiśmy z „Wyrwą” dość długo o różnych sprawach. Między innymi o „Stanie” i „Piorunie”. Okazało się, że mieli oni poza sobą już kilkadziesiąt napadów rabunkowych. Poza tym Ryzner w 17 wypadkach dokonał gwałtów, a „Sten” w kilkunastu. Nie było innego wyjścia. Musiano ich zlikwidować, ponieważ wszelkie nagany i ostrzeżenia nie dawały żadnego rezultatu. Nie było innego wyjścia.

6.IV. Piątek. Komendant miejscowej „kontrazwiedki”, sowiecki major wezwał mnie dziś telefonicznie, prosząc, żebym przyszedł do niego, do komendantury, gdzie ma jakiegoś chorego. – Wydało mi się

to trochę podejrzane, ale poszedłem. Przyjął mnie bardzo uprzejmie w swoim gabinecie, przy biurku, na którym leżał rewolwer i duży nóż fiński. Od razu zaczął od tego, że wcale nie ma żadnego chorego, tylko chciałby ze mną porozmawiać. A więc najpierw kilka pytań dotyczących mojej osoby: jak długo byłem w Rosji, od jak dawna mieszkam w Szczepieszynie... Potem przemowa o roli demokracji, o zadaniach kontrwywiadu sowieckiego w Polsce, o bandytach, wreszcie o konieczności wyłapania wszystkich akowców. Otóż w związku z tym chce mnie prosić o pewną pomoc. Może czasem wypadnie mu zwrócić się do mnie o przetłumaczenie na rosyjski jakiegoś pisma, a najważniejsze o udzielenie informacji o niektórych ludziach, bo przecież mieszkając tu tyle lat z pewnością wszystkich znam. Odpowiedziałem mu na to, że istotnie znam bardzo dużo ludzi, tak w Szczepieszynie jak i w okolicy, ale nigdy nie interesowałem się, czy kto należy do jakiejś organizacji i jakie zajmuje w niej stanowisko. Zapytał mnie o Stanisława Tałandę, tego, który postrzelił komendanta milicji Pindę. „Dużo jest w Szczepieszynie Tałandów i nie wiem który to.” „Czy pan zna Stanisława Książka?” – „Oczywiście, przecież to mój uczeń z Seminarium Nauczycielskiego.” – „A gdzie on teraz jest?” – „Nie mam pojęcia, bardzo dawno go nie widziałem.” – „A czy zna pan niejakiego Adamowicza?” – „Nie, o takim nazwisku w Szczepieszynie nie słyszałem.”

Dalej – zwraca się do mnie z prośbą, żebym w przyszłości udzielał mu poufnych wiadomości o ludziach, którymi z wiadomych względów interesuje się sowiecki kontrwywiad. „Proszę bardzo na mnie nie liczyć, bo jestem daleki od wszelkiej konspiracji i nie wiem, kto w czym bierze udział.” – Rozmowa trwała dość długo. Powiedział mi między innymi, że wie o mnie bardzo dużo, zasięgał o mnie informacji od wielu ludzi, a i teraz zanim poprosił mnie do siebie rozmawiał o mnie kilka razy z wydziałem śledczym. Następna sprawa, o którą mu chodziło, to choroby weneryczne – Chce, żeby zawiadamiać go o wszystkich chorych tego rodzaju, zgłaszających się do mnie – o żołnierzach sowieckich – kobietach i mężczyznach. Na to, oczywiście, przystałem bez gadania.

Na zakończenie zaznaczył, że rozmowa nasza jest bardzo poufna i musi pozostać tajemnicą. Chce ze mną spotykać się parę razy w miesiącu, tylko nie w komendanturze, żeby to nie zwracało uwagi. „Jeżeli Pan ma do mnie interes, to proszę przyjść do kancelarii dyrekcji, jak to

zwykle robili pańscy poprzednicy." Przez cały czas rozmowy byłem całkowicie opanowany, zachowałem swoją zwykłą, naturalną swobodę, jaką mam zawsze przy zetknięciu się z bolszewikami. W przeciwieństwie do tego, jak było z Niemcami. Miałem jednak duży niesmak, że taki bydlak sądził, że potrafi wydobyć ode mnie jakieś poufne wiadomości i skłonić mnie do współpracy z ich kontrwywiadem.

Skontaktowaliśmy się bliżej z „Leszczem”, chociaż ja sam go jeszcze nie widziałem. Jest w dobrej formie i pełen zapału do dalszej pracy. Nie ma żadnej wątpliwości, że „Adam” nie żyje. Tego to mi strasznie żal. Dla organizacji jest to – moim zdaniem – naprawdę dotkliwa strata.

Dziś w Szczepieszynie rozbrojono jednego oficera i dwóch podchorążaków, którzy przyjechali tu po kontyngent. Ponieważ zdarzyło im się to już po raz drugi, więc nie chcą wracać do swojej formacji i zamierzają pozostać gdzieś w terenie „prywatnie”. Wczoraj w Brodach chłopcy też rozbroili jakiegoś żołnierza, który szedł sam do stacji. Owo rozbrojenie polskich żołnierzy i oficerów jest teraz wszędzie na porządku dziennym. Tak samo jak dezercja. Po wsiach ukrywa się mnóstwo dezertersów. Chłopi mają z tym duży kłopot, bo się obawiają represji, ale trzymają u siebie nadal.

Trzeba przyznać, że niektóre wsie, pomimo wszystko, zachowały niezmienną postawę. Taki na przykład Kawęczyn: tam jak za niemieckich czasów wciąż pełno jest „ludzi z lasu”. I wszyscy dobrze wiedzą, kto u kogo jest. I stale są w pogotowiu, bo obława może być w każdej chwili, jak to już nieraz bywało.

Z więzienia w Zamościu wywieziono gdzieś w stronę Lublina przeszło 100 więźniów. W tej liczbie znaleźli się obydwaj Śmieciuszewscy i Jacek Jakimowicz. Przed wywiezieniem wpadli do więzienia bolszewicy i wszystkich wywożonych pobili w bardzo dotkliwy sposób. Prawdopodobnie po to, żeby nie próbowali w drodze uciekać.

Wciąż żyjemy w atmosferze i w oparach ludzkiej niedoli i nieszczęścia. Poza tym jesteśmy przytłoczeni coraz większymi kłopotami dnia powszedniego. Wszystkim tym jestem teraz tak zmęczony psychicznie, jak rzadko kiedy. W dodatku wyczerpuje nas nerwowo ciągła obawa, że w każdej chwili możemy być aresztowani.

8.IV. Niedziela. Wczoraj wieczorem zabity został na ulicy koło poczty sierżant sowiecki. Zwłoki znaleziono dopiero dzisiaj nad ranem

koło domu, w którym mieszka znany szpicel Romanowski. Jest przypuszczenie, że polowano właśnie na niego, a przypadkowo zabili żołnierza sowieckiego. Oczywiście ludzi ogarnął strach, bo z pewnością będą jakieś represje, jak zwykle w takich wypadkach. Po południu, już we wczesnych godzinach przedwieczornych, na mieście było zupełnie pusto, tak wszyscy się pochowali.

9.IV. Poniedziałek. Miasto w dalszym ciągu puste i pełne niepokoju. Snują się bolszewicy i jakieś podejrzane typy nieznanymi cywilów. Zwłoki zabitego bolszewika dotychczas nie pochowane. Wczoraj je sekcjonowano. Przyszła dziś do mnie lekarka sowiecka kapitan prosząc, żebym pomógł jej napisać protokół sekcji. Sama nie mogła sobie dać rady.

Chodziłem na spotkanie z „Leszczem” i „Grudą”. „Leszcz” wygląda zupełnie dobrze, zapuścił wąsiki, z którym mu bardzo do twarzy. Opowiedział mi o swoich przejściach. Z „Adamem” się nie widział, jednak porozumiewał się. Siedział natomiast z „Antonim”, który również skazany był na śmierć, lecz znalazł się w liczbie 16 uprowadzonych z więzienia na Zamku (wyszło 16 więźniów i 11 dozorców). Niestety, po kilku dniach złapano go ponownie na ulicy w Lublinie. „Gruda” zmizerniał, więcej niż zwykle zaniedbany i oberwany. Z bocznej kieszeni spodni stale wyłazi mu rączka pistoletu. Obydwaj są wyjątkowo czujni. Przez okno pilnie obserwują ruch na szosie zwracając uwagę na każdy samochód, rowerzystów i przechodzących bolszewików.

Nadeszła smutna wiadomość, że w Warszawie po jakiejś ważnej odprawie aresztowano „Waclawa”, który po „Adamie” prowadził zamorski inspektorat.

Był dziś u mnie na krótko „Radwan”. Z Biłgoraja wywieźli wszystkich więźniów, tak z więzienia jak i z bezpieczeństwa, w tym Gebhardtową i doktora Sanockiego. Prawdopodobnie wszystkich uwięzionych wywiozą gdzieś w głąb Rosji. W Biłgoraju zostały tylko „Żar” i „Nina”.

10.IV. Wtorek. Jakoś dzień przeszedł spokojnie. Pogrzeb zabitego żołnierza odbył się zwykłym trybem.

Ludzie przyjeżdżający z Zamościa mówią o wzmożonym ruchu w sowieckim lotnictwie. W Łapiguzie w pośpiesznym tempie budują

nowe lotnisko układając nawierzchnię betonową. Na wszystkich lotniskach bardzo dużo samolotów, poza tym wszędzie olbrzymie ilości bomb lotniczych. W jakim celu na tak głębokich tyłach idą podobne przygotowania?

Coraz częściej słycać rozważania na temat możliwości nowej wojny angielsko – rosyjskiej. Co wówczas byłoby z nami?

11.IV. Środa. Przed kilkoma dniami zniknął cały posterunek milicji w Radeczniczy. Rozbrojono wszystkich milicjantów, paru zabrano ze sobą.

12.IV. Czwartek. Dochodzą wiadomości z różnych stron o likwidowaniu posterunków milicji. W ostatnich dniach, jak opowiadają, zdjęto w powiecie biłgorajskim 8 posterunków. Odbywa się to w ten sposób, że milicjantów rozbijają, czasem tylko szkodliwych uprowadzają ze sobą, akta niszczą.

W naszej okolicy miało dziś miejsce bardzo przykre wydarzenie. Ze Zwierzyńca wyjechało 5 żołnierzy polskich po kontyngent do Kawenczyna. Gdy przejeżdżali przez Topólcę oddano do nich serię strzałów. Najpierw przywieziono do mnie rannego woźnicę, gospodarza z Wywłóczki. Parę godzin potem rannego żołnierza. Zwłoki jednego zabitego żołnierza przewieziono do Zwierzyńca. Jeden żołnierz zdrowy i cały przyjechał z odpowiednim meldunkiem do swojej komendy w Zwierzyńcu. Co się stało z pozostałymi dwoma – nie wiadomo. Jedni twierdzą, że są zabici. Dochodzenie prowadzone przez milicję na miejscu wypadku nic nie wyjaśniło. Pod wieczór przyszedł do szpitala major kontrwywiadu Głazunow i sam badał rannych. Musiałem być obecny i służyć za tłumacza. Ranny gospodarz dokładnie określił, w którym miejscu ich ostrzelano, koło których zabudowań. Major bardzo lekceważąco wyrażał się o milicji i zdradził się, że sam dzisiaj jeszcze pojedzie do Topólczy.

Siostra Michalina oczywiście natychmiast zawiadomiła o tym kogo należy i posłano dalej gońców, żeby uprzedzić ludzi.

Te bratobójcze walki sprawiają bardzo ciężkie wrażenie. Setkami giną ludzie zupełnie niepotrzebnie.

Zaczęła się też i inna akcja: zjawia się w rozparcelowanym dworzec grupa uzbrojonych ludzi, sprawia tęgie lanie paru chłopom, którzy dostali działki folwarcznej ziemi i surowo zabrania im uprawiania jej.

Tak było na przykład w Sułowcu, i w Abramowie pod Frampolem. Wielkiego sensu w tym nie widzę. Dlaczego ziemia ma stać odłogiem?

13.IV. Piątek. Ogromne wrażenie zrobiła wiadomość o śmierci prezydenta Roosevelta. Wszyscy boją się, że ucierpi na tym sprawa polska.

14.IV. Sobota. Już stwierdzono definitywnie, ponieważ znaleziono zwłoki, że w Topólczy zabito trzech żołnierzy. Było to „nieporozumienie”. Myślano, że jedzie szturmówka i bez sprawdzenia dano serię. Niestety, w organizacji ROSP-u zbyt wielkie możliwości i uprawnienia mają ludzie chociaż bardzo dzielni, ale mało poważni, działający za pierwszym impulsem, bez głębszego zastanowienia: „Podkowa” („Feliks”), „Kawka” – obecny komendant rejonu, „Gruda” – zastępca komendanta rejonu, „Błyskawica” („Karol”) – komendant placówki i inni.

Z sąsiednich powiatów – z hrubieszowskiego, z krasnostawskiego, dochodzą wieści o groźnej akcji pacyfikacyjnej przeprowadzonej przez polskie szturmówki przy udziale bolszewików. Masowo aresztują mężczyzn.

Z Zamościa zawiadomiono dziś tutejszą placówkę, że przybyły tam jakieś dwie szturmówki z Rosji.

16.IV. Poniedziałek. Dzień przeszedł spokojnie. Natomiast pod wieczór miasto zostało zaalarmowane wiadomością, że w Zawadzie i Wielączy zaczęła się jakaś akcja. Ludzie przybywający od strony Zamościa opowiadali, że zabierano mężczyzn, że akcję prowadzili bolszewicy. Od nas widać było doskonale łunę pożaru. Ludzi ogarnął strach, że ta fala akcji może dojść do nas.

Przed paroma dniami aresztowano w Zamościu Władysława Dąbrowskiego, byłego urzędnika ordynackiego, brata „Wydry”.

Widziałem dziś serię zdjęć z pogrzebu trzech żołnierzy zabitych w Topólczy. Nie mogę otrząsnąć się z bardzo przykrego wrażenia. I za co właściwie zabito tych trzech młodych chłopaków? Takie „pomyłki” nie powinny przejść bezkarnie. Odpowiedzialność moralna za nie spada na poszczególnych dowódców, nieopanowanych, mało wyrobionych.

17.IV. Wtorek. Z coraz większym napięciem ludzie śledzą przebieg działań wojennych w Niemczech. Armie sprzymierzone podeszły już

pod sam Berlin. Nie ma wątpliwości, że stolica Rzeszy padnie lada dzień. Zajęcie i rozgromienie całych Niemiec, to kwestia paru tygodni, być może nawet dni. Spełniają się nasze najgorętsze życzenia, nasze marzenia, którymi żyliśmy całe 6 lat. Za tydzień, 25 kwietnia ma się rozpocząć konferencja pokojowa w San Francisco. Jeżeli nawet nie rozstrzygnie się tam jeszcze ostateczny los Polski, to w każdym razie przyniesie nam ta konferencja jakieś zasadnicze zmiany, w co mocno wierzymy. Przecież z chwilą ustania wojny z Niemcami pobyt wojsk sowieckich w Polsce niczym nie będzie usprawiedliwiony. A więc, chyba się wycofają. A może będzie nowa wojna?

W każdym razie wszyscy zdają sobie jasno sprawę, że wchodzi my w nowy, być może końcowy zarazem, najważniejszy, decydujący okres wojny.

18.IV. Środa. Dochodzą nas wieści o jakiejś poważniejszej akcji pacyfikacyjnej w powiecie krasnostawskim. Podobno po wsiach masowo zabierają mężczyzn. Ubiegłej nocy miał od nas pójść tam na odsiecz „Podkowa” z 50 ludźmi, nie wiem jednak czy poszli.

Podczas obławy na „Wira” w pierwszy dzień Wielkanocy, kiedy aresztowano „Ninę” i „Żar”, ranna została „Hanka” z Krasnobrodu. Przewieźli ją z urzędu bezpieczeństwa do szpitala w Biłgoraju. Wywiązała się zgorzel gazowa i musiano jej amputować nogę.

19.IV. Czwartek. Od rana miasto było silnie zaniepokojone wiadomością, że rozpoczęła się jakaś akcja w Żurawnicy i w Topólczy oraz na terenach lasów koło tych wsi. Biorą w niej udział polska szturmówka i żołnierze sowieccy. Pomimo, że od tych wsi dzieli nas zaledwie kilka kilometrów, do wieczora nie mieliśmy stamtąd żadnych pewnych wieści i nie wiemy, co się tam stało. Pocieszamy się jedynie tym, że do szpitala nie przynieśli ani jednego rannego, może więc wszystko odbyło się spokojnie. O aresztowaniach też nic jakoś nie słyhać.

Około godziny 5 po południu z poczty podano mi otrzymany dopiero co komunikat: „Walki toczą się na przedmieściach Berlina. Należy przygotować flagi do udekorowania domów natychmiast po otrzymaniu wiadomości o zajęciu stolicy Rzeszy”.

20.IV. Piątek. Z poczty zatelefonowano ze sprostowaniem: wczoraj Zamość nadał im nieścisłą wiadomość. Jeszcze żadne walki na przedmieściach Berlina się nie toczą. Notuję takie szczegóły dla pokazania, że czasem nawet z urzędu podawane komunikaty tyle są warte, co plotki „JPP” („Jedna Pani Powiedziała”).

Wczorajszy dzień pomimo alarmów przeszedł bez żadnych nadzwyczajnych wydarzeń. Szturmówka we wsiach, w których była, nic właściwie nie robiła. Żołnierze ponabierali trochę jajek, chleba, masła – i na tym koniec. Niektórzy przypuszczają, że było to tylko wstępne zapoznanie się z terenem i prawdziwa akcja odbędzie się dopiero w jakiś czas potem. Tak przynajmniej robiono w powiecie krasnostawskim.

Był u mnie „Proch” – komendant rejonu w Radecznicy. Obiecał mi dostarczyć kilka artykułów i opisów ze swego terenu.

21.IV. Sobota. Mieliśmy dziś ciężki, okropny dzień – jak to nieraz bywało przy Niemcach. O godzinie 3 w nocy koło szpitala w kierunku na Błonie przeszły dwa niewielkie oddziały żołnierzy. W ciemności trudno było rozpoznać – czy to szturmówka polska, czy żołnierze bolszewicy. Już byliśmy pewni, że rozpocznie się jakaś akcja, nie wiedzieliśmy tylko gdzie. Po pewnym czasie słychać było strzały karabinowe. Zaraz po 6-ej przywieziono do szpitala umierającego Jana Dychę, lat 48, gospodarza z Błonia, z raną postrzałową klatki piersiowej w okolicy serca. Nadeszły też pierwsze wiadomości o krwawej akcji przeprowadzonej w Błoniu, Kawenczynie i Brodach. Brali w niej udział głównie bolszewicy, jednak z pomocą polskiej szturmówki. Zabierano tylko mężczyzn w wieku mniej więcej od 17-18 lat do 50. Do uciekających strzelano. Do wieczora mieliśmy pewne wiadomości, że w Błoniu zabito Feliksa Niechaję, bardzo solidnego gospodarza, którego rodzony brat Piotr zginął w lipcu 1944 roku w partyzantce. Zmarł też, zaraz po przywiezieniu do szpitala, wspomniany Jan Dycha. W Brodach Dużych zabito Volksdeutscha Berlina i nauczyciela Stanisława Wejlera. Cała jego rodzina, niemieckich kolonistów osiadłych tu w dawnych czasach, zapisana była do Volksdeutschtów, on jeden tylko stanowczo oparł się naleganiom Niemców i nie wyparł się swej polskości. Jego ojciec i starszy brat, również nauczyciel, przebywają obecnie w obozie dla Volksdeutschtów.

Z postrzelonych mamy w szpitalu ciężko rannego w klatkę piersiową Tomasza Martynę, lat 35, jednego z najpopularniejszych gospo-

darzy w Kawenczynie. Należał do najgorliwszych, czynnych i oddanych członków organizacji.

Czy są jeszcze inni zabici lub ranni, na razie nie wiadomo. Być może znajdują się gdzieś w polu lub w lesie, tylko ich nie znaleziono.

Zatrzymany przewieziono samochodami do fabryki „Alwa”. Ilu aresztowano – trudno obliczyć. Dopiero tam zaczęto ich legitymować i do wieczora niektórych puszczono. Wszystkich pozostałych zatrzymano w fabryce.

W mieście panowało straszne przygnębienie. Ulice prawie puste. Wszyscy trwają w oczekiwaniu tego samego u nas i niepokoją się o los aresztowanych.

U niektórych, bardziej wtajemniczonych, dołącza się jeszcze inna obawa: na terenie „Alwy” w jakiejś kryjówce znajdowało się wielu naszych ludzi z dowództwa. Nic o nich na razie nie wiadomo, czy siedzą tam dalej, czy też zdążyli gdzieś się usunąć. I czy nie wytropią ich bolszewicy, którzy mają ze sobą kilka wytresowanych psów.

I tak jak przy Niemcach czujemy się bezradni. Znów opanowuje ludzi żądza zemsty. A najtragiczniejsze i najsmutniejsze jest to, że w tym mordowaniu wymęczonej i sponiewieranej przez Niemców ludności polskiej biorą teraz udział żołnierze polscy.

Jakaś podobna akcja miała miejsce w Łabuńkach pod Zamościem. Zginęło tam, – jak mówią, – około 10 naszych chłopców.

22.IV. Niedziela. Jeździłem z sędzią do Błonia na oględziny sądowo-lekarskie zwłok zabitego Feliksa Niechaja. Dostał całą serię strzałów w głowę i w klatkę piersiową. Z „Alwy” dużo ludzi puszczono. Ilu w sumie zostało aresztowanych jeszcze nie wiemy. Dziś u nas spokój zupełny. Tematem rozmów jest głównie dzień wczorajszy i roztrząsanie, czy u nas w Szczepieszynie będzie jakaś akcja, czy nie.

Dowiedziałem się, że „Szyszka” przebywa na Zamku w Lublinie. Skazany był na karę śmierci, lecz wyrok zamieniono na 10 lat więzienia.

Godzina 9 wieczorem. W mieście panika. Była akcja w Gorajcu, Szperówce, Rozłopach. Obława wyraźnie posuwa się na Szczepieszyn. O 8-ej przyszło dwóch chłopaków (jeden to młodszy brat „Dońca”) prosząc, żeby ich przechować. Ponieważ szpital jest pod obserwacją i rewizja może być u nas ściślej, niż gdzie indziej, więc musiałem

odmówić, żeby nie narażać szpitala. Jestem przygotowany na wszystko. Kładę się do łóżka nie rozbierając, zdjąłem tylko buty.

23.IV. Poniedziałek. Jednak noc przeszła zupełnie spokojnie. „Grupa operacyjna” z „Alwy” wyjechała do Zwierzyńca.

Podczas akcji w Rozłopach zabity został wczoraj Świergoń. Utrzymuje się nadal w mieście obawa akcji dzisiejszej nocy. Młodzieży w mieście bardzo mało. Ze Zwierzyńca również wyjechało bardzo dużo mężczyzn. Nastrój wszędzie bardzo ciężki, pełen trwogi.

Był dziś u mnie „Mongoł”. Zaczął mówić o napadzie na mnie w listopadzie ubiegłego roku. Zapewniał, że inicjatorem tego napadu był „Sęp”, który nakłonił też „Stena”, „Pioruna” i jeszcze kogoś, dając im przedtem dobrą dawkę wódki. To samo twierdził „Leszcz” po powrocie z więzienia. Dowiedział się o tym od tych, którym opowiadał to „Sten”.

Trudno mi w to uwierzyć. Notuję na odpowiedzialność tych, którzy mnie tak poinformowali.

Z Brodów Dużych przywieźli mi dziś do szpitala śmiertelnie ранego Volksdeutscha Mariana Wejlera, lat 22. Przyjechali po niego taksówką. Aresztowali jego i drugiego Volksdeutscha Ochmańskiego. W pewnym momencie Wejler zaczął uciekać. Wówczas dano do niego całą serię.

O godzinie 7 wieczorem otrzymuję telefon z poczty najświeższy, przed chwilą otrzymany komunikat: „wojska rosyjskie marszałka Koniewa i polskie pod dowództwem generała Popławskiego wkroczyły do Berlina. Moskwa grzmi.”

Do tego żadnych komentarzy. Może znów jakaś plotka.

25.IV. Środa. Już nawet z gazet wiemy, że walki toczą się na przedmieściach Berlina.

A u nas akcja we wsiach trwała nadal. Byli zabici w Gorajcu i Czarnymstoku! Józef Piwowarek, Andrzej Pinciorek (?) i jeszcze ktoś trzeci.

Dziś cała „grupa operacyjna” została nagle ze Zwierzyńca odwołana do Zamościa.

W nastroju wszędzie daje się zauważyć zupełne odprężenie.

Słuchamy opowiadań o różnych epizodach z akcji.

„Kryjak” znów uciekł z Bezpieczeństwa w Zamościu. Ledwie dostał się do domu w Brodach, jak zaskoczyła go akcja. Na „Alwie”

w dwóch kryjówkach przesiedziało nieruchomo w ciągu około 30 godzin 12 naszych chłopców z „Grudą” i „Kawką”.

W Brodach Dużych w ciężkiej opresji znalazł się „Doniec”. Jechał na rowerze, dano po nim serię, przestrelono mu kurtkę na ramieniu, zeskoczył z roweru, rzucał kurtkę i uciekał dalej piechotą. Gnano za nim z różnych stron, lecz w końcu dopadł jakichś zabudowań i tam się tak zaszył, że go nie znaleźli.

Zewsząd dochodzą wieści o szalejącym terrorze.

W San Francisco rozpoczęła się dziś konferencja pokojowa. Ludzie mają nadzieję, że przyniesie ona dla nas jakieś zmiany na lepsze.

26.IV. Czwartek. W Górecku we dworze Zakrzewskich aresztowano dzisiejszej nocy Władysławę Żochowską i jeszcze jakąś służącą. Inni uciekli lub zdołali ukryć się. Jak za czasów niemieckich, tak i teraz była tam znana „melina” partyzancka przez którą przewijało się mnóstwo ludzi. Żochowska znała doskonale wszystkich i siłą rzeczy była silnie z organizacją związana. Syn jej, obecnie uczeń gimnazjum w Zamościu, był w oddziale „Podkowy”.

Byłem dziś w Zwierzyńcu. W dalszym ciągu nastrój tam bardzo smętny, zwłaszcza w środowisku poordynackim. Doszła wiadomość o aresztowaniu ordynata Jana Zamoyskiego i jego brata Marka. Siedzą prawdopodobnie w Kielcach. Poza tym stwierdzono, że podczas powstania w Warszawie zginął młody chłopak Zdzisław Stroiński, syn znanego adwokata ordynackiego i zamojskiego. Niemal w każdej rodzinie są jakieś ofiary, o wielu ludziach w ogóle zaginął wszelki ślad.

30.IV. Poniedziałek. Dzisiejszej nocy mieliśmy malutki przedsmak tego, co ewentualnie będzie się działo podczas wycofywania się wszystkich wojsk sowieckich z zachodu na wschód. Przez miasteczko przejeżdżało kilka samochodów. Żołnierze zatrzymali maszyny przed niektórymi sklepami i – nie gasząc motoru, żeby zagłuszyć hałas – zaczęli zwykły rabunek.

W dziejach kościoła św. Katarzyny obok szpitala, nastąpił dziś nowy etap. Mianowicie dzięki zabiegom księdza Kapalskiego kościół, który przy Niemcach zamieniono na cerkiew prawosławną, zwrócono znów parafii rzymskokatolickiej.

Poza tym na naszym odcinku – cisza. Młodzież męska powoli wraca coraz liczniej do miasta i do sąsiednich wiosek, jednak stale jest na baczności, bojąc się podstępu ze strony bolszewików i jakiejś niespodziewanej nagłej obławy.

Komendantem rejonu jest teraz „Gruda” pod swym dawnym pseudonimem „Bruzda”.

1.V. Wtorek. Byłem na uroczystym obchodzie 1-go maja w cukrowni. Wzięły w nim udział wszystkie szkoły ze Szczepieszyna i sąsiednich wiosek. Bardzo dobrze maszerowało gimnazjum. Przemówienie robotników Zycha i Rudnika mało ciekawe, miejscami zupełnie niedorzeczne.

2.V. Środa. Jeździłem do Zamościa na otwarcie Muzeum Zamojskiego. W odświeżonych salach pięknej kamienicy „pod lwami” rozłożono ponad 4 tysiące eksponatów. Tak się dziwnie złożyło, że Niemcy podczas okupacji i w chwili opuszczania Zamościa nie zniszczyli muzeum, a nawet udało się inżynierowi Zarembie i kustoszowi Kabatowi tak podejść Kreishauptmanna, że ten polecił magistratowi odrestaurować dla muzeum jedną z najpiękniejszych ormiańskich kamienic, która już sama stanowi cenny zabytek najstarszej architektury zamojskiej. Na uroczystym otwarciu zebrały się „czerwone” władze miasta i garstka inteligencji. Pierwsze przemówienie wstępne wygłosił przewodniczący Rady Miejskiej Syta. Zakończył swą przemowę niespodziewanym, a tak zbytecznym okrzykiem na cześć Armii Czerwonej i „wielkiego marszałka Stalina”. Zaledwie kilka głosów powtórzyło za nim „Niech żyje”. Wypadło to całkiem blado.

Po nim mecenas Branicki w krótkich słowach podniósł ogromne zasługi Henryka Rosińskiego przy tworzeniu muzeum i zaproponował, by jedną salę, w której rozmieszczone będą zbiory Rosińskiego, nazwać jego imieniem. Pamięć jego uczczono chwilą milczenia. Ja mówiłem trzeci z kolei, ale już na dużej sali na parterze, dokąd przeszli wszyscy zgromadzeni. Przedstawiłem koleje jakie przechodziło muzeum od chwili założenia w 1924 roku, podkreślając jak najwyraźniej zasługi, w pierwszym rządzie Rosińskiego, a już podczas okupacji Kabata i Zaremby, którym muzeum zawdzięcza swój obecny stan. Mówiłem o znaczeniu muzeów regionalnych jako o żywych ogniskach twórczej pracy naukowej.

Ale na ogół nastrój w Zamościu smętny. Ludzie wszystkiego się boją. Polskie formacje wojskowe prawie wszystkie wyjechały, natomiast znacznie zwiększyła się liczba wojsk sowieckich. Lecz w nieustannym strachu żyją nie tylko mieszkańcy miasta, ale i sama służba bezpieczeństwa. Widać to z tego, że zamknięto dla ruchu kołowego ulicę Żeromskiego, przy której mieści się polska służba bezpieczeństwa, w domu (Czerskiego) odziedziczonym po niemieckim Gestapo. Koło samego gmachu to już nawet przejść nikomu nie wolno. Warta każdego zatrzymuje i zawraca z drogi.

Wszyscy z napięciem śledzą przebieg konferencji w San Francisco. Jak stoi sprawa Polski i co nas czeka w przyszłości.

Gustaw Świda i Zienkiewicz ze Zwierzyńca zostali przewiezieni z więzienia w Zamościu do Chełma i dopiero tam wypuszczeni na wolność. Kosztowało to bardzo dużo pieniędzy.

3.V. Czwartek. Przed paru dniami dokonano napadu na transport Ukraińców w Białym Słupie. Zabrano dużą ilość krów, koni, mąki itp. Zabito kilka osób, w tym dwóch żołnierzy sowieckich, zginął jeden z partyzantów.

Dzisiejszej nocy coś poważniejszego działo się w Biłgoraju, lecz nie mamy jeszcze żadnych szczegółów.

Oficjalny komunikat radiowy podaje dziś wiadomość o całkowitym opanowaniu Berlina, o śmierci Hitlera i o rozstrzelaniu Mussoliniego. Nareszcie doczekaliśmy się tego, w co tak niezachwianie przez prawie 6 lat wierzyliśmy, że stać się w końcu musi.

4.V. Piątek. Notuję tylko dla pamięci parę wiadomości dla późniejszego sprawdzenia: w Biłgoraju większy oddział szturmówki polskiej przeszedł wraz z dowódcą majorem na stronę „lasu”. „Podkowa” w Janowie przeprowadził jakąś większą akcję posługując się sowieckimi samochodami po sterroryzowaniu sowieckich oficerów. Zabrał w kasie około 600 tysięcy złotych.

Wykańczanie Niemiec odbywa się w coraz szybszym tempie. Jesteśmy świadkami całkowitego pogromu zniechęconych zbrodniarzy. Teraz dopiero zacznie się okres zemsty.

5.V. Sobota. W Zamościu przed około 10 dniami został aresztowany Adaś Adamowicz „Rosa”.

Wszędzie zaczyna się ożywiony ruch. Ze wszystkich stron dochodzą wiadomości o zlikwidowanych posterunkach milicji. Niektórzy milicjanci nie czekają aż ich rozbroją i sami idą w świat. Już nie tylko pojedynczy żołnierze, ale nawet całe oddziały dezertują – częściowo do domu, częściowo do lasu. I to nie tylko na naszym terenie. Wpływają na to głucho wieści, że bolszewicy zaczęli już całe kompanie, po rozbrojeniu, w zaplombowanych wagonach wywozić gdzieś na wschód. O przebiegu konferencji w San Francisco wiemy bardzo mało, mówi się tylko ciągle, że „sprawa Polski stoi bardzo dobrze”. A dzisiejsze radio podało, że Stalin zaprosił na konferencję do Moskwy Mikołajczyka. Wszystko to razem podtrzymuje ludzi na duchu, dodaje energii i siłę do przetrzymania obecnej okupacji, która jak się okazało, wcale nie jest lżejsza od niemieckiej.

6.V. Niedziela. Dzisiejszej nocy „zrobiono” cukrownię. Zabrano ok. 450 metrów cukru. Wszyscy chłopcy byli w mundurach wojskowych i dlatego mówi się, że napadu dokonało wojsko.

7.V. Poniedziałek. Cukier zarekwirowano nie w cukrowni, lecz już na stacji w Klemensowie z wagonów pilnowanych przez sowieckich żołnierzy.

Niestety był już odwet sowiecki. Przyjechali do Niedzielisk, wzięli dużo męczczyzn. Jest wielu zabitych, znaleźli broń. Część wsi spalili.

8.V. Wtorek. W liczbie zabitych w Niedzieliskach jest „Huzar” – Józwiakowski. Tragiczne to rodzeństwo braci Józwiakowskich. Dwóch zginęło podczas okupacji niemieckiej, dwóch przy bolszewikach. – Ranny jest „Wir” Bartoszewski.

Niemcy całkowicie skapitulowały! Tak już w ostatnich czasach zżyliśmy się z myślą, że są to ich końcowe dni, że wiadomość o ostatecznym zgnębieniu śmiertelnego wroga nie sprawiła na nas takiego wrażenia, jakiego należało się spodziewać. Zresztą umysły wszystkich zajmuje inne zagadnienie: czy dojdzie do konfliktu pomiędzy Rosją a Anglią i Ameryką. Wszystko zdaje się przemawiać za tym, że konflikt

jest nieunikniony. W jakże ciężkiej znaleźliśmy się sytuacji! Choć w ostatecznym rezultacie przyniosłoby to Polsce wielką korzyść.

Z Zamościa nadeszło ostrzeżenie, żeby mieć się na baczności, bo znów grozi Szczepreszynowi jakaś akcja. Prawdopodobnie pójdzie też jakaś obława na lasy, w których zbiera się coraz więcej ludzi, całe oddziały dezertarów z Zamościa, Biłgoraja, Lubaczowa, Hrubieszowa. Są duże trudności z wyżywieniem takiej masy ludzi.

9.V. Środa. Godzina 3 w nocy.

O drugiej obudziła nas strzelanina – karabiny maszynowe waliły całymi seriami z różnych stron, potem strzały pojedyncze, granaty, strzały z działek. Rakiety oświetlały co chwila niebo kolorem czerwonym lub seledynowym. Nic nie wiedzieliśmy co to znaczy. Sądziłyśmy na razie, że może to jakiś większy napad na obiekty wojskowe i lotnictwo. Dopiero telefon z poczty wyjaśnił nam rzecz całą: były to saluty na wiwat z powodu zwycięskiego zakończenia wojny z Niemcami. Trwało to ponad pół godziny.

Tak więc odwróciła się w tej chwili jedna ogromna karta historii.

Trudno jest uświadomić sobie w całej pełni fakt, że takie potężne, dumne, zdawałoby się niezwyciężone Niemcy, leżą powalone u stóp zwycięzców i żebrzą o łaskę i litość.

Wstępujemy w nowy okres historii. Dla nas jest to jedna wielka niewiadoma. A może będzie to okres jeszcze cięższy, niż poprzedni?!..

Dzień był prawdziwie świąteczny. Od wczesnego ranka na ulicach tłumy ludzi. Żołnierze i oficerowie sowieccy pijani od samego rana. Sklepy pozamykane, urzędy nieczynne, w szkołach nie było nauki. Strzelanina na wiwat z karabinów bez ustanku. Po południu ulice dość wcześnie opustoszały. Ludzie boją się pijanych bolszewików.

14.V. Poniedziałek. Przeżyliśmy kilka dni zupełnie spokojnie. Bolszewicy piją, wciąż jeszcze świętują z powodu zakończenia wojny, niby wybierają się wracać do siebie, sprzedają co tylko mogą, żeby zdobyć pieniądze na wódkę. Niektórzy mówią o możliwości wojny z Japonią. O konflikcie z Anglią i Ameryką nic nie wspominają, jak gdyby wszystko było w porządku. Z różnych stron dochodzą wieści o bardzo licznych aresztowaniach. U nas jakoś pod tym względem

było cicho, chociaż ludzie nadal spodziewają się możliwej akcji. A to głównie dlatego, że w lasach biłgorajsko-józefowskich gromadzi się coraz więcej uciekinierów z wojska. Chronią się tu nieraz całe oddziały, jak na przykład szturmówka z Biłgoraja, nawiązują kontakt z organizacją i przygotowują się do wspólnej akcji. Kto jedzie przez las, coraz to spotyka uzbrojonych ludzi, ubranych po cywilnemu lub po wojskowemu, którzy legitymują wszystkich przejeżdżających.

Miałem dziś jaskrawy przykład, jak „las”, niestety, demoralizuje niektórych ludzi czyniąc z nich wprost zbójów i bandytów. Opowiadał mi Stanisław Bohdanowicz o młodym, nie mającym jeszcze skończonych 17 lat, Krzysztofie Zienkiewiczu, synu dyrektora browaru ordynackiego w Zwierzyńcu. Ojciec, nie mogąc poskromić go w Zwierzyńcu, wysłał go do Łosic, gdzie pod opieką dobrych swych znajomych i przyjaciół miał chodzić do gimnazjum. Lecz chłopak i tam zorganizował swoją szajkę i dokonał szeregu napadów bandyckich. Między innymi w biały dzień obrabował magistrat, zabierając z kasy kilkadziesiąt tysięcy złotych, to znów napadł w mieszkaniu na dyrektora gimnazjum, zabijając go i ciężko raniąc jego 5-cio letnią córeczkę. Chłopak stracony, musi być w końcu sam „rąbnięty”.

15.V. Wtorek. 13 maja, w niedzielę, była jakaś akcja w Hoszni między Radečnicą a Frampołem, spalono przy tym kilkanaście zabudowań. Są zabici. Przed paru dniami przeprowadzono większą rzeź i zniszczenie w Kuryłówece w powiecie biłgorajskim.

Wojna z Niemcami się skończyła, w wielu krajach ludzie swobodnie odetchnęli, tylko my w dalszym ciągu żyjemy w ciężkich warunkach niewoli, stale narażeni na gwałt, terror i barbarzyńskie napady rzekomych przyjaciół-sojuszników, a w rzeczywistości – okupantów nie lepszych od Niemców. Zakończenie wojny z Niemcami zaznaczyło się u nas głównie zniesieniem nakazu zaciemniania okien. Co prawda ludzie tak przywykli do tego w ciągu 6 lat, że przeważnie w dalszym ciągu zasłaniają na noc okna.

Godzinę policyjną przesunięto do 10 wieczorem. Ale gdy się ściemni, już nikt bez koniecznej potrzeby na ulicy się nie pokazuje, w obawie przed spotkaniem z towarzyszami, i ich skłonnością do rabunku. W ogóle warto zaznaczyć, że w ostatnich tygodniach stosunek bolszewików do ludności polskiej uległ wyraźnej zmianie. Nasta-

wienie jest bardziej wrogie, często słycać niedwuznaczne pogrózki, zwłaszcza z ust pijanych.

Wszyscy są zaskoczeni i zdziwieni ogłoszeniem nowej mobilizacji pięciu roczników, oficerów i podoficerów do 50 lat, pomocniczej służby sanitarnej do 40 lat. W jakim celu, jeżeli wojna z Niemcami jest zakończona? Ludzie snują różne domysły. Najwięcej obawiają się wysyłania oddziałów polskich na Daleki Wschód.

Od dzisiejszego dnia wprowadzono na kolei znaczne ograniczenia dla ruchu towarowego i pasażerskiego. Kolejarze różnie tłumaczą to zarządzenie: jedni twierdzą, że będą sły większe transporty wojskowe z zachodu na wschód, drudzy, że to tylko dla odciążenia pociągów, które były nazbyt przeciążone.

Wczoraj wieczorem w Zamościu wysadzono nie dokończony jeszcze pomnik na zbiorowej mogile zabitych milicjantów w parku miejskim. Nie widzę w tym większego sensu. W Zwierzyńcu zwłoki zabitego komendanta milicji Bibernana, pochowanego na cmentarzu wojskowym, w krótkim czasie po pogrzebie zostały tajemniczo usunięte i zginęły bez śladu. Wieczorem dano nam znać, że ukazali się w mieście „Romanowszczeni” (bracia Romanowscy) i zaczęły się aresztowania.

16.V. Środa. Od wczorajszego dnia kręcili się po mieście szturmowcy. Wieczorem natknęli się na dwóch naszych chłopaków – Pilipa i Kapuśniaka. Gdy chciano ich zatrzymać wywiązała się strzelanina, ponieważ obydwaj mieli przy sobie broń. W rezultacie aresztowano Kapuśniaka, Pilipowi udało się uciec. Innych zatrzymanych, po wylegitymowaniu i przesłuchaniu na posterunku, wypuszczono. Bardzo wielu nie zastano w domu. Uporczywie mówi się o tym, że bolszewicy jednak zaczną wkrótce wyjeżdżać. Jak będzie – nie wiemy, ale widzieliśmy dzisiaj, że zwijali kable telefoniczne.

19.V. Sobota. Jak się okazuje, bolszewicy zwijają nie tylko niektóre swoje linie telefoniczne, ale nawet polski, przedwojenny, doskonały kabel podziemny na linii Zamość – Lublin. Wywożą go w głąb Rosji.

Podczas ostatniej bytności szturmowcy bezwstydnie rabowali w domach najrozmaitsze rzeczy, produkty spożywcze, biżuterię.

20.V. Niedziela. Pierwszy dzień Zielonych Świąt. Dziś o godzinie 6 rano zjawili się w szpitalu szturmowcy ze służby bezpieczeństwa w Zamościu i aresztowali intendenta Franciszka Rypulaka, chociaż podczas przeprowadzonej rewizji nic nie znaleźli. Oprócz niego aresztowano w mieście Kleina, milicjanta Kapcia, brata „Dońca” i jakiegoś Niechaja. Wywieziono wszystkich od razu do Zamościa. Jako niezmiernie charakterystyczne warto zaznaczyć, że wszyscy milicjanci zobaczywszy szturmowców zwiali z posterunku i pozostał tylko sam komendant. Wśród szturmowców byli bracia Romanowscy. Wielkie zdziwienie było, gdy zobaczono w szoferce obok szofera, aresztowanego przed kilkoma dniami Kapuśniaka w mundurze podporucznika. Cały czas siedział w samochodzie. Co to ma znaczyć? Milicjanci twierdzą, że „sypie”.

Po odjeździe szturmowców zacząłem zaraz starania o zwolnienie Rypulaka. Byłem też i u majora Głazunowa – komendanta „kontrrazwiedki”. Sprawdziwszy, że nie figuruje on na jego liście podejrzanych i poszukiwanych obiecał sprawę wyjaśnić i ewentualnie interweniować.

21.V. Poniedziałek. Jeździłem do Zamościa. Na razie w sprawie intendenta nic nie dało się zrobić. W Zamościu nastrój pośepny. Zabito jakiegoś podporucznika z Bezpieczeństwa. Na ulicy bardzo dużo świeżo upieczonych podporuczników. Z wyglądu nie przypominają oficerów. Młodzi chłopcy, o bardzo nieinteligentnych twarzach, sprawiają nieprzyjemne i dziwne wrażenie. W każdym razie tego rodzaju korpus oficerski nie wzbudza zaufania do armii.

24.V. Czwartek. Jeździłem z burmistrzem Przysadą do Zamościa w sprawie Rypulaka. Byliśmy u przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej Trąda. Obiecał jeszcze dziś interweniować w Urzędzie Bezpieczeństwa. Jest on tam dobrze widziany i ma pewne wpływy. Jest przewodniczącym Stronnictwa Ludowego na powiat zamojski i gorliwym zwolennikiem obecnego rządu. Przed dwoma dniami w Chomeńciskach, gdzie nocował w rodzinnym domu, dokonano na niego już po raz drugi napadu, który znów się nie udał. Oddano około 30 strzałów i wrzucono do mieszkania dwa granaty, lecz te nie wybuchły. Dlatego i tym razem wyszedł cało.

Byłem też w różnych urzędach – wszędzie nieład i dezorganizacja. W wydziale rolnym starałem się o przydział kartofli na zasiew dla szpitala. Kierownik tego działu Ulanowski mówił otwarcie, że miał w różnych ośrodkach 5 tysięcy metrów kartofli i prawie wszystko rozkradziono.

25.V. Piątek. Dochodzą plotki o badaniu Rypulaka i o tym, że jakoby bardzo krzyczał. Z tej racji u nas w szpitalu zaniepokojenie. Wieczorem goniec zawiadomił nas, że dzisiejszej nocy i jutrzejszego dnia należy spodziewać się w szpitalu i w sąsiednich domach wizyty z „Bezpieczeństwa” i rewizji. Przeprowadziłem generalną „czystkę” w biurku i w całym mieszkaniu, usuwając i chowając wszystko co jest „trefne”.

26.V. Sobota. Wbrew ostrzeżeniom noc i dzień przeszły spokojnie. Był u mnie chłopak z oddziału „Podkowy” – „Żelazny”. Jego pluton składa się z około 40 ludzi. Wszyscy dostali urlop do 1 czerwca. Przez ostatnie 3 tygodnie byli na robocie w Krasnostawskim. W jednej wsi mieli większe starcie ze szturmówką z Krasnegostawu. Zabili 13 szturmowców – Ukraińców, reszta uciekła. Sami nie mieli żadnych strat. Opowiadał, że teraz wcale nie piją wódki, życie mają bardzo dobre. Z uwielbieniem mówił o „Podkowie”, o jego odwadze i o tym jak dba o swoich żołnierzy. Ma wrażenie, że przygotowuje się jakaś poważniejsza akcja, bo „Podkowa” ściąga podobno więcej grup likwidacyjnych. Coś przebąkują o zasadzce na szturmówkę zamojską.

27.V. Niedziela. Widziałem się z „Wrzosem”. W lasach biłgorajskich schronił się oddział około 800 żołnierzy z Lubaczowa. Drugi oddział w liczbie około 600 ludzi nadszedł od strony Tarnowa. Sporo też jest żołnierzy ze szturmówki biłgorajskiej. Siedzą w lasach i odbywają ćwiczenia. Są teraz w ścisłym kontakcie z obwodem.

„Wir” w przypadkowym spotkaniu z bolszewikami został lekko ranny w kolano.

29.V. Wtorek. Wczoraj był jakiś większy napad na Biłgoraj. Krąży o tym różne plotki. Pewnych relacji jeszcze nie mam. W ostatnich dniach otrzymałem 9 nowych artykułów dotyczących walki podziemnej na Zamojszczyźnie. Zawdzięczam je głównie „Norbertowi”, który sam chętnie pisze i namawia innych do pisania.

31.V. Czwartek. O intendencie Rypulaku nie wiemy nic. Wszelkie starania o niego na razie są bezskuteczne. Uciekł natomiast z Bezpieczeństwa czy też z lokalu NKWD – Kapuśniak. Z Zamościa znów nadeszło ostrzeżenie z wywiadu, że w najbliższych dniach należy spodziewać się akcji w Szczepieszynie, Kawenczynie i Topólczy.

4.VI. Poniedziałek. W nocy o 3.45 przejechało koło szpitala w stronę Kawenczyna 10 samochodów, w tym dwie panczerki, ze szturmówką polską i bolszewikami. Oczywiście o spaniu nie było już mowy. Lada chwila czekaliśmy, że usłyszymy jakąś strzelaninę. Około 8 rano przejechały, w tę samą stronę, jeszcze 4 samochody ciężarowe z żołnierzami. Kilka samochodów przez Rozłopy podążyło do Szperówki.

Jednak akcja odbyła się stosunkowo spokojnie w porównaniu do poprzednich. Żołnierze przeszli przez wieś, legitymowali ludzi, rozpierchli się po polach i tam tropili ludzi przy pomocy tresowanych psów. Strzelali tylko do uciekających. Pod Kawenczynem zabity został Adamiec – „swój” człowiek, w Szperówce zaś podoficer Franciszek Trzeciński – zabużanin, blisko związany z miejscową dywersją. W Bodaczowie przypadkowo została śmiertelnie postrzelona Aniela Tomaszewska, matka kilkorga dzieci. Zmarła w samochodzie w drodze do szpitala. Pod wieczór szturmówka opuściła okolice Szczepieszyna, w mieście pozostała tylko jedna panczerka.

Ogromne wrażenie wywołała w mieście podawana po cichu z ust do ust, wiadomość, że w sobotę 2 czerwca w Narolu zabity został przez milicjanta Antoni Książek – „Orlicz”, młodszy brat „Wyrwy”. Ostatnio był kwatermistrzem u „Orszy” w obwodzie biłgorajskim.

5.VI. Wtorek. Z obozu karnego z Niemiec wrócili Palikot i Aleksander Romanowski. Mówią, że jeszcze kilku szczepieszaków jest w drodze. Opowiadali, że Lucjan Wawryk, były sekretarz magistratu, przed paroma miesiącami dostał pomieszania zmysłów.

6.VI. Środa. Jeździłem do Topólczy na spotkanie z „Norbertem”. Jak zawsze jest w dobrej formie, bardzo utył. Widziałem się też z „Dońcem” i „Grudą”.

7.VI. Czwartek. Na terenie naszego inspektoratu zachodzą pewne zmiany personalne: „Orsza” idzie na inspektora do Chełma, na jego miejsce – komendantem obwodu Biłgoraj – zostaje Antoś „Orkisz”. „Wyrrwa”, obecnie „Rota”, ma nominację na zastępcę inspektora „Irki”. Na komendanta obwodu Tomaszów po „Wyrwie” wyznaczono „Norberta”.

8.VI. Piątek. Przed paroma dniami w Zwierzyńcu uprowadzono do lasu konfidenta bolszewickiego, Szopę, wraz z żoną i córką.

Pod Łosicami podczas jakiegoś napadu bandyckiego zginął młody Zienkiewicz, syn dyrektora browaru w Zwierzyńcu.

9.VI. Sobota. Zwolniono intendenta Rypulaka.

11.VI. Poniedziałek. Jeździłem do Zamościa. W drodze na szosie mieliśmy charakterystyczne zdarzenie. Jechaliśmy z żoną sami bez furmana. W pewnym miejscu mijała nas kompania żołnierzy sowieckich, idąca dwójkami w kolumnie z jakimś dowódcą na czele. Naraz zupełnie niespodziewanie któryś z żołnierzy rzucił w nas grubym kijem, który szczęśliwie tylko z lekka zaczepił o nasze głowy. Wypadek ten doskonale ilustruje istniejące obecnie „przyjacielskie” stosunki polsko-rosyjskie.

W drodze powrotnej spotkaliśmy ogromne stado zdobywczego bydła (przeszło 3 tysiące sztuk), pędzone przez bolszewików z Niemiec na Wschód.

W drukarni kończą już druk pierwszego tomu mojego wydawnictwa. W związku z tym mam pewne obawy, ponieważ któregoś dnia zjawił się w drukarni miejscowy cenzor i zobaczywszy drukujący się arkusz, zażądał przysłania sobie w 10 egzemplarzach gotowych arkuszy. Ma je zawieźć do ministerstwa w Warszawie. Bardzo obawiam się, żeby mi nie skonfiskowano całego nakładu.

W Zamościu nastroj bardzo niewyraźny. Wszyscy oczekują zapowiedzianego przybycia 1 Dywizji Kościuszkowskiej formowanej w Rosji. Ma ona wziąć udział w akcji pacyfikacyjnej na naszym terenie. Podobno jest już dobrze zaagitowana.

W Zwierzyńcu za szereg napadów rabunkowych zlikwidowano Wojciechowskiego „Misia”. Wyrok wykonano publicznie na rynku w południowych godzinach.

13.VI. Środa. Znow nadeszły dni trwogi. Około godziny 4 po południu usłyszeliśmy strzały niedaleko szpitala. Przez okno zobaczyliśmy biegnących z różnych stron, strzelających żołnierzy sowieckich. Było też paru milicjantów. Gonili jakiegoś cywila, który uciekał poza domami stojącymi naprzeciw szpitala. Zdawało się, że jest ranny. W pewnym momencie odwrócił się, chciał strzelić, lecz zaciął mu się rewolwer. Biegł dalej, bolszewicy za nim. Zniknął nam z oczu. Naraz usłyszeliśmy jeszcze 2 strzały i wszystko ucichło. Wyszedłem przed szpital i ujrzałem na szosie naprzeciw muru szpitalnego trupa żołnierza sowieckiego z komendy tutejszego garnizonu. Cywil szczęśliwie uciekł. Od milicjanta dowiedziałem się, że został postrzelony jeden z braci Romanowskich, i gnano cywila, który do niego strzelał. Na miejsce wypadku zaczęli schodzić się i zjeżdżać samochodami żołnierze i oficerowie z komendy garnizonu i z kontrrazwiedki. Pół godziny potem komendant Głazunow wezwał mnie telefonicznie na posterunek milicji. Nie wiedziałem w jakim celu, trochę obawiałem się, żeby nie zatrzymano mnie jako zakładnika. Chodziło jednak o zbadanie rannego Mieczysława Romanowskiego. Dwie kule przeszły mu przez prawe ramię nie naruszając kości.

Sowieci są strasznie wzburzeni. Otoczyli szereg domów, kilku żołnierzy stoi nad rzeką w sadzie szpitalnym. Wszyscy spodziewają się ostrej i ciężkiej reakcji ze strony bolszewików, którzy mocno się odgrają. Najbliższe dni zapowiadają się więc bardzo groźnie i już dziś ludzie są pełni niepokoju.

15.VI. Piątek. Po tygodniowym odpoczynku u matki intendent powrócił do szpitala. Chociaż podpisał na odchodnym zobowiązanie, że nic nie będzie mówił, w zaufaniu opowiedział mi o swoich przeżyciach i o tym jak go badano i o co pytano.

Kilka razy dostał po twarzy, raz włożono mu palce między drzwi, parę razy uderzono pałką. Pytano o różne sprawy związane ze szpitalem, o „Leszczą”, o radiostację, o tych, którzy u nas bywali i nocowali, o mnie, o moje poglądy polityczne, o leczenie rannych „bandytów” itp. W ogóle można wnosić, że mają o szpitalu aż nazbyt dobre informacje. Mogli je otrzymać tylko od kogoś ze środowiska szpitalnego doskonale znającego tutejsze stosunki. Proponowali i jemu współpracę, na co oczywiście dał kategorycznie odmowną odpowiedź!

16.VI.Sobota. Wczoraj miałem jechać do obozu „Wira” w lasach józefowskich, a stamtąd na zakończenie kursu dowódców drużyn do obwodu tomaszowskiego pod Sućcem. Jednak wobec ostatnich wydarzeń nie chciałem na całe dwa dni opuszczać szpitala, bojąc się, że może być jakaś akcja, a w takich chwilach trzeba być zawsze na miejscu. Wyprawiłem więc wczoraj „Koraba”, który po pobycie w szpitalu może już chodzić o lasce i wraca w Biłgorajskie. Na konwojentkę dałem mu siostrę Michalinę. Pojechali do „Wira”.

Wyruszyłem w drogę dopiero dziś, pociągiem o 6.30 wieczorem, mając za towarzysza księdza Kapalskiego. Na stacji w Szczepieszynie spotkaliśmy „Starego” – Antoniego Józwiakowskiego i żonę „Młota”. Nie trzeba pytać, kto dokąd jedzie. Wszystko było jasne. Z trudem wdrapaliśmy się do towarowego wagonu, w którym były jednak ustawione długie drewniane ławki. Było całkiem luźno, jak zwykle na końcowym odcinku trasy kolejowej. Jechało kilku żołnierzy i parę osób cywilnych. Trochę nas peszyło, że do tegoż wagonu wsiadł młodszy lejtnant o typowo mongolskiej twarzy i skośnych oczach, którego stale widzimy koło komendantury „kontrrazwiedki” w Szczepieszynie, a który też dobrze zna z widzenia nas.

Już półtora roku nie jechałem koleją. Z ciekawością rozglądałem się na wszystkie strony. Większa część drogi przebiega wśród głębokich lasów ordynackich. W bardzo wielu miejscach po obu stronach toru leżą nieuprzątnięte szczątki rozbitych lokomotyw i wagonów kolejowych. Cały czas pomiędzy Zwierzyńcem, Białym Słupem a Sućcem, patrząc na ten gęsty las i wąskie leśne ścieżki myślałem, że to przecież teren niezliczonych akcji dywersyjnych naszych oddziałów leśnych podczas wielu ostatnich lat okupacji niemieckiej. Mimo woli szukałem wzrokiem śladów tych walk i wciąż stawały mi przed oczyma obrazy tak dobrze znane z opisów uczestników.

Koło godziny 9 wieczorem dojechaliśmy do Suśca. Ledwie wyskoczyliśmy z wagonu powitał nas „Norbert”, „Orkisz”, tuż za nim „Orsza”, „Nieuchwytny” i wielu, wielu innych. Byliśmy nieco zdumieni zobaczywszy naraz tak liczną grupę „bandytów”. Niektórym spod marynarek widać było różne „wisy”, „lamy” oraz sznury od nich. Tymże pociągiem wprost z Warszawy i Lublina przyjechał inspektor „Irka”. Powitania trwały dość długi czas tuż przy samej stacji. Widzieliśmy, że kosooki lejtnant pilnie nas obserwuje...

Teraz zaczęto rozprowadzać przyjezdnych na kwatery. Inspektorowi, księdzu i mnie przeznaczono leśniczówkę odległą parę kilometrów od stacji. Spacer ten odbyliśmy z przyjemnością idąc cały czas lasem. W leśniczówce poczęstowano nas herbatką i ułożono spać na wygodnych łóżkach, w warunkach całkiem domowych. A byliśmy przygotowani na to, że wypadnie nam spędzić noc w jakiejś stodole, w najlepszym razie w wiejskiej chałupie, gdzie – jak twierdzą doświadczeni bywalcy – pchły żywcem zagryzają człowieka, zwłaszcza „świeżego”.

17.VI. Niedziela. Od rana lał deszcz, całe niebo zasnute chmurami.

Po śniadaniu udaliśmy się furmanką, we trzech, do obozu jednego z kursów. Około 3 – 4 kilometrów jechaliśmy gęstym lasem, aż nagle znaleźliśmy się w niewielkiej kotlinie, gdzie oczekiwała inspektora grupa żołnierzy i oficerów. „Wyrwa” zameldował się pierwszy.

Zaczęto przygotowania do uroczystości. My w tym czasie przeszliśmy po kładce nad szumiącą Tanwią i udaliśmy się do pobliskiej chaty, gdzie na pogawędce, oczekiwaliśmy około godziny. Wreszcie z obozu przysłano gońca z meldunkiem, że wszystko gotowe.

Wróciliśmy do obozu. W małej kotlinie otoczonej lasem stanęli żołnierze z obydwu kursów dowódców drużyn. Osobną grupę stanowili, ubrani po cywilnemu, komendanci rejonów, placówek oraz ich zastępcy. Na wznagrzystym skraju lasu ustawiono ołtarz polowy, czterech żołnierzy trzymało nad nim baldachim z rozpiętego na kijach wzorzystego koca.

Pomiędzy żołnierzami a ołtarzem ulokował się sztab z inspektorem „Irka” na czele i zaproszeni goście. Deszcz mżył przez cały czas. Po skończonym nabożeństwie odprawionym przez jakiegoś starszego księdza wygłosił coś w rodzaju kazania ksiądz Kapalski. Mówił wyjątkowo dobrze o dzisiejszej chwili, o postawie społeczeństwa i o zadaniach żołnierzy.

Po nabożeństwie na pobliskiej łące odbyły się ćwiczenia oddziałów i defilada przed inspektorem. Następnie obiad, najpierw dla żołnierzy, potem dla sztabu i gości.

W obozie pozostawaliśmy do godziny 6 wieczorem. Miałem sposobność przeprowadzenia z wieloma ludźmi rozmów na temat swoich zainteresowań i prac historycznych. Inspektor „Irka” i jego nowy zastępca „Rota” („Wyrwa”) zaproponowali stworzenie i objęcie przeze mnie re-

feratu historycznego przy inspektoracie. Podobne referaty były by również przy każdym obwodzie. Myśl jest bardzo dobra i już dawno o tym mówiłem, jeszcze z „Adamem”. Mamy spotkać się kiedyś na specjalnej odprawie i omówić rzecz szczegółowo. Ja stawiam pewne warunki, na które prawdopodobnie inspektorat się nie zgodzi: zupełna niezależność w wyborze materiału przeznaczonego do druku i nieograniczanie się wyłącznie do przedstawiania działalności AK i inspektoratu. Moje założenia natomiast są bardzo szerokie. Chciałbym dać w tym wydawnictwie materiał najróżnorodniejszy, który dałby potem możliwość zobrazowania wszechstronnie dziejów Zamojszczyzny w latach wojny.

Całodzienne obradowanie z inspektorem, komendantami obwodów i oficerami sztabu nasuwało mi pewne refleksje. Mogłem zauważyć, że kilkuletnia konspiracja, życie podziemne i specjalne warunki pracy wycisnęły na tych ludziach swoiste piętno. Przeważnie żyją oni w stosunkowo ciasnym świecie, wiodą tylko walkę podziemną, oderwani są od nurtu normalnego życia społecznego, w większości są zarozumiali, bardzo pewni siebie, niektórych opanowała wyraźnie mania wielkości. Jedynie siebie uważają za posłanników ideowych, gotowi pomiatać i pogardzać każdym, kto nie bierze udziału w ruchu konspiracyjnym. Są to swego rodzaju fanatycy, apodyktyczni w sądach, nawykli do rozstrzygania wielu spraw przy pomocy siły, o przytępionej wrażliwości na dokonywane z ich rozkazu akty gwałtu i bezprawia, jak na przykład rozmaite ekspropriacje, likwidowanie szkodliwych ludzi mocą własnej decyzji itp. Lecz równocześnie są to ludzie pełni poświęcenia, stale narażeni na wielkie niebezpieczeństwo, ścigani, prześladowani i poszukiwani, nie mający przez szereg lat własnego kąta, pędzący życie tułacze, często brudni i zawszeni, bez dachu nad głową. Przed sobą mają jedyny cel i dążą do niego z fanatyczną wiarą w ostateczne zwycięstwo.

Wiele rzeczy razi mnie w nich i irytuje, lecz pomimo tego najlepiej obecnie się czuję w środowisku tych partyzantów, szalonych dywersantów, ludzi z „lasu” i z podziemia.

18.VI. Poniedziałek. O godzinie 5 rano wróciłem do domu, zmęczony i niewyspany, lecz znakomicie odświeżony duchowo, a nawet i fizycznie.

Tu dowiedziałem się, że wyprowadzono z domu, gdzie się ukrywali, Mikołaja Gala i jego syna Edmunda. Mikołaj Gal był po-

licjantem, nazbyt gorliwie współpracował z niemiecką żandarmerią w Szczepieszynie i niejedno życie ludzkie miał na sumieniu. Tępił nie tylko Żydów, lecz i Polaków podczas rozmaitych łapanek, pościgów i aresztowań. Syn poszedł w ślady ojca. Za kilka dni obydwaj mieli znaleźć się w szeregach polskiej szturmówki. Z więzienia w Lublinie zwolniono Zygmunta Śmieciuszewskiego ze Zwierzyńca.

20.VI. Środa. Dzisiejszej nocy wyprowadzono z mieszkania i zlikwidowano młodą dziewczynę – Stasię Olszewską, bliską kuzynkę Romanowskich. Podczas badania wydobyto od niej dużo cennych zeznań. Między innymi brała czynny udział w układaniu nowej listy ludzi, którzy mieli być aresztowani. Niedaleko miasta znaleziono zwłoki Mikołaja Gala.

W lasach józefowskich w okolicy Suśca zaczęła się duża obława na „bandytów z AK”.

Wczoraj wypuszczono z więzienia w Zamościu sekretarza Powiatowej Rady Narodowej – Kościńskiego.

21.VI. Czwartek. U mnie dziś wielkie święto: z drukarni w Zamościu dostałem pierwsze 300 egzemplarzy mojego wydawnictwa. Sam jeździłem po nie do Zamościa.

Książka wygląda doskonale. Nie mogę dość się nacieszyć. Naprawdę jestem dumny, że przewyżczyłem wszystkie trudności i potrafiłem w tak ciężkich warunkach, w szczególności wydawniczych, wypuścić w świat taką książkę. Po wycofaniu się Niemców z naszego kraju wydrukowano już trochę rzeczy, lecz są to tylko niewielkie książeczki lub broszury. Poważniejszej książki nie widziałem jeszcze żadnej. Moja chyba będzie pierwszą. Nikt też jeszcze nigdzie nie przystąpił do planowego ogłaszania materiałów historycznych dotyczących ostatniej wojny. I pod tym względem Zamość wyprzedził nawet środowiska w takich niezniszczonych miastach jak Kraków i Łódź. Ciekaw jestem jak to przyjmie krytyka.

Mam jednak ciężkie kłopoty, bo muszę teraz zdobywać pieniądze na spłacenie drukarni. Organizuję sprzedaż wydawnictwa chcąc ominąć księgarnie, żeby nie podwyższać i tak dość znacznej ceny książki (300 złotych).

Mam do zanotowania parę wydarzeń z terenu. Podczas wczorajszego jarmarku w Zwierzyńcu zjawiło się tam auto z propagandzistami, którzy zaczęli rozdawać jakieś ulotki. Nagle przyszedli z lasu nasi chłopcy („Gruda”, „Pobór” i „Osa”) i uprowadzili wszystkich propagandzistów wraz z samochodem do lasu. Oczywiście sensacja to nie lada.

W Szperówce zlikwidowano młodą Sawicównę, córkę byłego felczera – komunisty. Znaleziono zwłoki młodego Gala.

22.VI. Piątek. Rano zostałem wezwany dla dokonania oględzin zewnętrznych zwłok Edmunda Gala. Oglądałem je leżące już w trumnie przed kościołem. Widok był okropny. Zamiast twarzy jedna bryła ruszających się robaków.

Po południu przyjechał do mnie goniec z drukarni w Zamościu z niespodziewaną i nieprzyjemną wiadomością: przyszedł cenzor i nałożył areszt na moje wydawnictwo. Ma jakieś zastrzeżenia co do jednego artykułu. Posłał książkę do Warszawy dla ostatecznej edycji. Nie pozwolił kończyć sycia i oprawiania. Dano mi o tym znać prosząc, żebym nie sprzedawał zabronionych wczoraj egzemplarzy, bo ogromnie obawiają się odpowiedzialności. Dobrze, że wczoraj wziąłem choć tych paręset egzemplarzy.

27.VI. Środa. Kilka dni przeszło spokojnie, bez ważniejszych wydarzeń w terenie. Uwaga niemal całego społeczeństwa zwrócona była na Moskwę, na odbywającą się tam konferencję przedstawicieli polskich stronnictw demokratycznych z kraju i z emigracji. Pisma ogłosiły, że doszło tam do zupełnego porozumienia i że w najbliższych dniach zostanie ogłoszony nowy skład rządu z udziałem Mikołajczyka, Stańczyka i innych polityków z emigracji. Czynniki podziemne są zdezorientowane. Jest zarządzenie, żeby nic nie przedsięwziąć na własną rękę, nie wygłaszać swojej opinii i czekać rozkazów z góry. Rozeszła się dziś wieść, że mają być rozwiązane Milicja Obywatelska i Służba Bezpieczeństwa, że będzie skasowana cenzura wojskowa i że będzie dozwolone korzystanie z radioaparatów. Najbliższe dni pokażą, ile w tym jest prawdy.

Dzisiaj w Zamościu „zrobiono” kasę na kolei, w „Snopie” i jeszcze jakiejś instytucji.

28.VI. Czwartek. Dzisiejszej nocy „rąbnięto” Genowefę Świergoń, młodą dziewczynę z Bodaczowa. Zwłoki przywieziono do kostnicy szpitalnej.

Wczoraj w Zwierzyńcu chłopcy „z lasu” zjawili się w mieszkaniu młynarza Szymańskiego podczas obiadu i dotkliwie pobili kontrolera młynów z Zamościa i jakiegoś wyższego urzędnika od młynów z województwa.

Na zdobytym „łaziku” nasi sztabowcy jeżdżą w biały dzień po szosie. Przed paroma dniami sam widziałem przejeżdżających koło szpitala „Dońca”, „Grudę” i „Osę”. Dwaj byli w mundurach wojskowych. Być może w związku z tym na szosach pośpiesznie stawiają szlabany.

29.VI. Piątek. Notuję pewne zdarzenie doskonale charakteryzujące obecne stosunki. W szpitalu od tygodnia leży ciężko chory Stanisław Tałanda, piekarz, który swego czasu dokonał zamachu na komendanta milicji Pindę. Zapisany jest u nas pod nazwiskiem siostry jako Hasiec. Od dawna poszukuje go sowiecka kontrrazwiedka. Ktoś go zapewne wypatrzył na sali chorych i usłudźnie doniósł komendantowi kontrrazwiedki. Dość, że z jego rozkazu przed godziną 10 wieczorem przyszło do szpitala 6 milicjantów z komendantem na czele, żeby Tałandę aresztować.

Byli na sali, legitymowali niektórych chorych i zatrzymali się przy Tałandzie. Lecz dowiedzieli się o tym (zapewne od któregoś z milicjantów) nasi chłopcy. Jak spod ziemi zjawili się „Mongoł” i „Tuluza”. Wytłumaczyli milicjantom, że nie wolno im aresztować Tałandy. Milicjanci posłusznie opuścili szpital. Tałanda zaś natychmiast w jednej bieliźnie wyszedł ze szpitala na ulicę, gdzie na niego czekali „Mongoł” i „Tuluza”. Ciekaw jestem jakie będą tego konsekwencje.

2.VII. Poniedziałek. Przez kilka dni byłem niezdrów i nie wychodziłem z mieszkania. Tego wieczoru kiedy milicjanci przyszli po Tałandę wezwał mnie do telefonu komendant kontrrazwiedki mjr Głazunow. Powiedziano mu, że jestem chory i leżę w łóżku. Dziś od komendanta milicji dowiedziałem się, że Głazunow miał zamiar aresztować mnie. Rzekomo powstrzymała go moja choroba. Otrzymał on donos na szpital i na mnie, że ja przechowuję „bandytów” i „akowców”. Komendant milicji twierdzi, że mamy jakiegoś szpicla na terenie samego szpitala.

Rozeszła się u nas straszna plotka o aresztowaniu „Orkisz”, „Wira”, „Wrzosa” i „Poraja”. Mówią nawet o samobójstwie „Orkisz” i „Wrzosa”. Miał być znieczulony w lesie cały ich obóz na skutek donosu szpicla, który był podobno w obozie. Wszyscy jesteśmy ogromnie przygnębieni tą wiadomością. Poczynamy się nadziejają, że może to tylko plotka.

3.VII. Wtorek. O 3 w nocy obudziła mnie żona mówiąc, że większa grupa milicjantów dobija się do szpitala. Nie czekając, aż przyjdą zacząłem się ubierać. Po chwili usłyszeliśmy na korytarzu głośne kroki i dobijanie się do drzwi. „Kto tam?” – „Wojsko”. Otworzyliśmy drzwi i ujrzeliśmy około 10 uzbrojonych żołnierzy. Do mego gabinetu od razu weszło 2 oficerów i kilku żołnierzy. Spytaли mnie o nazwisko i bardzo zainteresowali się synkiem śpiącym na tapczanie w jednym pokoju ze mną. Rzucili się na jego notes leżący na stole. Były tam same piosenki i notatki harcerskie. Notes ten i legitymację uczniowską przeglądali wyjątkowo długo.

Do mego biurka nawet nie podeszli. Byli zaskoczeni ilością książek w gabinecie. Zażądali listy chorych. Przeszliśmy do kancelarii szpitalnej. Potem po kolei obeszlą wszystkie sale chorych i cały szpital. Zagląдали pod łóżka i do szaf. Najwidoczniej szukali ukrywanych „bandytów”. Rewizja trwała bez mała półtorej godziny. W sumie brało udział w rewizji 24 ludzi – 2 oficerów i 22 żołnierzy. Liczyliśmy, gdy wychodzili ze szpitala. Kilku stało na ubezpieczeniu przed szpitalem, reszta rozlaża się wewnątrz budynku. Zachowywali się zupełnie spokojnie i przyzwoicie. Wychodząc przepaszali mnie za najście i zbudzenie ze snu. Konkretnie o nikogo nie pytali. Byli to funkcjonariusze Bezpieczeństwa z Zamościa.

W związku z tą wizytą miałem trochę emocji, zwłaszcza dopóki byli u mnie w mieszkaniu. Obawiałem się, że przystąpią do rewizji i przeglądania wszystkich moich rękopisów i szpargałów. Czekałem, że lada chwila każą mi się ubierać i iść z nimi. Gdy weszliśmy na teren szpitala a oni zaczęli szukać „bandytów”, uspokoiłem się zupełnie, bo wiedziałem, że w danej chwili nikt obcy nie nocuje, a paru „trefnych” chłopców na sali chorych niełatwo będzie zdemaskować.

Oczywiście ten nocny „nalot” Bezpieczeństwa i to w takiej ilości, mógł być tylko wynikiem jakiegoś donosu i konkretnego oskarżenia. Zdaje się, że poza szpitalem nigdzie więcej nie byli.

Podczas tej rewizji uparcie nasuwało mi się pytanie: czy my rzeczywiście żyjemy w „wolnej” Polsce? Wzbierała we mnie gorycz na myśl, że ktoś uważa mnie za wroga Państwa Polskiego, że zaliczają mnie do kategorii podejrzanym politycznie.

4.VII. Środa. Wiadomość o aresztowaniu „Orkisz”, „Wira” i innych na szczęście okazała się nieprawdą. Jednak obóz „Wira” był zaskoczony w sobotę, 30 czerwca, o godzinie 5 po południu. Zdążyli wszyscy uciec z wyjątkiem kwatermistrza „Neya” który poszedł do lasu na jagody. Wpadło w ręce Bezpieczeństwa sporo rzeczy między innymi aparat radiowy, powielacz, koce, konie. Archiwum i materiał do „Wytrwamy” zdążono wynieść. „Radwan” przysłał do mnie „Wilgę”, żeby uprzedzić, że został ujęty „Ney”. Siedział on już 5 miesięcy w Biłgoraju i został uwolniony podczas rozbicia więzienia.

Dziś rano przywieziono do Szczepieszyna rozbrojonych Romanowskich. Przeprowadzono dochodzenie i stwierdzono, że dokonali oni szeregu napadów na obywateli miasta celem zrabowania cenniejszych rzeczy względnie pieniędzy. Skutych powieźli z powrotem do Zamościa.

Wieczorem zaczęli chodzić po mieście żołnierze z kontrrazwiedki i łapać ludzi. Wszczął się straszny popłoch. Mężczyźni rzucili się do ucieczki – przeważnie w stronę Szperówki. Aresztowano około 10 ludzi. Po pewnym czasie wszystkich puścili. Były jakieś strzały, wybuchł jeden granat. Miasto zamarło ze strachu. – Co przyniesie noc?

6.VII. Piątek. Byłem w Zamościu. Dotychczas nie ma jeszcze decyzji cenzury co do mojego wydawnictwa. Poszczególne egzemplarze trafiły jednak do niektórych ludzi. Jak mogłem zauważyć zainteresowanie książką jest duże, ludzie dopytują się, sporo osób w Zamościu prosiło mnie o nią, nie mogę jednak sprzedawać zbyt jawnie, aby nie narażać drukarni.

Dziś wypuszczono z więzienia Urzędu Bezpieczeństwa w Lublinie Bogusława Śmieciuszewskiego ze Zwierzyńca i Bogusia Lepionkę ze Szczepieszyna. W ogóle więcej teraz zwalniają z więzień niż przedtem.

Dziś przez cały dzień przejeżdżały, z zachodu na wschód, samochody sowieckie przeładowane najrozmaitszymi rzeczami zdobycznymi. Ludzie ogromnie obawiają się mającego się rozpocząć

przemarszu wojsk bolszewickich, ponieważ żołnierze rabują w nie-
możliwy sposób.

Rozlepiono u nas nowe zarządzenie: chodzić po ulicy można tyl-
ko od 5 rano do 9 wieczorem. Równocześnie ogłoszono, że za przecho-
wywanie „bandytów” grozi kara śmierci.

8.VII. Niedziela. Gazety przyniosły już oficjalną wiadomość, że
rządy angielski, amerykański, chiński i szereg innych uznały Tymcza-
sowy Rząd Jedności Narodowej. Rząd emigracyjny przestaje istnieć.
W związku z tym w ciężkiej sytuacji znaleźli się nasi ludzie „z lasu”.
Tracą grunt pod nogami. Na razie – o ile wiem – nie mają jeszcze wy-
rażnych dyrektyw z góry i trwają w oczekiwaniu.

Przed paroma tygodniami zlikwidowano w Zwierzyńcu nie-
jakiego Lufta, Żyda, syna nowego dyrektora browaru. Tego samego
dnia stary Luft pojechał furmanką do Zamościa mając przy sobie 217
tysięcy złotych. Po drodze chłopcy „z lasu” sterroryzowali furmana
i Lufta, skręcili do lasu, tam zajęli się odpowiednio Luftem, a fur-
mana puścili. Pojechał on do Zamościa, nic nikomu nie mówił, stał
cały dzień na rynku rzekomo czekając na Lufta, który z pieniędzmi
miał pójść do Urzędu Skarbowego. Gdy długo nie wychodził, fur-
man zaczął się niepokoić, szukać go, została zaalarmowana milicja,
lecz poszukiwania nie dały żadnego rezultatu i furman wrócił sam
do Zwierzyńca.

Od paru dni chodzić po mieście można tylko do godziny 9 wie-
czorem. Po tej godzinie chodzą po ulicach gęste patrole sowieckie.
Przez pewien czas po 9 – krążą dookoła miasta samoloty bolszewickie.
Lecąc bardzo nisko nad ziemią – strzelają z karabinów maszynowych
– zwłaszcza po polach.

Przez miasto wciąż przejeżdżają samochody bolszewickie przeła-
dowane zdobyczą, z czerwonymi chorągiewkami, napisami i portreta-
mi Stalina.

11.VII. Środa. Jeździłem do Zwierzyńca. Po drodze spotkaliśmy lic-
zne tabory sowieckie. Jadą z frontu zachodniego. Wszystkie wozy są
przeładowane i to nie sprzętem wojskowym, ale niemal wyłącznie
rzeczami nic z wojskiem nie mającymi wspólnego. Wszystko można
tu zobaczyć, od starych stołów, pogniecionych nocników do wózc-

ków dla lalek. Na łąkach między miastem a Brodami również pełno taborów. Żołnierze handlują, piją na umór. Rabunki są na każdym kroku. Ludzie żyją w ciągłym strachu, szczelnie zamykają się w domach. Nastrój w mieście i na szosie bardzo nieprzyjemny.

W Zwierzyńcu dowiedziałem się, ku wielkiemu zdziwieniu, że „Ney” aresztowany przed kilkoma dniami w obozie „Wira”, został wypuszczony przez biłgorajskie Bezpieczeństwo na wolność. Dla wszystkich jest to niezrozumiałą niespodzianką.

12.VII. Czwartek. Wczoraj w Chłopkowie Bezpieczeństwo z Biłgoraja aresztowało „Procha” (Józwiaka) komendanta rejonu Radecznicza i jego adiutanta „Wrzosa” (Grygiel z Przedmieścia Zamojskiego).

W szeregach „leśnych” wciąż panuje dezorientacja. Wśród wielu chłopców daje się zauważyć duże rozgoryczenie i żal do niektórych oficerów, którzy opuścili tutejsze tereny, między innymi do „Podkowy”. Jak wiadomo wyjechał on z grupą żołnierzy na zachód i – jak twierdzą – udało mu się przedostać na angielską stronę.

13.VII. Piątek. W Józefowie aresztowano „Radwana” i zabito komendanta placówki „Esa” (Stefana Horodelskiego). „Orkisz” zdołał uciec. Wiadomość ta zrobiła na nas przygnębiające wrażenie, ponieważ „Radwana” doskonale znamy od kilku lat. Był on lekarzem obwodu Biłgoraj, a ostatnio szefem wywiadu.

14.VII. Sobota. Przyjechał z Warszawy „Korab”, silnie zgnębiony wiadomością o „Radwanie”. Jedzie jutro pod Biłgoraj. Postanowił za wszelką cenę ratować „Radwana”.

15.VII. Niedziela. Na szosie nieustanny ruch, nieraz całymi godzinami bez przerwy jadą kolumny samochodów, lub tabory konne i piechota z orkiestrą. Idzie ożywiony handel, głównie za „bimber”. Wciąż słychać o rabunkach i gwałtach na wsiach. Miałem już zgwałcone kobiety jako pacjentki. Niebezpiecznie jest ruszyć się z domu – zabierają konie, wozy, rowery.

16.VII. Poniedziałek. Był podobno „gryps” od „Radwana”, że go bardzo biją. Siedzi w Biłgoraju w Bezpieczeństwie.

Dziś rano Stanisław Bohdanowicz z browaru w Zwierzyńcu wiózł do Zamościa furmanką 191 tysięcy złotych. Jechał z nim, oprócz furmana, jeszcze jeden urzędnik. W Bodaczowie zatrzymali ich trzej uzbrojeni cywile. Kazali skrócić w bok na łąkę i tu zażądali oddania wszystkich pieniędzy. Pozostaje do wyjaśnienia czy napadu dokonano z rozkazu organizacji czy też była to zwykła „bandziorka”. I skąd mieli informacje o tym, że urzędnicy będą wieźli pieniądze?!

19.VII. Czwartek. Byłem w Zamościu. Droga wyjątkowo męcząca z powodu ogromnej ilości wojsk. Znaczną część drogi jechaliśmy przez wieś, nie szosą.

Zezwolenia cenzury na moje wydawnictwo dotychczas nie ma. Poznałem zamojskiego cenzora i zaprosiłem go na obiad. Zupełnie młody człowiek, bez żadnego wykształcenia (najwyżej kilka klas szkoły powszechnej), słabo zorientowany we wszystkim. Obiecał mi, że zezwolenie na sprzedaż książki będzie za parę dni. Zastrzeżenia co do tekstu pierwszego tomu są dziwne, a więc: „towariszczi” – w jednym miejscu napisano w cudzysłowie, raz użyto słowa „bolszewicy”, mimochodem wymieniono w jednym artykule „Podkowę”, w drugim „Groma”. Nie wolno wspominać o dowódcach, którzy dotychczas ukrywają się w lesie i są poszukiwani przez Bezpieczeństwo.

Na przyszłość, gdy będę chciał drukować drugi tom, mam mu dawać poszczególne artykuły do przeczytania w rękopisie, on mi powie swoje uwagi i można będzie poczynić konieczne poprawki przed oddaniem do druku, żeby uniknąć niepotrzebnych przykrości i zatrzymania całego wydawnictwa.

Poznałem też przywódcę miejscowego PPR-u, Tutkę. Był dwa razy aresztowany przez Niemców. Badano go w Gestapo, siedział dłuższy czas w więzieniu. Prosiłem go, żeby mi też coś napisał. Nie chciałbym w doborze materiału historycznego być jednostronnym i drukować tylko artykuły mające większy lub mniejszy związek z AK. Przygotowuje on jakąś większą rzecz (dwieście kilkudziesiąt stron) o swoich przeżyciach w czasie okupacji niemieckiej. Typowy fanatyk, z którym trudno dogadać się.

20.VII. Piątek. Dopiero dziś dowiedziałem się, że przed paroma tygodniami zlikwidowano Kapuśniaka, ujętego z bronią w rękę przez

NKWD. Uciekł on z gmachu Banku Polskiego w Zamościu, przebrany za sowieckiego żołnierza. Już wtedy mówiono o nim, że strasznie „sy-pie”. Wyrok, podobno, miał wykonać, „Osa”.

21.VII. Sobota. Przed 6 dniami przepadł bez wieści zastępca szefa sztabu dywizji major Żurawlew. Widziano go ostatni raz mocno pijanego w niedzielę, 15 lipca wieczorem. Od tego czasu wszelki ślad po nim zaginął. Szukano go wszędzie, nawet na terenie szpitala – w piwnicy i koło rzeki, rzucając do niej granaty (gdyby się utopił – ciało wypłynęłoby prędzej na wierzch). Wszelkie poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Jednak my już wiemy, że został zabity przez jakiegoś peperowca na własną rękę, prawdopodobnie też po pijanemu. Trupa przykrył tylko czymś, ale tak, że mu nogi sterczały. Z przerażeniem spostrzegł to właściciel domu. Bojąc się odpowiedzialności, że to na jego terenie, zakopał po cichu zwłoki głęboko w ziemi. Peperowiec na wszelki wypadek przezornie zwiął, właściciel domu drży ze strachu, co będzie, jeśli rzecz się wyda. Nazwiska ani jednego ani drugiego nie znam.

Wszyscy z napięciem śledzą przebieg narad „wielkiej trójki” w Poczdamie, chociaż ogół społeczeństwa ustosunkowuje się dość sceptycznie do tego rodzaju konferencji, ponieważ wszystkie dotychczasowe spotkania tej „trójki” nie przyniosły nam niczego dobrego.

23.VII. Poniedziałek. Ostatnimi czasy prowadzenie szpitala staje się coraz trudniejsze. Brak chirurga fatalnie odbija się na frekwencji chorych. Przeciętnie liczba chorych w szpitalu jest bardzo niewielka, a przez to i dochody bardzo nikłe. Władze nadzorcze, zwłaszcza bardzo nieprzychylnie usposobiony do mnie lekarz powiatowy dr Tyczkowski, i nastawiony przez niego naczelnik Wydziału Zdrowia przy Województwie Lubelskim dr Kwit – przypisują winę za taki stan rzeczy w szpitalu mnie i całkiem wyraźnie dali mi do zrozumienia, że pożądana byłaby zmiana na stanowisku dyrektora szpitala. Wobec tego sam wniosłem podanie do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, prosząc o zwolnienie z obowiązków dyrektora szpitala na 6 miesięcy. Podanie moje załatwiono przychylnie, wobec czego dziś oficjalnie przekazałem kierownictwo szpitala dr Jóźwiakowskiemu. Tym sposobem spadł mi z głowy wielki ciężar administrowania szpitalem w wyjątkowo trudnych warunkach.

1.XI. Sobota. Już prawie 6 tygodni nie brałem do ręki swego dziennika. Byłem bardzo ciężko chory: zapalenie płuc, wysiękowe zapalenie opłucnych, wątroba i krańcowe wyczerpanie mięśnia sercowego. Przez dwa tygodnie walczyłem ze śmiercią, właściwie nie tyle ja co moje otoczenie, lekarze i pielęgniarki. Kilka razy miałem tak ciężkie zapaści, że wszyscy sądzili, iż to już koniec. Cały czas byłem zupełnie przytomny. Śmierci nie bałem się zupełnie. Dawałem tylko wciąż objaśnienia i zalecenia, zwłaszcza dotyczące mojej biblioteki i różnych zbiorów. Dopiero podczas tej choroby zrozumiałem, że największym dobrodziejstwem są środki znieczulające i dobra pielęgniarka. – 35 lat jestem lekarzem i teraz widzę, że nie doceniałem pracy pielęgniarek. Dla tych, które mnie pielęgnowały w chorobie, siostry Michaliny i siostry Kazi, mam niezmiernie dużo wdzięczności. Kilka razy przyjeżdżali koledzy na konsylia – dr Bogucki i dr Kulesza z Zamościa, dr Pojasek i dr Kowalski z Biłgoraja, dr Szczepankiewicz ze Zwierzyńca – okazując mi dużo życzliwości. Na miejscu byłem pod jak najtroskliwszą opieką lekarską dr Warchałowskiej i dr Joźwiakowskiego.

Oczywiście przez cały czas choroby byłem właściwie poza nawiasem potocznego życia. A przecież miały miejsce wydarzenia o znaczeniu historycznym jak konferencja „wielkiej trójki” w Poczdamie i kapitulacja Japonii, czyli w danej chwili definitywne zakończenie wojny. A przecież wydarzenia te miały nie byle jakie echo i u nas.

Sytuacja naszych ostatnich bojowników z organizacji podziemnej stała się nad wyraz ciężka. Stale są tropieni, nigdzie nie mają bezpiecznego miejsca, gdzie by mogli choć jedną noc spędzić spokojnie. Roboty w takich warunkach nie prowadzą prawie żadnej. Nawet „Wir” rozwiązał cały swój obóz leśny i sam wyjechał do Krakowa. Przed wyjazdem wstępował do mnie. Położenie komplikuje jeszcze i to, że obwody nie otrzymują już od dłuższego czasu żadnych instrukcji z góry. Na pismo inspektoratu okręg nie odpowiada. Dowódcą okręgu w Lublinie jest obecnie „Drugak”, dawniejszy komendant obwodu tomaszowskiego. Nie ma on miru na naszym terenie tak dalece, że obwód biłgorajski nawet wręcz wystosował pismo oficjalne do władz centralnych, że nie ma zaufania do obecnego dowódcy okręgu.

Ostatni nasz inspektor „Irka” został gdzieś przeniesiony. Na jego miejsce jako p.o. inspektora wyznaczono „Wyrwę” („Rotę”, „Turie”). Nie mogąc porozumieć się z okręgiem pojechał on po instrukcje bez-

pośrednio do władz centralnych w Warszawie. To tylko dowodzi jakie rozprężenie panuje obecnie w organizacji.

Są też i inne bardzo przykre objawy dezorganizacji i rozkładu w szeregach konspiracyjnych. Na przykład komendant rejonu we Frampolu „Michał” (Miazga) na własną rękę zdał Służbie Bezpieczeństwa całą broń. To samo uczynił dowódca plutonu w Brodach Dużych „Kosa”, zdając 8 karabinów i dwie pepesze.

Do Szczepieszyna w tym czasie przyjechało na stałe 16 żołnierzy z oficerem ze Służby Bezpieczeństwa w Zamościu. Nasi chłopcy nawiązali już z nimi pewien kontakt i zaczęli wstępne rozmowy. W rezultacie „bezpieczniacy” zażądali wydania z obwodu 150 karabinów. Wreszcie doszło nawet do spotkania oficera i paru żołnierzy z Bezpieczeństwa z naszą Komendą Obwodu. Spotkanie nastąpiło w lesie między Kawczynem a Topólcą. Na umówione miejsce doprowadzili „bezpieczniaków” „Mongol” i „Błyskawica”. Z naszej strony wzięli udział w spotkaniu „Żelazny”, „Gruda” i „Doniec”. Wsiedli oni z punktu na „bezpieczniaków” i oświadczyli, że żadnych rozmów nie będą z nimi prowadzili, dopóki oni nie wypuszczą „Procha”, komendanta rejonu Radecznicza.

Nowe spotkanie wyznaczili sobie za parę dni, w zależności od spełnienia postawionego warunku – ale nie doszło ono do skutku. Dla charakterystyki panujących obecnie stosunków warto zaznaczyć, że i „Mongol” i „Błyskawica” pomimo jawnego rozkonspirowania się, w dalszym ciągu swobodnie chodzą po mieście.

Wrócił z Warszawy „Wyrwa”. Według otrzymanych instrukcji wszyscy otrzymują bezterminowe urlopy i mogą udać się, gdzie kto chce. Mają tylko dać zobowiązanie, że stawią się w terenie na każde wezwanie, gdy zajdzie tylko potrzeba. Wszyscy mamy wrażenie, że jest to najracjonalniejsze rozwiązanie sprawy. Z jednej strony żal nam, że tak opustoszeje i wyjałowienie nasz teren, lecz z drugiej strony cieszymy się, bo tym sposobem chłopcy się uratują. Nie ma bowiem żadnej wątpliwości, że po pewnym czasie wszyscy wpadliby w ręce NKWD.

Dowiedziałem się, że w Biłgoraju wypuszczono wreszcie na wolność Władysławę Żochowską, a w Lublinie doktora Szackiego, którego mimo złego stanu zdrowia, z wojska nie chcą zwolnić. Dziś obchodzimy szóstą rocznicę wojny. Wchodzimy w siódmy rok. Czyżby i ten nie był ostatni?!

2.IX. Niedziela. Dziś ponownie – po odpowiednim uporządkowaniu i usunięciu śladów krótkiego istnienia cerkwi prawosławnej – poświęcono kościół świętej Katarzyny przy szpitalu i odprawiono uroczyste pierwsze nabożeństwo.

Z cenzury odesłano mi egzemplarz „Terroru niemieckiego w Zamojszczyźnie”. Zakreślono i kazano zmienić 5 – nawet nie zdań, a pojedynczych słów. Warto to zanotować, bo są to rzeczowe dowody specyficznej mentalności panów cenzorów. (Jak widać z różnych znaków na marginesach czytał nie jeden). A więc:

W zdaniu: „odeszli Niemcy, a przyszli towarzysze” – kazano słowo „towarzysze” zamienić na „żołnierze Armii Czerwonej”.

W innym miejscu wyraz „Żydek” zamienić na Żyd.

Dalej: całkiem skreślić „Podkowa”, ponieważ ten jest poszukiwany przez władze bezpieczeństwa.

W jednym miejscu jest mowa o tym, że z Gestapo współpracowali Ukraińcy. Wykreślić „Ukraińcy” i napisać nacjonaliści ukraińscy. I wreszcie w zdaniu: „Przyjechał dziś do nas major „Kalina” dowódca na okręg lubelski” – usunąć majora „Kalinę” i zastąpić jakimś anonimowym dowódcą.

Chciałem wszystkie te wyrazy tylko pokryć czarną farbą, jak to się dawniej praktykowało, ale na to się nie zgodzono i trzeba przedrukowywać stronicę z „zakazanymi” wyrazami i wklejać je na miejsce wyciętych. Tyle zachodu i nowych kosztów – z powodu fantazji jakiegoś cenzora.

Ale już te podane przykłady dowodzą, jak trudno jest coś wydać w takich warunkach, jak starannie trzeba dobierać odpowiednie artykuły, żeby nie narazić się cenzorowi (inaczej – na konfiskatę książki), nie paczyć treści i nie fałszować historii.

Posłałem teraz do cenzury 6 pierwszych artykułów przeznaczonych do drugiego tomu w maszynopisie. Wolę, by mi cenzurowano rękopisy, aniżeli potem całą książkę – z ciągłą groźbą konfiskaty.

5.IX.Środa. Został zwolniony z Urzędu Bezpieczeństwa w Zamościu „Proch”, komendant rejonu w Radeczniczy. Dopiero dziś dowiedziałem się, że w swoim czasie z Zamku w Lublinie razem z „Leszczem” uciekł Antoś „Górny”. Nikt o tym w Szczepieszynie nie wiedział, nawet rodzina.

9.IX. Niedziela. Odbył się dziś pogrzeb Bolesława Kapuśniaka. Zwłoki jego znaleziono gdzieś w okolicy „Cetnara”.

Stało się już publiczną tajemnicą, że w pewnej chałupie badali go „Gruda”, „Doniec” i „Osa”. I w końcu „rąbnęli” w tymże mieszkaniu. Gospodarz domu wszystko wygadał.

12.IX. Wtorek. W ostatnim rozkazie organizacyjnym jest dość długi spis awansowanych i odznaczonych oficerów. Między innymi „Orsza” został majorem. Na kapitanów awansowano: „Irkę”, „Podkowę”, „Norberta”, „Wyrwę”, „Orkisz”. Na poruczników: „Grudę”, „Wizosa”, „Koraba”, „Radwana”. Virtuti Militari dostali „Norbert” i „Podkowa”, Krzyż Walecznych: „Ciąg” (po raz drugi), „Wyrwa” i „Korab”.

19.IX. Środa. Wczoraj w godzinach urzędowania, czyli w biały dzień, dokonano napadu na Komunalną Kasę Oszczędności w Zamościu. Zabrano około 160 tysięcy złotych. W czasie akcji został zabity milicjant. Władze bezpieczeństwa złapały jednego z uczestników (przy którym było podobno około 100 tysięcy złotych). Ten od razu zaczął sypać. W rezultacie aresztowano w różnych miejscach wielu ludzi z organizacji. Sam fakt napadu na KKO – niezależnie od wyniku – zrobił bardzo nieprzyjemne wrażenie. Obiektem napadu była przecież polska instytucja i przez to cała akcja nosi cechy napadu bandyckiego.

Żona jeździła dziś do Zamościa. Cenzorowi, żeby przyspieszyć ocenowanie drugiego tomu, dała łapówkę – 1000 złotych. Ale czy to co pomoże? Zaczynam się niecierpliwić, bo już mógłbym przystąpić do druku. Szkoda tracić czas.

23.IX. Niedziela. Był Antoś „Orkisz”. Upewniał mnie, że Komenda Obwodu Zamojskiego nie ma nic wspólnego z napadem na KKO w Zamościu i nie wie, kto był jego sprawcą. Być może, że czyniono to na własną rękę.

28.IX. Piątek. Wczoraj wrócił z Warszawy „Wyrwa” i wezwał śpiesznie wszystkich komendantów obwodów na odprawę. Dziś niespodziewanie zjawił się u mnie dawny komendant obwodu biłgorajskiego „Orsza”, ostatnio zajmujący stanowisko inspektora chełmskiego inspektoratu pod pseudonimem „Sambor”, ze swym zastępcą „Kaliną”

(dawnym komendantem obwodu krasnostawskiego). Od nich dowiedziałem się, że jest już definitywny rozkaz od władz organizacyjnych, rozbrojenia obwodów i ujawnienia się członków AK. Odbywa się to już wszędzie. W związku z tym wypuszczono z więzienia w Lublinie szereg wybitniejszych akowców, w tej liczbie szefa okręgu lubelskiego „Ignacego” uel „Wira”. Trzymano go przez długie miesiące w ciemnicy – wyszedł w okropnym stanie. W swoim czasie był on przed „Głogiem” („Kaliną”) pierwszym inspektorem inspektoratu zamojskiego (ps. „Zuzia” i „Wir”). Zwolniono paru byłych inspektorów. Inspektorowi „Leśnikowi” (inspektoratu chełmskiego), teraz dopiero wypuszczonemu z więzienia, powierzono przeprowadzenie akcji rozbrajania na naszym terenie. Nastrój jest ponury, każdy czuje się nieswojo. Takie wyjście z wytworzonej sytuacji stało się już koniecznością. Inaczej nie mogło być. A jednak wszyscy członkowie organizacji i ludzie ściślej z nią związani tak już się zżyli z tą specyficzną atmosferą konspiracyjną, że trudno jest pogodzić się z faktem, że ten kilkuletni okres walk podziemnych z jednym i drugim okupantem, okres otoczony legendą, przechodzi już do historii. Zamyka się nie jedna karta, lecz cały tom. Ale to nie znaczy, że społeczeństwo polskie rzeczywiście składa broń. Walka z okupantem sowieckim i z jego polską ekspozyturą będzie trwała nadal niezłomnie, aż do chwili całkowitego wyzwolenia się od narzuconej nam siłą opieki. Rozpoczyna się nowy etap konspiracji opartej na odmienionych nieco zasadach, dostosowanych do wytworzonych obecnie w Polsce warunków.

Walka będzie trudna, będzie wymagała również dużego poświęcenia i wytrwałości, pociągnie za sobą z pewnością nowe ofiary, ale trwać będzie niezmiennie. Oczywiście obwody zdają broń byle jaką, wszystkiego się nie wyzbywają i w razie potrzeby znajdzie się jej jeszcze niemało. Znaczna część naszych „leśnych” oficerów ujawni się. Zakonspirowani pozostaną prawdopodobnie tylko ci, którzy uciekli lub zostali zwolnieni z więzienia („Leszcz”, „Norbert”). Wielu na wszelki wypadek zmieni miejsce zamieszkania, zwłaszcza ci, o których wiadomo, że nie obca im była i „mokra” robota.

Mój „Terror niemiecki w Zamojszczyźnie” też się nareszcie „ujawnił”, to znaczy poprawione na żądanie cenzury egzemplarze poszły do jawnej sprzedaży i wystawione są w witrynach księgarskich. Są już nawet pierwsze echa ukazania się tej książki, bo niektóre obwody i inspektoraty zaczęły myśleć również o gromadzeniu materiałów hi-

storycznych, dotyczących ich terenu. Może złagodnieje trochę cenzura. Zupełnie inna byłaby treść następnych tomów wydawnictwa.

29.IX. Sobota. W związku z pokazaniem się w witrynach księgarskich mojej książki, wczoraj zjawił się u mnie przedwojenny zastępca komendanta policji w Biłgoraju, Stadnicki. Przedstawił mi się jako ten, który zdemaskował i udowodnił działalność szpiegowską na rzecz Niemiec nadleśniczego Millera w Biłgoraju i zaproponował opisanie sprawy, łącznie ze swoim aresztowaniem przez Niemców i pobytem w więzieniu. Dzisiaj znów zgłosił się „Warta” – Władysław Wyłupek, jeden z organizatorów Batalionów Chłopskich na Zamojszczyźnie, były komendant podokręgu BCh na tym terenie i też zaproponował mi swoją współpracę, obiecując napisanie szeregu artykułów o działalności BCh i o walkach z Ukraińcami w Tomaszowskim.

Z tego widać, że książka wzbudza jednak – zwłaszcza u miejscowych ludzi – zainteresowanie i może przyczynić się do obfitszego napływania materiału historycznego, na czym mi, tak bardzo zależy.

3.X. Środa. Jeździłem dziś na umówione spotkanie z inspektorem „Wyrwę” w Zwierzyńcu. Najpierw wiedliśmy z nim prawie trzygodzinną rozmowę we dwójkę. Omawiałem z nim moje prace historyczne i zamierzenia wydawnicze. Upewniał mnie, że archiwa obwodowe i rejonowe są teraz dobrze zabezpieczone. Nie grozi im ani zbutwienie w ziemi, ani zabranie przez Urząd Bezpieczeństwa. Poinformował mnie przy tym, że wywiad ustalił, iż po 15 października, gdy już minie termin ujawniania się i likwidowania szczątków Armii Krajowej, Urząd Bezpieczeństwa ma energicznie zabrać się do wyszukiwania i niszczenia archiwów AK i wszelkich śladów jej działalności. W związku z tym, na polecenie okręgu ma zająć się zabezpieczeniem wszelkich materiałów historycznych. Okręg specjalnie zainteresował się moim wydawnictwem. Polecono Wyrwie wezwać mnie i wymóc abym wstrzymał dalsze wydawanie swoich materiałów a prace gotowe do druku, jak najdokładniej zabezpieczył. Następnie, żeby w przyszłości, gdy już można będzie swobodniej drukować, ktoś z inspektoratu mógł przejrzeć artykuły przeznaczone do opublikowania.

Po tej rozmowie przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, gdzie zebrali się wezwani przez „Wyrwę” na specjalną odprawę „historyczną” – „Or-

kisz”, „Poraj”, „Korab” i „Sas”. Tu „Wyrwa” w krótkich słowach przedstawił sprawę konieczności zabezpieczenia archiwów i powtórzył żądania okręgu pod moim adresem. W odpowiedzi na to oświadczyłem oficjalnie, że oczywiście posiadane materiały pochowam, żeby nie wpadły w ręce Urzędu Bezpieczeństwa. Jeżeli zaś chodzi o wydawnictwo, to wyjaśniłem, że posiadam artykuły i opracowania dwojakiemu rodzaju: jedne uzyskane drogą organizacyjną, dostarczone mi jeszcze przez „Adama” lub innych przedstawicieli dowództwa, drugie zaś – i to w znacznie większej liczbie – zdobyte wyłącznie dzięki moim osobistym stosunkom z ludźmi, prośbom, namowom, podawaniem tematów do opracowania itp. Tekstów z tej pierwszej grupy, oczywiście nie będę ogłaszał bez porozumienia się z kimś z inspektoratu, druga zaś grupa jest wyłączną własnością moją i z tymi artykułami będę robił to, co w danej chwili będę uważał za możliwe i stosowne. Nie widzę żadnego powodu wstrzymywania dalszych tomów tylko dlatego, że cenzura nie przepuści nic, co by świadczyło o wydatnej działalności AK. Nie zgodzę się na drukowanie artykułów obciętych i zniekształconych przez cenzurę – to jest jasne. Odłożę je na później, w zamian zaś dam co innego, ale z wydawania nie zrezygnuję i tego nikt nie może mi zabronić. Wyjaśniłem w dodatku, że wszystkie artykuły dotyczące akcji podziemnej zawsze dawałem i daję do przeczytania komuś kompetentnemu. Nie chciałbym przecież ogłaszać rzeczy bezwartościowych i niezgodnych z prawdą.

„Wyrwa” dodał jeszcze, że okręg chciałby w przyszłości rozszerzyć moje wydawnictwo na teren całej Lubelszczyzny, wciągając do pracy redakcyjnej szereg ludzi pod moim kierownictwem i wydawać dalsze tomy własnym nakładem, pod moją nacelną redakcją. Oczywiście jak najchętniej na to przystanę, zaznaczam tylko, że moje wydawnictwo przeznaczone jest i poświęcone historii Zamojszczyzny, a nie historii AK, lub inspektoratu zamojskiego. Na zakończenie spisano protokół streszczający żądania okręgu i inspektoratu oraz moje oświadczenie.

Tak więc całą sprawę załatwiono drogą oficjalną. Wracałem do domu zadowolony, że jednak historią zaczęto naprawdę poważniej się interesować, że mój pierwszy tom zwrócił na siebie uwagę. A że przy tym odgrywają pewną rolę różne ambicje i chęć zmonopolizowania całego przedsięwzięcia – to mniejsza z tym. Niech tylko pomogą mi w przyszłości materialnie, a ja już pokieruję wydawnictwem jak się należy w myśl moich pierwotnych założeń. Dowiedziałem się przy

sposobności, że sprawa ujawniania się na naszym terenie nie jest jeszcze definitywnie rozstrzygnięta. Rozkazy oficjalne, wydawane na piśmie już od dłuższego czasu są inne, a ustne komentarze całkiem odmiennej treści. I w nadal wszyscy czekają na rozkazy z góry. Jednak większość oficerów skłania się ku temu, żeby się ujawnić i ewentualnie wyjechać na zachód. Bo tu pozostawać jest niebezpiecznie. Po 15 października na pewno zacznie się nowa fala aresztowań. A robotę i propagandę w terenie trzeba prowadzić dalej w ramach nowej, odpowiednio zreorganizowanej konspiracji. Poznałem w Zwierzyńcu „Urzułę”, jednego z najbardziej popularnych członków organizacji w okolicy Zamościa. Prosiłem go o artykuł dla mnie.

10.X. Środa. Byłem w Zwierzyńcu. Widziałem się z „Wyrwą”, „Leszczem” i „Dońcem”. „Leszcz” wyjeżdża, będzie się starał dostać za granicę. „Wyrwa” i „Doniec” jeszcze nie są zdecydowani. Na razie tkwią w terenie i załatwiają jakieś czynności organizacyjne, chociaż AK została już niby nieodwołalnie rozwiązana. Wszystko znajduje się w stadium likwidacji. Tak więc Armia Krajowa stanowi już dziś pewną zamkniętą całość, która z rzeczywistości przechodzi w dziedzinę historii.

11.X. Czwartek. Jeździłem do Topólcy na spotkanie z „Norbertem”, który teraz na pewien czas wyjeżdża, ale po miesiącu ma zamiar wrócić. Zawsze stateczny, opanowany, poważny. W swoim obwodzie tomaszowskim zorganizował komitet z księdzem Skowronkiem (proboszczem w Tyszowcach) na czele, z zadaniem zbierania materiałów historycznych z obwodu tomaszowskiego.

Pomimo wezwań niektórych czołowych działaczy AK – „Radosława”, „Wira”, „Leśnika” – wydawanych jednak pod naciskiem Urzędu Bezpieczeństwa i NKWD, akcja ujawniania się i rozbrajania doznały w obwodach Inspektoratu Zamojskiego zupełnego fiasko. Ujawnili się pojedynczy ludzie, broń zdał tylko „Michał” we Frampolu i jeszcze parę placówek. Poza tym inspektorat nie wyszedł z podziemia i chociaż rozpada się, rozjeżdżają się ludzie, to jednak broń zostaje ukryta w magazynach i pozostają jeszcze ludzie, którzy w dalszym ciągu będą stali na straży naszego terenu.

W związku z taką postawą naszego inspektoratu, bardzo nieprzyjemne wrażenie zrobiła wiadomość, zaczerpnięta z gazet i potwier-

dzona w listach prywatnych (między innymi „Wira”), że w Krakowie ujawnił się mjr „Miecz”, były zastępca inspektora „Kaliny”, uczestnik walk pod Osuchami.

14.X. Niedziela. Teren w znacznym stopniu opustoszał. Przed 15-tym, czyli ostatnim terminem ujawnienia się, bardzo dużo oficerów wyjechało, między innymi „Norbert”, „Orkisz”, „Wyrwa”, „Wizos”, „Korab”. Ale to nie znaczy, że już nie będzie żadnej konspiracyjnej działalności. Zapewne wszystko będzie otoczone większą tajemnicą, podobnie jak to było u nas na początku wojny, w okresie zawiązywania tajnej organizacji. Że coś się szykuje, można wnosić chociażby z tego, że lekarze obwodowi otrzymali rozkaz przygotowywania materiału opatrunkowego.

Wczoraj dostałem ocenzone maszynopisy artykułów przeznaczonych do II tomu mojego wydawnictwa. Wbrew przewidywaniom wszystkie artykuły puszczono z bardzo nieznacznymi poprawkami, jak na przykład: zamiast „Sowieci” – żołnierze Armii Czerwonej, zamiast „sowiecki” – radziecki, nie „Ukraińcy” lecz nacjonałiści ukraińscy itp. Poza tym skreślono kilka epitetów, takich jak „skurwysyn”, a nawet „sukinsyn”. Ale za to przepuszczono wszystkie (8) kawałki dywersyjne, bez żadnych zmian.

19.X. Piątek. Przed kilkoma dniami jeździłem do Zamościa dla omówienia druku drugiego tomu mojego wydawnictwa. Kierownik drukarni Michalski bez zastrzeżeń zgadza się drukować, pomimo że za pierwszy zapłaciłem dotychczas zaledwie 25% procent.

Dziś otrzymałem do korekty pierwsze dwa arkusze. Tym sposobem urealnia się tak niepewna dla mnie kwestia ukazania się drugiego tomu, na który nie mam ani grosza, a tylko duże zobowiązania za pierwszy. Daję tytuł „Zamojszczyzna w walce z Niemcami. 1939 – 1944”.

26.X. Piątek. W niedzielę, 21 października, odbył się w Zamościu duży zjazd zorganizowany przez niedawno założone Polskie Stronnictwo Ludowe (Mikołajczyka). Obecny był minister oświaty Wycech i sekretarz generalny Stronnictwa Wójcik. PSL oficjalnie istnieje zaledwie kilka tygodni. W powiecie zamojskim liczy już przeszło 2 tysiące członków w 90 kołach wiejskich. Przeprowadzono wybory do zarządu. Na zgromadzeniu w sali kina Stylowy nastawienie było jawnie

i wyraźnie przeciw komunistom i PPR. Są już pewne echa tego zjazdu. Aresztowano paru wójtów, którzy brali czynny udział w zjeździe i w pochodzie na Rotundę, rzekomo za niedostarczenie kontyngentu. Aresztowano też Kocha, przewodniczącego rady gminnej.

Pałącą kwestią w powiecie są owe kontyngenty. Chłopi ociągają się z dostarczaniem ich. Na zgromadzeniu w Zamościu niektórzy otwarcie mówili, że są przeciwni dostarczaniu kontyngentu. Jakiś stary chłop powiedział: „koń się uśmieje, gdy za metr żyta oddanego na kontyngent, kupią sobie deko drożdży”.

Za dostarczenie kontyngentu odpowiedzialni są wójtowie. Spodziewane są ostre represje, w związku z tym, niektórzy wójtowie silnie obawiają się aresztowania.

8.XI. Czwartek. Nie zaglądałem nawet do swego dziennika. Miejscowe życie jest szare i bezbarwne, przejawów codzienności nie warto notować. Społeczeństwo zajęte jest stroną materialną bytowania, poza tym trwa niezmiennie w atmosferze wyczekiwania na jakieś wydarzenia o znaczeniu ogólnym, które by doprowadziły do zasadniczych zmian u nas w Polsce. Marzeniem powszechnym jest doczekać się opuszczenia kraju przez „sprzymierzeńców”, „przyjaciół” – Sowietów. Ale jakoś na to się nie zapowiada. Wielu oficerów sprowadziło z Rosji całe rodziny – żony, dzieci, matki. Zagospodarowują się na dłuższy u nas pobyt. Mówią też często o oczekującej ich jeszcze nowej wojnie z Anglikami. Zastanowiła mnie mocno dzisiejsza wizyta oficera sowieckiego, lejtnanta, w asyście dwóch żołnierzy z karabinami. Przyszedł do szpitala i zwrócił się do mnie jako do dawno mieszkającego w Szczepieszynie z zapytaniem, czy dzwonnica na kościele św. Katarzyny obok szpitala ulegała jakimkolwiek przeróbkom od roku 1900. Rozłożył przy tym mapę sztabówkę, na której Szczepieszyn otoczony był czerwonym kółkiem. Odpowiedziałem mu, że wiem tylko co się działo od roku 1919, kiedy sam na wszystko patrzyłem. Wspomniałem, między innymi, że Niemcy założyli na wieży kościelnej telefon i przez jakiś czas mieli tam punkt obserwacyjny. Oficer uśmiechnął się i powiedział: „Właśnie z tego powodu i nas ta dzwonnica interesuje, bo we wszystkich wojnach ten kościół ze swą wieżą odgrywał ważną rolę”. – co to ma znaczyć? Czyżby już czynili jakieś wstępne badania terenu i przygotowywali się do wojny?!

We wtorek, 6 listopada, poruszeni byliśmy wypadkiem, który z pewnością pociągnie za sobą śmierć paru młodych chłopców. Jakiś oddział Służby Bezpieczeństwa z Zamościa pojechał do Szperówki, która ma opinię „reakcyjnej” i „faszystowskiej”. Podeszli do jednego z domów, w którym na strychu znajdowało się czterech chłopców: Guzowski uczeń drugiej klasy gimnazjum w Szczepieszynie i Hanaka – synowie miejscowych zamożnych gospodarzy, oraz dwóch przygodnych robotników z Biłgorajskiego, którzy chodzą od wsi do wsi i najmują się do młócenia zboża. Jest to od dawna praktykowany zwyczaj. Guzowski zaczął strzelać z peemu i ranił żołnierza ze Służby Bezpieczeństwa w klatkę piersiową. Złapano wszystkich czterech, będą ich traktować jak bandytów i chyba nie da się ich uratować od kary śmierci.

12.XI. Poniedziałek. Dzisiejszej nocy oddział Urzędu Bezpieczeństwa z Biłgoraja zjawił się niespodziewanie w Błoniu i Kawenczynie. Aresztowano 19 osób, w tej liczbie i dawno poszukiwanego starego, 48-letniego partyzanta Flisa „Jabłko” i szereg innych ludzi z konspiracji. Najwięcej zaniepokoiło ludzi świadomych rzeczy, ujęcie „Jabłka”, w którego rękach były ostatnio magazyny broni i amunicji (w lesie). Z aresztowanych czterech chłopców w Szperówce, wypuszczono trzech. Pozostał tylko Guzowski, jako ten, który strzelał i ranił żołnierza Bezpieczeństwa.

13.XI. Wtorek. Dziś rano znów pojechało do Błonia i Kawenczyna parę samochodów ciężarowych z żołnierzami sowieckimi i z Urzędu Bezpieczeństwa. Przywieźli ze sobą „Jabłko”, mocno pobitego. Jeździli z nim do lasu. Tam wskazywał im miejsca, gdzie była zakopana broń, ale dawniej. Z obecnych magazynów na razie nie wydał ani jednego. Zabrano tylko 3 karabiny i kilka granatów.

Aresztowania przeprowadził Urząd Bezpieczeństwa z Biłgoraja. Z tego powodu powstał duży zatarg z Bezpieczeństwem zamojskim, które protestuje przeciwko bezprawnemu wkroczeniu na ich teren.

18.XI. Niedziela. Jednak „Jabłko” załamał się, nie wytrzymał bicia i zaczął „sypać”. Przywożono go do Kawenczyna jeszcze raz – w nocy. W rezultacie znaleziono więcej broni. Kilku spośród aresztowanych zwolniono. Przez nich „Jabłko” zawiadomił, kto ma się strzec, o kogo

pytano i o kim powiedział. Między innymi wskazał, że „Mogoł” i „Błyskawica” wyjechali na zachód i są w Pile. W związku z tym szereg ludzi jest zaniepokojonych. Czują się niepewnie i nie nocują w domu.

Przed paru dniami większa grupa dywersantów – (dla zmylenia mówi się „Ukraińcy”) „zrobiła” Urząd Bezpieczeństwa w Tomaszowie. Paru zabito, kilku uprowadzono, wypuszczono wszystkich aresztowanych (z wyjątkiem kryminalistów), zabrano dużo rozmaitego sprzętu. O szczegóły na razie trudno, krążą liczne plotki, zapewne dostanę dokładny opis całego zdarzenia.

Wczoraj w Radechnicy odbył się ślub Antosia „Orkisz” – komendanta obwodu biłgorajskiego, jednego z najmilszych i najbardziej wartościowych ludzi wśród partyzantów.

24.XI. Sobota. Jeździłem do Zamościa w związku z drukiem drugiego tomu mojego wydawnictwa. Dostałem tu gazetkę podziemną „Nowy Zew” z 2 listopada. Wydrukowano tu pewną już wiadomość o „Adamie”:

„Stanisław Prus („Adam”) syn małorolnego chłopa z Siennicy Królewskiej powiatu krasnostawskiego. Przed wojną oficer zawodowy WP. W czasie wojny dzielny kierownik Zamojszczyzny i Biłgorajskiego w konspiracyjnej walce z Niemcami. Niemcy chcieli na tamtych ziemiach stworzyć swoje kolonie, a z Zamościa – przezwane-go Himmlerstadt – ośrodek SS z zasięgiem na całą zachodnią Polskę. Nie udało im się to dzięki postawie społeczeństwa polskiego, przede wszystkim chłopów i dzięki walce oddziałów wojskowych, kierowanych przez inspektora – podpułkownika „Adama”, rozstrzelanego lub powieszono go przez NKWD i Urząd Bezpieczeństwa na Zamku lubelskim w marcu 1945 roku.”

Doszła też wiadomość od zwolnionych z więzienia w Lublinie, że major „Wacław” zginął podczas badania wskutek strasznego bicia.

18.XII. Wtorek. Przed kilkoma dniami aresztowano w Zamościu kilkanaście osób, między innymi „Asa” – redaktora „Zerwij pęta”, szefa BIP-u Kolbuszewskiego, kierownika drukarni Michalskiego i innych. Zecer Mazur wraz z żoną uciekł w ostatniej chwili. W jego mieszkaniu wykryto drukarenkę, na której drukowano „Zerwij pęta”. Dokładnych szczegółów na razie nie znam.

Dla mnie osobiście bardzo przykre następstwa może mieć uwięzienie kierownika drukarni Michalskiego ze względu na losy wydawnictwa. Michalski we wszystkim szedł mi na rękę i dawał wprost nieograniczony kredyt w zakresie wydawniczym. Jeżeli go prędko nie puszcza, będę miał duże kłopoty z nowym kierownictwem, które z pewnością będzie nalegało, żeby prędeż płacić za druk.

21.XII. Piątek. Dzień pełen swoistej emocji: otrzymałem z drukarni pierwsze 100 egzemplarzy drugiego tomu wydawnictwa „Zamojszczyzna w walce z Niemcami. 1939 – 1944”. Duży tom o dwustu stronach. Doskonale się prezentuje. Druk trwał wyjątkowo krótko, bo tylko dwa miesiące. Patrzę i oczom własnym nie wierzę, że oto już dwa tomy puściłem w świat wydawnictwa, o jakim marzyłem od samego początku wojny. Przewyciężyłem wszystkie trudności i dopiąłem swego, chociaż znikąd nie miałem żadnej pomocy finansowej. Myślę już o tomie trzecim. Tylko nie wiem, czy mi drukarnia zechce drukować zanim nie zapłacę za poprzednie dwa.

27.XII. Czwartek. Przed kilkoma dniami w Zamościu przed sądem specjalnym odbyła się rozprawa przeciwko niejakiemu Haścowi ze Szczepieszyna. W roku 1939 był on w Wojsku Polskim. Po paru latach dostał się do „Schutzpolizei”. Przyjeżdżał czasem do Szczepieszyna na urlop i paradował w mundurze policyjnym. Wstępował kiedyś do szpitala, żeby zasięgnąć u mnie porady lekarskiej. Miałem z nim wówczas dłuższą rozmowę. Opowiadał mi, że był w Norwegii, a ostatnio przebywał we Francji. Ze służby u Niemców był bardzo zadowolony. Po upadku Niemiec zjawił się cichaczem na terenie gminy Zwierzyniec, skąd pochodzi jego żona i wkrótce został zatrzymany przez zwierzyniecką milicję. W sądzie bronił go adwokat Legieć, który w czerwcu 1940 był aresztowany przez Niemców i do końca przebywał w obozie w Dachau. I ku powszechnemu zdumieniu i oburzeniu sąd Haśca uniewinnił. Sądząc po tym, co ludzie między sobą mówią, sprawa na tym się nie skończy. Panuje ogólne przekonanie, że przyjdzie czas, a odpowiednia kara zostanie mu jednak wymierzona.

Z aresztowanych w Zamościu, nikogo jeszcze nie wypuścili. Wszystkich od razu wywieziono do Lublina. „Asa” zadenuncjował

w podły sposób jego adiutant „Janusz” – Krzeczkowski. „As” zorientował się, że grozi mu aresztowanie ukrył się w Udryczach u jednego z zaufanych ludzi. „Janusz” znając dobrze miejsce pobytu „Asa” przyjechał z Bezpieczeństwem do Udrycz i zaprowadził je od razu do domu, w którym był „As”. Zastano go piszącego coś na maszynie.

W Zamościu aresztowano jeszcze dodatkowo Nelę Niechajównę pielęgniarkę Ubezpieczalni Społecznej, pochodzącą ze Szczepieszyna. Bardzo dzielna dziewczyna, ofiarnie pracowała w organizacji od zarania jej istnienia w Szczepieszynie.

ROK 1946

1.I. Wtorek. Przeminał jeszcze jeden ciężki rok i wступujemy w nowy, już ósmy kalendarzowy rok wojny. Każdy zadaje sobie pytanie, co on nam przyniesie. Pilnie śledzimy co mówią Anglicy, Amerykanie, jak przebiegają różne konferencje przedstawicieli trzech mocarstw i czy nie zapowiada się konflikt angielsko-sowiecki. Bo tych „sprzymierzeńców” ze wschodu mamy już wyżej uszu, coraz częściej mówią, że wkrótce stąd wyjadą, ale jakoś nie możemy się tego doczekać.

Od czasu do czasu słyszy się o zabójstwach, napadach bandyckich i rabunkowych, dokonywanych przez żołnierzy sowieckich. Ostatnio w świątecznym tygodniu jakiś Sowiec zabił w Zamościu w mieszkaniu młodą, bardzo dzielną dziewczynę „Milę”, jedną z nielicznych już łączniczek organizacyjnych, za to, że pozostawała obojętna na jego zaloty. Jako charakterystyczny szczegół warto zaznaczyć, że rodzina w obawie przed bolszewikiem, który zagroził, że wszystkich wystrzela, ukrywa fakt zabójstwa i tłumaczy, że był to przypadek lub nawet samobójstwo.

Drugi tom mojego wydawnictwa ma w terenie wielkie powodzenie. Ludzie kupują, czytają i dopytują się, kiedy wyjdzie trzeci... Zupełnie nie orientują się, ile potrzeba czasu, trudu i kosztów na wydanie dzisiaj takiego tomu.

2.I. Środa. Odwiedziła mnie dzisiaj dziennikarka z Warszawy, Zofia Wójtowicz, przedstawicielka Polskiej Agencji Prasowej. Przyjechała specjalnie z Zamościa, skierowana do mnie jako do najlepiej znającego

dzieje Zamojszczyzny w okresie okupacji niemieckiej. Chciała dowiedzieć się ode mnie szczegółów o terrorze niemieckim. Wytłumaczyłem, że jest to dziedzina tak obszerna, że tego nie da się streścić w notatce dziennikarskiej. Bardzo chwaliła mój „Terror niemiecki w Zamojszczyźnie”. Namawiała, żebym zwrócił się do „Czytelnika”, który z pewnością wszystko mi wyda, ewentualnie dostarczy papieru przydziałowego, bo „Czytelnik” stara się o dobre rzeczy, lecz... nie ma co wydawać. Widocznie autorzy unikają stosunków z tą instytucją, w zasadzie bardzo dobrą i pożyteczną, ale prowadzoną przez entuzjastycznych zwolenników PPR-u, Bieruta i Osóbki-Morawskiego oraz „przyjaciół” ze wschodu. Bo przecież dobrych autorów u nas nie brak i w rękopisach zalega wiele bardzo wartościowych utworów tak literackich jak i naukowych. Podziękowałem jej uprzejmie i powiedziałem, że chcę nadal zachować swoją zupełną niezależność i do nikogo o nic zwracać się nie będę. Dałem jej drugi tom wydawnictwa dla PAP-u.

4.I. Piątek. Była dziś u mnie „Andzia” i przyniosła świeży numer „Nowego Zewu”, wychodzącego na terenie naszego inspektoratu. Pomimo tak poważnej wyspy w Zamościu, są jednak ludzie pełni poświęcenia, których nie zraża niebezpieczeństwo i dalej wydają prasę podziemną. Treść nie ma zasadniczo ważnego znaczenia, zwłaszcza gdy w tak wielu miejscach zainstalowane są legalne aparaty radiowe, ale sam fakt ukazywania się od czasu do czasu takiego pisemka świadczy o twardym, polskim charakterze i o tym, że ideowa część narodu nie ulegnie i nie da się ujarzmić sowieckim protektorom.

Na naszym terenie kręci się trochę byłych członków organizacji, ale nie podnoszą oni jej autorytetu. Niedomówieniami i tajemniczymi półsłówkami dają do zrozumienia o swej rzekomej działalności i specjalnej misji konspiracyjnej, a tymczasem swoim zachowaniem się wzbudzają tylko nieufność, a nawet niechęć. Piją bez umiaru, niektórych od samego rana można widzieć już „pod gazem”. A do grupy tej należą „Mongoł”, „Błyskawica”, „Blej”, „Nieuchwytny”, „Ciekota” (Raczyński), który wśród kompanów uchodzi za hrabiego i inni. Puszczają się na jakieś transakcje handlowe, utrzymują stały kontakt z zachodem, stale porozumiewają się i piją z oficerami Urzędu Bezpieczeństwa i posterunku milicji, co w ich mniemaniu zapewnia im spokojny pobyt w mieście.

W każdym razie sprawia to nieprzyjemne wrażenie. Parokrotnie przychodzili i do mnie, ale byli tak dalece nietrzeźwi, że przyjąłem ich dość chłodno i dałem do zrozumienia, że o ile chętnie rozmawiam z nimi, gdy są trzeźwi, o tyle nie życzę sobie odwiedzania mnie przez gości pijanych. Mam wrażenie, że się na mnie obrazili, bo już przeszło 10 dni nikt z nich do mnie nie zachodził. Wcale się tym nie martwię.

12.I. Sobota. Dość jednostajne życie, jakie prowadzę w ostatnich czasach, zostało nagle przerwane w sposób radykalny i emocjonujący.

W nocy z 7 na 8 stycznia, o godzinie 5 rano, zbudziło mnie stukanie do drzwi. Gdy otworzyłem, zobaczyłem przed sobą szereg oficerów i żołnierzy Urzędu Bezpieczeństwa. Zapytano mnie o nazwisko, kazano ubrać się i iść z nimi. Przez ten czas, co ubierałem się, przeprowadzili bardzo pobieżną i powierzchowną rewizję nic nie zabierając. Zaprowadzono mnie na posterunek milicji. Tu sporo było „bezpieczniaków”. W gabinecie komendanta posterunku, na kanapie, siedzieli trzech niedbale rozpartych oficerów, z których jeden, acz w polskim płaszczu wojskowym, z błyszczącą srebrną gwiazdką podporucznika na epoletach, miał na głowie rosyjską czapkę futrzaną z czerwoną gwiazdą sowiecką – zamiast orzełka polskiego. Oficer ów zapytał mnie od razu: „Jaki jest pański pseudonim?” Odpowiedziałem, że nie mam żadnego, bo nigdy do organizacji nie należałem. Na to drugi oficer wstał i, podszedłszy do mnie, pokazał mi małą fotografię – pytając: – „A co znaczy to zdjęcie?” Ze zdziwieniem zobaczyłem, że była to fotografia grupy szczebrzeszaków, zrobiona w lesie koło Suśca, w czerwcu 1945 roku podczas uroczystości zakończenia kursu podoficerów. Są na tej fotografii: „Wyrwa” w mundurze i z pistoletem maszynowym przewieszonym przez ramię, obok ksiądz Kapalski, ja, dalej „Orkisz”, „Norbert”, „Poraj”, „Nieuchwytny”, „Młot”, „Żegota” i „Stary” czyli Antoni Józwiakowski. Przyjrzałem się uważnie i powiedziałem: „No, cóż, byłem na jakiejś majówce”. Roześmieli się ironicznie: „Ładna majówka!” Kazali mi wyjść do poczekalni. Tu był już „Młot” i jakiś nieznany mi młody człowiek, jak się później dowiedziałem – brat młynarza Lenarta z Kawenczyna. Po chwili przyprowadzili „Nieuchwytnego” i Henia Guzowskiego („Konara”). W międzyczasie żona przyniosła mi z domu plecak z kocem, poduszczką i jedzeniem. W drodze wyjątku pozwolono mi pożegnać się z żoną i synkiem.

Około 7-mej załadowano nas do ciężarówka szczelnie wypełnionej „bezpiecznikami”. W nieprzyjemnej ciasnocie dojechaliśmy do Zamościa i zatrzymaliśmy się przed Urzędem Bezpieczeństwa w domu Czerskiego koło kolegiaty. (Za Niemców mieściło się tu Gestapo). Ponieważ nie kazano nam wysiadać, więc zrozumieliśmy, że powiozą nas gdzieś dalej. Byłem pewny, że do Lublina. Tymczasem, wbrew moim przewidywaniom, ciężarówka pojechała w stronę Przedmieścia Lwowskiego. Dopiero wówczas zorientowałem się, że wiozą nas do Tomaszowa. I rzeczywiście tak było.

Droga trwała parę godzin, ponieważ samochód nie mógł wziąć niektórych wzniesień szosy, motor gasł, akumulator się wyczerpał, trzeba było przy pomocy żołnierzy zawracać maszynę i dopiero z rozpędu z góry, szofer zapalał motor. Zmarzliśmy porządnie. Wreszcie dojechaliśmy do Tomaszowa. Tu przy wjeździe do miasta motor znów stanął. Kazano nam wysiąść i poprowadzono już piechotą do siedziby Bezpieczeństwa. Szliśmy bokiem śliskiej, oblodzonej jezdni. Z trudem starałem się nadażyć za idącymi szybkim, żołnierskim krokiem, młodymi aresztowanymi i żołnierzami. Zmęczyłem się i zasapałem okropnie.

Wreszcie znaleźliśmy się w dyżurce Urzędu Bezpieczeństwa. Po chwili przystąpiono do spisowywania na osobnych arkuszach naszych personaliów i do rewizji osobistej. Mnie wezwano pierwszego. Kazano mi zdjąć palto i powyjmować wszystko z kieszeni. Jeden z żołnierzy obmacał mnie całego bardzo dokładnie i sprawdził kieszenie. Znalazł w palcie strzępy papieru i rzucił je na kupkę do moich drobiazgów. Trochę mnie to speszyło, bo w drodze przypomniałem sobie, że w małej kieszonce na zegarek miałem kilka karteczek pisanych kiedyś przez „Wyrwę” i „Norberta”. Starałem się je zniszczyć i wyrzucić, jeden kawałek przeżułem i nie mogąc połknąć w końcu wyplułem, ale coś jeszcze zostało. Piszący protokół rewizji starannie rozwinął i rozprostował jeden paperek i dołączył do moich rzeczy. Nie mam pojęcia co tam było. Zatrzymano absolutnie wszystko. Nie pozostawiono mi nawet lekarstw i wyjąłowej strzykawki Recorda, które żona włożyła mi do plecaka na wypadek, gdybym dostał ataku sercowo-wątrobia-nego. – Nie pomogły żadne tłumaczenia z mojej strony, że w razie napadu bez natychmiastowego zastrzyku nie przetrzymam go.

Gdy już zrewidowano wszystkich, zaprowadzono nas do tzw. więzienia. Mieści się ono w piwnicach domu dr. Cybulskiego, naprzeciw

Urzędu Bezpieczeństwa. Rozmieszczono nas po różnych celach. Mnie wpuszczono do celi numer 2. Zrobiła na mnie nieprzyjemne wrażenie: bardzo zimna, z rozwalonym piecem, z pryzkami przy ścianie, ponura, ciemna, a w niej 5 więźniów – młodych chłopców o wyglądzie partyzancko – bandziorskim. Wszyscy wciąż kręcili się po celi, by się rozgrzać. Będąc bardzo zmęczony od razu położyłem się na wolnym miejscu na pryczy, by trochę odpocząć, lecz nie minęło nawet 5 minut, jak wszedł strażnik, wywołał mnie i zaprowadził do celi numer 1, położonej naprzeciwko. Tu już było zupełnie inaczej: od gorącego pieca rozchodziło się przyjemne ciepło, dwa okna przepuszczały dużo światła, cementowa podłoga była zamieciona, na pryczy wzdłuż ściany pod oknami znajdowały się względnie równo ułożone, chude co prawda, sienniki i koce. W jednym rogu w pobliżu pieca siedziało lub leżało 5 więźniów, wyglądali oni zupełnie inaczej, aniżeli chłopcy z celi numer 2. Od razu zawarłem z nimi znajomość. Byli to: gorzelany z Bełzca Wasilewski, były przedsiębiorca samochodowy a obecnie właściciel tajnej gorzelnicy Dzida – obydwaj już po czterdziestce, dalej młody Leńczuk z Tomaszowa, który 3 lata przesiedział w Oświęcimiu, przed kilkoma miesiącami wrócił do domu i teraz już 2 miesiące przebywa tu jako podejrzany o udział w napadzie na więzienie w Tomaszowie, dokonanym 13 listopada 1945 r. Wreszcie jakiś młodzieniec, którego nazwiska nie zapamiętałem i Lenart, który przyjechał z nami ze Szczepieszyna.

Współwięźniowie zaopiekowali się mną bardzo troskliwie. Dzida położył mi poduszczkę ze słomy, Wasilewski wsunął mi pod koc coś w rodzaju cienkiego, kwadratowego siennika. Nie pomogły moje protesty. Na rozmowie zeszło nam kilka godzin. Dowiedziałem się, że w tejże celi jest jeszcze 6 Volksdeutschów. Wychodzą oni rano do roboty i wracają wieczorem, a ponieważ pracują głównie przy rąbaniu drewna, więc przynoszą ze sobą całe jego naręcza. I dlatego opału w naszej celi nie brak. W piecu paliliśmy dosłownie 24 godziny na dobę.

Około 6-ej przyniesiono nam na kolację zupę. Był to wyjątkowo smaczny i dobrze okraszony krupnik. Gdy nazajutrz chwaliłem go przed strażnikiem, ten mi objaśnił: „Bo to była zupa dla nas, żołnierzy Bezpieczeństwa. Dużo jej wczoraj zostało i zamiast świniom wylać, tośmy ją wam dali”.

Zasadniczo dają tu na śniadanie i na kolację tylko po kawałku chleba i po kubku czarnej, niesłodzonej kawy. Na obiad nic. Paczki

można doręczać raz w tygodniu, w piątek. Jednak ci, którzy mają rodziny, dostają ofiary lub paczki z domu nawet codziennie, bo to już zależy od dobrej woli strażnika.

Po kolacji wrócili z miasta Volksdeutsche. Są to chłopcy z okolicznych wiosek. Trzymają ich w więzieniu już około 10 miesięcy. W celi, szczególnie na pryczy, zrobiło się ciasnawo. Volksdeutsche są tu bardzo zadomowieni. Porozkładali swoje manatki, zapalili papierosy z okropnej machorki i zaczęli się rozbierać. Najpierw suszyli przy piecu onuce, potem zdejmowali kolejno koszule albo gacie i przy silnej żarówce szukali w nich wszy. Powietrze stało się gęściejsze, do czego przyczyniał się i stojący w pobliżu drzwi kibel.

Wreszcie ułożyliśmy się do snu. Niektórzy rozebrali się całkiem, pozostając w jednej tylko bieliźnie. Ja zdjąłem buty i marynarkę. Jakoś nie miałem odwagi w takich warunkach rozebrać się więcej. Gdy już wszyscy się położyli, stało się ciasno. Wciąż to z jednej, to z drugiej strony ktoś mnie – zwłaszcza we śnie – trącał i kopał. Chociaż w celi było bardzo ciepło, przykryłem się paltem i zmęczony fizycznie i psychicznie bardzo prędko zasnąłem. Spałem, jak na warunki więzienne, zupełnie dobrze.

W środę, 9 stycznia, wstaliśmy, gdy się zaczęło rozwidniać. Katastrofalnie przedstawiała się sprawa mycia. Wody nigdy tu nie ma, chyba że przyniesie jej trochę we flaszcze któryś z Volksdeutsche. Użyczono mi jej odrobinę, tak że mogłem zaledwie dwa razy nabrać do ust, splunąć na ręce i tym „odświeżyć” sobie twarz, wycierając ją potem chusteczką do nosa. Wreszcie przyszedł strażnik, wypuścił Volksdeutsche, a nas po trzech wyprowadzał do ustępu na podwórzu. Dla więźniów jest to wielkie urozmaicenie. Trzeba czy nie trzeba, każdy korzysta z okazji i 2 razy dziennie – rano i pod wieczór – wychodzi na parę minut z celi, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Po wyjściu Volksdeutsche w celi zrobiło się od razu luźno. Stali tutejsi „mieszkańcy” pozamiatali ją i doprowadzili do jakiegoś takiego porządku. Przez jednego młodszego Volksdeutsche posłano do miasta „grypsy”, między innymi i do doktora Petera, dyrektora szpitala, zawiadomieniem, że jestem w więzieniu. Chodziło o zorganizowanie mi obiadów. Było już chyba około 9-ej, gdy strażnik przyniósł nam kawę i rozdał po kawałku chleba. Po śniadaniu zaczęła się zwykła, więzienna nuda, urozmaicona opowiadaniem różnych – przeważnie

sprośnych – kawałów. Celował w tym Wasilewski. Ja wciąż myślałem o czekającym mnie badaniu i o tym, co i jak mam mówić. Wreszcie przez drzwi usłyszeliśmy, że wywołano i wyprowadzono na badanie „Młota” Łysaka. Trzymano go chyba więcej jak 2 godziny. Czekałem swojej kolejki. I rzeczywiście w pewnym momencie dozorca otworzył drzwi i wywołał mnie. Przechodząc przez ulicę z więzienia do gmachu Urzędu Bezpieczeństwa, zobaczyłem na chodniku żonę „Nieuchwytnego”. Ucieszył mnie jej widok. Obecność jej tutaj dowodziła, że w Szczepieszynie od razu dowiedziano się, iż wywieziono nas nie do Lublina, lecz do Tomaszowa.

Dozorca wprowadził mnie do gabinetu na piętrze. Przy dużym biurku siedział w fotelu kierownik Urzędu Bezpieczeństwa, ten sam, którego wczoraj widziałem w Szczepieszynie z czerwoną gwiazdą na czapie. Obok siedział prokurator, który również był w Szczepieszynie. On to właśnie pokazywał mi tę nieszczęsną fotografię. Oprócz tych dwóch stał przy biurku lub przechadzał się po gabinecie, młody oficer sowiecki w randze kapitana.

Rozpoczęło się długie badanie. Pytania zadawał sam kierownik lub ów prokurator. A więc – jaki jest mój pseudonim w organizacji, co robiłem w czasie okupacji niemieckiej, jaki był zakres mego działania po wyjściu Niemców, czy nie używałem kiedykolwiek jakichś pseudonimów literackich, gdzie bywałem, na jakich uroczystościach w lesie, na świętach, zakończeniach różnych kursów itp. Pokazano mi znów tę samą fotografię. Gdzie i kiedy była zrobiona, kto na niej jest, kogo znam w organizacji, itd., itd. Odpowiedziałem, że do organizacji nigdy nie należałem, pseudonimów żadnych nie miałem, literackich też, byłem na święcie urządzonym przez BCh pod koniec maja 1944 roku, a więc jeszcze przy Niemcach. Gdzie była robiona fotografia – nie pamiętam. Jest tak mała, że oprócz siebie nikogo na niej poznać nie mogę. Nie zaprzeczam, że znałem i znam bardzo dużo ludzi, ale to jedynie z racji moich zainteresowań historycznych i z chęci zdobycia opisów relacji i wspomnień od uczestników walk podziemnych. Wciąż podkreślałem, że pracuję wyłącznie nad okresem okupacji niemieckiej, późniejsze czasy już nie wchodzą w zakres moich badań. Gdy zapytano mnie, czy znam takiego a takiego, wymieniając jego obecny pseudonim, uparcie odpowiadałem, że nie znam. Gdy mi powiedziano pseudonim dawniejszy – owszem, znałem każdego, ale tylko

w obwodzie zamojskim i biłgorajskim. Z obwodu hrubieszowskiego znałem „Irkę” („ranny był pod Osuchami, leżał w wiosce pod Szczebreszynem, odwiedzałem go”), z tomaszowskiego nikogo. „Drugaka” znałem tylko ze słyszenia, poza tym tych, którzy pochodzą sami ze Szczebreszyna, a pracowali na terenie tomaszowskim. A więc nie wiedziałem kto to jest „Tatar”, „Poręba”, „Rota”, natomiast znałem bardzo dobrze „Norberta”, „Młota”, „Wyrwę” i innych. Najpierw wypytywano mnie o „Norberta”. Dowodzili, że bywa u mnie i widuję się z nim często poza Szczebreszynem. Oczywiście kategorycznie zaprzeczyłem.

Wówczas kierownik UB zaczął mnie zapewniać, że „Norbert” jest aresztowany, siedzi w Lublinie i już wszystko powiedział, wobec czego nie mam żadnych powodów do wypierania się bliższej z nim znajomości. Tłumaczył mi, że jeżeli nic im o „Norbercie” nie powiem, to będą zmuszeni zawieść mnie na konfrontację do Lublina. Po chwili zaczął głośno naradzać się z prokuratorem: „Więc jak zrobimy – czy doktora zawieziemy do Lublina, czy „Tatara” ściągniemy tutaj”. Byłem tak pewny, że to bujda, bo przecież przed paroma dniami miałem kontakt z „Norbertem”, iż mimo woli uśmiechnąłem się. Kierownik to zauważył: „Panie doktorze, pan zdaje się, sądzi, że my to tylko tak sobie mówimy, ale ja pana zapewniam, że „Norbert” naprawdę jest aresztowany”.

Gdzie była robiona fotografia? Ani rusz nie mogłem sobie tego przypomnieć. Ale prokurator tak mnie pytaniami przycisnął, mówiąc że przecież sam był wówczas w obozie w lesie i pamięta mnie doskonale, że w końcu przyznałem się, iż rzeczywiście byłem na zakończeniu kursu dla podoficerów w obozie koło Suśca w czerwcu 1945 r. Po co tam pojechałem? Chyba wiedziałem, czym to grozi? Wyłącznie z chęci zobaczenia się z ludźmi, od których chciałem wydobyć materiał historyczny. I zdjęcie zostało zrobione właśnie tego dnia w obozie. Kto jest na fotografii, w dalszym ciągu nie mogłem rozpoznać. Najdrażliwszy był moment, gdy mnie kilka razy zapytano, czy znam „Podwińskiego”, a ja wręcz twierdziłem, że pierwszy raz to nazwisko, względnie pseudonim słyszę. Teraz już oni zaczęli ironicznie się uśmiechać. W pewnej chwili prokurator wysunął boczną szufladę z biurka i trochę z nieprzyjemnym i niewyraźnym uczuciem zobaczyłem w niej wydane przeze mnie „Pieśni oddziałów partyzanckich Zamojszczyzny”, z moją przedmową podpisaną „Podwiński”. Dopiero wówczas „przypomniałem sobie”, że kiedyś wydałem jedną broszurę pod tym nazwiskiem, ale

to żaden pseudonim. Jest to rodowe nazwisko mojej matki, brat mój pisywał różne rzeczy podpisując się przeważnie „Podwiński”, więc i ja wydając tę broszurę za czasów niemieckich użyłem tego nazwiska, ale przecież to nie jest mój pseudonim organizacyjny. Zaczęto mi jeszcze dowodzić, że przemawiałem do żołnierzy, że tytułowano mnie inspektorem. Oczywiście zaprzeczyłem temu.

Kapitan sowiecki cały czas milczał i słuchał uważnie. Wreszcie zabrał głos, prosząc mnie, abym mówił rzeczowo, obiektywnie i prawdę. Używał przy tym zwrotów: „Wy wied' człowiek kulturowy, obrazowannyj...” Wywiązała się między nami dłuższa rozmowa w języku rosyjskim. Kierownik poszedł na obiad, a myśmy rozprawiali o wszystkim – o bombie atomowej, o postępie w dziedzinie techniki i w dziedzinie ducha, o ludzkości, o nienawiści, o przyczynach wojen. Wrócił kierownik przeżuając jeszcze resztki obiadu. O nic już więcej mnie nie pytał. Zawołał żołnierza i kazał mu odprowadzić mnie do dyżurki, a do mnie powiedział: „Pójdzie pan teraz na obiad, a potem znowu pana wezwiemy”.

Na zegarze w dyżurce dochodziła już 3, byłem więc na badaniu przeszło dwie godziny. Przyszedł strażnik i odprowadził mnie do celi. Po chwili zjawił się znowu z sutym obiadem, który mi w tym czasie przyniesiono od doktora Petera. Wkrótce wezwano na badania Książka – „Nieuchwytnego”. Na próżno tego dnia czekałem ponownego badania. Od strażnika dowiedziałem się, że Łysaka i Książka zwolniono ponieważ się ujawnili i „do wszystkiego się przyznali”. A ile razy widziałem „Nieuchwytnego”, zawsze dowodził mi, że się nie ujawnił. Gdy wyprowadzono nas na „popołudniowy ustęp” zobaczyłem z daleka na chodniku żonę. Chodziła już podobno dłuższy czas z żoną „Nieuchwytnego” i wypatrywały nas. Nie mogłem jej nawet ręką kiwnąć na powitanie, bo to jest surowo zabronione, a i ją wartownik wciąż przestrzegał, żeby się tu nie kręciła.

Zacząłem zastanawiać się, dlaczego nie zwolniono i mnie od razu po pierwszym badaniu, podobnie jak Łysaka i Książka. Zapewne chcą jeszcze coś ode mnie wydobyć posądzając mnie o zajmowanie w organizacji jakiegoś czołowego, wpływowego stanowiska (inspektora?).

W czwartek 10 stycznia wstaliśmy rano i rozpoczęliśmy znów szary, beznadziejny, więzienny dzień. Różnica z wczorajszym polegała tylko na tym, że „umyliśmy się” już nie odrobiną wody, lecz resztkami

kawy, która pozostała po wczorajszej kolacji. Lada chwila oczekiwałem wezwania na badanie, ale schodziła godzina za godziną i nikt po mnie nie przychodził. Słyszeliśmy tylko przez drzwi jak brano różnych więźniów z innych cel. Zaczęło mnie to trochę denerwować, obawiałem się, że pobyt w więzieniu może się przeciągnąć. Jak poinformowali mnie „tutejsi”, jeżeli aresztowanego nie puszczają od razu po pierwszym badaniu, to zwykle trzymają potem co najmniej parę tygodni. W porze obiadowej zjawił się strażnik z pełnym koszem jedzenia dla mnie. Powiedział, że przyniosła to żona i upewniał, że mnie puszcza. Prosiłem, żeby uspokoić żonę, że czuję się zupełnie dobrze, jestem w ciepłej celi i niczego mi nie brakuje. Po obiedzie znów niecierpliwie oczekiwałem na wezwanie. Aż wreszcie usłyszałem zgrzyt klucza w drzwiach i wywołane moje nazwisko. Dozorca zaprowadził mnie do gmachu UB, ale już nie do tego gabinetu, co wczoraj, lecz do małego pokoiku, w którym przy stole siedział tylko prokurator śledczy (jak się dowiedziałem potem – Ukrainiec) ppor. Leluch. Nikogo więcej nie było, usiadłem po przeciwnej stronie stołu. Wziął papier i napisał nagłówek protokołu. Nabrałem niemal całkowitej pewności, że zostanę zwolniony. Zaczęła się rozmowa na te same tematy co wczoraj, ale nie było już takiego przypierania do muru pytaniami, ironizowania i chęci zastraszenia badanego. Wobec przyznania się do konspiracji i uwolnienia „Młota” i „Nieuchwytnego” nie miałem już potrzeby niepoznawania ich na fotografii. Przyznałem się do znajomości jeszcze z „Orkiszem”, „Wyrwą”, „Żegotą”, „Porajem”, o czym zresztą Leluch doskonale wiedział. Uparcie nie poznawałem tylko trzech – księdza Kapalskiego, Antoniego Józwiakowskiego i „Norberta”. Dopiero gdy Leluch wskazując „Norberta” powiedział – „przecież koło pana stoi „Norbert”, zacząłem tłumaczyć, że nigdy bym go nie poznał, tak jest tu do siebie niepodobny. Tak więc stwierdziłem, że mają rozpoznanych wszystkich na fotografii z wyjątkiem księdza Kapalskiego i Antoniego Józwiakowskiego. Mocno go irytowało że w żaden sposób nie chcę ich zidentyfikować. Gdyby tę fotografię pokazali w Szczebryeszynie – komuś z Bezpieczeństwa lub jakiemuś szpiclowi, to dowiedzieliby się od razu, kto to jest.

Protokół zawierał szereg zasadniczych pytań: do jakich organizacji konspiracyjnych należałem podczas okupacji niemieckiej i potem, dlaczego miałem tyle znajomości wśród akowców: w jaki sposób zna-

lazłem się na uroczystości zakończenia kursu podoficerskiego w Suścu i kto mnie na nią zaprosił. Po co tam pojechałem wiedząc jaka mi za to grozi odpowiedzialność; kto jest na fotografii? Wszystko tłumaczyłem wyłącznie moimi pracami naukowymi i niepohamowaną żądzą zdobycia materiałów historycznych. Nie liczyłem się nigdy z niebezpieczeństwem, podobnie jak operator filmowy, który nieraz filmuje różne sceny bojowe pod gradem kul, ażeby tylko je utrwalić. Dowodziłem, że teraźniejsza konspiracja i ludzie biorący w niej udział nie interesują mnie. Okres moich badań obejmuje wyłącznie lata 1939-1944, czyli okupację niemiecką.

W czasie pisania protokołu, gdy odpowiadałem na pytania, z rozmysłem przeplatałem je różnymi opowiadaniem historycznymi. Gdy wspomniałem o bitwie pod Osuchami z czerwca 1944, Leluch powiedział, że on też tam był. W którym oddziale? W sowieckim. I tu mnie poniosło naprawdę. Zacząłem z przejściem opisywać przebieg całej obławy niemieckiej, walk jakie tam toczono, prób przebijania się – szczególnie uwzględniając oddziały sowieckie pułkownika Szangina. Leluch słuchał z coraz większym zainteresowaniem. Odłożył pióro, od czasu do czasu coś uzupełniał i sam opowiadał. Wytworzyła się dziwna sytuacja, która zaczęła mnie samego wielce bawić, bo ja – badany więzień – przystąpiłem swoim zwyczajem do bardzo energicznego nalegania, ażeby prokurator śledczy opisał mi przebieg walk jakie toczyły sowieckie oddziały partyzanckie na naszym terenie. Leluch wyraźnie przejął się moim opowiadaniem i wprost natarczywym żądaniem. Powiedział mi, że w Bezpieczeństwie w Tomaszowie jest ich aż 8, którzy byli w oddziale sowieckim pod Osuchami, że jak najchętniej napisze i drugich do tego namówi, aby tylko czas pozwolił. Zaczął mi potem szczegółowo opowiadać o 27 Dywizji Wołyńskiej, o jakiejś akcji w Bielinie, o walkach z Niemcami, o Ukraińcach. Gdy się spostrzegłem, że rozmowa przeciąga się zbyt długo, zamilkłem chcąc prędzej wyjść na wolność. Nie miałem już bowiem żadnej wątpliwości, że będę wypuszczony. Wówczas Leluch dokończył pisanie protokołu, przeczytał mi go i dał do podpisania. Z przyjemnością mogłem się przekonać, że protokół napisany jest wyjątkowo dobrze, moje odpowiedzi sformułowane są wyraźnie w życzliwej formie z ciągłym podkreśleniem, że zawsze we wszystkim miałem jeden tylko cel – zdobywanie materiałów historycznych. Był taki moment, że chciałem poprosić Lelucha o odpis tego

protokołu, ale pomyślałem sobie, że byłaby to zbyt wielka bezczelność z mojej strony i dałem spokój. Na zakończenie Leluch zwrócił się jeszcze do mnie z wezwaniem, ażebym użył swojego wpływu i skłonił „Norberta”, „Wyrwę” i innych do zaprzestania działalności konspiracyjnej. Wspomniał, iż pożądane byłoby napisanie przez mnie jakiegoś listu otwartego do nich. Wreszcie oświadczył mi, że zwalniają mnie i że jest im bardzo nieprzyjemnie, iż byli zmuszeni aresztować mnie i przywozić aż do Tomaszowa, ale to było wręcz koniecznością wobec znalezionej fotografii, na której jestem ujęty w gronie „sztabowców AK”. Pożegnaliśmy się bardzo uprzejmie podaniem ręki.

Strażnik po raz ostatni zaprowadził mnie do celi. Naprędce zebrałem swoje rzeczy, pożegnałem się ze współtowarzyszami i wyszedłem na ulicę. Szybko podążyłem w stronę szpitala, do mieszkania dr. Petera, gdzie spodziewałem się zastać żonę. I rzeczywiście czekała tam na mnie, bardzo gościnnie podejmowana przez doktorstwo Peterów. Był już wieczór. Czułem się tak zmęczony, że nie mogłem odważyć się na powrót do domu pociągiem nocnym, bo całą noc trzeba byłoby spędzić na stacji w Bełżcu lub w pociągu. Skorzystałem więc z uprzejmych i serdecznych zaproszeń kolegi Petera i zostałem u nich na noc. Po rozkosznej kąpieli wyciągnąłem się na wspaniałym łóżku. Z nadmiaru wrażeń i zbyt wygodnego łóża budziłem się często, wciąż wracając myślami do ostatnich swoich przeżyć. W piątek, 11 stycznia rano, poszedłem z dr. Peterem do jego znakomicie urządzonego szpitala, zwiedzając wszystkie oddziały rozmieszczone w 5 osobnych budynkach. O 1-ej pośpieszyliśmy do autobusu na Zamość. Po drodze żona zaniósła jeszcze do więzienia obiad dla Henryka Guzowskiego, którego niestety nie puszczono po pierwszym badaniu, a ponieważ w swoim czasie nie ujawnił się, więc mogą go zatrzymać na dłużej. O 5-ej po południu byłem już w domu, radośnie witany przez wszystkich pracowników szpitalnych.

Tak się zakończyła moja przygoda „akowsko-tomaszowska”. Zostałem w domu bardzo obfita korespondencją, która nabierała się w ciągu kilku dni i od rana ze zdwojoną energią przystąpiłem do przymusowo przerwanej pracy.

20.I. Niedziela. Widziałem się dziś z „Młotem” i „Nieuchwytnym”. Wczoraj wypuszczono Lenarta. Z naszej grupki pozostał w więzieniu

w Tomaszowie tylko Henio Guzowski. Pisał dzisiaj do mnie „Sas”, gratulując szybkiego wyrwania się z UB i prosząc o obydwie tomy wydawnictwa z dedykacją. Dodaje, że prawdopodobnie nastąpią wkrótce duże zmiany w kraju, działalności podziemia „zaktywizuje się” i „po siedmiu latach chudych przyjdą lata tłuste”. Oby tak było.

Wieczorem przywieziono do szpitali ciężko rannego w klatkę piersiową i w brzuch Romana Biczaka „Ruko” z Brodów Dużych. Postrzelili go na „Domkach” sowieci. Zmarł zanim przygotowano narzędzia do operacji. W swoim czasie był to bardzo dzielny partyzant. Podczas okupacji niemieckiej miał mnóstwo przygód, siedział w więzieniu, był skazany na karę śmierci, jakimś sposobem wydostał się z więzienia, ranny wciąż ukrywał się i jakoś szczęśliwie przetrwał do chwili odejścia Niemców.

23.I. Środa. Jeździłem do Zwierzyńca na spotkanie z „Sasem”. Omaliałem sprawę dużej pracy o obozie w Bełżcu, którą pisze nauczyciel ukraiński. Chcę koniecznie dostać ją w swoje ręce. Mam wrażenie, że na wiosnę konspiracja zacznie się ożywiać – „zaktywizuje się” – jak powiada „Sas”.

Wczoraj powrócił z zesłania, aż zza Uralu, pierwszy wywieziony tam przed rokiem akowiec „Waleczny” – Hasiel, nauczyciel. Powiada, że sporo naszych ludzi znajduje się tam w oczekiwaniu na powrót do kraju.

24.I. Czwartek. Dziś rano poraziła mnie wiadomość o nagłej śmierci Stanisława Bohdanowicza „Tamy” w Zwierzyńcu. Wczoraj, po 4 po południu, widziałem się z nim w Zwierzyńcu. Około 8-ej już nie żył. Był to jeden z najporządniejszych i najuczciwszych ludzi, jakich znałem. Wychowany w Rosji, będąc uczniem 8 klasy gimnazjum – mając zaledwie 17 lat – wstąpił jako ochotnik do 5 Syberyjskiej Dywizji. Przeszedł bardzo ciężkie koleje losu po rozwiązaniu dywizji, aż dostał się wreszcie do Polski. Był skromnym urzędnikiem w Bydgoszczy, od początku obecnej wojny pracował w Zwierzyńcu, najpierw w tartaku Ordynacji Zamojskiej, a ostatnio w browarze. W Bydgoszczy napisał obszerny pamiętnik o 5 Syberyjskiej Dywizji. Rękopis dostał się w moje ręce przed paroma laty.

Przekonawszy się, że jest to rzecz pierwszorzędna, opracowałem cały pamiętnik, przygotowując go do druku i przepisując na maszynie.

Oprócz tego napisał mi wiele drobnych artykułów do mojego wydawnictwa o Zamojszczyźnie w latach wojny. W drugim tomie ogłosiłem jego „Likwidację Żydów w Zwierzyńcu”.

Często w niedziele przychodził do mnie ze Zwierzyńca. Żywo interesował się moimi pracami historycznymi i wydawnictwem. Nawzajem obdarzyliśmy się szczerą sympatią i przyjaźnią. Był to człowiek nadzwyczajnie prawy, mocnego charakteru i nieugięty, czego dowodem jest jego postawa po rozbrojeniu 5 dywizji. Był bardzo uczynny, pomagał ludziom, gdzie tylko mógł, nie dbał o materialną stronę swojego własnego życia. Zmarł w wieku 45 lat. Śmierć jego odczułem głęboko, tracę bowiem jednego ze szczerze życzliwych mi ludzi.

31.I. Czwartek. Dzisiaj urzędowała w Szczepieszynie nadzwyczajna komisja do dalszego ujawniania się byłych członków AK. Przewodniczył „Kawka” – Kowalczyk. Byli też przedstawiciele UB z Zamościa. Ujawniło się około 90 ludzi. Oczywiście potem odpowiednio popili.

1.II. Piątek. W ostatnim tygodniu zastraszająco uczęściły się u nas napady rabunkowe: w aptece, w „Rolniku”, w biurze elektrowni, na poczcie, na młynarza Koszela. Wszystkich dokonano w godzinach między 5 a 7 po południu. W szpitalu, dzisiejszej nocy, skradziono ze stajni całą uprząż na 3 konie. Wczoraj na szosie pod Szczepieszynem zabrano parę koni z wozem należących do spółdzielni „Rolnik”. To samo dzieje się i w Zwierzyńcu. Jest to zwykły powojenny objaw, ale dla ogółu ludności bardzo przykry.

10.II. Niedziela. W piątek, 8 lutego, wyjechałem autobusem do Lublina. Komunikacja obecnie jest już znacznie dogodniejsza niż dawniej, ponieważ kursują autobusy bezpośrednio ze Szczepieszyna. W Lublinie zacząłem załatwiać różne sprawy – swoje i szpitalne.

Najpierw byłem u naczelnika Wydziału Zdrowia doktora Kusta. Przed wojną był on lekarzem powiatowym gdzieś na Wołyniu, podczas okupacji niemieckiej praktykował w Turobinie. Obecnie jest wielkim i pewnym siebie dygnitarzem. Rozmowa z nim nie była nazbyt przyjemna. Przekonałem się, że o szpitalu w Szczepieszynie i o mnie w szczególności ma opinię nieprzychylną, co – mam wrażenie – mogę zawdzięczać dr. Tyczkowskiemu i dr. Józwiakowskiemu. Wyrażnie dał

mi do zrozumienia, że dobrze bym zrobił, gdybym całkiem usunął się ze szpitala. Odpowiedziałem mu, że niezależnie od jego życzenia mam zamiar sam to zrobić, bo już mi dokuczył ten bałagan i te trudności, z jakimi trzeba obecnie walczyć.

Następnie poszedłem do Jana Nikodema Kłosowskiego, naczelnika Wydziału Kultury i Sztuki przy Urzędzie Wojewódzkim. Chociaż osobiście go nie znałem, przyjął mnie z otwartymi rękami. Dowiedziałem się, że po moim aresztowaniu bardzo energicznie zabiegał o moje zwolnienie. Był zaraz u wojewody, u przewodniczącego Rady Narodowej i zaalarmował Związek Literatów. Wysoko ocenia wartość i znaczenie „Wydawnictwa materiałów do dziejów Zamojszczyzny”. Prosił mnie o współpracę...

Araszkiewicz również witał mnie nadzwyczaj serdecznie. Napisał recenzję o drugim tomie, podobno ogromnie dla mnie pochlebna. Powiedział też, że przejął się wiadomością o moim aresztowaniu i – podobnie jak Kłosowski – usilnie zabiegał o rychłe moje zwolnienie. Podobno rzeczywiście dużo mu zawdzięczam.

Bardzo serdecznie przyjął mnie i dr Zalewski, obecny prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, bibliofil pierwszej klasy, uczony, otoczony stosami książek. Jemu, Araszkiewiczowi i Kłosowskiemu dałem po jednym egzemplarzu „Pieśni oddziałów partyzanckich Zamojszczyzny”. Broszury tej nikt jeszcze nie znał. Jestem bardzo zadowolony z odnowienia kontaktu z Lublinem, z którym przed wojną pozostawałem w dość bliskich stosunkach i miałem liczne znajomości w sferach naukowych i literackich. Z tymi ludźmi mam znacznie więcej wspólnego niż z lekarzami.

Po wizytach u naczelnika Wydziału Zdrowia i Kłosowskiego, wyrwało mi się pewne żartobliwe powiedzenie, które potem powtarzano z ust do ust: „O ileż przyjemniej mieć do czynienia z ludźmi inteligentnymi, aniżeli z lekarzami”.

W Lublinie zaczęła się nowa fala aresztowań. Wzięto sporo ludzi z PSL i tych, których niedawno wypuszczono z więzienia. Widziałem się z Luckiem Kopciem („Radwanem”), który przed dwoma tygodniami wyszedł z więzienia w Zamościu. Przesiedział przeszło pół roku. Dostał 6 lat więzienia, 5 umorzono mu na podstawie amnestii, pozostał rok w zawieszeniu na 2 lata. Dużo opowiadał mi o swoich przeżyciach więziennych. Oczywiście wszystko to kiedyś opisze.

W domu zastałem „Selima” (Wragę), który dopiero co wrócił z Rosji. Aresztowany był razem z „Zagłobą” w sierpniu 1944 r. Przebywał w obozie 200 kilometrów za Moskwą. Wygląda dobrze. Wrócił też „Zagłoba”. Następnym transportem ma podobno przyjechać „Borówka” – Kalwejt. W tym samym obozie pozostali między innymi „Dąbrowa”, „Marcin”, „Żegota”, „Wyżeł”. W swoich Brzezinach „Selim” boi się pokazać, bo – jak twierdzi – dużo tych co powrócili do swoich miejscowości, już ponownie aresztowano.

Mam do zanotowania dość oryginalne wydarzenie. Przed 10 dniami przez cenzora zamojskiego posłałem do cenzury do Lublina kilkanaście artykułów przeznaczonych do trzeciego tomu mojego wydawnictwa. Wśród nich był króciutki artykułek „Zycha” (A. Thora), z plutonu „Wiklina”, o likwidacji niemieckiej szkoły w Antoniówce w 1941 r. Otóż otrzymuję dziś list od tego „Zycha”. Pisze mi, że jest cenzorem w Wojewódzkim Urzędzie Kontroli Prasy w Lublinie i że ogromnie ucieszył się zobaczywszy swój artykuł w przysłanym przez mnie do ocenzurowania materiale. Obiecuje jeszcze parę rzeczy napisać. Ja też się ucieszyłem, bo taka znajomość w urzędzie kontroli prasy bardzo może mi się przydać.

15.II. Piątek. Wrócił z obozu w Rosji ppor. Drożdżyk, który przebywał tam z Muchą („Komarem”). Od chwili aresztowania nie było od nich żadnej wiadomości – gdzie są i czy w ogóle żyją.

Dziś rano jeździłem do pałacu Zamoyskich w Klemensowie, skąd wysłano po mnie samochód magistracki z Zamościa. Zastałem tam inżyniera Klimka i kustosa Kabata, którzy zabierali obrazy i inne dzieła sztuki do muzeum w Zamościu. W czasie wojny zginęło tu mnóstwo cennych rzeczy, między innymi biurko hetmana Jana Zamoyskiego. Teraz wywieziono również wiele cennych okazów. Może pozostała da się uratować od całkowitego zniszczenia lub zaprzepaszczenia.

17.II. Niedziela. Był u mnie „Sławian” – Zbigniew Orliński, chorąży z Centrum Wyszkożenia Oficerów Lotnictwa w Dęblinie. Krążyły o nim różne plotki, że już w wojsku był aresztowany. Nic podobnego. Opowiadał mi rzeczy bardzo ciekawe, że wszyscy oficerowie w szkole to sowietci, którzy jednak powoli już wycofują się i wyjeżdżają. Nastroj wśród młodych lotników polskich jest dobry, w większości nie poddają

się „wychowaniu politycznemu” i zachowują się opozycyjnie w stosunku do rządu Bieruta i Osóbki. Opowiadał mi również o tym, że w okolicach Dębłina, Garbatki i innych miejscowości istnieją wciąż jeszcze dość liczne i silne oddziały partyzanckie AK. Dowódcą jednego z oddziałów jest „Zapora” z Zamojszczyzny, oficer naszego OP 9. Oddziały te są stale czynne i działalnością swą mocno niepokoją Urząd Bezpieczeństwa i Sowieców. U nas za to pod tym względem zupełny zastój.

18.II. Poniedziałek. Byli dziś w szpitalu Drożdżyk i „Zbór” – Kaszyca, były komendant placówki w Bodaczowie. Obydwaj wrócili z obozu, gdzieś między Moskwą a Leningradem. Dużo opowiadali o swoich przeżyciach. Wszystko wytrzymali i są – na wygląd – w dobrej formie.

19.II. Wtorek. 14 lutego przeprowadzono ogólnopolski sumaryczny spis ludności. Wynik spisu w Szczepieszynie jest następujący: izb mieszkalnych – 2605, ludność ogółem – 5122; mężczyzn – 2304, kobiet – 2818, dzieci do 18 lat – 1758, od 18 do 59 lat – 2876, powyżej 60 lat – 488. Dla porównania notuję, że przed wojną było 7800 mieszkańców, w tym 39 procent Żydów. Obecnie Żyda ani jednego.

21.II. Czwartek. Dopiero dziś dowiedziałem się, że we wtorek 19 lutego został aresztowany w Zamościu Marian Krzewski „Sas”. Był on teraz adiutantem inspektora, wciąż kręcił się po terenie, trzymał w rękę wszystkie nici organizacji. Znowu ubywa bardzo wartościowa i ofiarna jednostka. Kto go zastąpi? Przybywają jednak i nowi ludzie z innych terenów, u nas nieznani i przez to poruszający się bezpiecznie. Przed paroma dniami był u mnie taki jeden z listem od „Norberta”. Przyjechał tu z krasnostawskiego. – Nie wiem jeszcze jaką ma funkcję. Mam wrażenie, że w jakieś bojówce. Pseudonim „Obrotny”.

25.II. Poniedziałek. Jeździłem do Zwierzyńca na spotkanie z „Norbertem”. Omawiałem sprawy wydawnictwa. Dowiedziałem się od niego, że przed paroma tygodniami w Warszawie został aresztowany „Irka”. Już przewieziono go na Zamek w Lublinie. „Norbert” napisał kartkę do „Zycha”, swojego byłego podkomendnego, polecając mu iść we wszystkim na rękę mojemu wydawnictwu.

27.II. Środa. Dzisiejszej nocy aresztowano w Zwierzyńcu kilkanaście osób, w tej liczbie restauratora i rzeźnika Zaleskiego, u którego stale spotykali się ludzie z konspiracji. On to właśnie onegdaj przyprowadził „Norberta” na umówione miejsce spotkania ze mną w Zwierzyńcu, a wczoraj wstępował do mnie będąc w Szczebreszynie. – Wobec częstych kontaktów z aresztowanymi czują się mocno niepewnie, zwłaszcza że protokół moich zeznań tomaszowskich – o ile wiem – znajduje się w odpisie w Urzędzie Bezpieczeństwa w Zamościu.

6.III. Środa. Jeździłem do Zamościa. Z więzienia w Lublinie zwolniono kierownika drukarni Michalskiego. Po powrocie natychmiast wezwano go do Urzędu Bezpieczeństwa. Zaraz potem wyjechał z Zamościa. Dziś rano aresztowano w magistracie, w godzinach urzędowych, burmistrza Szczebreszyna Andrzeja Przysadę.

Z cenzury odesłano mi wszystkie artykuły przeznaczone do trzeciego tomu – bez żadnych skreśleń lub poprawek, pomimo że trzy czwarte artykułów dotyczy walki podziemnej z Niemcami prowadzonej przez Armię Krajową.

Ogólnie, panuje nastrój podniecenia. Ludzie żywo komentują przemówienie Churchilla w Ameryce, twierdzą, że wojna z Rosją jest nieunikniona. Wszyscy coraz więcej mówią o grożącej wojnie. Ja mam zupełnie takie uczucie jak w lipcu i sierpniu 1939, kiedy oczekiwano się wojny jako czegoś, co wkrótce przyjsć musi.

13.III. Czwartek. Horyzont polityczny chmurzy się coraz bardziej. Echo tego wyraźnie odbija się i na naszym terenie. Wszystko przemawia za tym, że z chwilą nastania ciepłych dni znów ożywią się nasze lasy. Starzy konspiratorzy liczą się poważnie z tym, że wkrótce znów przystąpią do przerwanej roboty.

Bardzo ciekawą rzecz opowiadał mi wczoraj komendant posterunku milicji Świtaj. Przed dwoma dniami, gdy był w Zamościu na kursie dla komendantów milicji, z Krasnegostawu zaalarmowano zamojski Urząd Bezpieczeństwa, że jakaś grupa partyzantów w liczbie około 30 ludzi, prawdopodobnie pod dowództwem „Zapory”, posuwa się w kierunku Radechnicy i Szczebreszyna. Natychmiast zawiadomiono o tym posterunek milicji i UB, oraz załogę sowiecką. Sowietci zarządzili ostre pogotowie, wystawili posterunki, patrole od

strony Rozłop i oczekiwali na nieprzyjaciela. Ale nikt się nie zjawił. Dochodzą do nas niepokojące wieści o coraz bardziej zaciętej i krwawej walce z Ukraińcami w okolicy Bełżca. W Zamościu odbył się uroczysty pogrzeb 15 oficerów i żołnierzy zamojskiego 8 Pułku Piechoty, poległych w czasie tych walk.

19.III. Wtorek. Przed kilkoma dniami „zrobiono” więzienie w Biłgoraju. Szczegółów jeszcze nie znam, wiem tylko, że „robotą” była od wewnątrz. Dochodzą z terenu wiadomości, że „Podkowa” jednak jest w naszych stronach i ma tworzyć jakiś oddział.

22.III. Piątek. Dostałem list od „Wira”. Píše, że wszystko przemawia za tym, że wkrótce się zobaczymy. Dowiedziałem się również, że „Ciąg”, który przebywa w okolicy Świecia na zachodzie, otrzymał już rozkaz powrotu. Oczekiwane są akcje przeciwko Bezpieczeństwu.

23.III. Sobota. Byłem w Zamościu. Z Lublina przywieźli do Zamościa „Asa”. W Lublinie aresztowano „Janusza” – tego który wsypał „Asa”. Coraz poważniej mówi się o ewentualnym odbiciu „Sasa” i towarzyszy siłą. Idą odpowiednie przygotowania.

25.III. Poniedziałek. Był u mnie młody chłopak „Adam” z Suśca, jeden z najwytrwalszych partyzantów. Jest obecnie razem z „Norbertem” („Tatarem”). Organizują nowe grupy po 25 ludzi. Budują w lesie w różnych miejscach baraki. Robotą przygotowawcza wre. I tak podobno jest wszędzie. Nie jestem jednak całkiem pewny, czy bujał, czy mówił prawdę.

6.IV.Sobota. Wraz z sędzią Mazurkiewiczem zostaliśmy przez Powiatową Radę Narodową dokooptowani na członków Miejskiej Rady Narodowej w Szczepieszynie. Dziś odbyło się posiedzenie zreorganizowanej rady, na którym miały być przeprowadzone wybory nowego burmistrza i wiceburmistrza. Dotychczasowego burmistrza Andrzeja Przysadę i wiceburmistrza Sygita nie zatwierdził wojewoda. W dodatku Przysada niedawno był aresztowany, około 3 tygodni przesiedział w Zamościu w Urzędzie Bezpieczeństwa i wrócił dopiero przed 2-ma tygodniami. Na posiedzenie przybyli z Zamościa przewod-

niczający Powiatowej Rady Narodowej Trąd, prezes Związku Samopomocy Chłopskiej Tutka i inspektor samorządu Franczak.

Wbrew wszelkim przewidywaniom radni z PPR zgłosili na burmistrza kandydaturę tegoż Przysady, byłego wiceprezesa powiatowego PSL a na wiceburmistrza Sygita, który nie należy oficjalnie do żadnego stronnictwa. Innych kandydatów nie zgłoszono. Obrani zostali ci sami – nie bacząc na to, że wojewoda ich nie zatwierdził. Obecność Trąda i Tutki na nic się nie przydała.

8.IV. Poniedziałek. Wczoraj znów przyjechał do Szczepieszyna Trąd w towarzystwie paru peperowców celem zorganizowania na rynku wiecu propagandowego. Ogłoszono o tym za pomocą obwieszczeń na słupach, a gdy ludzie wychodzili po sumie z kościoła – bębnieniem. Ludzie zaciekawieni skupiali się koło bębniącego, lecz dowiedziawszy się o co chodzi, obojętnie przechodzili dalej. I w rezultacie z powodu braku słuchaczy wiec się nie odbył. Trąd i towarzysze, wściekli wrócili z niczym do Zamościa. Te dwa wydarzenia dobrze ilustrują jakie jest nastawienie ogółu ludności do obecnej rzeczywistości.

10.IV. Środa. Mówił mi dzisiaj komendant milicji Świtaj, że w okolicy Radecznicy jest jednak „Zapora” ze swoim oddziałem partyzackim. Wiadomość ta krążyła u nas już od paru dni, myślałem że to plotka, lecz okazuje się prawdą.

14.IV. Niedziela. Ogłoszono na mieście za pomocą plakatów, że o godzinie 12 ma się odbyć na rynku wiec zorganizowany przez stronnictwa pozarządowe. Księża przedłużyli nauki wielkopostne, tak że dopiero koło 3 ludzie zaczęli się rozchodzić. Wówczas staroświeckim zwyczajem – bębnieniem – zwołano ludność na wiec. Zebrał się przed ratuszem tłum, jak na Szczepieszyn bardzo nieduży. Z balkonu ratusza na pierwszym piętrze przemówił najpierw jakiś nieznaną gość z Warszawy. Mówił spokojnie, bez specjalnych chwytów demagogicznych, ludzie słuchali go również spokojnie.

Drugi z kolei przemawiał jakiś nerwowy jegomość z Zamościa. Krzyczał tak głośno, że chwilami niemal zupełnie tracił głos. Gdy zakończył swe przemówienie okrzykiem „Niech żyje Rząd Jedności Na-

rodowej” – w tłumie nie odezwał się ani jeden głos. Dwa następne okrzyki powtórzyło zaledwie kilka osób.

Wtem zaczął bardzo krótko mówić o PSL ktoś z publiczności na placu. Tłum zafalował i wnet otoczył go zwartym kołem. Posypały się huczne oklaski. Na balkonie ukazał się trzeci mówca – młodzieniec z województwa. Temu z tłumu wciąż przeszkadzano. Rzucano pojedyncze zdania lub okrzyki, które wywoływały żywą reakcję publiczności. Jeden krzyknął „Niech żyje rząd londyński”, drugi „A kto zrobił Katyń!?” Młodzieniec był tak zbity z tropu, że nawet nie dokończył swego przemówienia. Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej Doleżał, asystujący mówcom na balkonie, starał się uspokoić publiczność, lecz bez skutku. Dwaj dalsi agitatorzy – bo było ich wszystkich pięciu – zrezygnowali z projektowanych przemówień. Tłum w wesołym nastroju zaczął się rozchodzić. I znów naocznie mogłem się przekonać jakie jest w rzeczywistości nastawienie społeczeństwa. Agitatorzy doznali u nas zupełnego fiaska. Efekt ich przemówień był przeciwny zamierzonym celom. Na mieście można było zauważyć kilku funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa i wydziału śledczego w mundurach i po cywilnemu.

15. IV. Poniedziałek. Przyjechał z Lublina cenzor Alfred Thor „Zych” i przywiózł mi ocenzonego cały materiał przeznaczony do czwartego tomu „Dywersja w Zamojszczyźnie” – 40 artykułów. Wszystkie przepuszczono, nic nie zatrzymano. Skreślono tylko kilka wyrazów dotyczących „bolszewików”. Jeżeli mi się uda wydać ten tom, to sukces rzeczywiście będzie niemały.

16. IV. Wtorek. Jeździłem do Zamościa, gdzie miałem odczyt publiczny w sali kina „Okrucieństwa niemieckie w Zamojszczyźnie”.

W drukarni spotkałem się z szefem Urzędu Bezpieczeństwa por. Lachowskim. Przywitaliśmy się uprzejmie. Powiedział mi, że właśnie ma do mnie jakiś pilny interes i prosi, żebym przyszedł do niego do biura „w sprawie osobistej”. Byłem trochę zdziwiony i zaintrygowany.

Po odczycie poszedłem do Urzędu Bezpieczeństwa. Zaprowadzono mnie do gabinetu Lachowskiego. Zaczął od pytania, skąd ja dostaję wszystkie te artykuły do swego wydawnictwa, bo przecież autorami są sami akowcy. Potem pytał, po co ja byłem na zakończeniu kursu pod-

oficerów w czerwcu 1945 itd. Wyciągnął z szuflady różową teczkę – jak mogłem zauważyć – poświęconą wyłącznie mojej osobie. Był tam odpis protokołu moich zeznań w Urzędzie Bezpieczeństwa w Tomaszowie i fotografie. Powtórzyło się coś w rodzaju przesłuchania, podobnie jak w Tomaszowie. W końcu oświadczył mi, że Urzędowi Bezpieczeństwa nie chodzi o wyłapywanie ludzi, lecz tylko o „wyprowadzanie” ich z konspiracji. I tu właśnie chce mnie prosić, żebym ja – używając swego wpływu – postarał się odpowiednio przekonać czołowych, dotąd ukrywających się działaczy AK, żeby wreszcie ujawnili się i zaprzestali swej szkodliwej działalności, bo przecież to do niczego nie doprowadzi. Pożegnaliśmy się bardzo uprzejmie, ściskając sobie ręce.

Mam jednak jeszcze jeden nowy dowód, że moją osobą i moim wydawnictwem Bezpieczeństwo w dalszym ciągu mocno się interesuje. Obawiam się, aby mimo zezwolenia cenzury UB nie zrobił mi jakiegoś kawału z wydawnictwem. Rozmawiałem na ten temat z Thorem. Powiedział, iż mogą nawet skonfiskować książkę przepuszczoną przez cenzurę.

1.V. Środa. Dzień przeszedł u nas zupełnie spokojnie, nic ważniejszego nie mam do zanotowania.

3.V. Piątek. Urząd Bezpieczeństwa zabronił urządzania w dniu dzisiejszym jakiegokolwiek pochodu lub wiecu – co było w programie uroczystości. Wywołało to wśród ludności uczucie przykrego rozgoryczenia, ale równocześnie stało się silnym czynnikiem nastawiającym ludzi przeciwko obecnie rządzącym.

5.V. Niedziela. Niespodziewanie zjawił się „Grom”, ale już zupełnie jawnie, pod swoim nazwiskiem jako Edward Błaszczak. Jest obecnie sekretarzem PSL na okręg pomorski z siedzibą w Szczecinie. Pojechał do Biłgoraja.

7.V. Wtorek. „Grom” wracając z Biłgoraja znów wstąpił do nas na chwilę. Był w Biłgoraju u starosty Makiełły, swego dawnego towarzysza z konspiracji. Jeździli razem samochodem na swoje okupacyjne miejsca postoju w lasach w okolicach Łukowej. A myśmy się tu bali, żeby go tam gdzieś nie zatrzymali, bo przecież był czas, że go mocno poszukiwano.

8.V. Środa. Byłem w Zwierzyńcu. Oglądałem u pewnej staruszki starannie przechowywany sztandar OP 9, pięknie haftowany.

9.V. Czwartek. Wczoraj wieczorem dokonano napadu na więzienie w Zamościu. Wypuszczono wszystkich więźniów, zarówno politycznych jak i kryminalistów. Podczas akcji zginęło 5 strażników. Spośród bojowców jeden został zabity, drugi ciężko ranny. W związku z tym Bezpieczeństwo zjechało dziś do Szperówki. Parę osób aresztowano.

11.V. Sobota. Dzisiejszej nocy kilku żołnierzy sowieckich dokonało napadu na mieszkanie młodego gospodarza w Brodach Dużych, Ochmańskiego – „Wrzaska”. Obrabowali dom, a wychodząc dali kulę do leżącego na podłodze „Wrzaska” i zabili go na miejscu. Tejże nocy zrabowali sowieci skład Spółdzielni „Rolnik”. Do Brodów w godzinach rannych zjechał generał sowiecki z kilkoma pułkownikami i innymi wyższymi oficerami. Przysłali po mnie samochód. Jeździłem i brałem udział w oględzinach zewnętrznych zwłok. Przywieziono je potem do Szczepieszyna i tu przeprowadzono sekcję. Sowieci wyjeżdżają ze Szczepieszyna i tym należy tłumaczyć częstsze niż dawniej napady rabunkowe – pożegnalne.

16.V. Czwartek. Wczoraj odbył się sąd wojskowy nad sprawcami napadu i morderstwa w Brodach. Jeden dostał 9 lat więzienia, drugi 8, trzeci 3 lata, szofer zaś, który tylko prowadził samochód (sanitarkę!) zostaw uniewinniony. Nikt nie wątpi, że po przekroczeniu granicy wszyscy zostaną zwolnieni i że cała rozprawa sądowa, to tylko „lipa”. Przyjechał z zachodu Tadek Lepionka. Od niego usłyszałem potwierdzenie tego, co opowiadał nam „Grom” – a więc, że „Sęp” został aresztowany, a wraz z nim Boguś Lepionka i „Adaś”. Sprawa „Sępa”, zdaje się, jest beznadziejna: zdezerterował z wojska, był w partyzantce, ujęty z bronią, kontaktował się z oficerami z armii Andersa itd. Tadek był aresztowany razem z nimi, ale jakoś udało mu się wykręcić i po 3 tygodniach zwolnili go.

19.V. Niedziela. Dziś w nocy w Radechnicy został zabity – jak powiadają – przez agentów UB – „Hak” Grudziński. Przed śmiercią był bardzo bity, miał rzekomo połamane ręce i nogi. W Zamościu, Szcze-

brzeszynie i w całym powiecie zamojskim znów wprowadzono godzinę policyjną. Od 10 wieczorem do 4 rano nie wolno wychodzić z domu.

20.V. Poniedziałek. Uroczysty dzień: wyjechali od nas wszyscy Sowietci, nawet komendant. Wprost trudno uwierzyć, że w mieście nie ma ani jednego sowieckiego żołnierza.

21.V. Wtorek. W nocy były aresztowania. W mieście zabrano Jana Lepionkę i Stanisława Taładę, w Kawęczynie zaś „Kawkę” – Leonarda Kowalczyka, bardzo popularnego komendanta placówki. Szukano jeszcze i innych, lecz ci zdążyli się ukryć.

22.V. Środa. Miasto i okoliczne wsie poruszone do głębi: wczoraj wieczorem kobiety idące od rzeki, gdzie prały bieliznę, natknęły się w nadbrzeżnych wiklinach na zwłoki „Kawki” – Kowalczyka. Dziś przywieziono je do kostnicy szpitalnej, gdzie odbyły się oględziny sadowo-lekarskie. Od żony Kowalczyka dowiedziałem się, że w nocy aresztowano go, przy czym dwóch mężczyzn ubranych było po cywilnemu. Wyprowadzono go najpierw na drogę w stronę Szczebreszyna, potem zawrócono na łąki i tam, zamordowano. Oględziny wykazały 12 ran postrzałowych, głównie w tył głowy, plecy i boki, poza tym złamanie prawego uda i liczne ślady bicia pałkami – podobnie jak to było przed kilkoma dniami z „Hakiem” w Radecznicy. Wieczorem w mieście nastrój silnego podniecenia i zdenerwowania. Wszyscy, którzy byli choć trochę zaangażowani w konspiracji, nie wyłączając ujawnionych, przeważnie wyszli na noc z miasta lub ukryli się, nie nocując w domu. Oczywiście i ja czuję się znów niepewnie, ale swoim zwyczajem nigdzie się nie ruszam i normalnie kładę się spać w domu. „Ot sud'by nie ujdiosz” – jak mówią Rosjanie.

23.V. Czwartek. Dziś rano odbył się pogrzeb „Kawki”. Wzięło w nim udział chyba ze 3 tysiące ludzi. Zwracało uwagę to, że znacznie przeważali mężczyźni. Była nawet orkiestra chłopska z Deszkowic. Na cmentarzu nikt nie przemawiał, ze względu na istniejący reżim. Odśpiewano natomiast nad otwartą mogiłą „Boże coś Polskę” i „Nie rzucim ziemi”, a orkiestra odegrała hymn narodowy. Tego rodzaju śpiew

i hymn normalnie nie są praktykowane na uroczystościach pogrzebowych, więc stało się to wyraźną manifestacją.

26.V. Niedziela. Wyjechał ze Szczepieszyna posterunek Urzędu Bezpieczeństwa z ppor. Skorkiem na czele. Mamy wrażenie, że obawiano się pozostawić ich tutaj – wobec zlikwidowania wielu posterunków na terenie powiatu janowskiego, a ostatnio także krasnostawskiego.

29.V. Środa. Za pośrednictwem lubelskiego delegata Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie, Onyśki, zostałem telefonicznie zaproszony na konferencję w dniu 1 czerwca do Warszawy.

30.V. Piątek. Rano w Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Lublinie omówiłem szczegóły jazdy do Warszawy i wyjaśniłem, że wzywają mnie w sprawie wysiedlania Zamojszczyzny. Zwiedziłem Majdanek. Wrażenie okropne – zwłaszcza w barakach pełnych obuwia zagazowanych (840.000 par!), pasiaków i innego odzienia więźniów oraz przy oglądaniu komór gazowych i krematorium. Muzeum natomiast – moim zdaniem – przedstawia się, dziwnie ubogo. Jest to właściwie wystawa fotografii, które nie działają na patrzącego tak jak na przykład narzędzia tortur, czy przedmiotów używanych przez więźniów. – Dość powiedzieć, że w całym muzeum nie widziałem żadnego bykowca, ani pejczy, czy gumy, których powinny tu być stosy. Jest tylko jedna pętla z drutu używana do bicia i nic więcej. – W naszym Muzeum w Zamościu jest tego dość dużo nawet. – Ale i tak byłem pod dużym wrażeniem.

1.VI. Sobota. Dziś rano pociągiem przyjechałem do Warszawy. Tramwajem dostałem się jakoś na Saską Kępe, gdzie się zatrzymałem u krewnych, a potem na 11 rano do Głównej Komisji na konferencję. Zeszli się dyrektor Janusz Gumkowski – zastępca przewodniczącego Komisji, prof. Batawia z Łodzi – redaktor naczelny „Biuletynu Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich”, dr Stanisław Płoski – zastępca dyrektora Instytutu Pamięci Narodowej, Onyśko i ja. Od razu poinformowano mnie o co chodzi. Trzeba w ciągu 3 miesięcy dokładnie opracować sprawę wysiedlania przez Niemców Zamojszczyzny – zwięźle,

z danymi stwierdzonymi protokolarnie. Praca przeznaczona jest dla zagranicy, ma być przetłumaczona na język angielski, musi być gotowa przed konferencją w Norymberdze. Proszą, abym podjął się tego zadania jako „spec” od Zamojszczyzny. Doceniając ważność zagadnienia i przeznaczenie pracy zgodziłem się na jej wykonanie, postawiłem tylko kilka warunków. W pierwszym rzędzie – zapewnienie mi pomocy we wszystkich czterech powiatach, sam nie mogę jeździć po gminach, a bez tego nie da się zebrać potrzebnego materiału. Zgodzono się na wszystko. Dostałem zaproszenie na otwarcie wystawy zbrodni niemieckich w Muzeum Narodowym 5 czerwca i na zjazd przewodniczących okręgowych Komisji Badania Zbrodni Niemieckich. Odbyłem też dłuższą rozmowę na temat wysiedlenia z profesorem Batawią.

2.VI. Niedziela. Tak sobie obtarłem nogi, że już zupełnie nie mogłem chodzić. Siedziałem cały dzień w domu i goiłem. Po południu zeszli się na herbatkę dawne nasze szarże partyzanckie: „Wyrwa”, „Orkisz” z żoną i „Wir” z żoną „Niną”. „Wyrwa” jak zwykle wielki i dużego mniemania o sobie i o swoim znaczeniu. „Orkisz” i „Wir” bardzo mili i naturalni. Po raz pierwszy poznałem „Ninę”. Zrobiła na mnie dobre wrażenie bojowej i dzielnej kobiety.

3.VI. Poniedziałek. Rano poszedłem do Instytutu Pamięci Narodowej przy Prezydium Rady Ministrów, gdzie miałem wyznaczoną konferencję z dr. Płoskim. Trzeba było najpierw wystarać się o przepustkę i pokazywać ją potem coraz to innemu żołnierzowi stojącemu na warcie. Taka nadzwyczajna ochrona sprawia nieprzyjemne wrażenie. Z dr. Płoskim omówiłem sprawę mojego wydawnictwa. Obiecał mi wystarać się o jakąś subwencję. Długo rozmawialiśmy na tematy historyczne. W czasie okupacji niemieckiej był on szefem konspiracyjnego Głównego Biura Historycznego AK. Niestety całe archiwum zaginęło podczas powstania.

4.VI. Wtorek. Rano byłem w siedzibie PSL-u w Alejach Jerozolimskich gdzie konferowałem z byłym komendantem głównym Batalionów Chłopskich pułkownikiem Kamińskim „Trawińskim” i z „Wirem”. Mówiłem, że chciałbym zebrać odpowiedni materiał i wydać osobny tom poświęcony wyłącznie Batalionom Chłopskim na Zamojszczyźnie.

Prosiłem o pomoc Kamińskiego, który do projektu mojego odniósł się z dużym zainteresowaniem. Obiecał poprzeć moją inicjatywę i nawet na poczekaniu dał mi kilka rękopisów ze swojej teki. Na poczekaniu mogłem przekonać się ile nieścisłości zawierają meldunki służbowe przesyłane władzom przez różnych dowódców i komendantów. Na przykład – akcje całkowicie prowadzone przez oddziały AK na nasiedlone wsie Cieszyn, Siedliska i Wierzbie pod Zamościem, płk Kamiński w jednym ze swoich sprawozdań przedstawia jako robotę BCh. Gdy go o to zainterpelowałem, tłumaczył się, że sprawozdanie swoje oparł na meldunkach służbowych z terenu.

Po południu byłem na uniwersytecie u prof. Antoniewicza. Profesor jeszcze nie wrócił z Wrocławia, zeszli się jednak prof. Ciechanowski, prof. Borowy, prof. Julian Krzyżanowski i prof. Wałowski (od medycyny). Na bardzo miłej pogawędce spędziliśmy parę godzin. Przez cały czas nie opuszczało mnie przyjemne uczucie, że nareszcie znalazłem się, choć na krótko, w środowisku ludzi żyjących intensywnie w sferze ducha, a nie tylko w atmosferze spraw i kłopotów materialnych.

5.VI. Środa. O 12 byłem w Muzeum Narodowym na otwarciu wystawy zbrodni niemieckich. Otwarcią dokonał Prezydent Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut w otoczeniu licznych dygnitarzy i korpusu dyplomatycznego. Brak było tylko przedstawiciela Związku Radzieckiego. Wystawa na oko ładnie urządzona, lecz co do układu eksponatów i ich treści – miałbym duże zastrzeżenia. Nazbyt wyraźnie dominowały fotografie, bardzo ważne jako dokumenty, ale nie przemawiające do widza tak, jak dowody rzeczowe. Zamiast różnych wykresów, zdjęć i flag, w holu postawiłbym gilotynę, szubienicę i różne narzędzia tortur (na przykład „kozyłek”), które ustawione na piętrze w wąskich przejściach nie sprawiają już takiego wrażenia. Prowincja dała stosunkowo mało eksponatów. I tu wyróżniła się Zamojszczyzna. Dużo było przedmiotów i plakatów z moją nalepką „Ze zbiorów dr Zygmunta Klukowskiego”.

Po wystawie odwiedziłem dawnego kolegę z czasów krakowskich profesora medycyny sądowej Grzywę-Dąbrowskiego. Oboje z żoną bardzo się postarzel i zdziwaczeli. O 5 byłem już w Ministerstwie Sprawiedliwości na zebraniu przewodniczących okręgowych komisji Badania Zbrodni Niemieckich pod przewodnictwem ministra

Świątkowskiego. Przed otwarciem posiedzenia dyrektor Gumkowski oficjalnie powiadomił mnie, że zostałem mianowany członkiem Głównej Komisji...

Po zagajeniu posiedzenia Świątkowski zaprosił do prezydium byłego wicepremiera Stanisława Janusza, znanego działacza Samo-pomocy Chłopskiej i mnie, czym byłem niemało zaskoczony. Sprawozdania poszczególnych przewodniczących i dyskusja ciągnęły się bardzo długo i nie były ciekawe. Świątkowski po dawnemu bardzo sympatyczny, prosty, bezpośredni w obejściu i uprzejmy. Dygnitarstwo jakoś wyjątkowo nie przewróciło mu w głowie. Wieczorem odjechałem pociągiem do Lublina. Po powstaniu widziałem Warszawę po raz pierwszy. Byłem przygotowany na widok ruin i ulica Marszałkowska, pomimo rozwalonych domów, nie sprawiła na mnie specjalnego, wrażenia. Odnowione części parterowe domów z wystawami sklepowymi równie wspaniałymi jak za dawnych czasów, zacierają w znacznym stopniu wrażenie sąsiednich ruin. Ale gdy poszedłem Krakowskim Przedmieściem w stronę Zamku, a potem Podwałem na Stary Rynek, dopiero zrozumiałem całą grozę tego co przeszła Warszawa. Błądziłem sam jeden wśród tych ruin i rzadko tylko dostrzegałem jakąś sylwetkę człowieka. Pustka i martwota przerażająca, przygniatająca swoimi rozmiarami i zasięgiem. Widoku zniszczonej Warszawy nie zapomnę nigdy.

6.VI. Czwartek. Rano przyjechałem do Lublina. Byłem w PSL-u u pułkownika Jawora „Pasiaka” z BCh. Z tym również długo omawiałem sprawę wydania tomu o Batalionach Chłopskich. Obiecał mi daleko idącą pomoc i współpracę.

7.VI. Piątek. Wieczorem wróciłem do domu. Dowiedziałem się o wydarzeniach jakie miały miejsce na naszym terenie w czasie mojej nieobecności. Między innymi w Radecznicy rozbrojono posterunek Milicji Obywatelskiej. Komendant posterunku Zalewski został zabity. W więzieniu w Biłgoraju wybuchł bunt więźniów, przy czym wielu zdołało uciec.

10.VI. Poniedziałek. Nastrój bardzo niepewny. Ludzie spodziewają się aresztowań, młodzież nie nocuje w domu.

15.VI. Sobota. Dzisiejszej nocy Szczepreszyn nie zaznał spokoju. Zjawił się liczny oddział UB z Zamościa i zaczęły się aresztowania i poszukiwania szeregu ludzi. Bardzo wielu w domu nie zastano. Wywieziono do Zamościa „Żegotę” – Stanisława Taładę, nauczyciela, którego starano się złapać już od dawna, ale jakoś szczęśliwie się wymigiwał. Właściwie przebywał w domu zupełnie legalnie, ponieważ był ujawniony i zarejestrowany w RKU. Dalej aresztowano rzeźnika Kaptcia, piekarza Taładę i starą Guzowską, matkę „Błyskawicy”. Wzięto ją za nieobecnego syna, zresztą też ujawnionego i legalnie pracującego w „Rolniku”.

W niezbyt przyjemnym nastroju, wskutek tych aresztowań, pojechaliśmy do Zamościa na dwudniowe uroczystości 30-lecia istnienia Szkół Zamojskich. Już od godziny 8 rano zaczęła się gromadzić publiczność na podwórzu Akademii. Zjechało się trochę osób z różnych stron Polski. Ludzie witali się ze sobą nieraz po wielu latach niewidzenia. Najdawniejsi uczniowie to już starsi panowie na poważnych stanowiskach. Ogromne rozczarowanie sprawił dyrektor Lewicki, twórca Szkół Zamojskich, który nie mógł w tym czasie opuścić Krakowa i przyjechać do Zamościa.

Uroczyste nabożeństwo w kolegiacie celebrował nowy biskup lubelski ksiądz dr Stefan Wyszyński. Potem nastąpiło otwarcie zjazdu i akademii w sali kina Stylowy. Jak zwykle rozpoczęło się od przemówień. Nudziły mnie one, bo wciąż powtarzano jedno i to samo. Zasadniczy referat o Szkołach Zamojskich od czasów najdawniejszych aż do obecnej chwili wygłosił profesor Pieszko.

Już podczas tych pierwszych uroczystości dały się zauważyć pewne dysonanse, które istotnie stały się wkrótce tematem licznych rozmów, a nawet nieprzyjemności służbowych dla dyrekcji gimnazjum. Zbyt wyraźnie dominowała przez cały czas osoba biskupa. Kurator Bajak – „Krzemień”, który był przedstawicielem szkolnictwa, został odsunięty na drugi plan. Jeszcze bardziej dotknęło to starostę, który powitany został dość oziębłe. Z kolei uczniowie poczuli się mocno urażeni, gdy kurator zaczął mówić o konieczności „odczadzenia” młodzieży szkolnej: Pieszko w swym referacie na zakończenie jak gdyby przekazywał szkołę w ręce biskupa.

Dużo mówiono o ofiarach jakie poniosła szkoła podczas okupacji niemieckiej. Nikt natomiast nie wspominał o tak wybitnym udziale ab-

solwentów szkół zamojskich i lubelskich w całym ruchu podziemnym Zamojszczyzny i to na najbardziej odpowiedzialnych stanowiskach. A przecież na wspomnienie zasłużyli nie tylko ci, którzy zginęli, lecz i ci co pozostali przy życiu i walczą do dnia dzisiejszego. Oni to świadczą o duchu w jakim wychowywała ich szkoła. Żałowałem, że zawczasu nie byłem zapisany do głosu, bo byłbym powiedział coś niecoś właśnie na ten temat. Inni wyraźnie się bali poruszać tę sprawę.

Po obiedzie, w mniejszym zespole poszliśmy na Rotundę, żeby stamtąd pobrać do urny prochy spalonych zwłok. Miały one być umieszczone nad tablicą pamiątkową w kościele szkolnym św. Katarzyny. Z profesorem Fencem, który niedawno wrócił z Dachau i z inżynierem Klimkiem oglądaliśmy cały teren Rotundy i te cele, w których razem siedzieliśmy w czerwcu 1940 r. Honorowa kompania szkolna z poczem sztandarowym przeniosła urnę z prochami do kościoła szkolnego. Tu biskup odprawił modły, po czym odsłonięto tablicę pamiątkową z nazwiskami profesorów i uczniów szkół zamojskich, którzy zginęli z rąk niemieckich. Rzuciła się w oczy dość liczna grupa rodziców, żon i dzieci poległych. W żałobnych strojach stali tuż przy tablicy. Po krótkim nabożeństwie wszyscy obecni jeszcze raz w uroczystym pochodzie udali się na Rotundę.

Na tym zakończono program pierwszego dnia zjazdu. Ja miałem jeszcze dodatkową atrakcję i nie byle jaką przyjemność. Drukarnia bowiem specjalnie na dzisiejszy dzień śpiesznie wykończyła pierwsze 200 egzemplarzy trzeciego tomu mojego wydawnictwa, który od razu poszedł do sprzedaży. Sporo egzemplarzy rozdałem bezpłatnie z dedykacjami. Byłem pełen uczucia zadowolenia, że wytrwałością swoją zwalczyłem wszystkie trudności i doprowadziłem do ukazania się już tomu trzeciego. Ile kosztowało mnie to trudu, kłopotów, nieprzyjemności i strat materialnych – wiadomo tylko mnie jednemu.

16.VI. Niedziela. Drugi dzień zjazdu był mniej ciekawy. Rano nabożeństwo, potem jakieś przedstawienie, po obiedzie zawody sportowe i wieczorem bankiet. Właściwie nie brałem już w tym żadnego udziału. Wykorzystałem czas na rozmowy z ludźmi, starając się przede wszystkim o zdobycie materiału do projektowanego tomu o Batalionach Chłopskich. Omówiłem sprawę z „Wartą” – Wyłupkiem, „Głazem” – Madejem, Polakiem i innymi. Wszyscy obiecali mi dużo, ale

czy dotrzymają przyrzeczenia – nie wiem. Na bankiecie wieczornym już nie byłem. Około 6 wróciłem do domu, zwłaszcza że wypadało mi powitać biskupa, który o 7 miał zwiedzić szpital. W poczekalni szpitalnej zgromadzili się wszyscy pracownicy. W pewnej chwili zjawił się biskup w otoczeniu 20 kanoników z Lublina i księży miejscowych. Wszyscy padli na kolana, ja tylko jeden stojąc, obserwowałem jak siostry zakonne niczym pijawki czepiły się biskupich rąk. W paru słowach powitałem biskupa jako dyrektor szpitala. Poprowadziliśmy go następnie do specjalnie przygotowanego pokoju, gdzie biskup posadziwszy mnie obok siebie zaczął bardzo miłą rozmowę na temat historii. Zadziwił mnie swą grzecznością, uprzejmością i brakiem pozycji. Wcale nie był urażony, że przy powitaniu nie pocałowałem go w pierścień. Zapowiedziałem z góry swoim siostrom, że nigdy tego nie robiłem i robić nie będę. Powiedziałem mu, że chciałem opracować dzieje kościoła katolickiego na Zamojszczyźnie podczas okupacji niemieckiej, ale jakoś nie mogę wydobyć od księży odpowiedniego materiału. Obiecał mi nacisnąć księży w tym kierunku.

Wstąpił jeszcze do mego mieszkania, z podziwem obejrzał bibliotekę i wpisał się do mojej księgi pamiątkowej. Zrobił na mnie wyjątkowo dodatnie wrażenie inteligentnego, wykształconego człowieka. Wieść o pobycie w Szczepieszynie biskupa, o bierzmowaniu – ściągnęła na dzisiejsze nabożeństwo wyjątkowo liczne tłumy ludzi. Skorzystaliby z tego peperowcy. Zjawili się zaraz przyjezdni mówcy i zainicjowali wiec na rynku. Mówcy nie mieli najmniejszego powodzenia. Nastawienie publiczności było wręcz wrogie. W pewnym momencie wlaź na wóz stary Chwiejczak, gospodarz z Żurawnicy i zaczął mówić o PSL i o Mikołajczyku. Publiczność oklaskiwała go entuzjastycznie.

17.VI. Poniedziałek. Z prokuratorem Chrościewiczem pojechałem do Biłgoraja celem wyszukania świadków, którzy mogli dać zeznania o działalności szefa Gestapo w Biłgoraju – Kolba, którego podobno aresztowano już na terenie okupacji angielskiej. Rząd polski ma teraz wystąpić z żądaniem wydania go Polsce. Był on znany na naszym terenie z tego, że bił, znęcał się nad ludźmi w straszliwy sposób i chętnie widziałbym go wiszącego na szubienicy w Zamościu lub Biłgoraju.

Byliśmy z prokuratorem w Urzędzie Bezpieczeństwa, gdzie szefem obecnie jest podporucznik Leluch, ten który badał mnie w Toma-

szowie. Przywitaliśmy się już jako znajomi. Zapytałem go o archiwum zabrane przy aresztowaniu „Szyszki”. Chciałem wydobyć liczne opracowania akcji wysiedleńczej na Biłgorajszczyźnie, przygotowane przez „Szyszkę”. Leluch upewnił mnie, że wszystkie akta zostały przewiezione do Chełma. Mówił, że żałuje Tomaszowa i chętnie by tam powrócił, bo czuł się znacznie bezpieczniej aniżeli w Biłgoraju.

18.VI. Wtorek. Aresztowano w Żurawnicy starego Józefa Chwiejczaka, tego, który przemawiał w niedzielę na wiecu i sołtysa z Rozłop Nowosada.

19.VI. Środa. Jeździłem do Zamościa. W drukarni urządziłem śniadanie dla drukarzy, jak zwykle po ukazaniu się każdego nowego tomu wydawnictwa. Z różnych stron dochodzą niepokojące wieści o coraz liczniejszych aresztowaniach. Wszędzie coraz większy bałagan, chaos i dezorganizacja. W Chełmie został zabity starosta, wczoraj na stacji w Zawadzie jakaś uzbrojona grupa napadła na pociąg wiozący z Włodawy Ukraińców wysiedlanych na wschód i zabrała im cały inwentarz. Gdzieś w okolicy Suśca podobno dokonano napadu na pociąg wiozący Żydów z Rosji do Polski. O sytuacji w terenie dobitnie świadczy pismo wystosowane przez zarząd gminy Radechnica do starostwa. Pokazywał mi je inspektor Franczak.

Zarząd gminy zawiadamia starostwo, że zjawił się w urzędzie obywatel Piotrowski, przewodniczący obwodowej komisji głosowania ludowego (referendum) i złożył wszystkie akta i spisy komisji, oświadczając, że zmuszony jest wyjechać z Radechnicy, ponieważ byli po niego z Bezpieczeństwa i z trudem udało mu się uciec. Wójt do gminy nie przychodzi bo podobno jest chory, (też miano go aresztować, ale zwiął), zastępca wójta również nieobecny. Sekretarz jechał gdzieś służbowo i w drodze został aresztowany. Pozostali urzędnicy meldują, że sołtysi „opuścili ręce” i zapytują starostwo, co mają nadal robić.

Dyrekcja [...] w Zamościu otrzymała z kuratorium pismo zakazujące szkołom wzięcia udziału w procesji Bożego Ciała. Nie wiem czy jest to zarządzenie lokalne, czy też w całym kraju.

22.VI. Sobota. Rano pojechałem do Biłgoraja. Byłem u starosty Makiełły prosząc go o niemieckie źródła do akcji wysiedleńczej, a na-

stępnie o opisanie mi działalności Batalionów Chłopskich na Biłgorajczyźnie. Zaczął mi dużo mówić o zasługach BCh na tutejszym terenie, o tym że zamierza sam napisać kilkutomowe dzieło na ten temat, że już zbiera odpowiednie materiały itd. Pokazał mi jakieś arkusze ankietowe ułożone przez siebie i kilka odpowiedzi jakie już otrzymał. Oczywiście nie wierzę, żeby potrafił taką obszerną monografię napisać, bo robi wrażenie człowieka ograniczonego. Ale chęci i ambicje ma duże. W Biłgoraju zauważyłem dość dużo wojska. To przyjechała kompania do ochrony referendum. W kilku miejscach koło chodników wykopane są świeże gniazda dla CKM-ów. Przed domem dowództwa przy chodniku ustawiono CKM. Obsługa stale jest przy nim. Ale o nastawieniu wojska mówi wyraźnie co innego. Na trawniku przed dowództwem ułożono z białych i czerwonych kamyczków szeroką wstęgę z napisem „Bóg, honor i ojczyzna”, a pośrodku owej wstęgi widnieje duża tarcza z białym orłem w koronie.

23.VI. Niedziela. Przenocowałem u dyrektorstwa Pojasków. Rano dowiedziałem się, że w nocy aresztowano parę osób, w tej liczbie nauczyciela Pankiewicza, prezesa powiatowego PSL-u. Pojechaliśmy samochodem ciężarowym na uroczystości żałobne na cmentarzu w Osuchach – w drugą rocznicę pamiętnej krwawej bitwy z Niemcami. Na skraju lasu pochowano tu dwieście kilkadziesiąt zwłok pozbieranych w tutejszych lasach.

Równe rzędy niewielkich, drewnianych krzyży z wieńcami ze świeżej jedliny sprawiają dodatnie wrażenie czystości i porządku. Widać, że ktoś o te mogiły dba. Jak zwykle odbyły się modły, potem przemówienie księdza, starosty, burmistrza Biłgoraja, doktora Pojaska i innych. Zebrało się z pewnością nie mniej niż parę tysięcy ludzi, przeważnie z okolicznych wsi, chociaż 7 dużych wozów ciężarowych też przywiozło sporo osób.

Najwięcej byłem ciekaw obejrzeć choć jedno miejsce walki, mianowicie ten odcinek, gdzie przebijał się „Wir” ze swoim oddziałem. Oprowadzał nas kilka osób „Radwan”, który tam właśnie został ranny. Znałem ten epizod walki doskonale z licznych opisów, jakie posiadałem, ale dopiero naoczne obejrzenie i poznanie terenu z zachowanymi doskonale gniazdami niemieckich CKM-ów dało możliwość należytego zrozumienia całej grozy sytuacji garstki partyzantów przebijających

się przez szczelny kordon niemieckiego okrążenia. Trzeba było mieć naprawdę olbrzymią siłę woli, żeby iść przed siebie wprost na piekielny ogień Niemców. Nic też dziwnego, że tyle ludzi tam zginęło.

25.VI. Wtorek. Piszę na bibułce toaletowej w więzieniu Urzędu Bezpieczeństwa w Zamościu. Wczoraj rano wróciłem z Biłgoraja do domu i od razu wpadłem w wir zwykłej, szpitalnej pracy. Nagle pod wieczór o godzinie 6.30, wywołano mnie z mieszkania, widzenia się ze mną zażądali ppor. Skorek z Urzędu Bezpieczeństwa i jeszcze jakiś młodzieniec. Obydwaj byli ubrani po cywilnemu. Oświadczyli mi, że mają rozkaz dostarczenia mnie natychmiast do Urzędu Bezpieczeństwa w Zamościu, gdzie mają mnie „tylko przesłuchać jako świadka w pewnej sprawie”, ale w jakiej, to oni nie wiedzą. Wziąłem ze sobą koc, płaszcz i czapkę i poszedłem z nimi na posterunek milicji. Pytano mnie gdzie jest Krata i dr Józwiakowski. Szukano ich na mieście, lecz w rezultacie zabrano na dużą ciężarówkę tylko mnie jednego. Towarzyszyło mi 3 młodych Żydków, Skorek i jeszcze jakiś Aryjczyk. Łatwo można było zauważyć, że Skorek miał funkcję drugorzędną. Główną rolę odgrywał Żydek, który ze Skorkiem przychodził po mnie. On też jeden jechał w szoferce, a my na górze.

Przyjechaliśmy do Zamościa o 7.30. W dyżurce Urzędu Bezpieczeństwa zastałem prezesa powiatowego PSL-u Denkiewicza i jakiegoś młodego chłopaka ze wsi. Rozmawiać nam nie pozwolono. W dyżurce przesiedziałem 2 godziny, po czym jeden z Żydków, który ze mną jechał, zaprowadził mnie na III piętro do biura, gdzie sekretarka spisała moje personalia. Rewizji osobistej nie robiono, kazano samemu powymmować wszystko z kieszeni.

Zabrano mi portfel z dokumentami i pieniędzmi, pasek i zegarek. Okulary, lusterko, grzebyk i szelki pozwolono zatrzymać. Gdy Żydek na chwilę wyszedł, sekretarka zaczęła ze mną rozmawiać, a dowiedziawszy się, że to ja jestem wydawcą książek o Zamojszczyźnie, pochwaliła się, że już je czytała i bardzo ją interesowały. Ta krótka rozmowa od razu mi się przydała, bo gdy Żydek wrócił i chciał zaprowadzić mnie gdzieś na dół do aresztu, sekretarka powiedziała mu, żeby umieścić mnie gdzieś indziej, mianowicie na II piętrze w pustym pokoju obok mieszkania sowieckiego kapitana.

Znalazłem się więc w dużym pokoju, w którym stało tylko coś, co kiedyś było fotelem. Od razu rozścieliłem na podłodze koc, zdjąłem

buty i używszy je zamiast poduszki pod głowę – położyłem się spać. Tę pierwszą noc w UB przespałem wcale dobrze.

Obudziłem się dziś bardzo wcześnie. Umyć się nie miałem gdzie. Okna mojego pokoju wychodziły na ulicę Żeromskiego, ale widać było także cały chodnik i kawałek szosy koło kolegiaty. Z przyjemnością obserwowałem budzący się ruch uliczny.

Na przemian – to drzemiąc w resztkach fotela, to stojąc przy otwartym oknie – spędziłem cały dzień. Kilka razy z radością widziałem synka w harcerskim ubraniu, kręcącego się po ulicy w pobliżu UB. Wiedziałem, że ktoś czuwa nade mną, nawet podczas nieobecności żony, która jest teraz w Warszawie.

Tu w UB nikt moją osobą się nie interesował. Nie dano mi przez cały dzień ani jeść ani pić. Dopiero dobrze po południu strażnik przyniósł mi walizeczkę przyniesioną przez synka z domu z lekarstwami, bielizną, drobnymi rzeczami codziennego użytku oraz spory kawałek bułki z szynką.

Pod wieczór przyszedł strażnik, kazał mi zabrać rzeczy i sprowadził na dół do na wpół rozwalonej kuchni na parterze. Tu już poczułem, że jestem naprawdę w kryminale. Okna wychodzące na podwórko szczelnie zabite deskami, wolne tylko oberlufty. Smród, zaduch i brud okropny. W jednym kącie długi stół, na którym zaraz rozłożyłem swój koc do spania. W drugim rogu zlew z bieżącą wodą. Przez szczeliny pomiędzy deseczkami w oknach widać całe podwórko, kuchnię, z której dym idzie dzwiami i oknem niczym z kurnej chaty i tuż obok 2 ustępy. Jest przynajmniej rozmaitość, bo można obserwować ciągły ruch – to ktoś się myje przed kuchnią, to ktoś idzie do ustępu. Ja siedzę sam jeden, jednak wciąż z sąsiedniej, dużej sali przychodzi ktoś do zlewu po wodę.

Ta duża cela – to przedwojenna kawiarnia „Europa”. Spotkałem zaraz i znajomych. Przyszła stara Guzowska ze Szczepieszyna, zobaczyłem też Volksdeutschów Kiszków. On siedzi w piwnicy i wychodzi tylko rano i wieczór, żeby pozamiatać podwórko, ona w celi obok mnie. Ukłonili mi się z daleka i nieśmiało. Podczas okupacji zachowywali się wyjątkowo podle, wyjechali wraz z uciekającymi Niemcami do Rzeszy, wrócili przed kilku miesiącami, od razu zostali złapani i teraz siedzą tu niepewni swojego losu. Widziałem też i starego Chwiejczaka z Żurawnicy, żartobliwie nazywanego tu komisarzem lub

Mikołajczykiem. Troskliwie zajął się mną majster szewski, poznaniak, Aleksy Wawrowski, który siedzi już pół roku. Zaraz przyniósł mi kubek kawy i bułkę z masłem.

26.VI. Środa. Tak więc drugą noc w więzieniu spędziłem śpiąc na stole w niemiłej atmosferze smrodu i zaduchu. Z rana miałem sposobność odbycia przeglądu wszystkich więźniów z piwnicy. Po dwóch przychodzili do ustępu i do mycia się. Niektórzy mocno zarosnięci, z długimi włosami, o cerze blado-ziemistej, nieraz o twarzy nieco nalanej. Jest to charakterystyczny wygląd tych, którzy tu siedzą od dłuższego czasu. Pewna grupa przebywa też i na piętrze, lecz ci tu nie przychodzą. W całym Urzędzie Bezpieczeństwa w danej chwili znajduje się – jak mówią – około 60 więźniów. Pocziwy Wawrowski znów przyniósł mi kubek kawy i 2 kawałki bułki z masłem.

W porze obiadowej przyszedł po mnie jakiś młodzieniec w cywilnym ubraniu i zaprowadził do swego gabinetu na III piętrze. Usiedliśmy naprzeciw siebie i po bardzo długiej chwili milczenia potoczyła się rozmowa na temat mojego wydawnictwa. Zapytał mnie, czy mam opis bitwy pod Wojdą, ponieważ on też tam był jako żołnierz BCh. (pseudonim „Sasanka” uel „Głomb”). Rozmawialiśmy dość długo o różnych akcjach dywersyjnych, ja naturalnie prosiłem go, żeby mi napisał, w czym sam brał udział. Wreszcie oświadczył mi, że ja nie jestem aresztowany, tylko „zatrzymany” do zasięgnięcia pewnych informacji. Chodzi mianowicie o ludzi z organizacji i to nie tych, którzy się nie ujawnili i ukrywają, lecz właśnie o ujawnionych – kogo ja znam, gdzie oni teraz są i co robią. Czy znam ich adresy. O to będą mnie pytać, tylko w tej chwili nie mają czasu, więc zapewne jutro. Dodał jeszcze, że niesłusznie wsadzili mnie do tej śmierdzącej kuchenki i że przeprowadzą gdzieś indziej. Kazał też zaraz przynieść mi obiad nie z kuchni więziennej, lecz „służbowej”. Z tego wszystkiego wywnioskowałem, że nie mają przeciwko mnie żadnego oskarżenia ani też pretekstu do aresztowania, chcą tylko dłużej przetrzymać przed referendum. – I rzeczywiście wkrótce przynieśli mi obiad z 2 dań – zupę i kaszę z sosem. Ogromnie różniło się to od zupy więziennej z kaszy jęczmiennej prawie bez soli, którą mi przyniesiono przedtem.

Pod wieczór przeprowadzono mnie na II piętro do osobnego pokoiku z zakratowanym oknem i tu zamknięto. Mam jednak pewne wy-

gody: stół, jedno krzesółko miękkie, drugie zwykłe, drewniane i zlew z bieżącą wodą. Okno wychodzi na podwórko, więc mogę w dalszym ciągu obserwować codzienny, zwykły ruch więzienny. Rozłożyłem na podłodze koc i kładę się spać z nadzieją, że może mnie jutro zwolnią.

27.VI. Czwartek. Na próżno czekałem dziś cały dzień. Do pory obiadowej nikt do mnie nie zajrzał, nie przyniesiono mi nawet śniadania. Wreszcie doczekałem się obiadu „służbowego” z dwóch dań. Wieczorem dostałem kolację, również służbową.

Przez cały dzień siedziałem przy oknie, trochę pisałem na kartkach znalezionej tu plakatu 1-majowego. Na sąsiednim podwórku widziałem idącego do ustępu Ogórkiewicza, który bardzo nieśmiało patrzył w moje okno i nieznacznie mi się kłaniał. Więźniowie natomiast, przychodzący z piwnicy myć się na podwórku, nawet nieznanymi, często życzliwie do mnie się uśmiechają i kłaniają. Tym sposobem zawiązują się na odległość nowe znajomości.

Nigdy jeszcze nie miałem tyle czasu na rozmyślania co teraz. Jednak zamknięcie na dłuższy czas w pojedynczej celi jest ciężką karą. Teraz to wątpię, żeby mnie puścili przed referendum, tj. przed niedzielą 30 czerwca.

28.VI. Piątek. Noc przespałem na podłodze znakomicie, znacznie lepiej aniżeli u siebie w domu na wygodnym tapczanie. Śniadania znów dziś nie dostałem. Około 11-ej przyszedł jakiś nowy młodzieniec w cywilnym ubraniu i zaprowadził mnie do swego „gabinetu”. Na stole był już przygotowany papier do protokołu.

Jeszcze raz powiedział mi, że nie jestem aresztowany, lecz zatrzymany. Zapytał jakich ludzi znałem i znam z organizacji. Wymieniłem mu kilkanaście pseudonimów i nazwisk z AK i BCh, najpierw tych, którzy już nie żyją, potem wysłanych do Rosji, następnie będących w wojsku i ujawnionych oraz kilku przebywających nie wiadomo gdzie – „na zachodzie”. Nadmieniłem też o moich znajomościach z przedstawicielami i członkami PPR-u oraz PPS-u. Po podpisaniu protokołu odprowadził mnie z powrotem do mojej celi.

Wkrótce znowu przyszedł po mnie. W tymże gabinecie oddał mi portfel, zegarek i pasek. Podpisałem, że wszystko otrzymałem. Podpisałem też zobowiązanie, że nic nie będę mówił o tym, co wi-

działem w UB. Młodzieniec był nadzwyczaj grzeczny i uprzejmy. Zaczął przeproszać, że mnie zatrzymano, prosił, aby naprawdę nic złego nie mówić („przecież nie było panu u nas tak źle”). Jeszcze raz wróciliśmy razem do celi po rzeczy, które szybko zebrałem i zeszedłem na dół. Odprowadził mnie aż do drzwi wyjściowych na ulicę i pożegnał jak dobrego znajomego. Byłem zdziwiony takim zachowaniem i zwolnieniem przed referendum. Miałem wrażenie, że to rezultat jakiejś interwencji.

Po wyjściu z UB jeszcze kilka godzin zabawiłem w Zamościu. Ludzie, nawet mało znajomi, witali mnie na ulicy ze specjalną życzliwością. Jak się okazuje o moim aresztowaniu wiedziało całe miasto. Prezes PSL-u Denkiewicz został zwolniony nazajutrz po aresztowaniu.

Doczekałem się wieczornego autobusu, którym przyjechała żona z Lublina i z nią razem wróciłem do domu. Dowiedziałem się od niej trochę różnych szczegółów: synek natychmiast po moim aresztowaniu zawiadomił o tym telefonicznie ludzi z Lublina. Stamtąd poszła natychmiast specjalna sztafeta z tą wiadomością do żony do Warszawy. Tam zaalarmowano szereg bardzo wpływowych osób. Żona była nawet u ministra sprawiedliwości Świątkowskiego, mojego dobrego znajomego z dawnych czasów zamojskich. Zdaje się, że głównie jego interwencji zawdzięczam to, że mnie puszczono przed referendum.

Jak zwykle w takich okolicznościach z rozkoszą wracałem do domu. Wszystko mnie cieszyło. Radowała myśl, że wracam do przerwanej, umiłowanej pracy.

29.VI. Sobota. Wszystko żyje pod znakiem jutrzejszego referendum czyli „głosowania ludowego”. Słupy i ściany zalepiono plakatami („3 razy tak”). Na rynku odbył się wiec propagandowy, na którym aż nadto wyraźnie ujawnił się nastrój ludności. Mówcom wciąż przerywano, wyśmiewano ich i gwizdano. W kilku miejscach rozlepiono na mieście ręcznie wykonane, rysunkowe plakaty „Bolszewickie referendum”, z karykaturą Stalina oraz odpowiednimi napisami i hasłami. U dołu każdego plakatu napis: „Za zerwanie plakatu – kara śmierci” albo „Ja cię obserwuję”.

Przed tymi odezwaniami publiczność zatrzymywała się przez cały dzień. I rzeczywiście nikt ich nie zerwał. Milicjanci (z milicji ochotniczej) obserwowali czytających, ale nikt nie ośmielił się zerwać.

30.VI. Niedziela. Rano poszedłem oddać swój głos. Komisje obwodowe zaczęły urządować dopiero o godzinie 8.30 zamiast o 7, jak przewiduje ustawa. Frekwencja głosujących była duża. Sądząc po oznakach zewnętrznych, niewielu było zwolenników hasła „3 razy tak”. Wszyscy zadają sobie pytanie w jakim stopniu głosowanie zostanie sfałszowane. Bo że wyniki będą sfałszowane, w to nikt nie wątpi.

Dzień przeszedł spokojnie, bez incydentów. Jako charakterystyczny szczegół notuję, że wszystkie plakaty prozadowe były zerwane co do jednego, natomiast owe z „bolszewickim referendum” wisiały nietknięte przez cały dzień.

2.VII. Wtorek. Rezultat głosowania w Szczepieszynie: pierwsze pytanie (parlament jednoizbowy) na „tak” – 917, na „nie” – 2.708; drugie pytanie (aprobata dla reformy rolnej i upaństwowienie przemysłu) na „tak” – 2270, na „nie” – 1244; trzecie pytanie (granica zachodnia na Odrze i Nysie) na „tak” – 3121, na „nie” – 494.

Miasto jest oburzone na przewodniczącego jednej z komisji obwodowych – Doleżala, przewodniczącego Rady Miejskiej, który nazbyt wyraźnie i tendencyjnie zachowywał się podczas głosowania i w czasie podliczania głosów, starając się o zdobycie jak największej ilości głosów na „tak”.

5.VII. Piątek. Dzisiejszej nocy około godziny 1, dwóch mężczyzn weszło do mieszkania Doleżala i wyprowadziło go najpierw w pole, potem koło cegielni ulicą Frampolską na rynek. Dali mu przy tym porządne lanie. Prowadzili w jednej bieliźnie i na rynku kazali jak najgłośniej krzyczeć: „Ja, Doleżał jestem zdrajcą. Niech żyje Mikołajczyk, niech żyje PSL, niech żyje AK, niech żyje armia podziemna, precz z PPR-em, precz z komuną” itd. Wreszcie mocno pobitego puścili do domu. Rano wezwano do pobitego dr. Spoza. Mówił mi, że Doleżał istotnie jest mocno pobity. Całe miasto nie posiada się z radości – tak Doleżał jest nielubiany. Wszyscy uważają, że swoim zachowaniem całkowicie zasłużył na to, co go spotkało. Zapewne byłoby z nim gorzej, gdyby nie córki – mocno zaangażowane w konspiracji – zwłaszcza najstarsza Wanda, wdowa po ppor. „Wendzie” z pierwszej zamojskiej szturmówki. Ona miała w swoim ręku pocztę organizacyjną.

8.VII. Poniedziałek. Widziałem się z Antosiem („Orkiszem”) i Janem („Norbertem”). Obydwaj byli w Szczepieszynie. W dobrej formie i jak widać w toku pracy organizacyjnej.

12.VII. Piątek. Wczoraj i przedwczoraj byłem w Zamościu i w Tomaszowie dla załatwienia spraw związanych z gromadzeniem materiałów do opisanie akcji wysiedleńczej. Z Tomaszowa chciałem dostać się do Bełżca, pojechałem tam rowerem, wywaliłem się na szosie, mocno się potłukłem i zwichnąłem palec. W Zamościu, przed dwoma dniami, ze szpitala uciekły dwie więźniarki przebywające tam na leczeniu – Pomiankiewiczówna i Serafinówna ze sprawy „Sasa”. Milicjant-wartownik wyprowadził je wieczorem na dwór. Tu obskoczyło ich kilku mężczyzn, milicjanta rozbrojono, a więźniarki uprowadzono.

14.VII. Niedziela. Wczoraj o godz. 2.30 w dzień dokonano napadu na kasę browaru w Zwierzyńcu. Zabrano 141 tysięcy złotych. Wczoraj około godziny 11 wieczorem usłyszeliśmy na mieście strzały, potem jakiś chóralny śpiew. Dziś dowiedziałem się, że była w mieście grupa ludzi licząca około 20 osób, w mundurach wojskowych, działająca pod komendą jakiegoś porucznika (tak przynajmniej tytułowano dowódcę). Byli u niejakiego Chodaczniaka, nie cieszącego się dobrą opinią i mocno posądzanego o różne przestępstwa kryminalne. Zbito go porządnie. Następnie oddział przeszedł niektórymi ulicami. Dano na wiwat kilka strzałów i śpiewano. W jednej piosence był zwrotka „...armia Andersa zwycięży”. Miasteczko jest silnie zaintrygowane jawieniem się tej tajemniczej grupy.

18.VIII. Niedziela. Dawno już nie pisałem. Nie ma dzisiaj takiego nawału ważniejszych wydarzeń, żeby je co dzień notować. Przez ten czas znów ciężko chorowałem po silnym ataku wątrobianym i zapaści (27 lipca). Miałem wezwanie, żeby natychmiast stawić się w UB – „jako świadek”. Posłałem zaświadczenie lekarskie, że jestem chory. Któregoś dnia zjawił się u mnie jakiś podporucznik z Warszawy – zdaje się z UB. Zapytywał, czy znałem niejakiego Poterańskiego, o którym jest wzmianka w drugim tomie mojego wydawnictwa, że „był postrachem wszystkich więźniów” na Zamku w Lublinie. Nie,

nie znałem. Okazało się, że złapali go w Warszawie. Był to przedwojenny kryminalista, który potem występował się Niemcom. Zbierają teraz wiadomości o nim. Spisał protokół i poszedł sobie. Pilnie śledzę, co się dzieje w terenie, ale nie zawsze łatwo jest się zorientować. Po lasach i leśnych wioskach są jakieś partyzanckie grupy. Na granicy powiatów biłgorajskiego i jarosławskiego działa oddział „Wołyniaka” z Narodowych Sił Zbrojnych i konny, rozrzucony w terenie oddział „Mewy”, również z NSZ.

Koło Suśca są jakieś grupy WIN – dawniejsza AK. Ale oprócz tego są i grupki prowokacyjne UB, które wyłapują naiwnych, udając oddziały partyzanckie. Koło Zwierzyńca kręcą się po lesie jacyś po wojskowemu ubrani mężczyźni. Któregoś dnia koło Florianki prawdopodobnie odbierali jakieś zrzuty z samolotów. W terenie często są aresztowania, których tym trudniej jest się ustrzec, bo często wykonują je funkcjonariusze UB ubrani po cywilnemu. Tak właśnie wpadł „Polakowski” – popularny komendant z rejonu Rudy Różanieckiej w powiecie tomaszowskim.

Duże wrażenie w kołach zainteresowanych zrobiła śmierć znanego podporucznika UB Skorka. Został on ciężko ranny w klatkę piersiową gdzieś pod Zamościem i zmarł w szpitalu w Lublinie. Był to człowiek bardzo szkodliwy. To on wraz z jakimś Żydkiem z Zamościa aresztował mnie w czerwcu tego roku. Teraz znów doszła nas wiadomość o rąbnięciu jakiegoś ważnego członka UB w Biłgoraju.

Wszędzie chaos, dezorganizacja, łapownictwo, niepewność jutra. Oczy zwrócone są na Konferencję Pokojową, która właściwie rozpoczęła swe obrady w Paryżu. Tam znów mącą wszystko i wprowadzają specyficzny bałagan przedstawiciele Rosji Sowieckiej. Zachodzi duża wątpliwość, czy dojdzie tam w końcu do jakiegoś porozumienia. Echo tego co się tam dzieje dochodzi do nas. Ludzie znów zaczynają mówić o możliwości nowej wojny.

Ja jestem całkowicie teraz pochłonięty sprawą wysiedlania przez Niemców Zamojszczyzny. Napływa mi obfity materiał i siedzę nad tym po całych dniach.

8.XII. Niedziela. Myślałem, że z chwilą zakończenia obrad Konferencji Pokojowej i ja zakończę swój pamiętnik. Tymczasem coraz bardziej zarysowuje się przed nami możliwość nowej wojny. Niektórzy

twierdzą, że jest ona nieunikniona. Słuchamy chciwie radia, zwłaszcza komunikatów z Londynu. Obserwujemy co się dzieje w kraju. Tymczasowość wszystkiego, co nas otacza, destrukcyjnie wpływa na rozwój całego życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Oczy społeczeństwa zwrócone są na „lasy”. Wyczyny niektórych oddziałów partyzanckich wywołują sensację i kapitalnie podnoszą ogólny nastrój. O ostatnich wydarzeniach w Radomiu krążą fantastyczne plotki i ludzie się tym napajają. Na naszym terenie konspiracja również zaczyna się odradzać. Mam wrażenie, że zaczyna się nowy okres w dziejach Polski Podziemnej i że wchodzimy w nowe stadium walk o niepodległość.

21.XI. Sobota. Od strony Zwierzyńca słychać jakieś strzały i wybuchy. Wieczorem nadeszły do nas pierwsze wiadomości. UB przeprowadziło liczne aresztowania w Zwierzyńcu i Rudce. Zaraz po wyjeździe UB, oddziały „z lasu” dokonały napadu na browar i tartak.

25.XII. Boże Narodzenie Już rano rozeszła się wieść, że w Zwierzyńcu otoczono kościół i legitymowano publiczność. U nas nastrój paniki. Wszędzie mówi się o Zwierzyńcu z niesłychanym oburzeniem.

26.XII. Czwartek. Dzień przeszedł spokojnie. Pod wieczór przywieziono do szpitala podporucznika „Romana” z oddziału „Zapory” (jego zastępcę). Jest ranny w nogę. Przywiózł go partyzant, niestety aż nadto pijany. Ów „Roman” to wyjątkowo miły chłopak. Odnosi się do nas z całą ufnością, nie mając wątpliwości, że trafił w środowisko swoich, którzy go nie porzucą. Pozostawić go w szpitalu nie mogłem, ze względu na jego bezpieczeństwo. Zorganizowaliśmy więc na poczekaniu odstawienie go w pewne miejsce na wieś.

29.XII. Niedziela. O godzinie 1.15 w nocy obudziły nas wściekłe serie z karabinów i wybuchy granatów, jakieś 100 – 200 metrów od nas. Nie mogliśmy dokładnie się zorientować, co znaczy ta strzelanina. Dopiero rano dowiedzieliśmy się, że zaatakowano dom, w którym mieszkał komendant posterunku milicji Zeidic. Strzelanina trwała równo pół godziny. Została zabita Godlewska, w pozycji leżącej na łóżku. Śpiące obok niej trzyletnie dziecko ocalało. Zeidic z początku

ostrzeliwał się, potem wyskoczył przez okno i zdołał uciec. Jest tylko lekko ranny w nogę. Część domu rozwalono zupełnie.

Około 5 nad ranem zjawili się w szpitalu żołnierze UB i w ciągu 50 minut przeprowadzili bardzo szczegółową rewizję. Szukali rannego. Twierdzili, że takowy musi być, ponieważ na placu walki znaleziono zakrwawioną amerykańską kurtkę zizutową.

W kancelarii szpitala nadawali telefonicznie meldunek do szefa UB w Zamościu. Słyszałem jak meldujący zawiadamiał go, że trzeba będzie zaraz jechać do Szperówki, lecz wojsko – 8 Pułk Piechoty z Zamościa – odmawia i nie chce jechać. Pytał, co mają robić.

Zdarzenie to wywołało w mieście wyraźną sensację. Tłumy ludzi oglądają rozwalony dom. Bardzo wiele osób żałuje, że Zeidic uciekł, bo sympatią się nie cieszył.

Jestem bardzo niespokojny o syna Tadzia. Wobec częstych aresztowań wśród uczniów w Zamościu, a ostatnio też w Szczepieszynie, wysłałem go na noc [...], żeby nie nocował w domu, ani w mieście. Dziś nie pozwoliłem mu wrócić, chociaż ogromnie mi go brak. Mężczy mnie nadzwyczaj przykre uczucie bezsilności, że w „wolnej i niepodległej” Polsce nawet ucząca się młodzież nie jest bezpieczna i musi się ukrywać, niczym zbrodniarze, ścigana przez władze.

Coraz więcej ludzi namawia mnie abym na parę tygodni wyjechał ze Szczepieszyna, gdyż w miarę zbliżania się terminu wyborów (19 stycznia 1947 r.) aresztowania będą coraz liczniejsze. Postanowiłem jednak nigdzie się nie ruszać.

30.XII. Poniedziałek. Widziałem się z „Wrzosem”. Dowiedziałem się od niego, iż w napadzie na Zeidica zginął „Pędziwiatr”. Zdaje się, że było jeszcze paru rannych. Akcję prowadził „Zapora”. Była całkiem nieudana, bez żadnego pozytywnego rezultatu. Straty natomiast są duże, a zabicie żony Zeidica, niewinnej ofiary, wywołało nieprzyjemne uczucia.

LATA 1950-1952

Po niemal całkowitym wygaśnięciu konspiracji w Zamojszczyźnie – zaczęła się ona w roku 1949 odradzać na nowo. Na czele nowej akcji stanął Pilarski „Jar” dawny członek AK zatrudniony w tym czasie

w Ubezpieczalni Społecznej w Zamościu. Potrafił on wciągnąć do tej nowej organizacji pewną liczbę ludzi z terenu dawnego Inspektoratu Zamojskiego czyli z powiatów biłgorajskiego, hrubieszowskiego, tomaszowskiego i zamojskiego. Planował on akcję na szeroką skalę, organizując wokół siebie cały sztab współpracowników, wśród których był (jako jego zastępca) niejaki Skowyra, sekretarz Szkoły Mechanicznej w Janowicach pod Zamościem. Niemałą rolę w nowej organizacji odgrywał klasztor w Radecznicy, gdzie magazynowano broń, przechowywano archiwum i gdzie odbywały się narady i odprawy służbowe. Bardzo często przysięgę od nowych członków odbierał tu o. Hugolin Ryba.

Pewnego dnia, w lutym 1950, przyjechał do szpitala w Szczepieszynie dr Tyczkowski z nieznanym mi jegomościem, który po przywitaniu oświadczył, że ma do mnie prywatny interes i chciałby porozmawiać na osobności. Poprosiłem go nie do swego gabinetu, lecz do wolnej separatki szpitalnej. Był to wspomniany Skowyra. Kiedy znaleźliśmy się sami, powiedział, że przybywa z polecenia „Jara”. Prosił mnie o udzielenie informacji o niektórych ludziach w Szczepieszynie w związku z projektem zawiązania tu komórki organizacyjnej. A przede wszystkim chciał wiedzieć, czy – moim zdaniem – da się to przeprowadzić. Nie zrobił na mnie dobrego wrażenia, a jego projekty nie wydały mi się dość poważne. Byłem nawet rad, że mi nie proponował przystąpienia do nowej organizacji. Wiem, że tego dnia był jeszcze u Łysaka, którego w domu nie zastał, lecz zwerbował jego żonę. Poza tym był u młynarza Olczyka i u ogrodnika Koprowiaka. Ze Skowyrą więcej się już nie widziałem i na wolności nie spotkałem.

W kwietniu 1950 r. dowiedziałem się, że Skowyra został aresztowany wraz z „Jarem” i innymi członkami organizacji. Trochę mnie to zaniepokoiło, bo Skowiry nie byłem pewny.

Parę dni później, 15 kwietnia, rano – po powierzchownej rewizji w moim mieszkaniu – zostałem aresztowany. Samochodem osobowym odwieziono mnie do Zamościa, do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Gdy mnie prowadzono na wstępne badanie, zobaczyłem stojącą na schodach Wandę Łysakową ze Szczepieszyna. Jak się potem dowiedziałem aresztowano jeszcze w Szczepieszynie dyrektora szpitala dr. Tadeusza Chomickiego, młynarza Olczyka i ogrodnika Koprowiaka. Z odczytanych mi podczas pierwszego przesłuchania wyjątk-

ków zeznań Skowry, dowiedziałem się niezbitcie, że wszystkich nas wydał on od razu po aresztowaniu. Treść rozmowy ze mną odtworzył bardzo szczegółowo.

Zaprowadzono mnie teraz do głębokiej piwnicy i umieszczono samego w małej, zimnej, wilgotnej i ciemnej celi. Niewielkie piwniczne okienko znajdujące się pod samym sufitem miało od zewnątrz betonową zasłonę. Wąska szczelina pomiędzy górną krawędzią tej zasłony a ścianą przepuszczała bardzo nikłe światło. Toteż prawie cały dzień paliła się żarówka umieszczona nad drzwiami. Cella była wąska i na całą jej szerokość, od ściany do ściany, miała wmurowaną na stałe pryczę z desek. Z jednej strony pryczy przybita była do ściany ukośna deseczka, która miała służyć więźniom jako poduszka. Na noc dawano mi tylko jeden koc, żadnego siennika nie było. Spałem więc na gołych deskach, bez żadnej poduszki, nawet ze słomy.

Gdy już się nieco oswoiłem z wyglądem celi, zacząłem zastanawiać się nad swoją sytuacją i dalszym losem. Czułem, że tym razem nie wykręcę się już tak, jak to zwykle dotychczas bywało, gdy po kilku dniach mnie zwalniano i że wypadnie mi posiedzieć nieco dłużej. A taka nagła zmiana, brutalne oderwanie od czynnego życia i zamknięcie w piwnicy na każdego musi działać deprymująco.

Nazajutrz była niedziela. Rano strażnik otworzył drzwi mojej celi, kazał mi wziąć ogromny „kibel” i wyprowadził mnie po stromych schodach na małe podwórko, gdzie musiałem wylać do ustępu jego zawartość, następnie szybko umyć się na podwórzu. Kibel był duży i tak ciężki, że z trudem wniósłem go po schodach. Zamieniono mi go zaraz na mniejszy i lżejszy. Ponieważ w niedzielę na śledztwa nie brano, więc miałem czas i na rozmyślanie i na dokładne rozejzenie się po celi. Przede wszystkim zainteresowały mnie napisy na ścianach, a że widocznie dawno nie było bielone, więc wszystkie zachowały się dobrze i były tak łatwe do odczytania. A więc były tu liczne nazwiska i inicjały tych, którzy tu przede mną siedzieli oraz daty ich pobytu. Uderzyło mnie to, że nie zauważyłem ani jednego sprośnego napisu lub nieprzyzwoitego, jak to zwykle bywa na przykład w ustępach publicznych czy na parkanach. Natomiast bardzo dużo było próśb do Boga: „Boże ratuj”, „Boże, zlituj się nade mną”, „Boże, nie opuszczaj mnie”, „Matko Boża, módl się za mnie”, „Jezu Chryste zmiłuj się nade mną, uratuj mnie” itp. Sporo też było wyrytych jakimś ostrym przed-

miotem krzyży, a w jednym miejscu nawet cały kościół lub kaplica. Poza tym sporo było pokratkowanych miejsc, w których cyframi notowano dzień po dniu, cały okres spędzony w tej celi. Słowem – ściany dużo mówiły o ciężkich przeżyciach i cierpieniach ludzkich i jeszcze raz potwierdzały utarte powiedzenie, że „kiedy trwoga, to do Boga”.

W poniedziałek rano wezwano mnie do biura UB. Zadano mi tam kilka pytań, potem wyprowadzono na ulicę i wsadzono do samochodu osobowego. Obok mnie usiedli młody kapitan i podporucznik, koło szofera zaś jakiś cywil trzymający na kolanach karabin. Pojechaliśmy w stronę Szczepieszyna. Tu najpierw udaliśmy się do naszego mieszkania. Żony już nie zastaliśmy, bo zaraz po moim aresztowaniu pojechała do Warszawy starać się o ratunek dla mnie. Po bardzo pobieżnej rewizji w mieszkaniu poszliśmy do szpitala, gdzie jeszcze miałem swój duży gabinet prywatny, o którego istnieniu już się dowiedzieli. Tu rewizja trwała znacznie dłużej. Przede wszystkim zajęto się moimi licznymi tekami zawierającymi różne rękopisy, notatki itp. Oficerowie usiedli przy stołach i kazali mi podawać teki jedna po drugiej. Po przejzeniu oddawano mi, a ja kładłem je na biurku. Gdy na stole zebrał się już spory stos tych teczek niepostrzeżenie zacząłem dokładać do nich te, których nie chciałem dawać do przeglądu, bo zawierały wspomnienia i relacje uczestników walk partyzanckich z czasów okupacji. Z pewnością by je zabrali. Manewrując w ten sposób ocalałem cenne materiały historyczne. Zabrano mi tylko leżące w szufladzie biurka kilka pokwitowań na zapomogi wypłacone przeze mnie wdowom po niektórych poległych partyzantach i 3 oryginalne duże księgi ewidencyjne więzienia w Biłgoraju z nazwiskami wszystkich więźniów, którzy w czasie okupacji przeszli przez to więzienie. Była to dla mnie duża strata. Poza tym nic mi więcej nie zabrano.

Po skończonej rewizji w gabinecie wróciliśmy znów do mieszkania, gdzie zrewidowano jeszcze biurko i szafę żony.

W godzinach popołudniowych wróciliśmy do Zamościa, gdzie znów zaprowadzono mnie do mojej celi w piwnicy. Nastrój trochę mi się poprawił wobec tego, że rewizja nie wykryła nic takiego, co by mnie kompromitowało.

Nazajutrz, we wtorek, od rana zabrano mnie na badanie. Po południu znów, aż do wieczora. I tak w ciągu tygodnia od 5 do 6 godzin dziennie odbywały się te przesłuchania. Po kilka razy zadawano mi

jeszcze te same pytania i trzeba było bardzo się pilnować, żeby zawsze dawać jednakowe odpowiedzi. Jak się mogłem zorientować z przebiegu śledztwa żadnego materiału obciążającego mnie nie mieli, oprócz tego, że wiedząc od Skowiry o istnieniu tajnej organizacji, nie zawiadomiłem o tym Urzędu Bezpieczeństwa.

Po tygodniu nagle badanie przerwano. Do mojej celi przyprawiono drugiego więźnia, aresztowanego też w związku z organizacją „Jara”. Jak się okazało, był on przed dwudziestu kilku laty uczniem Seminarium Nauczycielskiego w Szczepieszynie, lecz tylko przez parę lat i szkoły tej nie ukończył. Nazwiska jego nie pamiętam.

Pod koniec drugiego tygodnia wezwano mnie, jak się okazało, na ostatnie przesłuchanie. Oficer śledczy oznajmił mi, że dotychczas byłem w UB tylko jako „zatrzymany”. W wyniku dochodzenia prokurator zarządził obecnie „aresztowanie” mnie i przewiezienie do więzienia. Odpowiednie postanowienie dał mi do przeczytania i podpisania. Od tej chwili oficjalnie już byłem więźniem. Nazajutrz około godziny 6 rano kazano mi się ubrać i zebrać swoje rzeczy, następnie wyprowadzono mnie na ulicę i kazano wsiąść do oczekującego tu łażika. Obok mnie usiadł oficer UB z karabinem. Po paru godzinach byłem już w Lublinie.

Łażik zatrzymał się przed Urzędem Bezpieczeństwa przy ulicy Chopina 18. Najpierw – jak zwykle – spisano w biurze moje personalia, po czym przez podwórze odprowadzono do piwnicy w oficynie. Tu w małym pokoiku, który stanowił coś w rodzaju kancelarii strażnika, kazano mi rozebrać się do naga i dokładnie zrewidowano moje rzeczy. Następnie strażnik zaprowadził mnie do celi. – Była ona stosunkowo obszerna. Miała drewnianą podłogę i dość duże okno, które nawet do tej piwnicy dawało sporo światła. Przed wojną było tu mieszkanie stróża. Przy jednej ścianie stały 3 drewniane, piętrowe prycze z równo zaścielonymi siennikami i kocami. Więźniów w celi było 8. Gdyśmy ze strażnikiem weszli do celi wszyscy stali w jednym szeregu w pozycji na baczność. Dowiedziałem się wkrótce, że gdy tylko usłyszano zgrzyt klucza w zamku, wszyscy w jednej chwili musieli w ten sposób się ustawić i oczekiwać wejścia strażnika lub kogoś innego z administracji więziennej. Po wyjściu strażnika od razu współtowarzysze niedoli zajęli się mną bardzo serdecznie. Ułożyli moje rzeczy, pomogli zdjąć płaszcz i zasypali różnymi pytaniami. Wszyscy byli więźniami poli-

tycznymi w trakcie śledztwa. Z nazwisk pamiętam tylko Ardzińskiego, starego kolejarza, zawiadowcę stacji w Siedlcach, z którym spotkałem się jeszcze potem na Zamku. Poza tym był jeszcze jeden kolejarz, piwowar, paru urzędników i paru chłopów. Szybko oswoiłem się z otoczeniem i nowymi nazwiskami. Strażników było paru, ale jednego, nikt z siedzących w tej celi nie zapomni. Był to Ukrainiec, wysokiego wzrostu, który w rozmaity sposób wprost znęcał się nad więźniami. Rano po apelu wyprowadzano nas po jednemu do ustępu. Na załatwienie się Ukrainiec wyznaczał nam wszystkim 5 minut czasu. Staliśmy więc w celi pod drzwiami w kolejce, trzymając w garści porozpinane spodnie. Ukrainiec otwierał drzwi i pierwszy z kolejki pędził po korytarzu kilkanaście kroków do ustępu, po chwili wylatywał stamtąd, w korytarzu mijał się z następnym i dopiero w celi zapinał spodnie. Ze względu na smród staraliśmy się z kibla korzystać tylko dla oddawania moczu, zwłaszcza że służył on i do innych celów. Raz w tygodniu, w sobotę, po opróżnieniu i wypłukaniu, przynoszono w nim wodę i gruntownie szorowano podłogę. Po umyciu podłogi przynoszono w nim świeżą wodę i niektórzy prali w niej swoją bieliznę.

Od czasu do czasu Ukrainiec niespodziewanie wpadał do celi i sprawdzał jak pościelone są prycze. Gdy zauważył fałdę czy nierówność, od razu zrywał wszystko z prycz i rzucał na ziemię. W ciągu kilku minut kazał wszystko na nowo ułożyć. Wskazując palcem na mnie mówił: „Tylko ten stary niech stanie z boku i patrzy”. Raz w tygodniu przychodził z miasta fryzjer i strzygł zarost na twarzy maszynką elektryczną. Jedzenie mieliśmy znośne, zwłaszcza że wszyscy dostawali paczki z domu.

Kilka razy wywoływano mnie na przesłuchanie, raz sfotografowano w 3 pozycjach: en face, z profilu i w czapce. Ponieważ kilka razy zgłaszałem się na apelu jako chory, więc w końcu zaprowadzono mnie do lekarza.

Na skutek jego opinii o stanie mojego serca zostałem 13 maja, czyli po dwóch tygodniach pobytu w UB na Chopina, przewieziony do więzienia na Zamku, gdzie sądzono mi było spędzić bez mała rok. Na wstępie załatwiono na Zamku krótkie formalności kancelaryjne, spisano moje personalia, zabrano za pokwitowaniem pieniądze do depozytu, po czym strażnik zaprowadził mnie do tzw. baszty, gdzie każdy przybywający nowy więzień musiał odbyć rodzaj kwarantan-

ny. Gdy szedłem przez podwórze więzienne, przypomniało mi się, jak kilka lat przed wojną zwiedzałem ten stary, królewski zamek z ówczesnym premierem Sławojem Składkowskim, który chciał go pokazać swojej nowej żonie, Hiszpance. Jechałem z nimi kiedyś samochodem ze Szczepieszyna do Warszawy. Czyż mogłem wówczas przypuszczać, że w przyszłości wypadnie mi tu „siedzieć”?!

Wpuszczono mnie do dużej celi na parterze baszty. Było tu już trzydziestu paru więźniów, którzy od razu mnie obścapiли. Naraz przez tłum więźniów przecisnął ku mnie jakiś wysoki, starszy pan i podając mi rękę, powiedział: „Czuma jestem”. Był to bardzo popularny w Lublinie, jeden z najstarszych profesorów KUL-u, którego osobiście jeszcze nie znałem, tylko ze słyszenia i z literatury, a właściwie z bibliografii. A on też znał mnie z mojej działalności regionalnej i ogłoszonych drukiem prac. Zaopiekował się mną bardzo troskliwie, a ponieważ przygotowywano się już do spania, więc ulokował mnie na sienniku obok siebie.

Z ciekawością rozglądałem się na wszystkie strony, bo też cela ta była całkiem niezwykła: ogromna, sklepiona, okrągła izba, o ścianach grubych około 3 metrów. Jedno nieduże okno, wychodziło na podwórze i umieszczone było przy zewnętrznym brzegu muru. Od wewnątrz tego okienka znajdowała się w grubym murze pusta przestrzeń, stanowiąca coś w rodzaju niskiego, wąskiego korytarzyka. Więźniowie trzymali tu złożone w słupek swoje czapki. Drugie podobne okienko, tylko w znacznie cieńszej części muru, wychodziło na schody prowadzące do przylegającego do baszty, budynku szpitalnego. Światło dzienne było więc w tej celi tak słabe, że na okrągło paliła się tu żarówka elektryczna umieszczona nad drzwiami. Dookoła celi, przy ścianie, na wysokości około pół metra od ziemi, ciągnęło się murowane podwyższenie o szerokości 2 metrów, z jedną tylko przerwą koło drzwi wejściowych, gdzie stał ogromny kibel. Na tym podwyższeniu, z brzegu lub pod ścianą, siadali w dzień więźniowie. Na noc zaś rozkładano na nim sienniki do spania. W miarę zwiększania się liczby więźniów, przyprowadzanych codziennie małymi grupami lub pojedynczo, gdy już nie mogli zmieścić się na podwyższeniu rozkładano sienniki na podłodze i w środkowej części celi i to tak ciasno, że nie było między nimi żadnego przejścia. Ta środkowa część celi w gwarze więziennej nosiła nazwę „getto”, ponieważ umieszczano tu na noc prawie wy-

łącznie Volksdeuschów, policjantów polskich, którzy występowali się Niemcom, ciężkich przestępców kryminalnych, oskarżonych o tzw. „nielegalny ubój” czyli mordowanie Żydów. Grupa ta była dosyć liczna. Na dzień wszystkie sienniki układano w jednym miejscu przy ścianie, na ogromnym stosie, który starannie przykrywano kocami.

Ta parterowa cela na baszcie odznaczała się jedną osobliwością – niezwykłą akustyką nadzwyczajnie odbijającą echo. Gdy już wszyscy ułożyli się na siennikach i ucichł ogólny gwar, to gdy ktoś nieco głośniej odezwał się po przeciwnej stronie celi, zdawało się nam, że to mówi ktoś tuż obok nas. Zupełnie podobnie jak w słynnej z akustyki zakrystii katedry lubelskiej.

Komendantem celi, wyznaczonym przez władze więzienne, był pewien wojskowy – zdaje się podoficer, którego nazwiska nie pamiętam. Aresztowano go za jakieś nadużycia pieniężne, dochodzące podobno milionowych sum. Śledztwo jeszcze nie było zakończone. Miał on dużo roboty. Prowadził ścisłą ewidencję wszystkich przybywających więźniów, pilnował porządku i czystości w celi, wciąż pouczał i ćwiczył więźniów, jak mają ustawiać się do apelu, jak stawać na baczność, jak odpowiadać na zadawane pytania, jak się meldować itp. Do apelu ustawiał wszystkich więźniów w jednym szeregu w kilku rzędach. Każdy więzień musiał znać dobrze swoje stałe miejsce. Na komendę „zbiórka” wszyscy rzucali się, by w jednej chwili stanąć na swoim miejscu. Musiało to odbywać się nadzwyczaj sprawnie, za co odpowiadał komendant celi. Gdy wchodził ktoś z władz więziennych, na komendę „baczność” wszyscy musieli równocześnie stuknąć obcasami i odpowiednio się wyprężyć. Dla ludzi starszych, jak i dla wielu chłopów ze wsi, którzy nigdy w wojsku nie służyli, było to nieraz dość trudne i uciążliwe. Toteż komendant celi musiał się dużo namordować zanim jako tako przeszkolił wszystkich. Zastępcą jego był drugi więzień, też z kategorii niepolitycznych. Korzystali oni z pewnych przywilejów: mieli gazety, lepsze paczki, często wychodząc z celi korzystali ze świeżego powietrza itp.

Apele odbywały się dwa razy dziennie – rano i wieczorem. Dwa razy dziennie wyprowadzano nas do ustępu i umywalni, co stanowiło dla nas pewne urozmaicenie życia. Spędzanie całych dni w tłoku, w zaduchu, wśród tłumu składającego się z bardzo różnorodnego elementu – było wielce uciążliwe. A społeczność więzienna była

naprawdę różnobarwna, poczynając od ludzi z wyższym wykształceniem z profesorami uniwersytetu na czele, przodującymi w licznej grupie więźniów politycznych a kończąc na kryminalistach, bandytach, defraudantach, złodziejach zajmujących się nielegalnym handlem lub nielegalną uprawą tytoniu. Niemało było ludzi zaliczających się do kategorii „szumowin społecznych”. Wciąż obijały się o uszy najbardziej ordynarne i sprośne wyrażenia, przekleństwa itp. Niemało też było różnych „kapusiów” czyli donosicieli, musieliśmy się więc wystrzegać i mocno pilnować, żeby niebacznie nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego.

Profesor Czuma umieścił mnie między sobą a swoim uczniem, byłym studentem KUL – Wnukiem, bardzo czynnym i dzielnym partyzantem AK za czasów okupacji niemieckiej. Nikogo więcej z ówczesnych współwięźniów, z nazwiska przypomnieć sobie nie mogę. Przewijają mi się tylko przed oczami poszczególne typy, nad którymi nie będę się zastanawiał. Chcąc oczyścić nieco atmosferę zaczęliśmy z prof. Czumą – od czasu do czasu, po apelu, kiedy już wszyscy ułożyli się na swoich siennikach, odbywać krótkie pogadanki na różne tematy. Ja opowiadałem niektóre epizody z walk partyzanckich, poza tym parę razy poruszałem sprawy higieny, m.in. mówiłem o chorobach wenerycznych, co dla audytorium w celi okazało się najbardziej interesującym tematem. Słuchano mnie daleko uważniej, aniżeli przy innych pogadankach i zadawano dużo rozmaitych pytań. Lecz po pewnym czasie daliśmy spokój, bo audytorium było zbyt duże i jednak bardzo niepewne. Z inicjatywy prof. Czumy, który odznaczał się niezwykłą pobożnością i bardzo dużo się modlił, po każdym apelu – porannym i wieczornym, gdy już nie było przedstawicieli władzy więziennej i zamykano nas na noc – profesor zaczynał zwykle modlitwy, które wszyscy więźniowie wspólnie głośno odmawiali stojąc w szeregu, tak jak podczas apelu. Zauważyłem, że oprócz jednego więźnia Żyda i mnie, który byłem jeszcze wówczas całkiem obojętny pod względem religijnym, wszyscy więźniowie bardzo gorliwie się modlili i z przejęciem żegnali. Aż wreszcie prof. Czuma, z którym szybko bardzośmy się zbliżyli, zapytał mnie kiedyś wręcz, dlaczego ja się nie żegnám i nie modlę. – Od tej chwili dużo i długo rozmawialiśmy na tematy religijne i jemu też właśnie w dużej mierze zawdzięczam mój powolny, stopniowy renesans wiary w Boga...

Z pobytu w baszcie utkwiło mi w pamięci dużo wspomnień. Nie warto jednak zbyt szczegółowo je odtwarzać. Chciałbym tylko opisać jeden drobny epizod, nie pozbawiony swoistego smaku. – Na pierwsze i drugie piętro baszty prowadziły wąskie i niewygodne schody. Jedyne, jakimi można było dostać się do położonych wyżej cel. Były one zwykle mocno zabłocone i brudne po przejściu tak wielu więźniów. Otóż kiedyś oddziałowy strażnik wywołał z celi prof. Czumę i mnie i ze złośliwym uśmiechem rzekł: „Chodźcie no wy dwaj, co umiecie dobrze pisać” – rozkazując nam dokładnie umyć schody. Dał nam wiadro z wodą i 2 ścierki. Zabraliśmy się z profesorem żwawo do roboty nie mając w tym żadnego doświadczenia. Strażnik z ironią na twarzy z zadowoleniem wciąż nas obserwował, myśmy zaś wszystko traktowali z humorem. Co pewien czas chodziliśmy do studni na podwórzu, żeby zmienić wodę w wiadrze. Choć mały, lecz przyjemny był to dla nas spacerek. Pod koniec, gnaty – nieprzyzwyczajone do takiej pracy, porządnie nas rozboleły, lecz zwróciliśmy się do strażnika z prośbą, żeby nas częściej brał do roboty. Tym sposobem osiągnęliśmy to, że strażnik, przekonawszy się, że nie udało mu się nas upokorzyć, więc już nas do mycia schodów nie wyznaczał.

Po paru tygodniach, kiedy już liczba więźniów w naszej celi przekroczyła setkę, kiedy zaczęło być zbyt ciasno i musieliśmy spać po 3 na dwóch siennikach, ściśnięci tak, że z trudem mogliśmy się obrócić na drugi bok – przenieśli nas do podobnej celi o piętro wyżej. Mury były tu już o wiele cieńsze niż w celi parterowej i przez dwa okna mogliśmy oglądać rozległy widok nie tylko dookoła Zamku, lecz i całego miasta.

Na wstępie spotkało mnie tu dość nieprzyjemne zdarzenie. Gdy tylko wprowadzono nas do tej sali, podszedł jakiś więzień zwracając się do mnie „A, pan doktor, i pan tu się znalazł. Dobrze tak panu, niech pan też zakosztuje więzienia. Ja przez pana dostałem 12 lat”. Zupełnie nie mogłem go sobie przypomnieć i nie rozumiałem o co mu właściwie chodzi. Dopiero gdy odszedł ode mnie, dowiedziałem się od więźniów, którzy z nim dłużej siedzieli, że był on sądzony w Zamościu, oskarżony o przynależność do jakiejś niemieckiej formacji. Ja zaś, jako rzeczoznawca wyjaśniałem sądowi cele i zadania tej formacji. Za samą tylko przynależność do niej kodeks karny przewidywał kilkanaście lat więzienia. I właśnie z tego powodu został skazany. – Na moje szczęście długo nas tu nie trzymano...

Wkrótce zaczęto przeprowadzać pewną selekcję i stopniowo przenosić nas na inne oddziały. Grupę, w której się znalazłem razem z prof. Czumą, zaprowadzono na oddział II. Umieszczono nas w celi, w której zastaliśmy kilkunastu więźniów. Wśród nich spotkałem swego bardzo dobrego znajomego od szeregu lat, adwokata Barskiego. Był to legionista II Brygady z czasu I Wielkiej Wojny, potem pracował w Ordynacji Zamojskiej w Zwierzyńcu. Był też starostą w Biłgoraju, wreszcie sędzią i adwokatem w Zamościu i Biłgoraju. Znany był jako bardzo czynny działacz społeczny. Po paru tygodniach sprawę jego umorzono i zwolniono z więzienia.

W „nowej” celi panowała już inna atmosfera aniżeli w baszcie. W przeważającej liczbie przebywali tu więźniowie polityczni. Dużo też było przedstawicieli inteligencji, m.in. lekarze: dr Dąbek, student medycyny Józef Rabijewski, student weterynarii Przyjałgowski – aresztowani w związku z tzw. cudem w katedrze lubelskiej i z wydarzeniami podczas procesji Bożego Ciała. Przybył też w parę dni po nas inżynier Aleksander Niewiarowski z Lublina. Przypominam też sobie Paszkowskiego, który zajmował jakieś wybitne stanowisko w dziale gospodarczym, co zapędziło go za kraty więzienne i szereg innych, których nazwisk już nie pamiętam.

Cela była dość obszerna, jasna i czuliśmy się w niej już zupełnie inaczej aniżeli w baszcie, zwłaszcza że mogliśmy już otrzymywać gazety. I dopiero teraz prawie codziennie zaczęto wyprowadzać nas na spacer, na który przeznaczono pewną część dość obszerne podwórza. Ścieżką dookoła placu chodziliśmy gęsiego w odległości 3 metrów jeden za drugim, szybkim krokiem. Więźniowie starsi, chorzy na serce, wycieńczeni, mogli spacerować powoli lub nawet siedzieć na ławeczkach na mniejszym placu pośrodku podwórza. Spacerujących pilnował jeden strażnik. Przestrzegał, aby więźniowie nie rozglądali się na boki i nie patrzyli na okna, w których mogliby zobaczyć innych więźniów. Co jakiś czas, na komendę strażnika, spacerujący odwracali się i szli w przeciwnym kierunku. Gdy na podwórzu zjawił się naczelnik więzienia, strażnik dawał komendę „bacność!” Musieliśmy się wówczas zatrzymać i czekać, aż naczelnik dał ręką znać, że można kontynuować spacer. Trwał on zwykle około 15 minut, czasem krócej. Gdy strażnik zauważył, że więźniowie patrzą na okna i znakami starają się porozumiewać z innymi więźniami – przerywał spacer, odprowadza-

jąc nas do celi... Nie wiem dlaczego, mówiono tu zawsze „pod celę”. Na taki spacer chodziliśmy zawsze z przyjemnością. Po zaduchu, jaki zwykle panował w celi, pełną piersią wdychaliśmy świeże powietrze i zażywali ruchu. Nawet tak krótki spacer miał dla zdrowia więźniów duże znaczenie.

W okresie kwarantanny, rzadko kiedy brano kogoś na przesłuchanie. Dopiero gdy znaleźliśmy się na II oddziale wznawiano dalszy ciąg śledztwa. Przesłuchania prowadzili oficerowie śledczy z UB, czasem ktoś z prokuratury i wtedy wywoływano nas do osobnych gabinetów. Stan więźniów stale ulegał zmianom – jedni ubywali, drudzy przybywali. M.in. odszedł mec. Barski, dr Dąbek, weterynarz Przyjałgowski i inni. Siedziało nas w tej celi dwudziestu kilku. Tu dopiero zaznaczył się ogromny wpływ moralny na więźniów profesora Czumy, który zyskał sobie wręcz wyjątkowe poważanie. Bardzo spokojny, opanowany, skromny, nie wymagał dla siebie żadnych przywilejów. Zawsze poważny, łagodnie uśmiechnięty, przystępny, chętnie rozmawiał z każdym, kto się do niego zwracał. W mowie nigdy nie używał przekleństw ani słów nieprzyzwoitych. Nawet tak niewinnych jak „cholera” czy „psia krew”. Swoim przykładem powodował, że w jego obecności wszyscy wystrzegali się zbyt drastycznych wyrażen. A ci co kiedykolwiek znaleźli się w więzieniu, dobrze znają więzienne słownictwo. Profesor bardzo dużo się modlił, a z nim często jego współtowarzysze z celi. Zdarzało się, że gdy któryś z więźniów szedł na przesłuchanie lub na rozprawę, odmawiano jakąś modlitwę w jego intencji. I chociaż władze więzienne o tym wiedziały, to jakoś na razie nie interweniowały.

Wreszcie któregoś dnia podczas spaceru wywołano profesora z szeregu i poprowadzono w stronę kancelarii. A że był to upalny dzień więc profesor nie miał na sobie marynarki i spacerował w koszuli. Wróciwszy do celi na próżno oczekiwaliśmy na niego. Zaczęło nas to niepokoić. Na drugi dzień to samo, o profesora żadnych wiadomości. W tym dniu część z nas przeniesiono na oddział I – do celi A 5, na parterze. Oddział I przeznaczony był dla więźniów politycznych. I nagle po dwóch dniach nieobecności, przed apelem wieczornym, przyprowadzono do naszej celi profesora. Był brudny, zmizerowany i cały przesiąknięty jakimś specyficznym smrodem. Jak się okazało przez pełne dwie doby trzymano go w „karcu”. Na razie nic nam nie mówił,

prosił tylko, aby nie proszono go o komentowanie artykułów z otrzymanych przez nas gazet. Dopiero potem, kiedy mogliśmy rozmawiać bez świadków, opowiedział mi jak go oficer polityczno-wychowawczy zwymyślał zarzucając mu „zły” wpływ na współwięźniów, ciągłe zbiorowe modlitwy i to, że zawdzięczając jemu, w naszej celi wychowanie polityczne nie przynosi wyników. I specjalnie wytknął mu komentarze przy czytaniu prasy.

Niedługo potem odbyła się w Wojskowym Sądzie Okręgowym sprawa Ignacego Czumy, oskarżonego o to, że w roku 1945, na skutek prośby „Irki” Gołębiowskiego z Okręgu Lubelskiego AK napisał 2 broszury: „Polska i Anglia” i „Polska i ZSRR”. Jak w jednej tak i w drugiej występował dość ostro zarówno przeciw Anglii jak i przeciw Rosji. Obie broszury, wydrukowane konspiracyjnie w stosunkowo dużej liczbie egzemplarzy, wpadły w ręce UB. W trakcie śledztwa profesor, bez wahania, przyznał się do ich autorstwa. W miarę zbliżania się terminu rozprawy, coraz więcej o niej mówił. Uważał, że jako profesor KUL jest do pewnego stopnia symbolem i podczas rozprawy za wszelką cenę musi zachować godność zarówno osobistą, jak i uniwersytetu. Wciąż modlił się prosząc Boga, aby dodał mu sił. Obawiał się, by widok żony i ośmiorga dzieci, które miały obecne na rozprawie, nim nie zachwiały.

Powróciwszy po rozprawie do celi, powiedział tylko, że został skazany na 10 lat więzienia. Poza tym, nie mówił nic, a myśmy, oczywiście, o nic go nie pytali. Dopiero dnia następnego wszystko mi szczegółowo opowiedział. Rozprawa odbyła się przy drzwiach otwartych. Chociaż był to okres wakacji, publiczność i ucząca się młodzież wypełniła salę po brzegi. Już na samym wstępie silnie wzruszył profesora widok żony i dzieci, wśród których wyróżnił się starszy syn – w sutannie, wychowanek jezuitów, studiujący w Krakowie teologię i filozofię. Gdy w asyście milicjantów profesor wszedł na salę rozpraw, cała publiczność wstała, jak to bywa tylko przy wchodzeniu sądu. Była to manifestacja dotąd niespotykana na sali rozpraw. Ktoś mu podał dwie piękne róże – białą i czerwoną, które profesor natychmiast oddał żonie siedzącej w ławce tuż za nim.

Chociaż profesor opowiedział mi przebieg rozprawy ze wszystkimi szczegółami, to jednak pomijam je, aby uniknąć jakichkolwiek nieścisłości, bo przecież sam tam nie byłem. Mówił mi, że usilnie sta-

rał się, by ani razu nie powiedzieć „wysoki sędzie”. I to mu się udało. Po ogłoszeniu wyroku nie obyło się bez jeszcze jednej manifestacji. Jakaś starsza pani, szybko podeszła do profesora, uklękła przed nim i pocałowała go w rękę. Profesor tak był zaskoczony, że nie zdążył nawet cofnąć ręki.

Jak się później dowiedziałem, sprawa prof. Czumy odbiła się głośnym echem nie tylko w Lublinie, a jego postawa na rozprawie wpłynęła podobno na stosunkowo bardzo wysoki wyrok. Dzięki interwencji prymasa Wyszyńskiego, wyrok ten został potem zmniejszony do 6 lat. Profesor spędził w więzieniu w Rawiczu 3 lata i po amnestii został wypuszczony na wolność. Odwiedziłem go kiedyś w Lublinie. Był w bardzo dobrej formie.

Cela A 5 na I oddziale była dość obszerna, lecz siedzieliśmy około 30, więc było bardzo ciasno i duszno. Po kilku tygodniach mnie, prof. Czumę i medyka Rabijewskiego przeniesiono do celi A 1 na tym samym oddziale. Była to nieduża cela, mieściło się w niej najwyżej 6 – 7 więźniów i znajdowała się w samym rogu więziennego budynku. Z okna mogliśmy widzieć wszystkich przybywających i wychodzących z więzienia, gdyż naprzeciw niego szedł chodnik do bramy więziennej. Chociaż wyglądanie przez okno było surowo zabronione, to jednak stale ktoś z nas obserwował, co się dzieje koło bramy.

Cela, jako końcowa na korytarzu, mniej rzucała się w oczy strażnikom z czego korzystaliśmy, smażąc lub podgrzewając posiadane artykuły żywnościowe. A robiliśmy to sposobem często stosowanym w więzieniach. Z brzegu prześcieradła odrywano wąski kawałek płótna, obficie smarowano go smalcem, nawijano na wałek z gazety i – po zapaleniu – stawiano na kamiennej posadzce. Na metalowych kubkach stojących po bokach umieszczano, jak nad ogniskiem, aluminiową miskę, w której smażyliśmy resztki kartofli z obiadu ze słoniną lub z jajkami, czasem z kiełbasą itp. Tego rodzaju potrawy ogromnie nam smakowały. Przykrą stroną było to, że podczas smażenia, było w celi dużo dymu a miska od spodu bywała strasznie okopcona. Szczęśliwie nie wpadliśmy z tym smażeniem ani razu, bo w razie przyłapania groziło to karcem. Dużym urozmaiceniem była też gra w szachy. Wniośłem kiedyś podanie do naczelnika więzienia z prośbą o zezwolenie na tę grę. Nazajutrz otrzymałem odpowiedź odmowną. Gdy po kilku tygodniach ponowiłem prośbę, dostałem zgodę. Napisałem zaraz do

żony, prosząc o przysłanie mi szachów, a tymczasem szachownicę zrobiliśmy sami, figury zaś znakomicie wykleił z papieru więzień – technik dentystyczny. Podczas rewizji szachy te zabrano, lecz po paru godzinach dentysta zrobił jeszcze ładniejsze. Wreszcie dostałem szachy z domu – tych już mi nie zabierano. Towarzyszyły mi one aż do chwili opuszczenia więzienia.

Profesor, czasem tylko, przypatrywał się grze innych. Wreszcie któregoś dnia zaproponował mi rozegranie jednej partii. Kiedy szala zwycięstwa już zaczęła przechylać się na jego stronę, otworzyły się drzwi i strażnik kazał mi szybko zbierać swoje rzeczy. Trzeba to było robić zawsze jak najszybciej, bo strażnik ciągle popędzał. Uściskaliśmy się serdecznie z profesorem. Już się z nim więcej w więzieniu nie zetknąłem. Wkrótce wywieziono go do Rawicza. Przez dłuższy czas dotkliwie odczuwałem jego brak.

Odprowadzono mnie z powrotem do celi A 5, gdzie sążone mi było spędzić tu jeszcze 8 miesięcy. W celi zastałem starych znajomych, z którymi już tu siedziałem. Niektórych pamiętam bardzo dobrze, nawet ich nazwiska: Paszkowski, inżynier Niewiarowski, Karczewski „Niebora” – partyzant od „Podkowy”, Zygmunt Szumowski – bardzo solidny i sympatyczny inżynier spod Turobina, Lucjan Gajewski – też z Turobina, Socha „Głaz” – rolnik z Radzięcina, Reichert – też rolnik z tej samej wsi, Ardziński – z którym siedziałem w UB na Chopina, Jabłoński – kolejarz z Chełma, Sypulski, Pawlak – były żołnierz KOP-u i jeszcze ze dwudziestu kilku, których nazwisk nie mogę sobie przypomnieć.

Z bardzo małymi wyjątkami wszyscy należeli do kategorii więźniów politycznych. Jednak element był bardzo niejednorodny. Obok jednostek naprawdę wartościowych, ideowych, do których w pierwszym rzędzie zaliczam Szumowskiego, sporo było ludzi pod względem etycznym i umysłowym stojących na niskim poziomie. Nie brakowało też tzw. kapusiów czyli konfidentów, którzy donosili władzom o wszystkim, co się dzieło „pod celą”.

Ze względu na wielką ilość więźniów trudno już było coś przysmażać. Stawało się to zanadto ryzykowne. Jednak słoninę czasem podsmażaliśmy. Gdy po południu wyprowadzano nas do ustępu, braлиśmy z sobą plasterki słoniny nadziane jak na rożen na gałązki wyrwane z miotły. W kącie ustępu zapalaliśmy zmiętą gazetę i kilku z nas stojąc dookoła, kręciło nad ogniem nanizaną na patyczek słoninę. Ta

topiła się, tłuszcz kroplami kapał na płonący papier, który przez to dłużej się palił. Po powrocie do celi zaraz zjadaliśmy z chlebem gorącą, okopconą zwykle słoninę, która jednak bardzo nam smakowała. Lecz w końcu wpadliśmy.

Otóż strażnik poczuł kiedyś dym, otworzył drzwi do ustępu i zobaczywszy co się dzieje – wezwał oficera inspekcyjnego. Część słoniny powrzucał do muszli klozetowych, część niektórzy schowali za pazuchy. Po chwili zjawił się w naszej celi oficer inspekcyjny, przejrzał wszystkie miski, lecz zakopconych nie znalazł. Nie domyślił się, że smażyliśmy ją na patyczkach. Mimo to zmieniono nam komendanta celi, którym był wówczas Szumowski.

Mniej więcej raz na miesiąc przeprowadzano dokładną rewizję osobistą i w celi, zwaną w narzeczu więziennym – „kipisz”. Odbывała się ona zwykle rano, przed śniadaniem. Szybko otwierano drzwi i wchodziło do celi kilku strażników, każąc wszystkim wyjść na korytarz. Tu już czekało na nas ze 20 strażników, którzy po ustawieniu nas pod ścianą, kazali rozebrać się do naga. Po sprawdzeniu leżących na podłodze ubrań i bielizny, zaczynał się drugi etap rewizji osobistej. A więc na komendę „Otworzyć usta” – sprawdzano jamę ustną, potem „Ręce do góry, rozstawić palce” – czy nie ma czegoś ukrytego pod pachami lub między palcami, wreszcie „W tył zwrot, pokazać podeszwy” i na zakończenie „Przysiad, rozsnać pośladki” – pilnie oglądali, bo przecież i tu więzień mógł schować kawałek ołówka lub skrawek papieru. Złościła mnie ta rewizja i śmieszyła zarazem. Wprost prowokacyjnie wypinałem na strażników d... Wreszcie pozwalano nam ubrać się i po chwili wrócić do celi, która wyglądała jak po jakimś pogromie.

Wszystko było porzucane. Z sienników wysypywała się przetrząśnięta słoma, nasze rzeczy osobiste, które trzymaliśmy w workach, w strasznym nieładzie walały się na podłodze. Trzeba było wszystko zbierać do kupy, układać, wyszukiwać do pary skarpetki itp. Czasem znajdowano coś nielegalnego: karty do gry, rysowane na kartonikach z pudełek po papierosach, albo kawałek blachy z puszki po konserwie. Taka blaszka wyostrożona na betonowej posadzce, służyła nam jako nóż do krojenia słoniny, cebuli, itp. Przedmioty te zabierano, za karty wsadzano nawet do „karca”.

W ogóle, do „karca” w Lublinie wsadzano więźniów za byle co. Na przykład adwokata Barskiego przetrzymywano w karcu 2 doby za prze-

mówienie, jakie wygłosił w czasie Świąt Wielkanocnych. Przykład ten spowodował, że mając przemówić do współwięźniów w wieczór wigilijny, jako najstarszy w celi, musiałem pilnie wystrzegać się, by nie powiedzieć czegoś, za co mogliby wsadzić mnie do „karca”. Doskonale pamiętam swoje przemówienie i nastrój jaki się przy tym wytworzył. Gdy wspomniałem, że w danej chwili nasze rodziny siadają właśnie do wieczery wigilijnej, a przy stole pozostawiono puste miejsce dla nieobecnego męża, ojca lub syna, zauważyłem, że coraz więcej więźniów zakrywa twarz rękami, lub wyciera chusteczką łzy. To na mnie tak podziało, że chociaż nie mało razy w życiu przemawiałem publicznie, poczułem, że coś mnie ściska za gardło i w obawie, by się zbyt nie wzruszyć – zakończyłem przemówienie. Przekonałem się wówczas jak nasz system nerwowy jest wyczerpany i zachwiany w swej równowadze.

Najbardziej wyczerpywały więźniów śledztwa. A trwały one różnie – od kilku miesięcy do kilku lat. Więzień w tym czasie nigdy, ani w dzień ani w nocy, nie miał pewności, czy go nagle nie wezmą na badanie. Najgorsze było dla mnie wyrywanie z głębokiego snu. Nie można też było przewidzieć przebiegu kolejnego przesłuchania. Czy nie wypłyną jakieś nowe obciążające okoliczności, co zeznawali współoskarżeni, itp. Jeżeli badanie trwało kilka godzin, zwłaszcza późno wieczorem lub w nocy, kiedy badany wprost spadał z krzesła ze zmęczenia, kiedy oficer śledczy z uporem zadawał wciąż jedno i to samo pytanie i trzeba było stale i niezmiennie tak samo odpowiadać, w niczym nie zmieniając tego co się już powiedziało – to trzeba było nie byle jakiego wysiłku, aby to wszystko wytrzymać i się nie załamać. Nieraz wprost zasypiałem na krześle, gdy oficer coś pisał i chwilowo nie zadawał mi pytań. Czasem więzień gotów był na wszystko się zgodzić i podpisać protokół, nawet go nie czytając, aby tylko znaleźć się w celi na swoim wyrku.

Ja zawsze dokładnie go czytałem, zwracając uwagę na formę w jakiej redagowane były moje odpowiedzi, bo od tego nieraz zależała ich istotna treść. Zdarzało się, że oficer umieszczał w protokole to, czego ja w ogóle nie mówiłem. Wówczas stanowczo odmawiałem podpisania protokołu. Nieraz oficer całe stronicę przepisywał na nowo. Muszę jednak przyznać, że i w Zamościu i w Lublinie badanie prowadzono poprawnie, to znaczy nie używano żadnych epitetów i niecenzuralnych wyrazów. Nie było też żadnego bicia. Tak przynajmniej było ze

mną. Chociaż nieraz widziałem więźniów posiniaczonych. Niesłychanie też męczące było badanie bez przerwy w ciągu kilku dni i nocy.

Opowiadał mi kolejarz Ardziński, że badano go kiedyś bez przerwy przez 5 dni – w pozycji stojącej, a gdy padał z wyczerpania oblewano go zimną wodą i siłą stawiano na nogi. Wreszcie całkowicie tracił świadomość tego, co się z nim dzieje. Przestał rozumieć co do niego mówiono, na wszystkie pytania automatycznie odpowiadał „tak”, „tak”, „tak”. Protokół niby podpisał, ale jakimś znaczkiem, tak że potem na rozprawie nawet ówczesny sąd nie uznał prawomocności takiego podpisu.

Wreszcie po 33 przesłuchaniach i w mojej sprawie śledztwo zostało zakończone. Dano mi do odczytania wszystkie akta mojej sprawy. Z ciekawością przeczytałem zeznania niektórych świadków. Dopiero po zakończeniu śledztwa miałem pierwsze widzenie z żoną, w osobnej rozmównicy przedzielonej wzdłuż dwiema ściankami z desek. W ściankach tych znajdowały się naprzeciw siebie małe okienka zakratowane siatką drucianą. Po jednej stronie przy okienku stawał więzień, po drugiej odwiedzający. Pomiedzy ściankami chodzili strażnicy, którzy najczęściej zatrzymywali się przy okienkach i pilnie przysłuchiwali się rozmowom. Według regulaminu rozmowa mogła trwać 15 minut, w rzeczywistości zaś strażnicy skracali widzenie do 2 – 3 minut.

Wkrótce przyszedł na widzenie adwokat Kobusiewicz, który miał mnie bronić. Widziałem się z nim i rozmawiałem w kancelarii szpitala. Bardzo przyjemny i dostatnio ubrany pan, cały tchnący wolnością. Powiedział mi, że zaznajomiwszy się z aktami mojej sprawy, uważa, że nie przedstawia się ona dla mnie zbyt pomyślnie, że oskarżenia są poważne i niestety grozi mi kara do 7 lat więzienia. Trochę mnie to speszyło, ale jakoś trudno mi było w to uwierzyć.

Opisując warunki i stosunki więzienne chciałbym też opisać pokrótce szpital na Zamku. Zajmował on całe dwa skrzydła na pierwszym piętrze we frontowym gmachu więziennym. Oprócz licznych sal dla chorych, były tu gabinety dla lekarzy, dla dentysty, sala operacyjna, sala opatrunkowa, pracownia rentgenologiczna, apteka, itd. Ogólne wyposażenie było zupełnie dobre. Komendantem szpitala był ppłk dr Hans, którego kiedyś przelotnie tylko widziałem. Najważniejszą rolę odgrywał tu major Szymon Willstejn, Żyd, który zasłużył na to, aby mu kilka słów specjalnie poświęcić. Był ordynarny, znieawidzony przez więźniów, bo niemal w każdym przypadku dopatrywał się symulacji

choroby. Czasem posuwał się nawet do tego, że z punktu kazał odprowadzać do karcera więźnia, u którego nie mógł stwierdzić objawów jakiegось cierpienia. Więźniowie tak się go bali, że nawet naprawdę chorzy woleli nie zgłaszać choroby by tylko nie mieć z nim do czynienia. W pamięci byłych więźniów przebywających na Zamku w Lublinie dr Willstejn pozostawił po sobie jak najgorsze wspomnienia. Drugim lekarzem był kpt. Domański, bardzo przyzwoity i spokojny człowiek. Przychodziła też z miasta jakaś kobieta, ale tylko parę razy widziałem ją na korytarzu, gdy bywałem w szpitalu. Najwięcej jednak pracował w szpitalu dr Ziółkowski, odsiadujący tu karę za jakieś przewinienie poborowe. Był on zajęty cały dzień, na nim właściwie opierał się cały szpital, on też prowadził pracownię rentgenologiczną. Odznaczał się wielką ostrożnością, starał się niczym nie narazić administracji. Lecz w końcu wpadł – jak powiadali – za jakiś flirt z młodą pielęgniarką dochodzącą z miasta. W ciągu kilkunastu godzin już go na Zamku nie było. Wywieziono go do innego więzienia. Dentystą był bardzo dobry chirurg-stomatolog z armii niemieckiej. W czasie swojego pobytu na Zamku skończył mu się wyrok i wyjechał do Niemiec. Po polsku nauczył się mówić wcale nieźle, leczyli u niego zęby nie tylko więźniowie, lecz i cała administracja, co jednak nie chroniło go przed tym, że od czasu do czasu wsadzano go do „karca”.

Raz w tygodniu prowadzono nas do łaźni. Mieściła się ona na piętrze osobnego budynku na placu zamkowym. W budynku tym, na parterze, znajdowała się też kuchnia więzienna, pralnia i jakieś magazyny. Tak więc do łaźni trzeba było przechodzić przez podwórze. W łaźni korzystaliśmy tylko z natrysków z gorącą wodą. Zdawaliśmy brudną bieliznę, dostawali świeżą. Co kilka tygodni ubrania nasze, w tym czasie kiedy się myliśmy, poddawano dezynfekcji. Po kąpeli nie dawano nam czasu nawet na porządne obtarcie się ręcznikiem. Musieliśmy bardzo szybko ubierać się i wychodzić na podwórze. Tu ustawiano nas dwójkami i dopiero prowadzono na oddział. W miesiącach zimowych, podczas mrozów, buchała od nas para i trzęśliśmy się z zimna. Podnosiliśmy tylko kołnierze od marynarek, żeby przykryć trochę szyję, na głowy narzucaliśmy mokre ręczniki. Ja trzymałem się jakoś wyjątkowo dobrze i nigdy nie miałem nawet kataru po takiej łaźni.

Jedno tylko muszę przyznać na korzyść więzienia: podczas prawie rocznego pobytu na Zamku, przeważnie w po brzegi zatłoczonych

celach, ani razu nie widziałem na sobie ani na kolegach wszy lub pluskwy. A przecież dawniej w więzieniach była to prawdziwa plaga. Raz tylko zauważyliśmy u paru nowo przybyłych więźniów gnidy na włosach. Natychmiast ich ostrzyżono.

Ponieważ wszyscy byliśmy w okresie śledztwa lub po sprawie, lecz z nie zatwierdzonymi jeszcze wyrokami, więc mogliśmy mieć swoje ubrania i nosić dłuższe włosy a nawet brody i wąsy. Raz w tygodniu więźniowie – fryzjerzy golili nas i w razie potrzeby strzygli.

Jedzenie mieliśmy na ogół znośne, chociaż bardzo jednostajne. Czasem 4 lub nawet 5 razy w tygodniu dawano nam kaszę jęczmieniową. Przez dłuższy czas potem nie mogłem nawet na nią patrzeć. Bardzo dużym urozmaiceniem były otrzymywane z domu, raz w tygodniu, paczki żywnościowe o wadze do 3,5 kilograma. Mogły one zawierać masło, słoninę, smalec, cukier, pieczywo, cebule, marchew, rzodkiew, papierosy. Żadnych słodyczy, ciastek itp. nie wolno było przysyłać. Paczki te sprawiały mi dużą przyjemność. Gdy rozwijałem starannie zapakowany, owinięty w papier każdy z osobna artykuł, wprost wyczuwałem niezwykłą troskę żony. Czasem wprost wydawało mi się, że widzę ślady jej łez... Lecz przed oddaniem paczki oddziałowy dokładnie ją rewidował, każdą bułkę przecinał w wielu miejscach, tak samo słoninę. Papierosy w paczkach lub pudełkach, które mi żona stale przysyłała, żebym miał dla kolegów, bo sam przecież nie palę – zawsze przecinano na pół.

Od 1 stycznia 1951 roku wstrzymano przysyłanie paczek z domu. Można już było za pieniądze, które więzień miał w depozycie, kupować niektóre artykuły, na miejscu. Dwa razy w miesiącu przychodził oddziałowy zajmujący się tzw. „wypiską” i notował, kto co sobie zamawia. Po paru dniach przynoszono nam to do celi.

Pisać do domu mogliśmy 2 razy w miesiącu. Otrzymywać listy z domu – też dwa razy. Z początku przynoszono nam listy do celi, lecz po pewnym czasie trzeba je było oddawać. Mało kto jednak to robił, przeważnie listy niszczyliśmy. Potem zmieniono ten system. Listy adresowane do nas szły do cenzury więziennej, po kilku dniach oficer polityczny wzywał każdego z osobna do siebie i dawał do odczytania list, który następnie zatrzymywał u siebie. Czasem zadawał jakieś pytania w związku z treścią listu, żądał wyjaśnienia co znaczy ten lub inny zwrot.

Pomimo zakończenia śledztwa, jeszcze parę razy wzywano mnie na dodatkowe przesłuchanie. Raz na przykład zaprowadzono mnie do budynku administracji, do osobnego pokoju, gdzie oczekiwało na mnie dwóch, jak mogłem się zorientować, przyjezdnych oficerów. Zapytano mnie co wiem o Adamie Piotrowskim. A ja naprawdę o takim nie słyszałem. „Jak to nie słyszeliście, jeżeli daliście mu swoją książkę z dedykacją”. Odpowiedziałem, że znałem bardzo wielu ludzi w konspiracji, ale tylko z pseudonimów. „A czy znaliście „Dolinę”. Dopiero teraz zorientowałem się, że Piotrowski to „Dolina”, któremu rzeczywiście posłałem kiedyś jeden tom swego wydawnictwa, prosząc o napisanie wspomnień z jego walk partyzanckich na Zamojszczyźnie. Od tego czasu już nigdy nie piszę na ofiarowywanych książkach żadnych dedykacji. Tak samo nigdy już nie wygłaszam żadnych toastów na przyjęciach imieninowych, bo kiedyś podczas śledztwa jeszcze w Zamościu żądano ode mnie, żebym powtórzył treść swojego przemówienia na imieninach dr. Spoza w Szczepieszynie, wznosząc toast na jego cześć. Mieli o tym dokładną wiadomość. Gdy sobie przypominałem, kto był na tych imieninach, w żaden sposób nie mogłem zorientować się skąd i od kogo pochodziły tego rodzaju informacje. Dopiero parę lat później dowiedziałem się, kto był na usługach UB.

Kiedyś zdążyła mi się zabawna historia. Wywołał mnie na korytarz dyżurny oddziałowy i zapytał czy mógłbym mu coś napisać o rewolucji październikowej w Rosji. Potrzebne mu to było jako wypracowanie domowe, bo przechodził jakieś przeszkolenie, a sam pisał z wielką trudnością, o czym mogłem przekonać się naocznie. – Chętnie się zgodziłem. Zamknął mnie na parę godzin w małej pustej celi, gdzie zwykle umieszczano chorych na świerzb, dał mi papier i pióro. Na oczekaniu napisałem mu kilka dużych stron kancelaryjnego papieru, co przyszło mi z wielką łatwością ponieważ w tym okresie sam byłem w Rosji i widziałem w Moskwie niejedno. Gdy mu przeczytałem to, co napisałem, był zachwycony. Po paru tygodniach powtórzyło się to samo, lecz na inny temat – „Jak powstała Armia Czerwona w Rosji”. – Ku jego wielkiemu zadowoleniu napisałem i to. Od tego czasu zaczął mniej ściśle rewidować moje paczki przysyłane z domu.

Po kilku tygodniach wywołał mnie znów na korytarz i ściszym głosem zapytał: „Klukowski, a potraficie napisać mi list do dziewczynki”. – „Czemu nie, i owszem”. Zaprowadził mnie do owej

celki świeżbowatych i tu w cztery oczy odbyliśmy krótką, wstępną rozmowę na temat tej dziewczynki, a więc: ile ma lat, blondynka czy brunetka, jakie ma oczy, czy dawno się znają, czy się całowali, czym się zajmuje, gdzie mieszka itd. Na wszystkie pytania odpowiadał mi dokładnie i rzeczowo, Zdetonował się tylko, gdy go zapytałem – „no dobrze, ale pan przecież ma żonę i dziecko”. Wszyscy wiedzieliśmy że właśnie dopiero co odbył się jego ślub i równocześnie chrzciny dziecka. Zdziwił się niepomiernie, że więźniowie już o tym wiedzą, ale machnął tylko ręką i powiedział: „E – to nic nie szkodzi”. Napisałem więc i list miłosny, wychwalając urodę dziewczynki i jego nieukojoną tęsknotę. Po kilku dniach znów mnie wywołał i dał do przeczytania odpowiedź, w której panienka zachwycała się treścią jego listu i podziwiała jego zdolność pisanie coraz to innym charakterem. Na pytanie co to ma znaczyć, wyjaśnił mi, że przede mną już mu paru innych więźniów pisało do niej listy, a on ich nie przepisywał, tylko wysyłał w oryginale. Tak zrobił i z moim listem. Teraz prosił o napisanie nowego listu. Tym razem nie pożałowałem trudu i napisałem list pełen namiętności, pożądania, tęsknoty, opisów bezsennych nocy i uroczych marzeń. Tym listem był tak zachwycony, że tylko rękę w łokciu zginał i powtarzał „Ech, klawo!”.

Na tym liście zakończył się mój udział w jego idylli miłosnej. W tym czasie popełnił on jakieś nadużycie służbowe, przywłaszczając sobie pieniądze więźnia przekazywane do depozytu. Za karę dostał kilka dni aresztu, po czym przeniesiono go na inny oddział.

Z biegiem czasu coraz bardziej przyzwyczajaliśmy się i oswajali z więziennym trybem życia i obowiązującymi przepisami. Tak na przykład, gdy na nasz oddział wchodził na inspekcje naczelnik więzienia lub jakiś dygnitarz z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z Warszawy, oddziałowy na korytarzu pełnym głosem wołał: „Bacność”. We wszystkich celach więźniowie musieli momentalnie stawać w szeregu i stać w milczeniu czekając aż ktoś przyjdzie, albo na odwołanie alarmu.

Gdy wywoływano kogoś z nas z celi na przesłuchanie lub widzenie, trzeba było podejść do oddziałowego, stanąć na bacność i zameldować: „Obywatelu oddziałowy, więzień śledczy „X” melduje odejście na przesłuchanie”. Gdy więzień wyszedł za próg celi, od razu musiał zakładać ręce do tyłu, tylko podczas spaceru wolno było trzymać ręce jak kto chciał. Tak do tego przywykliśmy, że przy każdym

wyjściu z celi, czyniliśmy to odruchowo. Gdy po roku wróciłem do domu, jeszcze przez dłuższy czas tak chodziłem. Dopiero żona oduczyła mnie tego.

W więzieniu na Zamku dostawaliśmy do czytania książki. Co pewien czas przychodził więzień obsługujący bibliotekę i przynosił na oddział kilkadziesiąt książek. Z każdej celi wychodził na korytarz jeden z więźniów i wybierał książki dla swojej celi. Zwykle mnie przypadło to w udziale. Mogliśmy też prenumerować parę pism. Jednak bezczynność bardzo więźniów gnębiła. Przyniesionych książek starczyło zaledwie na parę dni, gazet na pół godziny. Ciasnota była taka, że swobodnie nie można było poruszać się w celi. Dla ruchu spacerowaliśmy pośrodku celi, para za parą dookoła, od czasu do czasu zawracając w odwrotnym kierunku. Dużo grywaliśmy w szachy, nieraz aż do znudzenia. Bardzo popularna była też gra „towarzyska” zwana w więzieniu „salonowcem” lub „dupakiem”. Polegała ona na tym, że jednemu z więźniów zawiązywano chustą oczy, po czym pochylał się on do przodu wypinając pośladki. Dookoła niego tłoczyli się więźniowie i jeden ze stojących kolegów uderzał go dłonią w tyłek. Stojący z zawiązanymi oczami musiał odgadnąć, kto go uderzył. Jeżeli nie poznał, pozostawał nadal w tej pozycji i dostawał kolejnego „klapsa”. Trwało to tak długo dopóki nie odgadł kto go uderzył. Wówczas rozpoznany zajmował jego miejsce i zaczynała się nowa kolejka. Niektórzy nie żalowali rąk i walili z taką siłą, że czasem gracze całe pośladki mieli w sińcach. Gra była bardzo rozpowszechniona. Gdy podczas spaceru przechodziliśmy pod otwartymi oknami cel na parterze, często słyszeliśmy pojedyncze klaskania i śmiech.

Porozumiewanie się z więźniami przebywającymi w sąsiednich celach za pomocą pukania w ścianę było stosowane, ale niezbyt często, ze względu na „kapusiów” znajdujących się w prawie każdej celi.

Zdarzały się czasem wypadki, że więzień chcąc przyśpieszyć zakończenie śledztwa żądał przybycia prokuratora i do tego czasu ogłaszał głodówkę. Po paru dniach, jeżeli więzień wbrew nakazom przedstawicieli administracji więziennej nie przerywał głodówki, zabierano go do szpitala i tam stosowano sztuczne karmienie. Nie trwało to jednak długo, ponieważ rzeczywiście prokurator wkrótce się zjawiał.

Po paru tygodniach pobytu na Zamku, już po kwarantannie, zauważyliśmy że strażnik po otwarciu celi, nigdy sam do niej nie

wchodził, zawsze towarzyszył mu drugi. Od starszych więźniów, nazywanych „zakapiorami”, dowiedzieliśmy się, że kiedyś miał miejsce następujący wypadek. Do celi oczekujących na wykonanie kary śmierci wszedł strażnik, wtedy jeden z więźniów, nie panujący już nad swoimi nerwami, schwytał nagle ciężką, metalową pokrywę kibla i z całej siły uderzył nią w głowę strażnika, który podobno zginął na miejscu. Od tego czasu zabroniono strażnikom w pojedynkę wchodzić do celi.

Bardzo przykre było dla nas bliskie sąsiedztwo z dwiema celami (A 2 i A 3) przeznaczonymi dla więźniów skazanych na karę śmierci. Nieraz miesiącami czekali oni w strasznej niepewności na ułaskawienie lub na wykonanie wyroku. Czasem mieliśmy możliwość widzieć jak prowadzono ich koło naszej celi do ustępu. Na spacer nie wyprowadzano ich nigdy. Wymizerowani, bladzi, z zapadniętymi błyszczącymi oczami, wyczerpani do ostateczności. Wygląd ich był wyjątkowo żalospny.

Najgorsze bywały noce, bo tylko wtedy zabierano ich, by wykonać wyrok. Czasem w nocy na korytarzu słychać było jakiś hałas i liczne kroki. Już wiedzieliśmy, że prowadzą kogoś na śmierć. Rano gdy szliśmy do ustępu, widzieliśmy na stole w końcu korytarza złożone ubranie i drewniaki rozstrzelanego lub powieszonoego tej nocy więźnia. Robiło to na nas bardzo silne wrażenie i przez kilka godzin widać było w celi ogólne przygnębienie.

Po zakończeniu śledztwa poczułem się znacznie spokojniejszy i pewniejszy siebie. Wiedziałem, że już w nocy nie będą mnie zrywać ze snu na przesłuchanie, że za parę miesięcy odbędzie się moja sprawa, a wbrew temu co przepowiadał mój adwokat, jako niepoprawny optymista, nie traciłem wiary w swoją szczęśliwą gwiazdę. Bardzo też dużą rolę odgrywało to, że mogłem nareszcie choć raz w miesiącu widzieć się z żoną.

Wkrótce doręczono mi akt oskarżenia. Przeczytałem go tyle razy, że wprost umiałem na pamięć. Przy pierwszym czytaniu wyglądał on dość groźnie, lecz po głębszej analizie doszedłem do przekonania, że jednak zarzuty przeciwko mnie nie są nazbyt poważne i że z niektórych bardzo łatwo potrafię się wybronić.

Oskarżenie składa się z szeregu punktów. Nad każdym punktem z osobna długo się zastanawiałem i w myśli przygotowywałem się do tego, co i jak mam mówić. Pozostał tylko jeden, najważniejszy zarzut

– że wiedziałem z ust Skowiry o istnieniu nielegalnej organizacji i nie zawiadomiłem o tym Urzędu Bezpieczeństwa. Wobec zeznań Skowiry nie mogłem temu zaprzeczyć. Najwięcej myślałem nad tym, jak mam się tłumaczyć, dlaczego nie powiadomiłam UB o wizycie Skowiry..? I podobnie jak prof. Czuma postanowiłem w żadnym wypadku nie okazywać jakiegokolwiek skruchy ani też prosić o łagodny wymiar kary.

Rozprawy sądowej doczekałem się 1 grudnia 1950 r. Przed sprawą każdego więźnia golono, strzyżono i pilnowano, żeby przyzwocie wyglądał. Tak też i ze mną było. W karetku więziennym z małym okienkiem, przez które było widać tylko dachy domów, przewieziono mnie i jeszcze kilku więźniów do Sądu Wojskowego przy ulicy Okopowej. Przed wejściem do sądu czekała na nas mała grupa naszych bliskich. Wśród nich zobaczyłem i moją żonę, z którą miałem możliwość przelotnie się przywitać. Odprowadzono nas najpierw do małego pokoju i zamknięto na klucz. Stamtąd pojedynczo prowadzono nas na salę rozpraw. Na korytarzu znów zobaczyłem żonę.

Rozprawa odbywała się przy drzwiach zamkniętych. Na salę rozpraw nie wpuszczono nikogo. Zdaje się, że obawiano się jakiegokolwiek manifestacji, jak na sprawie Czumy. Przebieg tej rozprawy był bardzo szablonowy: ustalenie danych personalnych, odczytanie aktu oskarżenia, żądanie z mojej strony powołania kilku świadków itp. Odpowiadałem na zadawane pytania, odpierałem stawiane mi zarzuty. Gdy mnie zapytano jakie zapomogi dawałem wdowom po zabitych partyzantach i z jakich funduszy – byłem nieco w kłopotcie. W rzeczywistości większą sumę pieniędzy przywiózł mi kiedyś z Warszawy S. – powierzając rozdanie potrzebującym, według mojego uznania i nie żądając żadnych pokwitowań. Rozdałem je częściowo sam, a głównie jednak za pośrednictwem nauczycieli – wdowom po partyzantach, mającym dzieci w wieku szkolnym. Chociaż nie żądano ode mnie pokwitowań, to jednak brałem je od wszystkich, ażeby móc przy sposobności zdać sprawozdanie, komu ile dałem. A faktycznie to sam nie wiem do dziś, od kogo te pieniądze pochodziły. Wytłumaczyłem to w ten sposób: na zamówienie Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich napisałem większą pracę o akcji wysiedleńczej w Zamojszczyźnie. Rzec została wydrukowana w II tomie biuletynu Głównej Komisji, a oprócz tego wydana w postaci osobnej broszury z przedmową ministra Świątkowskiego. Otrzymałem za to niezłe honorarium

autorskie, a ponieważ w tym czasie dobrze zarabiałem jako lekarz, nie chciałem korzystać z pieniędzy wypłaconych mi za pracę historyczną. Dlatego pieniądze rozdałem, a pokwitowania brałem, żeby wdowy po partyzantach nie miały wrażenia, że otrzymują coś w rodzaju prywatnej jałmużny ode mnie, tylko zapomogi od jakiejś instytucji charytatywnej. Tłumaczenie moje zostało przez sąd przyjęte, jednak zarządzono przesłuchanie osób podpisanych na pokwitowaniach. Gdy po paru tygodniach przysłano z UB w Zamościu protokoły przesłuchań obdarowanych wdów, potwierdzające moje tłumaczenie – ten punkt oskarżenia upadł całkowicie.

Gdy ogłoszono przerwę przewodniczący dał pozwolenie wpuszczenia na salę rozpraw żony, z którą około godziny rozmawiałem zupełnie swobodnie, bo pilnujący mnie milicjant usiadł w ławce dość daleko od nas. Po przerwie odbył się dalszy ciąg rozprawy, nie zakończono jej jednak w tym dniu i odłożono do czasu zebrania uzupełniających materiałów i powołania świadków dowodowych.

Potem jeszcze 5 razy wożono mnie do sądu. Dwa razy do rozprawy nie doszło, bo przewodniczący ppłk Wiercioch był służbowo gdzie indziej. Raz posiedzenie sądu po przesłuchaniu świadków dowodowych – Marii Kowalikowej i Edwarda Dubla – przerwano. Dalszy jej ciąg odbył się tego samego dnia w godzinach wieczornych na Zamku dokąd przyjechał cały skład sądu, by przesłuchać świadków przebywających w więzieniu – Skowyrę i „Irkę” Gołębiowskiego.

18 kwietnia 1951 r. po raz szósty zawieziono mnie na rozprawę – tym razem ostatnią. Jechało nas w zamkniętej budzie 18 więźniów. 15 było skutych, tylko 3 nie miało na rękach kajdan, w tej liczbie i ja.

Wprowadzono mnie na salę rozpraw. Pierwszy raz pozwolono żonie być na sprawie. Towarzyszył jej Eligiusz Drożdżyk, jeden z naszych przyjaciół ze Szczepieszyna. Na krótko przed wejściem na salę całego składu sądu zjawił się adwokat Kobusiewicz. Podszedł do mnie uśmiechnięty i wbrew temu co mi stale powtarzał, że nie minie mnie kara kilku lat więzienia, powiedział tylko: „Panie doktorze, jest dobrze, wszystko nagle się odmieniło, dzisiaj wyjdzie pan na wolność”. Po małej chwili wszedł sąd i zaczęła się rozprawa. Daleko odbiegała ona od zwykłego szablonu i dlatego zaraz po powrocie do domu, na gorąco, wszystko zapisałem i teraz przepisuję dosłownie tylko to, co wówczas zanotowałem.

LATA 1952-1954

1.XI.1956. Czwartek. Pierwszy dzień urlopu w Nałęczowie. Mam tu spędzić od 3 do 4 tygodni. Postanowiłem skorzystać z wolnego czasu, którego w domu zawsze mam za mało i spisać wspomnienia z ostatniego aresztowania w roku 1952 i pobyt w więzieniu na Mokotowie w Warszawie i we Wronkach w latach 1952-1954.

*

W ostatnich dniach czerwca 1952 r. wybrałem się na kurację sercową do Polanicy. W niedzielę 29 czerwca rano, przyjechałem do Warszawy i zatrzymałem się u kuzynek Basi i Niusi Janiszowskich. Cały dzień spędziłem z synem Tadeuszem, z Hanką Przyczynkową (narzeczoną Tadeusza) i kuzynkami, nigdzie z nimi nie wychodząc. Wieczorem Tadek z Hanką pojechali do Józefowa pod Warszawą, gdzie mieszkali, ja zaś pozostałem na noc u Janiszowskich, mając zamiar nazajutrz wieczorem jechać dalej, do Polanicy.

W poniedziałek, 30 czerwca, o godzinie 6 rano usłyszeliśmy energiczne dobijanie się do drzwi wejściowych. Gdy starsza kuzynka Basia otworzyła drzwi, szybko weszło do pokoju trzech młodych mężczyzn, ubranych po cywilnemu, z rewolwerami w rękę i palcami na cynglu.

O ile mogłem od razu się zorientować, ten który wszedł pierwszy, kierował całą akcją. Najpierw podszedł do leżącej na tapczanie młodszej kuzynki Niusi i zapytał jak się nazywa. Gdy odpowiedziała, że Jadwiga Janiszowska, kazał jej zaraz wstać i ubrać się. Następnie podszedł do mnie, zapytał kim jestem i nic mi nie powiedział.

Przystąpiono tymczasem do powierzchownej rewizji. Zabrano dość dużą paczkę listów Niusi. Gdy ta była już ubrana ów starszy ubowiec powiedział, że jest aresztowana i kazał iść z sobą. Po chwili zjawił się jeszcze jeden ubowiec. Tak więc zostało ich w mieszkaniu trzech. W dalszym ciągu przeprowadzali jeszcze rewizję, ale dość pobieżnie. Trochę mnie dziwiło, że zaczęli z nami rozmawiać dość swobodnie, usiedli przy stole i wcale nie mieli zamiaru nas opuścić. Dopiero wówczas zrozumiałem, że jesteśmy w tzw. „kotle”.

Po kilkunastu godzinach zmienili ich trzej inni ubowcy.

W ciągu dnia przyszły, po kolei dwie pracownice z biura Basi, aby się dowiedzieć, dlaczego nie stawiała się w pracy. Obie zostały zatrzymane.

Wieczorem zjawił się ów „starszy”, który rano aresztował Niusię. Wziął mnie bok i przeprowadził krótkie dochodzenie, pytając o Tarka – kiedy wyjechał, jak był ubrany, jakiego koloru miał spodnie i czy nie miał na ciele jakich szczególnych znaków. Z tego zrozumiałem, że go jeszcze nie aresztowali.

Nazajutrz cały dzień spędziliśmy razem – trzej ubowcy i nas czworo, bardzo niepewnych co do swego dalszego losu. Ponieważ w domu kuzynek nic już nie było do jedzenia, więc jeden z naszych aniołów-stróżów poszedł do miasta i za moje pieniądze przyniósł nam trochę „suchego prowiantu”.

Po paru dniach, wieczorem, przyszła jakaś koleżanka Niusi. Tę również zatrzymano.

Wreszcie o północy z 3 na 4 lipca zjawiło się kilku nowych ubowców. Przyjechali tylko po mnie. Około godziny 1-ej w nocy byłem już w X pawilonie więzienia na Mokotowie. Na razie umieszczono mnie w małej, pojedynczej celi na najwyższym piętrze ogromnej hali więziennej. Oczywiście myślałem tylko o tym, co ze mną będzie dalej.

Po pewnym czasie przyszedł strażnik i zaprowadził mnie do znajdującego się na tym samym piętrze dużego gabinetu oficera dyżurnego. Tuż przy wejściu, w rogu, stało krzesło dla badanego, po przeciwnej stronie, pod oknem, znajdowało się biurko, przy którym siedział oficer. Zameldowałem się, jak tego wymagał regulamin więzienny. Oficer kazał mi usiąść na krzesło i zadał kilka pytań. Dość długo patrzył na mnie w milczeniu, wreszcie pokiwał głową i powiedział: „Ech, stary idiota”. I zadał mi jeszcze jedno pytanie – do jakiej należą organizacji. Gdy mu odpowiedziałem, że do żadnej – w złości zerwał się z krzesła, zawołał strażnika i kazał mu odprowadzić mnie do celi.

Nazajutrz jeszcze cały dzień trzymano mnie w pojedynce i dopiero na trzeci dzień zaprowadzono do celi na parterze. Tu zastałem 5 więźniów. Z nazwisk pamiętam tylko młodego magistra filozofii Krasnowolskiego, uczestnika powstania warszawskiego, człowieka bardzo inteligentnego i sympatycznego, magistra praw Sochę, byłego wiceprezydenta Lublina, ostatnio sędziego w Warszawie. Dopuścił się

on jakichś poważniejszych nadużyć pieniężnych – tak na jednym, jak i na drugim stanowisku. Wyrokiem sądu został skazany na karę śmierci. Jak się później dowiedziałem, wyrok ten wykonano. Oprócz nich było jeszcze 3, których nazwisk nie mogę sobie przypomnieć – wszyscy trzej polityczni. W ten sposób zaczął się najcięższy dla mnie okres, tj. od chwili aresztowania do rozprawy sądowej.

Prawie codziennie, czasem nawet 2 razy dziennie – przed południem i wieczorem, wzywano mnie na śledztwo. Oddziałowy, wywołując więźnia z celi, nie wymieniał jego nazwiska, mówił tylko pierwsze litery nazwiska i imienia. Gdy więc usłyszałem „K. Z.” musiałem odpowiedzieć „jestem”, szybko zerwać się z miejsca i podejść do drzwi. Przesłuchiwania odbywały się na drugim piętrze, w małych separatkach, takich samych jak cele. Znajdował się tu tylko stół, 2 krzesła i czasem szafa na akta. Parę razy zaprowadzono mnie do sąsiedniego gmachu, popularnie zwanego pałacem, połączonego z X pawilonem wąskim korytarzem podziemnym. Tu gabinety oficerów śledczych były urządzone bardzo przyzwoicie – z dywanami, biurkami, szafami, itp. Tu przesłuchiwano przeważnie aresztowanych z poważniejszymi oskarżeniami. Czasem do naszej celi dolatywały stąd jakieś krzyki i głośny płacz przesłuchiowanych, zwłaszcza kobiet.

Badania były bardzo ciężkie, przykre i męczące. Gdy prowadzono mnie po żelaznych schodach na najwyższe piętro, oddziałowy popędzał i przynaglał do pośpiechu. Kluczami postukiwał po poręczy schodów dając tym sposobem znać, żeby nie wyprowadzano w tym samym czasie kogokolwiek z innej celi. Chodziło o to, ażeby więźniowie nie spotykali się na korytarzu lub na schodach. Wchodziłem do gabinetu oficera śledczego, popularnie zwanego „śledziem” tak zaspawany, że nie mogłem ani tchu złapać ani poprawnie się zameldować. Nieraz „śledź” zauważywszy to kazał mi najpierw trochę odpocząć i dopiero potem zaczynał zadawać mi pytania.

Idąc na badanie nigdy nie wiedziałem o co i jak będę pytany. Myślałem tylko o tym, żeby się mocno trzymać, żeby się nie załamać, nie dać się podejść przebiegle i podstępnie sformułowanymi pytaniami, nikogo nie „wsypać”, a przy wielokrotnie zadawanych, jednych i tych samych pytaniach, zawsze dawać jednakowe odpowiedzi, możliwie do niczego się nie przyznając. Wszystkie badania strasznie wyczerpywały mnie nerwowo. Starałem się być jak najbardziej spokojny

i opanowany, a to mnie kosztowało bardzo dużo. Przy przesłuchaniach wieczornych, które przeciągały się nieraz do późnych godzin nocnych, bywałem już tak zmęczony i wyczerpany, że z trudem trzymałem się na krześle. Gdy oficer śledczy wychodził czasem na korytarz lub pisał coś nic nie mówiąc, to siedząc zasypiałem.

„Śledź” (nazwiska nie pamiętam) był w randze starszego sierżanta, nawet pisać poprawnie po polsku nie potrafił. Z początku zachowywał się zupełnie poprawnie. Starał się wciągnąć mnie do rozmowy wprost jakby towarzyskiej, na tematy daleko odbiegające od zasadniczego śledztwa. Potem zaczął zadawać pytania dotyczące mnie osobiście i osób mi bliskich, najwięcej interesował się Tadkiem, Teresą Biczynską, Niusią i Hanką Przyczynkową. Zapewniał mnie, że Teresa i Nusia wszystko już o mnie powiedziały i z mojej strony nie ma żadnego celu wypierania się kontaktu z organizacją podziemną. Ja uparcie wszystkiemu zaprzeczałem i do niczego się nie przyznawałem. Straszyl mnie konfrontacją z Teresą i Niusią, na co ja chętnie się zgadzałem, lecz do tego nigdy nie doszło.

Po kilku dniach tak prowadzonego śledztwa, kiedy się przekonał, że niczego ode mnie się nie dowie, nagle zmienił taktykę. Pewnego razu huknąwszy pięścią w stół, zaczął w niesłychanie ordynarny sposób wymyślać, posługując się nie nadającymi się do powtórzenia wyrażeniami w języku polskim i rosyjskim. Zadawał mi wciąż jedno i to samo pytanie, abym mu powtórzył rozmowę z Teresą, która rzekomo miała mnie namawiać do współpracy z jakąś nielegalną organizacją. Kłął przy tym bez żadnego umiaru. Wówczas oświadczyłem mu z całą stanowczością, że jeżeli w takiej formie będzie prowadził dochodzenie, to absolutnie na nic odpowiadać mu nie będę. I całymi godzinami siedziałem na krześle nieruchomo i milcząco, przepisowo trzymając dłonie na kolanach. Mimo woli zaciskałem zęby i czułem jak mi drżą napięte mięśnie szczęki. „Śledź” wściekał się, wrzeszczał, czasem zrywał się ze swojego krzesła, biegał po pokoju, zatrzymywał się przede mną, wkładał prawą rękę do kieszeni mówiąc „tak mnie ręka swędzi, żeby zbić tę wstrętną gębę”. Czasem przysiadł tuż przede mną patrząc na mnie z dołu, najwyraźniej prowokując do jakiegoś nieoczekiwanego odruchu z mojej strony. Do znużenia powtarzał pytanie: „no, jak tam było z Biczynską”. Na to od czasu do czasu uparcie oświadczałem, że na tak prowadzone śledztwo, odpowiadać nie będę.

Tak odbyło się kilka z rzędu przesłuchań. Fizycznie i psychicznie byłem już niemal całkowicie wykończony. Trzymałem się resztkami sił. Serce słabło mi coraz bardziej, co 3 – 4 uderzenia wyczuwałem przerwy w tętnie, obrzęki na nogach były już coraz większe i nie schodziły nawet po kilkugodzinnym śnie.

A „śledź” wściekał się w dalszym ciągu. Czasem przyprowadzał kogoś ze swych kolegów i we dwóch starano się nakłonić mnie do zeznań, lecz wobec posługiwania się przez nich nader sprośnym słownictwem – nadal milczałem jak zakłęty.

Na parę dni przesłuchiwanie przerwano, lecz trwałem wciąż w silnym napięciu nerwowym. Przy każdym zgrzycie klucza w drzwiach celi, zwłaszcza w nocy, serce zaczynało walić silniej wobec niepokoju i niepewności – po mnie czy nie po mnie...

Wreszcie któregoś dnia znów wezwano mnie na śledztwo. Zaprowadzono do innego niż zwykle pokoju i tu zobaczyłem przy stole już innego „śledzia”. Był to chorąży czy też podporucznik Musiał. Ten zaczął śledztwo jak gdyby od nowa, bardziej rzeczowo, sucho i oficjalnie, lecz już bez żadnych wyzwisk i przekleństw. Moje odpowiedzi nie zawsze go zadowalały i pisząc protokół nieraz zmieniał je, nadając im inny sens. Po zakończeniu przesłuchania dawał mi protokół do odczytania i podpisania u dołu każdej stronicy z osobna. Czasem jednak odmawiałem podpisania jakiejś strony, gdy zawierała ona to, czego ja nie mówiłem. Wiedziałem, że „śledź” był zły, ale nic nie mówiąc, całą stronę redagował i pisał na nowo.

Ten nowy śledczy też kilka razy wspomniał o konfrontacji z Teresą i Niusią, lecz do tego nie doszło. Dał mi tylko do odczytania ich protokoły przesłuchania w części dotyczącej mnie. Ze zdziwieniem, na wstępie protokołu Niusi, przeczytałem dosłownie: „Zapytana czy chce zeznawać w sprawie Klukowskiego odpowiedziała: owszem chcę”. – Nie wierzyłem też własnym oczom, gdy czytałem niektóre ustępy jej zeznania zawierające dokładnie treść rozmowy, jaką prowadziliśmy w 4 oczu. Zupełnie to samo było w zeznaniach Teresy. Mówiła o takich rzeczach, o których wspominać nie było żadnej potrzeby, o niektórych naszych rozmowach prowadzonych również bez świadków. Zrozumiałem, że podczas przesłuchiwania „śledź” zapewniał je, że nie ma sensu cokolwiek ukrywać bo „przecież Klukowski wszystko już tam powiedział, a sobie możecie tylko zaszkodzić”. W ten sam sposób tłumaczył i mnie, że nie muszę się

krępować i mogę o nich mówić zupełnie śmiało, bo przecież one już same wszystko powiedziały. Tylko że ja nie dałem się złapać i kategorycznie wszystkiemu zaprzeczyłem. I potem całe oskarżenie przeciwko mnie oparte było prawie wyłącznie na ich zeznaniach. Żadnych innych świadków oskarżenia nie było. Ani Hanka Przyczyńkówna, ani Tadek, ani nikt inny – a pytano o mnie prawie każdego aresztowanego z terenu Zamojszczyzny – nic o mnie nie powiedział i niczym mnie nie obciążył. Ale mogę tu powiedzieć całkiem szczerze i oświadczyć kategorycznie, że ani przez chwilę – i wówczas i potem – nie miałem do Teresy i Niusi najmniejszej pretensji ani odrobiny żalu, bo wiedziałem dobrze w jakiej atmosferze i jak podstępnie prowadzono dochodzenie i jak łatwo można było podejść więźniów mniej wyrobionych i łatwowiernych.

Śledztwo w mojej sprawie ciągnęło się prawie 4 miesiące. Przesłuchiwany byłem 27 razy. A co to znaczy, zrozumieć może tylko ten, kto w tych latach sam był nieraz badany i przesłuchiwany...

Warunki w celi miałem niezbyt dobre. Cella była stosunkowo nieduża, spaliśmy na podłodze na siennikach rozkładanych tylko na noc. Okno, chociaż stale otwarte, na zewnątrz miało założone tzw. blendy, które nie tylko zasłaniały widok na podwórze więzienne, lecz – co gorsza – w bardzo dużym stopniu tamowały dopływ świeżego powietrza. W upalne dni odczuwaliśmy to bardzo dotkliwie. W celi panował ciężki zaduch, oblewaliśmy się potem. Na spacer wyprowadzano nas 5 – 6 razy na tydzień. Spacer trwał 15 minut, odbywał się w specjalnych zagrodach na niedużych kwadratowych placykach, otoczonych dość wysokim murem. Po powrocie do celi w pierwszej chwili odurzał nas specyficzny zaduch, bo w czasie naszej nieobecności cella nigdy nie zdołała się należycie przewietrzyć. Jedzenie mieliśmy w więzieniu stosunkowo niezłe, tym bardziej, że 4 z nas miało w depozycie trochę pieniędzy i raz w tygodniu mogliśmy – co prawda w ograniczonej ilości – nabywać w kantynie więziennej niektóre artykuły, jak masło, ser, jaja, kiełbasę, cebulę, cukier, konserwy, no i papierosy, co dla palących miało duże znaczenie. Wszystko to dzieliliśmy na równe części i każdy z nas jednakowo korzystał z tzw. „wypiski”, niezależnie od tego czy miał na to pieniądze, czy nie.

W okresie śledztwa wstrzymano mi, na parę tygodni, prawo korzystania z kantyny więziennej. Była to kara za moje oporne zachowanie podczas przesłuchań. W tym czasie korzystałem z uprzejmości kolegów.

Parę razy zgłaszałem się do lekarza więziennego jako chory. Był to lekarz z marynarki wojennej przychodzący codziennie na parę godzin z wolności – zimny, nieprzystępny służbista; zresztą trudno było być innym, bo podczas badania zawsze w gabinecie lekarskim znajdował się strażnik.

Fizycznie czułem się coraz gorzej, przeżycia więzienne, stałe napięcie nerwów, brak jakichkolwiek wiadomości o losie żony i syna, a zwłaszcza strasznie męczące przesłuchiwanie wyczerpały mnie tak, że chwilami miałem wrażenie, iż w tych warunkach długo nie wytrzymam.

Lecz pewnego dnia nieoczekiwanie zaszła radykalna zmiana w moim życiu więziennym. 18 lipca podczas rannego apelu poprosiliśmy o igłę i nici, żeby poprzyszywać sobie guziki i coś niecoś zacerować. Podczas wieczornego apelu trzeba było bezwarunkowo igłę zwrócić. Tymczasem igła, którą szył ostatni, położył na oknie i gdzieś się zagubiła. Przy apelu oddziałowy zażądał zwrotu igły. Gdy mu jeden z więźniów zameldował, że nie możemy jej znaleźć, wybuchła awantura. Natychmiast wezwano oficera inspekcyjnego. Ten nam nawymyślał i surowo nakazał w ciągu dwóch godzin igłę odnaleźć. Zaczęliśmy szukać tej nieszczęsnej igły, lecz bezskutecznie. Po paru godzinach zjawił się oficer inspekcyjny. Dowiedziawszy się, że igły nie ma, zabronił nam kłaść się spać i nakazał całą noc szukać igły, garściami wyciągając słomę ze wszystkich sienników po kolei. Mnie koledzy posadzili w kącie zwalniając od tej czynności, a sami szukali i szukali. Lecz igły nie znaleźli...

Na drugi dzień, po tak spędzonej nocy byłem całkowicie wykończony. Zgłosiłem się do lekarza. Gdy po południu zaprowadzono mnie na górę do gabinetu lekarskiego, zastałem tam nie naszego lekarza – marynarza, lecz panią doktor Kamińską (Żydówkę o zmienionym nazwisku), bardzo elegancką i wytworną, która zbadawszy mnie dość dokładnie i nic mi nie powiedziawszy, kazała oddziałowemu odprowadzić mnie do celi. Po kilkunastu minutach zjawił się strażnik. Kazał mi zabrać wszystkie moje rzeczy i zaprowadził mnie do szpitala.

Szpital więzienny mieścił się w osobnym jednopiętrowym budynku, stojącym na uboczu tuż przy murze okalającym cały teren więzienia. Na parterze znajdowały się gabinety lekarzy specjalistów, dentysty, apteka, pracownie analityczne, rentgen, łaźnia i parę sal od-

działu kobiecego. Na piętrze – sala operacyjna i cały oddział męski. Personel szpitalny, składający się z więźniów, nie miał dla siebie osobnego pomieszczenia. Wszyscy zatrudnieni rozlokowani byli po paru w poszczególnych salach wraz z chorymi.

Sala, w której mnie umieszczono, była duża, o bardzo wysokim suficie i ogromnych oknach, do połowy zamalowanych wapnem. Stało tu 12 łóżek, lecz przy mnie wszystkie nie były zajęte, chorych bywało najwyżej 8. Powietrza było więc dużo, w przeciwieństwie do cel więziennych. Ogrzewanie centralne. Tylko stale zamknięte na klucz drzwi na korytarz nie pozwalały zapomnieć, że jesteśmy w więzieniu. Łóżka były bardzo wygodne, siatkowe, z materacami, puchowymi poduszkami i dobrymi kocami. Przy każdym łóżku stolik, czystość wzorowa. Wszystko to razem stwarzało ogromny kontrast w porównaniu z całą więzienną, w której siedziałem dotychczas.

Jedzenie też było bardzo dobre. Rano, o 7 śniadanie: biała kawa, bułki, jajko, masło, ser, dżem. O godzinie 9 – kubek gorącego mleka. Między 12 a 1 obiad z dwóch dań, przy czym codziennie było mięso smażone albo ryba. Oprócz tego przez parę miesięcy dawano jeszcze kompot z jabłek. Wieczorem kolacja – też zupełnie dobra. Wypada tu jeszcze wspomnieć, że i cotygodniowa „wypiska” była znacznie lepsza i obfitsza, aniżeli w celach więziennych, można było kupować nawet cukierki i ciastka. Otwarcie mówiąc warunki w szpitalu na Mokotowie niejednen z nas miał lepsze niż w domu.

Leczenie było postawione na poziomie klinicznym. Codziennie po południu przychodzili z miasta lekarze specjaliści ze wszystkich dziedzin. Nawiasem mówiąc wszyscy lekarze, bez wyjątku, byli narodowości żydowskiej, tylko niektórzy już ze zmienionymi nazwiskami o brzmieniu polskim, jak Kamińska, Jezierski itd. Oprócz lekarzy wolnościowych pracował tu na wszystkich oddziałach młody lekarz – więzień Parapura. Chorych badano bardzo szczegółowo i dokładnie. Mnie – gdy się często skarżyłem na ból w dolnej części kręgosłupa – zrobiono 12 zdjęć rentgenowskich kręgow łądzwiowych. Parę razy przy badaniu serca robiono elektrokardiogramy. No i oczywiście drobiazgowe badania krwi, moczu, płwociny itp. Nie żalowano też leków. Lekarze zasadniczo mogli stosować wszystko co chcieli.

Nic więc dziwnego, że w takich warunkach szybko doszedłem normy, zwłaszcza że przez kilka tygodni nie wzywano mnie na żadne

śledztwo. Nadal utrzymywały się tylko przerwy w sercu i niemiarkowałość tętna, chociaż nie w tak silnym stopniu jak to było w celi więziennej. Ale to już było zależne od stanu psychicznego. W dalszym ciągu dręczył mnie niepokój o żonę, o której nic nie wiedziałem, nawet nie miałem pewności czy też nie została aresztowana. O Tadku, od przelotnie spotkanego chłopca, dowiedziałem się, że jest w więzieniu i doskonale się trzyma... Dopiero po kilku tygodniach przyniesiono mi do podpisania plenipotencję dla adwokata, któremu żona powierzyła moją sprawę.

Współtowarzyszy na sali miałem inteligentnych i ciekawych, przeważnie z wyższym wykształceniem. Niektórych pokrótce postaram się scharakteryzować. A więc:

Inżynier Karol Erdman, lat około 60, z Wilna. Wysoki, szczupły, dawniej bardzo zamożny, mający majątek ziemski pod Wilnem. Ostatnio pracował jako inżynier w Białymstoku. Oskarżony był o sabotaż. Studia na politechnice odbywał w Petersburgu, z opowiadań jego o czasach studenckich można wnioskować, że należał do tzw. „złotej” młodzieży. Był bardzo ciężko chory, cały organizm miał już zrujnowany – serce, żołądek, nerki, itd. Był krańcowo wyczerpany i osłabiony. Bardzo dużo, nałogowo, palił. Starał się nie dojadać, żeby zanadto nie wzmocnić organizmu, a czynił to z obawy, by go nie przenieśli znów do zwykłej celi więziennej. Przy mnie dwa razy przewrócił się i już nie miał siły sam podnieść się na nogi. Dużo czytał. Znał znakomicie całą trylogię Sienkiewicza i godzinami potrafił recytować z pamięci niektóre rozdziały z „Ogniem i mieczem” i „Potopu”. Gdy stan jego zdrowia zaczął się z każdym dniem pogarszać, zabrano go z naszej sali do niedużej separatki szpitalnej. Zmarł w jakiś czas potem.

Obok niego miał swoje łóżko inż. ppłk. Mieczysław Gadowski, dorodny, postawny, lat też około 60. Chorował na bardzo rzadką i ciężką chorobę oczu – gruźlicę nerwów wzrokowych. Na jedno oko nie widział już prawie nic, wzrok na drugie oko miał bardzo upośledzony. Koleje jego życia były bardzo burzliwe i nieprzeciętne. Dużo mi o sobie opowiadał. Jako kilkunastoletni chłopak uciekł z domu. Różnymi sposobami dostał się do Ameryki. Tam szereg lat pracował jako robotnik fizyczny i równocześnie się uczył. Specjalizując się w przemyśle samochodowym doszedł do wysokich stanowisk w największych koncernach samochodowych. Posiadał dużą posiadłość ziemską

w Ameryce. Pod koniec I wojny światowej wstąpił do Wojska Polskiego i wraz z armią Hallera przyjechał do Polski. Jakiś czas był w służbie wojskowej i doszedł do rangi podpułkownika. Był kilka razy ranny. Potem prowadził przedstawicielstwo jakiegoś koncernu samochodowego na terenie Polski i kilku innych państw europejskich. Miał duże warsztaty i garaże samochodowe w Warszawie, dom w Warszawie i willę pod Warszawą. Oskarżony był o kontakty z zagranicą. W końcu wyszedł na wolność po umorzeniu śledztwa.

Na sąsiednim łóżku, tuż przy moim, leżał inżynier Celowski, chory na cukrzycę. Wojna zastała go za granicą. Był najpierw w Paryżu, potem w Londynie, gdzie wykładał na Politechnice Polskiej. Miał bardzo rozległe stosunki w najwyższych sferach polskiej emigracji. W kilku albumach zebrał bardzo dużo fotografii i autografów emigrantów. W Polsce pracował w jakiejś firmie budowlanej. Aresztowany był jako oskarżony o sabotaż. Przy rewizji zabrano mu niezwykle cenne jego albumy. I głównie przez nie trzymano go w więzieniu i wciąż przesłuchiowano.

Był też jeszcze na sali inżynier górnictwa Bayer, były pułkownik WP, starszy ode mnie o 2 lata, wytworny pan nawet w bieliźnie i chałacie szpitalnym. Służył w legionach Piłsudskiego. Po przewrocie majowym w 1926 r. musiał wystąpić z wojska. Zajmował jakieś bardzo wysokie stanowisko w przemyśle węglowym. Po pewnym czasie zabrano go ze szpitala. Straciłem go potem z oczu. Wiem tylko, że jest na wolności.

Zostałem w sali jeszcze jednego byłego oficera, nazywał się Brzeski. Znajdował się w ciężkiej depresji, krańcowo wyczerpany fizycznie – wstawał z łóżka tylko, żeby się umyć. Miał bardzo ciężkie oskarżenie za działalność w okresie okupacji. Był w jakiejś formacji w rodzaju żandarmerii. Oskarżano go o zabójstwa Żydów i żołnierzy armii sowieckiej. Siedział w więzieniu już parę lat i jeszcze sprawy nie było. Dopiero teraz odbyła się sprawa w trybie doraźnym. Został skazany na karę śmierci. Pisałem mu podanie z prośbą o ułaskawienie. Po paru dniach zabrano go od nas. Co się z nim dalej stało i czy wyrok wykonano – nie wiem.

Bardzo ciekawy dla mnie był pewien zapaśnik – atleta. Nazwiska jego nie pamiętam. Chorował na wątrobę. Nigdy jeszcze nie zetknąłem się z ludźmi tej kategorii. Miał tytuł wicemistrza Europy

w wadze średniej. Brał udział w bardzo wielu turniejach zapaśniczych nie tylko w Polsce, lecz i za granicą. Ostatnio przebywał pół roku w Związku Radzieckim walcząc w różnych miastach z zapaśnikami rosyjskimi. Po powrocie aresztowano go i oskarżono o szpiegostwo. Niezwykle ciekawe historie opowiadał nam o stosunkach w środowisku atletów i cyrkowców. Namawiałem go, żeby spisał swe wspomnienia. Obiecowałem mu daleko idącą pomoc, gdy będziemy obydwaj na wolności. Już nawet omawialiśmy jakie sceny nadawałyby się do ilustracji; na przykład pewne bardzo intymne machinacje wołytyzerki z ogierem podpatrzone kiedyś w stajni. Z pewnością jest już na wolności, lecz niestety zapomniałem nazwę miasteczka, skąd pochodził i mieszkał z rodziną – gdzieś niedaleko Kalisza. Nawet będąc na ścisłej diecie nie przestawał ćwiczyć. Podziwiałem jego muskulaturę.

Na ostatek wypada mi jeszcze poświęcić kilka słów niejakiemu Hartmanowi. Był to młody Żyd – komunista, który wraz z żoną trafił do więzienia za jakieś „machlojki” finansowe. W więzieniu zachowywał się całkiem przyzwoicie. Był bardzo uczynny i gościnny. Wciąż częstował wszystkich owocami, piernikami, ciastkami i cukierkami, jakie miał z „wypisu”. Spotkałem go w roku 1955 w Lublinie na ulicy. Oprócz wymienionych było jeszcze dwóch, lecz tak krótko, że nawet o nich nie wspominam.

Przedstawiłem w krótkich słowach galerię moich towarzyszy z więziennej sali szpitalnej. Nasuwa mi się przy tym jedna ogólna uwaga. Siedziałem w kilku więzieniach, w wielu różnych celach, zetknąłem się z setkami ludzi pochodzącymi z najrozmaitszych środowisk. I zawsze mnie dziwiło, że więźniowie spośród tzw. inteligencji daleko częściej i obficie używali w rozmowie słów i wyrażeń ordynarnych i sprośnych aniżeli więźniowie ze sfery robotniczej i włościańskiej.

Sala szpitalna była duża, można było swobodnie krążyć dookoła, toteż dla ruchu spacerowaliśmy całymi godzinami. Spacer mieliśmy prawie codziennie na podłużnym podwórku między budynkiem szpitalnym a wysokim murem, otaczającym całe więzienie. Książek do czytania nie mieliśmy żadnych, ponieważ z biblioteki więziennej można było korzystać dopiero po zakończeniu śledztwa, lub po sprawie. Życie tu było znacznie spokojniejsze i bardziej monotonne aniżeli w celach, bo rzadko kogo brano na śledztwo, nikt nie zgłaszał się

do lekarza, rzadko też zjawiała się jakaś władza. Współtowarzysze też zmieniali się nieczęsto, bo chorych przeważnie trzymano w szpitalu całymi miesiącami.

Opiekę sprawował nad nami podpułkownik Bajer, internista, który badał każdego chorego parę razy w tygodniu. Nieraz w jego zastępstwie przychodziła dr Kamińska. Oprócz nich przychodzili czasem specjaliści – chirurg, okulista, psychiatra i inni.

Jak już wspomniałem, szybko przychodziłem do zdrowia. Poważnie obawiałem się, że przeniosą mnie znów do zwykłej celi więziennej, na co nie bardzo miałem ochotę. Podawane mi leki doustne potajemnie wyrzucałem do kibla. W tych dniach, kiedy w godzinach przedwieczornych miał przyjść dr Bajer, od rana chodziłem po sali nie kładąc się ani na chwilę, żeby mieć na czas jego wizyty obrzęknięte choć trochę nogi. Parę razy miałem coś w rodzaju pavor nocturnus, we śnie dusiły mnie jakieś zmony, krzyczałem nie mogąc sam się obudzić. Budzili mnie wówczas koledzy. Udawałem napad duszniczy bolesnej. Nazajutrz meldowano doktorowi, że w nocy miałem napad anginae pectoris, a ten skrupulatnie notował to zaraz w mojej karcie chorobowej i trzymano mnie nadal w szpitalu.

Tylko parę razy prowadzono mnie do pawilonu X na przesłuchanie i raz do „pałacu” na zakończenie śledztwa. Dano mi wówczas do odczytania akt oskarżenia. W całości wyglądał on dość poważnie, lecz w poszczególnych punktach nic groźniejszego właściwie nie zawierał. Jak już wspomniałem poprzednio prawie całe oskarżenie miało za podstawę zeznania Teresy i Niusi. Bardzo komplikowało sprawę to, że byłem recydywistą. Miałem przecież za sobą wyrok 2 lat więzienia wydany przez Wojskowy Sąd Okręgowy w Lublinie z tego samego artykułu, z zawieszeniem pozostałego mi jeszcze jednego roku więzienia na okres 2 lat. A ponieważ od sprawy lubelskiej nie minęły jeszcze dwa lata, więc pozostawał mi do odsiedzenia pełny wyrok, czyli 2 lata. Wobec tego, jak również słysząc wciąż powtarzane przez oficera śledczego słowa: „Pamiętajcie, że tu Mokotów, a nie Lublin” – czułem się niezbyt pewnie i spodziewałem się wyroku znacznie surowszego aniżeli w Lublinie.

Po zakończeniu śledztwa czekałem już tylko na wyznaczenie terminu rozprawy sądowej. Wreszcie któregoś dnia otrzymałem za wiadomienie, że sprawa odbędzie się 7 listopada w Wojskowym Są-

dzie Rejonowym w Warszawie. Zacząłem dokładnie układać w myśli odpowiedzi na wszystkie stawiane mi zarzuty, oraz co mam powiedzieć w ostatnim słowie. Postanowiłem do niczego się nie przyznawać, najtrudniej jednak było mi bronić się w punktach opartych na zeznaniach Teresy i Niusi. Bronił mnie adwokat Weisfeld z Warszawy. Zawczasu zwrócił się do sądu z prośbą o poddanie mnie badaniu przez lekarza specjalistę chorób ucha celem ustalenia w jakim stopniu mam upośledzony słuch. Badał mnie naczelny lekarz szpitala więziennego, który jest specjalistą chorób gardła, nosa i uszu. Teraz, na wstępie rozprawy, adwokat prosił przewodniczącego, aby mówić do mnie głośno, bo bardzo źle słyszę. Postanowiłem wykorzystać ten moment, gdy będzie mowa o zeznaniach Teresy i Niusi. Przewodniczący uwzględniając prośbę adwokata kazał mi stanąć bezpośrednio przed stołem sędziowskim, a podczas zeznawania świadków tuż przy mównicy, z której zeznawali.

Jak już mówiłem świadków było tylko dwóch: Teresa i Nusia. Najpierw wprowadzono Teresę. Zauważyłem, że bardzo wychudła i zmizerniała na twarzy. W zeznaniach powtórzyła to, co mówiła na śledztwie. Gdy przewodniczący z kolei głosu udzielił mnie, zaprzeczyłem wszystkiemu co mówiła, oświadczając, że absolutnie nie pamiętam żadnych naszych rozmów, a jeżeli nawet – jak twierdzi – pytała mnie o coś, to przy swoim osłabionym słuchu nie mogłem tego słyszeć, bo przecież tego rodzaju rozmowy zawsze prowadzone są głosem ściszym. Dopiero teraz Teresa zorientowała się, że ja w śledztwie do żadnej poufnej rozmowy z nią się nie przyznałem. Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi, zdziwionymi oczami i starała się jakoś złagodzić i umniejszyć znaczenie swego zeznania, ale było już za późno i nic zmienić nie mogła. Zupełnie to samo powtórzyło się przy zeznaniu Niusi, też bardzo mizernej, bladej i mówiącej tak cichym głosem, że zwróciłem się do przewodniczącego prosząc, żeby świadek mówił głośniej, bo ja prawie jej słów nie słyszę. Szczerze żał mi było Niusi, gdy usłyszała, że ja się nie przyznaję do tego co ona zeznała. Próbowwała cofnąć, coś niecoś, ze swego zeznania, ale to już absolutnie nie było możliwe. Łatwo dało się zauważyć, że była tym całkiem przybita.

Obrona moja była trudna i sam czułem, że nie wypadła przekonująco. Przemówienie mojego adwokata było bardzo mało treściwe i bez znaczenia, prokurator natomiast dobitnie dowodził, że jestem

„wrogiem Polski Ludowej” i domagał się surowego wyroku. Przebiegiem sprawy byłem mocno zgnębiony. Nie wątpiłem już, że wyrok będzie dla mnie znacznie cięższy, aniżeli w poprzedniej sprawie w Lublinie. W ostatnim swym słowie do żadnej winy się nie przyznałem i o nic nie prosiłem. W rezultacie, po naradzie, sąd skazał mnie na podstawie artykułu 88 paragraf 1 w związku z artykułem 86 paragraf 2 kodeksu karnego Wojska Polskiego na 10 lat więzienia, utratę praw obywatelskich na lat 5 i „przepadek” (!) mienia. Przy moich 67 latach i poważnie chorym sercu wyrok ten równał się karze śmierci.

Jednak nie załamałem się psychicznie, byłem pewny, że nastąpi jakaś zmiana i jeszcze wyjdę na wolność. Strasznie mi tylko było żal żony. Przez cały czas na sprawie, prowadzonej przy drzwiach zamkniętych, siedziała na sali sama jedna, bardzo biedna, opuszczona, samotna. Nie pozwolono nam nawet przywitać się, przelotnie tylko mogłem czasem na nią spojrzeć i widziałem, że płacze... Nawet po ogłoszeniu wyroku ani na chwilę nie dano nam widzenia. – Jakże inaczej było w Lublinie!

Dopiero nazajutrz żona dostała w więzieniu pierwsze widzenie ze mną. Smutne ono było nad wyraz. Żona nie mogła powstrzymać się od płaczu, a i mnie trudno się było opanować. I nie wiedzieliśmy, o czym tu mówić, zwłaszcza, że strażnik stał cały czas przy żonie. Widzenie to na kilka dni całkiem roztrzęsło mnie nerwowo, chyba nawet więcej jak sama sprawa.

Na razie pozostawałem nadal w szpitalu. Gdy już minęły dni pełne niepokoju i niepewności przed sprawą, a potem silne emocje w czasie samej sprawy i jakiś czas potem, mój stan fizyczny i psychiczny znacznie się poprawił. Serce działało o wiele sprawniej, przerwy w sercu prawie całkiem ustąpiły, dłuższe nawet chodzenie po sali nie wywoływało takich obrzęków na nogach jak dawniej. Bajer podczas wizytacji coraz krócej zatrzymywał się przy mnie i czułem niezbitcie, że dłużej już w szpitalu nie pozostanę.

26 listopada 1952 r. zjawił się strażnik więzienny i kazał mi zabrać swoje rzeczy. Zaprowadził mnie do I pawilonu, gdzie trzymano przeważnie więźniów będących już po sprawie, oczekujących na rewizję procesu i na ewentualne przeniesienie do innego więzienia – już nie śledczego, lecz karnego.

Znalazłem się w dużej celi, gdzie zastałem ponad 30 więźniów. Ciasno tu było ogromnie. Po jednej stronie przy ścianie stał rząd trzy-

piętrowych prycz, po drugiej długie stoły i ławy. Pośrodku niezbyt szeroki pas wolnej przestrzeni. Na noc rozkładano tu sienniki do spania, bo nie wszyscy mogli zmieścić się na pryczach. Parę pierwszych nocy spałem na wyższych piętrach, lecz złączenie z nich na podłogę było dla mnie zbyt uciążliwe, a w nocy musiałem kilka razy wstawać, żeby dostać się do kibla. Potem spałem na sienniku na podłodze. Ale przede wszystkim poprowadzono mnie do ogromnego magazynu i tam przebrano w drelichy więzienne, zatrzymując moje ubrania prywatne, w których mnie aresztowano i w których siedziałem do czasu zabrania mnie do szpitala. Teraz byłem już więźniem prawdziwym. Odczuwałem to jeszcze mocniej, gdy po paru dniach wszedł do naszej celi naczelnik więzienia. Stałem w pierwszym szeregu, tak jak wszyscy w pozycji na baczność. Naczelnik zatrzymał się na chwilę przede mną i wskazując na mnie, powiedział coś asystującemu mu oddziałowemu. Wkrótce po wyjściu naczelnika zjawił się fryzjer więzienny i zgolił mi brodę zostawiając na razie wąsy i włosy na głowie.

Jedzenie było znacznie gorsze, niż w szpitalu. Ciasnota mocno dawała się we znaki. Spacer dookoła dużego placu więziennego odbywał się codziennie, a ponieważ dni były już chłodne, więc trzeba było chodzić szybko, co mnie bardzo męczyło. Któregoś dnia poczułem się wyjątkowo źle, byłem zakatarzony, miałem gorączkę i nie chciałem iść na spacer, pozostając w celi. Oddziałowy nie zgodził się na to, twierdząc, że od spaceru może zwolnić tylko lekarz. Na spacerze trząsałem się z zimna, byłem pewny, że rozchoruję się teraz na dobre, ale jakoś nic mi się nie stało.

Gdy oddziałowy po raz pierwszy wprowadził mnie do celi, z licznej grupy więźniów, którzy mnie obścąpili – jak zwykle nowego przybysza – przecisnął się ku mnie starszy Żyd, który zaczął się ze mną serdecznie witać i całować. Był to Opatowski, bogaty bankier lubelski, z którym kilka miesięcy siedziałem na Zamku w Lublinie. Był on wówczas aresztowany za walutę, po pewnym czasie wypuszczono go jednak z więzienia, miał jechać do Palestyny i był już na dworcu. Tu go zatrzymano, zrewidowano, znaleziono przy nim dolary, ponownie aresztowano i wyrokiem sądu skazano na 10 lat więzienia. Płakał, opowiadając mi o tym. Lecz jakimś sposobem i tym razem znalazł się na wolności, wyjechał do Palestyny, skąd w zeszłym roku napisał do mnie list. Nikogo tu więcej nie znałem, a byłem stosunkowo tak krót-

ko, że nie przypominam sobie ani jednego nazwiska. Pamiętam tylko jakiegoś generała niemieckiego, wiceministra leśnictwa, pułkownika – z którym potem jechałem razem do Wronek i kilku młodych chłopców z organizacji „Kraj”, tej samej, do której należał nasz Tadek.

2 grudnia zgłosiłem się do lekarza więziennego jako chory, skarżąc się na tyle dolegliwości, że ten bez większego namysłu skierował mnie na izbę chorych, znajdującej się w sąsiednim skrzydle tego samego gmachu. Nazajutrz zjawił się dr Bajer, ten sam co leczył mnie w szpitalu więziennym. Zbadał mnie i widziałem, że nie był zadowolony z tego, że tu jestem. Powiedział mi, że jeszcze kilka dni potrzyma mnie na izbie chorych, jednak będę musiał wrócić do celi więziennej.

W dużej, ponurej sali, w której teraz się znalazłem, było zaledwie kilku chorych. Pamiętam dobrze tylko Chatiana, który pracował potem jako analityk w szpitalu we Wronkach i niejakiego Małolepszego. Nikogo więcej. Lekarzami-więźniami byli w tym czasie płk dr Wieloch, którego potem też przewieziono do Wronek i dr Stępień, również były lekarz wojskowy.

15 grudnia rano przyszedł oddziałowy, wywołał moje nazwisko i warszawskim żargonem więziennym powiedział „No, zapychaj”, to znaczy zabieraj rzeczy i wychodź. Na razie nie mogłem się zorientować dokąd mam iść. Zaprowadzono mnie do małej, brudnej celi w suterrenach tego samego gmachu. Zostałem tu już kilku innych więźniów, wszystkich już po sprawie. Dowiedziałem się, że mają nas wywieźć do jakiegoś więzienia karnego. Ogolono mi wąsy, maszynką ostrzyżono włosy na głowie. Bez brody i wąsów stałem się całkiem do siebie niepodobny.

Tego właśnie dnia żona miała przyjechać do mnie na widzenie. Z niecierpliwością cały dzień oczekiwałem wezwania na tak upragnione widzenie. Tymczasem przyszedł ktoś z kancelarii i podał mi do wiadomości, że w dniu dzisiejszym żona wpłaciła na moje konto 200 złotych. Widzenia ze mną już jej nie dano i biedna, rozczarowana i zgnębiona z niczym musiała wrócić do domu. Powiedziano jej tylko, że już wywieziono mnie do Wronek.

Na drugi dzień pod wieczór, gdy już się ściemniło, więźniarką zawieziono nas, około 40 więźniów, na których z dworców kolejowych. Wyładowano nas nie na stacji, lecz przy bocznym torze, gdzie oczekiwał na nas specjalny, kolejowy wagon więzienny. Wzdłuż całego wagonu przebiegał pośrodku wąski korytarz, po obu jego stronach widać

było drzwi do bardzo małych przedziałów. W każdym takim przedziale znajdowała się dwuosobowa ławeczka, stolik pod zakratowanym okienkiem i mała półeczka na rzeczy podręczne i „suchy prowiant” wydany nam na drogę... Worki z naszym depozytem złożone były w osobnym pomieszczeniu.

Do jednego z takich przedziałów wprowadzono mnie i jeszcze dwóch więźniów. Tylko dwóch nas mieściło się na ławeczce, trzeci musiał stać albo przysiąść na stoliku. Z początku było tu bardzo zimno, gdy zaś wagon przyczepiono do pociągu i włączono centralne ogrzewanie zrobiło się niemożliwie gorąco i duszno. Nie mogliśmy się zorientować do jakiego więzienia nas wiozą. Wiedzieliśmy tylko, że nie ku granicy wschodniej, lecz dokądś na zachód. Tak przesiedzieliśmy, dzemiąc, do godziny 2 w nocy. Teraz wagon odczepiono od pociągu i przewekslowano na boczny tor. Odczuliśmy to bardzo dotkliwie, bo przedział nasz szybko się oziębził, zwłaszcza że na dworze był silny mróz i wiatr. Marzliśmy okropnie, bo byliśmy odziani tylko w dreluchy i zwyczajne lekkie płaszcze więzienne, a na nogach drewniaki. Około 6 rano wyładowano nas z tego wagonu. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy we Wronkach. Otoczył nas dość duży oddział strażników z oficerem na czele. Każdemu z nas wydano worek z depozytem. Mój był stosunkowo duży i ciężki, bo – jak się okazało potem – zawierał nie tylko mój płaszcz i ubranie, w którym mnie aresztowano, lecz także wszystko to, co zabrano przy rewizji u mnie w domu, a więc 14 tomów mojego wydawnictwa, kilkanaście notesów żony, różne fotografie, parę tek z materiałami archiwalnymi, lornetkę... Sporo czasu zeszło zanim nas przeliczono i odpowiednio ustawiono. Stojąc marzliśmy na mrozie i wietrze straszliwie. Wreszcie otoczeni silnym kordonem strażników, ruszyliśmy w kierunku więzienia. Marszu tego do końca życia nie zapomnę. Silny mróz z wiatrem, oblodzona jezdnia z „kocich łbów”, nieprzyzwyczajone do drewniaków nogi ślizgają się na wszystkie strony, marzniemy w straszliwy sposób. W dodatku musimy dźwigać nasze toboły. Słabnę coraz bardziej, trudno mi nadążyć za innymi, już tchu nie mogę złapać. Zatrzymują nas na chwilowy odpoczynek. Jeden ze współtowarzyszy, atletycznej wprost budowy (106 kg wagi) – jak się później dowiedziałem nazywał się Jachniak – widząc w jakim jestem stanie i jak duży mam worek z depozytem, wziął go ode mnie... I choć już lżej mi było teraz iść, to jednak posuwałem się z co-

raz większym wysiłkiem. Na szczęście kilka razy zatrzymywano naszą kolumnę na parę chwil odpoczynku. Wreszcie dobrnęliśmy jakoś do bramy więziennej. Byłem już niemal całkiem wykończony, zobojeźniały na wszystko.

(Dopiero kilka miesięcy później dowiedziałem się z moich akt, że przed wyjazdem z Warszawy lekarz więzienny wydał opinię, że ze względu na poważną chorobę serca i podeszły wiek mogę jechać tylko w pozycji leżącej i pod specjalną opieką pielęgniarki)

Wprowadzono nas do głównego gmachu więziennego i zatrzymano w ogromnym holu. Tu ustawiono nas przy ścianie i kazano rozebrać się do naga do ścisłej rewizji. Najpierw dokładnie zrewidowano nasze rzeczy, potem nas samych – zaglądając do jamy ustnej czy nie schowaliśmy czegoś pod językiem lub z boku, sprawdzono czy nie mamy czegoś między palcami rąk i pod pachami, pod podeszwami i na zakończenie musieliśmy się schylić i wypiąć, dla ułatwienia obejrzenia rozchylonych pośladków. Potem kazano nam włożyć tylko koszule i drewniaki na nogi, zgarnąć wszystkie rzeczy w jeden węzeł i tak prawie nagich, grupami po kilku, poprowadzono do cel na najwyższym piętrze tego gmachu.

W niedużej celi zastałem już kilku kolegów z naszego transportu, m.in. Jachniaka, który niósł mój worek z depozytem. Był to nie byle jaki znawca i specjalista od handlu zagranicznego. Było też 3 pułkowników, 1 dziennikarz – sprawozdawca sportowy i jeden młody inteligentny chłopak.

Życie nasze we Wronkach zaczęło się od załatwienia różnych wstępnych czynności. Najpierw zaprowadzono nas do kancelarii, gdzie spisano nasze personalia, potem zajęto się naszym depozytem. Z naszych tobołów wyrzucono wprost na podłogę całą ich zawartość, skrupulatnie zapisywano każdą rzecz i wkładano do znacznie większych worków. Teraz już całkiem dokładnie zobaczyłem to, co mi zabrano przy rewizji w domu. Doszły do tego jeszcze rzeczy, które mi żona przysłała przed samym wyjazdem z Warszawy (pończochy, ciepła bielizna, ranne pantofle). Patrzyłem jak włączano i byle jak upychano moje rzeczy w worku, żeby wszystko zmieścić, rzucano zmiętoszone ubranie, palto, obuwie itd. Ze strachem patrzyłem na to i myślałem jak będę wyglądał w takim ubraniu, gdy mnie kiedyś wypuszczą z więzienia. Nazajutrz wykąpano nas i przebrano w świeżą bieliznę. Na ostatku za-

prowadzono do szpitala, na przegląd lekarski. Najpierw nas zważono, potem sprawdzono rentgenem stan płuc, wreszcie na zakończenie całkiem pobieżnie zbadał nas lekarz więzienny dr Fijałkowski. Gdy dowiedział się, że jestem lekarzem, powiedział mi, że z pewnością będę wkrótce zatrudniony w szpitalu. To mnie ucieszyło i dodało otuchy, bo w celi więziennej i spaniu na zimnej posadzce czułem się bardzo źle. Nie mogłem przyjść do siebie po tej naszej fatalnej podróży z Warszawy do Wroniek. Parę razy zgłaszałem się do lekarza z dolegliwościami sercowymi.

W rezultacie 23 grudnia zaprowadzono mnie do szpitala jako chorego i umieszczono na parterze w małej separacie na 4 osoby. Zostałem tu 3 chorych: adwokata Chmielewskiego z Warszawy, który kończył gimnazjum w Zamościu, inżyniera Płacheckiego i jeszcze jednego, jakiegoś biuralistę, którego nawet nie bardzo sobie przypominam. W porównaniu z warunkami jakie miałem w zwykłych celach więziennych, tu było mi bardzo dobrze. Rozkoszowałem się wygodnym łóżkiem, ciepłą bielizną i pościelą, a i jedzenie było stosunkowo bardzo dobre. No i towarzyszy miałem kulturalnych, inteligentnych i przyjemnych. A to bardzo dużo znaczy. I tu też szybko przyszedłem do swojej normy. W tej salce szpitalnej spędziłem moje pierwsze we Wronkach Świąta Bożego Narodzenia.

Dr Fijałkowski wziął mnie któregoś dnia do dokładnego zbadania lekarskiego i napisania historii choroby. Kształcił się on za granicą, medycynę studiował w Niemczech i miał doktorat niemiecki. Specjalizował się w leczeniu ziołami, które stosował *larga manu*. Długie lata mieszkał w Niemczech. Przed wojną przyjechał do Polski, nostryfikował dyplom w Wilnie i osiadł w Warszawie. Podczas okupacji niemieckiej został aresztowany przez Niemców i wysłany do jednego z obozów koncentracyjnych, gdzie przesiedział do końca wojny. Wrócił do Polski, lecz wkrótce potem został aresztowany i już 5-ty rok siedzi w więzieniu. Zdaje się, że był oskarżony o szpiegostwo. Po polsku mówił niezbyt poprawnie, a pisał wręcz fatalne. Pisane przez niego historie chorób nieraz czytaliśmy jako istne *curiosa* ze względu na pisownię i styl. Charakter miał zadzierzysty, miewał częste zatargi z administracją więzienną i kłótnie z kolegami. I przy mnie też, za jakąś awanturę zdjęto go z funkcji i przeniesiono do separaty na I oddziale więziennym. Przesiedział tu kilka miesięcy, aż do zwolnienia, bo wła-

śnie skończył mu się wyrok. Po wyjściu na wolność osiadł w Warszawie. Ma ogromną praktykę jako lekarz ziołarz, specyficznym sposobem działając na psychikę chorych. Żeby się do niego dostać, trzeba zapisywać się na kilka tygodni przedtem. Bada przy pomocy specjalnych szkieł i światła tylko tęczęwkę „augen diagnose” oka. Na tym opiera rozpoznanie choroby i ustala leczenie. Na poczekaniu recepty choremu nie daje, potem dopiero obmyśla różne mieszaniny ziół i wówczas, na zajutrz lub po paru dniach, wręcza choremu na jednej kartce receptę, na drugiej szczegółowe przepisy dietetyczno-higieniczne, spisane na maszynie. Zamiejscowym pacjentom przesyła to pocztą. Tak było i z moją żoną, którą do niego zaprowadziłem. Oprócz ziół pospolitych stosuje dużo rzadkich, których apteki przeważnie nie mają. Jak mi mówiono, tylko w 5 aptekach w Warszawie można dostać wszystko to, co zapisuje dr Fijałkowski. Parę razy zachodził do nas razem z Fijałkowskim dr Sobecki, lekarz wolnościowy, od wielu lat zamieszkały we Wronkach, ordynator oddziału wewnętrznego. Raz tylko na krótką chwilę wszedł komendant szpitala dr Sikora w mundurze podporucznika, zadał mi parę pytań i nic nie powiedziawszy wyszedł. Wyjaśnił mi potem Fijałkowski, że chciał zobaczyć jak wyglądam przed ewentualnym zatrudnieniem mnie w szpitalu.

W Szpitalu jako chory byłem niedługo, bo już 3 stycznia 1953 r. wzięto mnie do pawilonu izby chorych i tu umieszczono w małej pojedyncy. Miałem tu odbyć coś w rodzaju kwarantanny, przez którą przechodzą prawie wszyscy przybywający do więzienia. Dopiero po jakimś czasie rozmieszczają więźniów po różnych celach, nie wiadomo czym się kierując. Moja nowa cela była bardzo mała. Przy ścianie stał mały stolik, nad nim wisiła szafeczka na naczynia i rzeczy podręczne, bezpośrednio do stolika dotykała poręcz żelaznego łóżka i wreszcie między drugą poręczą a ścianą, umieszczony był stołek drewniany z sedesem i kibelem. Obok stała miednica i dzbanek z wodą. W ścianie przeciwniejącej do drzwi małe, pojedyncze okno z ruchomym oberluftem. W kącie przy drzwiach, od sufitu do podłogi, przebiegała rura od centralnego ogrzewania. Łóżko było twarde, na deskach leżał cienki siennik z mocno ubitą już słomą, poduszki nie dano mi żadnej, dwa kocyki były już mocno zniszczone i przewiewne. Miałem w woreczku kilogram cukru i używałem go jako poduszczkę pod głowę. W dzień było jeszcze jako tako, bo na swoje drelichy wkładałem płaszcz więzienny – też bardzo

lekki, nawet bez podszewki – ruszałem się po celi, po dorożkarsku zacierając ręce. Ale w nocy marzłem okropnie. Z wieczora trzeba było rozebrać się, na ławeczce ułożyć w pedantycznie równą kostkę ubranie, płaszcz i skarpetki, na wierzchu położyć łyżkę i jeżeli ktoś palił, to papierosy i zapałki. Ławeczkę z tymi rzeczami wystawiało się na korytarz, a obok trzeba było postawić drewniaki. Tak więc w nocy było nam straszliwie zimno. A ja cierpiałem podwójnie. Przeżycia więzienne i zimno, zwłaszcza przy moich 68 latach, sprawiały potrzebę nazbyt częstego oddawania moczu. Bywały noce, że musiałem wstawać do kibla 17 razy! I to bosymi nogami po kamiennej posadzce! Była to dla mnie prawdziwa męczarnia. I nie było na to żadnej rady. Na moje złe samopoczucie bardzo ujemnie wpływała samotność, do której nie byłem przyzwyczajony i to, że nie wiedziałem jak długo będą mnie trzymać w tych warunkach. Jazdę z Warszawy do Wronek i to siedzenie w pojedynce zaliczam do najcięższych epizodów mojego życia więziennego. Jedynym urozmaicheniem było to, że dano mi 2 książki do czytania – jakąś broszurę polityczno-propagandową i powieść Orzeszkowej „Dziurdziowie”. Tych „Dziurdziów” przeczytałem od deski do deski 4 (!) razy. Gdy czytałem ich już po raz piąty i byłem w połowie książki, niespodziewanie wszedł oddziałowy i kazał mi zabierać swoje rzeczy, mówiąc, że idę na „funkcję” do szpitala. Pierwszą moją odruchową myślą było „no, dobrze”, ale ja przecież jeszcze „Dziurdziów” nie dokończyłem... Tak zakończył się mój 17-dniowy pobyt w izolatce więziennej we Wronkach. Moje więzienne życie wkroczyło w nową fazę.

Tak więc 20 stycznia 1953 r. rozpocząłem pracę w szpitalu więziennym we Wronkach. Był to szpital okręgowy, w którym leczono nie tylko chorych więźniów z Wronek, lecz i innych, mniejszych więzień – ze Sztumu, z Rawicza. Szpital zajmował całe boczne skrzydło głównego gmachu więziennego. Na niskim parterze tego budynku mieściły się kolejno: pracownia analityczna, mały pokój, w którym umieszczano czasem przejściowo umysłowo chorych, apteka i skład apteczny, duża, lecz niska podłużna cela o 3 oknach, przeznaczona dla lekarzy, dentystów, aptekarzy i innych pracowników umysłowych, dalej taka sama cela dla korytarzowych, magazyniera i fryzjera i wreszcie magazyn szpitalny bardzo dobrze zaopatrzony w bieliznę, koce, ubrania. Dalsza część korytarza była już przedzielona ścianą z drzwiami, stale prawie zamkniętymi na klucz. W tej drugiej części znajdowała się duża

kuchnia szpitalna, magazyn prowiantowy, cela dla kucharzy i na końcu techniczna pracownia dentystyczna.

Na I piętrze mieścił się już sam szpital, a więc: gabinet rtg, mały pokój dla oddziałowych, gabinet komendanta szpitala, dość duża kancelaria szpitala, niewielki gabinet do badania chorych przyprawdzanych z pawilonów więziennych. Znajdowały się tu i aparaty do fizjoterapii – diatermia, lampa kwarcowa sollux. Pośrodku stał stolik, przy którym najczęściej siedziałem pisząc historie choroby, rysując ścienne tablice laboratoryjne itp.

Dalej zaczynał się oddział chirurgiczny: sala opatrunkowa, pokój przedoperacyjny z szafami, autoklawem i umywalnią, sala operacyjna – dość duża z nowoczesnym stołem operacyjnym, lampą bezcieniową, 2 duże oszklone szafy z bardzo zasobnym zestawem narzędzi chirurgicznych. Dalszą część korytarza zajmowały cele dla chorych: 2 sale duże i 3 małe separatki na 3 lub 4 łóżka każda. Ogółem oddział chirurgiczny liczył od 35 do 40 łóżek.

II piętro zajmował oddział wewnętrzny i gruźliczy z celą dla lekarzy, gabinetem badań lekarskich itp. Oddziału zakaźnego nie było.

Bezstronnie należy powiedzieć, że szpital okręgowy we Wronkach był postawiony na bardzo dobrym poziomie, zbliżonym do klinicznego. Techniczne wyposażenie było znacznie lepsze aniżeli w wielu szpitalach terenowych.

Zasadniczym leczeniem kierowali specjaliści kliniczni, przyjeżdżający 2 razy w tygodniu z Poznania, przy czym chirurg w razie nagłej potrzeby przyjeżdżał na każde wezwanie – nawet w nocy.

Stałymi lekarzami szpitalnymi byli lekarze z wyroku sądu odbywający tu karę więzienia. A ponieważ lekarzy tych nie było nazbyt wielu, więc zatrudniano tu więźniów – studentów medycyny, którzy bardzo dużo przy tym korzystali i po paru latach pracy uzupełnionej studiami teoretycznymi, nierzadko nie ustępowali lekarzom dyplomowanym.

W szpitalu więziennym we Wronkach pracowałem bez mała półtora roku, miałem więc możliwość dobrze zapoznać się z organizacją pracy i życiem szpitalnym.

Dyrektorem, a właściwie komendantem szpitala, był ppor. lekarz Sikora, służbista w stosunkach z pracownikami – więźniami, ale

w gruncie rzeczy, jak mi się zdawało, człowiek całkiem przyzwoity, nigdy nikomu krzywdy nie zrobił.

Jego zastępcą był dr Sobecki, dawniejszy dyrektor tutejszego szpitala. Był on w moim wieku, pracował jako ordynator oddziału wewnętrznego i jako lekarz wszystkich pracowników więziennych i wolnościowych. Był to bardzo przyjemny lekarz starej daty, wychowanek uniwersytetu niemieckiego.

Ordynatorem oddziału chirurgicznego był dr Wierzbicki z kliniki chirurgicznej w Poznaniu, młody lecz doświadczony chirurg, specjalnie miał doskonale opanowaną jamę brzuszną. Przy stole operacyjnym czuł się zupełnie pewnie, chętnie uprawiał wielką chirurgię. Przyjeżdżał z Poznania 2 razy w tygodniu, za każdym razem operował kilku chorych, często całymi seriami, na przykład kilka wyrostków i przepuklin, albo jakiś zabieg poważniejszy, a potem kilka żylaków kończyn lub hemoroidów. Czasem tylko przy operacjach trwających dłuższy czas i nieco wyczerpujących jak resekcja żołądka i jelit lub przy woreczkach żółciowych ograniczał się tylko do jednego zabiegu. Jednym z ulubionych jego zabiegów była resekcja żołądka i dwunastnicy przy owrzodzeniach. A ponieważ warunki więzienne sprzyjały powstawaniu tego rodzaju chorób, więc i tych zabiegów było stosunkowo dużo. Czasem miałem wrażenie, że za dużo, gdy oglądając wraz z internistami wyciętą część żołądka i dwunastnicy nie mogliśmy wykryć większych zmian w błonie śluzowej.

Dr Wierzbicki bardzo dbał o chorych, czasem po jakimś cięższym zabiegu kilka razy telefonował pytając o stan chorego, a nieraz bez zapowiedzi zjawiał się w szpitalu, żeby samemu zobaczyć chorego. Często też przywoził leki, których nie posiadała apteka szpitalna. Jako chirurg miał bardzo szczęśliwą rękę. Za cały czas mojego pobytu we Wronkach, na oddziale chirurgicznym były tylko dwa wypadki zgonów pooperacyjnych i to przy wyjątkowo ciężkim stanie chorego i technicznie trudnym zabiegu.

Jak już wspomniałem, oprócz lekarzy wolnościowych, w szpitalu więziennym zawsze pracowało kilku więźniów – lekarzy i studentów medycyny. Przy mnie na oddziale wewnętrznym a częściowo i gruźliczym pracował dr Ginter Żeleźniak. Powszechnie szanowany i lubiany przez wszystkich lekarz. Ze względu na stan zdrowia (zagrożony był gruźlicą), komisyjnie został zwolniony na roczną przerwę kary i, o ile

wiem, więcej już do więzienia nie wrócił. Przez dłuższy czas szpital do-
tkliwie odczuwał brak dr. Żeleźniaka.

Na krótko przed moim przybyciem zaczął pracować w szpitalu
dr Wincenty Paska, mało inteligentny, nielubiany ani przez chorych
ani przez kolegów, z którymi miewał różne zatargi. Już po moim wy-
jeździe z Wronek za mało troskliwy i zły stosunek do chorych więź-
niów, został zdjęty z funkcji i przeniesiony do celi więziennej. Potem
przewieziono go do Rawicza, gdzie – jak mi mówiono – został kiedyś
mocno pobity przez więźniów.

Już przy mnie, w jednym z transportów z Mokotowa, przybył
do Wronek płk dr Wieloch – lekarz poważny, dobry internista, którego
potem spotkałem, już na wolności w Warszawie.

Teraz wymienię pokrótce studentów medycyny, którzy odby-
wali tu karę więzienia i odgrywali, wobec braku lekarzy, dużą rolę.
Bardzo często z powodzeniem zastępowali lekarzy dyplomowanych.

Na czoło wysuwa się tu Jan Pierzchała, lat 34, student IV roku
medycyny we Wrocławiu. Los prześladował go wyjątkowo. Areszto-
wany w pierwszych latach okupacji przesiedział w obozach niemiec-
kich bez mała 5 lat, przeważnie w Oświęcimiu, gdzie był zatrudniony
na Izbie Chorych. Gdy po zakończeniu wojny wyszedł z obozu, zapisał
się na wydział lekarski we Wrocławiu i doszedł już do IV roku, aż na-
głe został aresztowany, z podejrzeniem o szpiegostwo i skazany na 8
lat więzienia. Siedział już piąty rok, przy czym od dłuższego czasu pra-
cował w szpitalu na oddziale chirurgicznym. Był bardzo ceniony przez
lekarzy, pod których kierownictwem pracował i ogromnie lubiany
i szanowany przez chorych więźniów jako wyjątkowo sumienny i tro-
skliwy lekarz. Na oddziale chirurgicznym był trudny do zastąpienia.
Na nim opierał się cały oddział, gdyż obok sporej wiedzy teoretycznej
posiadał on wyjątkowo duże doświadczenie w lekarskiej technice chi-
rurgicznej. Z pełnym oddaniem pracował po całych dniach. Najczęściej
asystował dr. Wierzbickiemu przy operacjach, on też prowadził potem
chorych, a ordynator podczas obchodu słuchał tylko jego sprawozdań,
zatrzymując się dłużej przy tych, których wskazał Pierzchała. Po cięż-
kich zabiegach operacyjnych, kiedy stan chorego wymagał specjalnej
opieki, Pierzchała zostawał na noc przy nim na celi wcale nie śpiąc,
lub tylko drzemiąc na wózku w pobliżu chorego. A nazajutrz od rana
musiał iść do normalnej pracy.

Świetnie zakładał opatrunki gipsowe, a wykonane przez niego tzw. łóżećka gipsowe były wręcz wzorowe. Często też nie asystował, lecz sam operował przy asyście dr. Wierzbickiego. Wieczorami i w wolnych chwilach dużo się uczył. On też zwykle przeprowadzał anatomo-patologiczne sekcje zwłok więźniów zmarłych na wszystkich oddziałach szpitalnych. A każdy zmarły więzień musiał być sekcjonowany i to zawsze w obecności przedstawiciela prokuratury z Poznania. Nabytymi wiadomościami i dużym doświadczeniem lekarskim przewyższał Pierzchała niejednego lekarza. Był bardzo uczuciowy, niezrównoważony uczuciowo i wybuchowy, często nie mógł zapanować nad sobą. Miewał zatargi z przedstawicielami administracji więziennej, kilka razy siedział za to w „karcu” lub izolatce. Lecz równocześnie cieszył się bardzo dużym zaufaniem jako lekarz nie tylko wśród więźniów, lecz i wśród personelu wolnościowego. Nawet siedząc w izolatce przyjmował chorych urzędników, strażników więziennych i ich rodziny.

Oczywiście jego neurasteniczne usposobienie stało w dużym związku z pobytem w obozach i więzieniach. W roku 1956 został zwolniony z więzienia, zapisał się na Uniwersytet Wrocławski, żeby ukończyć studia lekarskie. W lecie tego roku odwiedził mnie w Szczepieszynie wraz z żoną – poślubioną w więzieniu na parę miesięcy przed zwolnieniem.

Nieco dłużej zatrzymałem się na osobie kolegi Pierzchały, ponieważ uważam go za człowieka dużej wartości, z którym łączyły mnie bliższe stosunki aniżeli z innymi więźniami.

Bardzo nieprzeciętnym typem medyka był Perlmutter – trzydziesto kilku letni mężczyzna rodem ze Lwowa, pochodzenia żydowskiego. Odgrywał w szpitalu rolę szarej eminencji mając specjalne względy u administracji więziennej. Pracował na oddziale gruźliczym. Niektórzy twierdzili, że na medycynie w ogóle nigdy nie był. Jak tam było w rzeczywistości, tego nie wiem. Jednak w więzieniu przyswoił sobie zasób wiadomości z zakresu nauk lekarskich stosunkowo w dużym stopniu. Zwłaszcza był dobrze zorientowany w gruźlicy – teoretycznie i praktycznie. Wyspecjalizował się w zakładaniu odmy sztucznej. Parę razy słuchając jego referatu naukowego o wynikach leczenia więźniów chorych na gruźlicę płuc, połączonego z pokazem kilkudziesięciu rentgenogramów wykazujących postęp leczenia jako też i demonstrowaniem kilku chorych – trudno było uwierzyć, żeby ten człowiek nie odbywał

normalnych studiów lekarskich. Był beczelnie pewny siebie. Miał w Ameryce matkę, która przysyłała mu wyjątkowo duże paczki żywnościowe z różnymi specjałami, którymi chętnie częstował kolegów. Przy mnie wyszedł na wolność. Spotkałem go kiedyś w Warszawie.

Razem z Perlmutterem cały czas pracował na oddziale gruźliczym student medycyny Parczewski, spokojny, zrównoważony, bardzo kulturalny. Posiadał znacznie gruntowniejszą wiedzę od Perlmuttera. Przy mnie też wyszedł na wolność i podobno wkrótce się ożenił.

Po wyjściu z więzienia Perlmuttera i Parczewskiego przybył nowy medyk Parwicz, który do pewnego stopnia starał się iść w ślady Perlmuttera. Również i on cieszył się większym niż inni zaufaniem administracji. Dużo się uczył i praktycznie też niezłe dawał sobie radę, chociaż w wykształceniu lekarskim można było u niego zauważyć bardzo poważne braki. Podobno też jest już na wolności.

Pamiętam jeszcze medyka Atamaniuka, na oddziale wewnętrznym. Było jeszcze paru studentów niższych kursów medycyny, lecz nazwisk ich nie mogę sobie przypomnieć.

A na nasz oddział chirurgiczny w ostatnich miesiącach mojego pobytu we Wronkach przybył nowy medyk po pierwszym roku studiów Wojciech Grochulski – zdolny, o bystrym umyśle, szybko przyswajający sobie wiadomości i nadmiernie pewny siebie. Już w czasie mojej nieobecności miał jakieś większe nieprzyjemności i nawet został zdjęty z funkcji. O jego dalszym losie nic nie wiem.

Przez długi czas pracował na oddziale chirurgicznym Stanisław Domagalski, niedoszły ksiądz. Był już na IV roku studiów teologicznych, gdy został aresztowany. Chociaż nie miał żadnego przygotowania zatrudniono go w szpitalu. Powierzono mu bardzo odpowiedzialną funkcję – opiekę nad salą operacyjną. Odpowiadał za całe instrumentarium i bieliznę chirurgiczną, za materiał opatrunkowy, on też przeprowadzał sterylizację materiału i narzędzi przed operacją. Przy operacji był instrumentariuszem i doszedł w tym do bardzo dużej wprawy. Był nadzwyczaj sumienny i nadmierna praca bardzo go wyczerpywała. Był zagrożony gruźlicą i ze względu na stan zdrowia przeniesiono go do apteki do pomocy mgr Augustowskiemu, gdzie miał warunki pracy znacznie lepsze i spokojniejsze. O ile mi wiadomo i on wyszedł na wolność. Jednak do stanu duchownego już nie wrócił, ożenił się i pracuje w jakimś zawodzie świeckim.

Do personelu szpitalnego, jak również i do naszych współlokatorów należał Zdzisław Kłoczewski, wychowanek gimnazjum w Zamościu, prowadzący kancelarię szpitalną. Był bardzo pracowity, kancelarię – jak mi się zdawało – prowadził wzorowo, cieszył się uznaniem i zaufaniem władz więziennych, przez kolegów niezbyt lubiany. Bywał nieraz bardzo opryskliwy i nieprzyjemny, potrafił być mściwy, mógł też czasem i zaszkodzić, zostawiłem go w więzieniu i nie wiem dokładnie, czy wyszedł już na wolność.

Jeżeli chodzi o mnie, to zakres moich obowiązków był dość obszerny, nie objęty jednak całkiem ścisłymi ramami. Prowadziłem historię choroby na oddziale chirurgicznym i księgę operacyjną oraz ewidencję przetaczania krwi. Przyjmowałem chorych ambulatoryjnych, robiłem opatrunki i zastrzyki. Na salach chorych również. Czasem przetaczałem krew. Wyłącznie mnie powierzył komendant szpitala podawanie chorym narkotyków – morfiny i pantoponu. Aptekarz mógł wydawać narkotyki na recepty podpisane przez ordynatorów wolnościowych lub przez komendanta tylko do moich rąk. Musiałem jak najskrupulatniej prowadzić specjalny zeszyt ewidencyjny narkotyków, w którym notowałem nazwisko chorego, rozpoznanie choroby, rodzaj zastrzyku i wskazania do jego zastosowania. Ostatnie 2 rubryki zawierały podpisy chorego „odbierającego” zastrzyk i „podającego”, bo w nocy robił to lekarz dyżurny, biorąc lek z podręcznej „skrzynki dyżurnej”. Komendant Sikora od czasu do czasu kontrolował ten zeszyt. Taka ścisła ewidencja środków narkotycznych wywołana była obawą przed narkomanią zwłaszcza lekarzy, mających łatwy do nich dostęp, a równocześnie wykazało, że warunki życia więziennego specjalnie sprzyjają rozwijaniu się tego nałogu.

Poza tym wykonałem dla pracowni analitycznej szereg dużych tablic ściennych z rysunkami, obrazów mikroskopowych krwi, płwociny, kału i moczu oraz różnego rodzaju bakterii. Nierzadko też pisałem na maszynie. Odpisy historii choroby dla komisji lekarskich lub protokoły sekcyjne.

Do moich obowiązków należało też prowadzenie fizjoterapii. Byłem odpowiedzialny w pierwszym rzędzie za diatermię, bo aparat był już stary i silnie zużyty. Prowadzenie tych zabiegów, bardzo często powtarzanych nieraz przez długi czas, znacznie ułatwiało mi porozumiewanie się z tymi kogo chciałem widzieć. Dawałem mianowicie

oddziałowemu kartkę z nazwiskami więźniów, których trzeba było przyprowadzić z pawilonów więziennych do różnych zabiegów, do specjalnego zbadania, do przedstawienia lekarzom specjalistom itp. Tym sposobem ściągnąłem byłego prokuratora, a potem adwokata z Lublina – Jana Grzybowskiego, ordynata Jana Zamoyskiego, kilku nowo przybyłych więźniów, o których wiedziałem, że mogą mi coś powiedzieć o Tadku.

Przy okresowych badaniach lekarskich wszystkich więźniów przebywających we Wronkach też zwykle brałem udział, wykrywając różne zakażenia wymagające leczenia chirurgicznego. Wszystkich nowo przybywających więźniów badał sam komendant Sikora, mnie zaś, na skutek moich usilnych starań, powierzono tylko ich ważenie, co odbywało się na korytarzu szpitalnym. Dawało mi to możliwość, choć chwilowego, zetknięcia się ze znajomymi.

Biorąc udział w tych masowych przeglądach, zwróciłem szczególną uwagę na stosunkowo dużą liczbę więźniów cierpiących na bardzo rzadką chorobę – przykurcze Dupuytrena, polegającą na stopniowo postępującym przykurczu palców rąk, przede wszystkim czwartego i piątego. W daleko posuniętych przypadkach przykurczone palce tak się wpijały w dłoń, że trzeba je było amputować. Choroba ta znana jest od stu kilkudziesięciu lat, lecz dotychczas jeszcze nie są dokładnie poznane przyczyny ją wywołujące. Teorii na ten temat jest dużo i literatura w różnych językach bardzo obfita. Dawniej przypisywano ją fizycznej pracy rąk, drażniącej ścięgna palców i wywołującej nadmierne rozrost tkanki łącznej dookoła tych ścięgien. Dokładniejsze jednak badania nie potwierdziły tego. Chorobą tą udało mi się zainteresować dr. Wierzbickiego i komendanta szpitala. Przy okresowych badaniach lekarskich wszystkich więźniów szczegółowo oglądałem dłonie i dokładnie notowałem wszelkie odchylenia od normy w różnych stadiach. Tak samo badałem dłonie wszystkich więźniów nowo przybywających. Spostrzeżenia nasze wykazały niezbicie, że praca fizyczna nie jest wyłączną przyczyną tego schorzenia – jak sądzono dawniej. Przyczyny jego są znacznie głębsze. Przede wszystkim rzuciło się nam w oczy, że w więzieniu przypadków tych zachorowań było znacznie więcej, aniżeli na wolności. Ja w swej długoletniej praktyce widziałem zaledwie dwa przypadki. Tymczasem w więzieniu przejrzawszy około 3 tysięcy więźniów stwierdziłem zmiany chorobowe na dłoniach opisane przez

Dupuytren'a w przeszło 150 przypadkach. Jasne też było, że praca nie odgrywała w tych przypadkach decydującej roli, bo charakterystyczne przykurcze palców stwierdziłem u księży, adwokatów, nauczycieli, inżynierów, pracowników biurowych i stosunkowo w bardzo małej liczbie u pracowników fizycznych i to takich, którzy siedzieli w więzieniu po 5 i więcej lat i w tym czasie żadnej pracy fizycznej nie wykonywali. Trzeba więc było myśleć o jakimś innym czynniku wywołującym chorobę. Leczone tych chorych najrozmaitszymi sposobami. Dr Wierzbicki nieraz wycinał na dłoniach na dużej przestrzeni całe płyty skóry wraz z chorą powięzią i przeszczepiał zdrową skórę najczęściej z palców. Czasem usuwał tylko poszczególne schorzałe ścięgna, w rzadkich wypadkach, gdy palec w postępującym przykurczu coraz dotkliwiej wpijał się w dłoń, decydował się nawet na amputację chorego palca. Najlepsze jednak wyniki dało nie leczenie chirurgiczne, lecz długo, całymi miesiącami trwające stosowanie witaminy „E”. Powoli ustępowały objawy chorobowe, palce zaczynały się wyprostowywać i coraz lepiej wykonywać wszystkie ruchy. Stąd nasuwał się wniosek, że nie urazy mechaniczne, lecz jakieś specyficzne warunki więzienne, – może zbyt jednostajne pożywienie, pozbawione niektórych witamin – były przyczyną tej ciekawej choroby. Zebrałem dość dużo spostrzeżeń dotyczących tej choroby i wyjeżdżając z Wronek wszystkie swe notatki przekazałem dr. Wierzbickiemu, który miał je odpowiednio wykorzystać.

Wszyscy lekarze i starsi medycy po kolei pełnili nocne dyżury w pawilonie głównym więzienia. Ja ze względu na wiek i stan zdrowia byłem z tych dyżurów zwolniony. Raz w tygodniu, z inicjatywy dr. Sikory odbywały się w szpitalu konferencje naukowe lekarzy, dentyków, farmaceutów i analityków. Wygłaszano referaty naukowe i demonstrowano ciekawych chorych przy bardzo nieraz ożywionej dyskusji. Zebrania te nie trwały jednak długo. Urywały się nagle, a z jakiego powodu, będę o tym mówił w innym miejscu.

Pracownię rentgenologiczną prowadził inżynier elektrotechnik Mirosław Czajkowski, siostrzeniec wileńskiego profesora historii medycyny Trzebińskiego. Był to cichy, bardzo solidny, opanowany, godzien pełnego zaufania pracownik. Jest już na wolności, pracuje w Warszawie.

Apteką zajmował się magister farmacji Kazimierz Augustowski. Pochodził z zamożnej, rodziny. Brał czynny udział w powstaniu war-

szawskim. Wzrostu miał bez mała 2 metry. Człowiek o wysokiej kulturze, na którym widać było pochodzenie i wychowanie. W obejściu był bardzo przyjemny i miły. Nigdy nie doznałem od niego najmniejszej urazy, toteż żywiłem do niego wyjątkową sympatię i odnosiłem się do niego, podobnie jak do Czajkowskiego, z największym zaufaniem. W roku 1954, w jednym dniu, stawaliśmy z nim przed komisją lekarską, która przyznała nam roczną przerwę w odbywaniu kary – dla podratowania zdrowia. Kilka razy spotkałem się z nim potem w Warszawie.

Pracownię analityczną, gdy przybyłem do Wronek, prowadził bardzo młody Zbigniew Pielarz, małego wzrostu, przystojny, zdolny, o bystrym umyśle. Opowiadał mi, że jego matka pochodziła ze słynnej rodziny księżnej Anny Jabłonowskiej z Siemiatycz. Wśród kolegów miał złą opinię. Obawiano się go i mnie ostrzegano, żeby się mieć przy nim na baczności. Cieszył się natomiast względami administracji. Przy mnie wyszedł na wolność. Następcą jego w analityce był Chaitian, z którym siedziałem na Mokotowie. Jako człowiek i pracownik zupełnie solidny. Dalszych jego losów nie znam. Przez parę miesięcy pracował jeszcze przy mnie felczer Kowalczyk, starszy już człowiek, którego przeniesiono do innego więzienia.

Jak już wspomniałem, personel szpitalny mieścił się w dużej celi na parterze. Przez cały dzień była ona otwarta. Zamykano ją tylko na noc, po apelu wieczornym około godziny 6-tej, otwierano zaś po porannej pobudce. Po zamknięciu celi mieliśmy kilka godzin dla siebie, bo światło gaszono nam dopiero około 10-ej.

W ogóle warunki mieliśmy bez porównania lepsze, aniżeli więźniowie stale zamknięci w celach. Przez cały dzień mogliśmy swobodnie poruszać się po szpitalu. Jedzenie mieliśmy zupełnie dobre, zrównane z tzw. dietą odżywczą dla chorych, a nawet nieraz lepsze. Na śniadanie dawano nam przeważnie kawę mleczną, na obiad codziennie mieliśmy mięso, tylko raz w tygodniu rybę, najczęściej gotowanego dorsza, nierzadko nieraz i wędzonego. Parę razy dostarczono do kuchni dorsza śmierzącego, nie nadającego się do jedzenia. Komentant Sikora interweniował wówczas u naczelnika więzienia. Zupy bywały przeważnie zupełnie dobre, główną jednak wadą odżywiania była jednostajność jedzenia i brak świeżych jarzyn.

Na kolację zwykle podawano jakąś zupę i herbatę. Czasem dostawaliśmy jakiś dziwny napój o niezwykłym smaku i zapachu. Wkrótce

dowiedziałem się, że to rozpuszczane w gorącej wodzie cukierki, tzw. landrynki, przesyłane więźniom w paczkach zagranicznych i konfiskowane przy sprawdzaniu ich zawartości. Zabrane landrynki oddawano zwykle do kuchni szpitalnej. Oczywiście mogliśmy mieć jeszcze i wypiskę – raz w miesiącu. Na parę miesięcy przed moim zwolnieniem wypiska była już 2 razy na miesiąc. Na jedzenie więc zasadniczo nie mogliśmy się skarżyć. Ja przez dłuższy czas dotkliwie odczuwałem tylko brak czarnej kawy po obiedzie. Czasem braliśmy z Pierzchałą proszek kofeiny, dodawaliśmy do pozostałej po śniadaniu kawy zbożowej i łudziliśmy się, że pijemy prawdziwą.

Chorzy przebywający w szpitalu też mieli jedzenie znacznie lepsze aniżeli w celach więziennych. Wyrządzono im jednak jedną wielką krzywdę, co prawda dotyczącą tylko palaczy, mianowicie – chorym nie wolno było palić papierosów. Z tego powodu nałogowi palacze nieraz cierpieli bardzo. Ja, chociaż papierosów nie palę, zawsze z wypiski brałem 200 sztuk papierosów dla kolegów, którym ich miesięczna porcja nie wystarczała i dla nielicznych chorych, co do których miałem pewność, że w razie przyłapania ich na paleniu, nie wydadzą kto im dał papierosa, bo za to groziła kara – do zdjęcia z funkcji włącznie.

Łóżka mieliśmy bardzo wygodne, siatkowe z włosianymi materacami, z puchowymi poduszkami i dwoma doskonałymi, grubymi, wełnianymi kocami. Raz w tygodniu mieliśmy kąpiel natryskową ze zmianą bielizny. Codziennie rano, w sali przedoperacyjnej, myłem się do pasa w wodzie jak najzimniejszej. Prawie codziennie mogliśmy, zaraz po obiedzie, spacerować po podwórzu szpitalnym.

Słowem, mogę otwarcie powiedzieć, że lekarze więzienni, jak i wszyscy inni będący na funkcji w szpitalu, mieli we Wronkach warunki higieniczne zupełnie dobre. A mając cały czas wypełniony pracą zawodową nie odczuwaliśmy, że jesteśmy w więzieniu. Zżerała nas jednak tęsknota za rodziną i za wolnością...

U siebie „na celi” mieliśmy dużo książek z biblioteki więziennej, liczącej przeszło 10 tysięcy tomów, dużo prywatnych podręczników lekarskich, poza tym przybory do pisania, papier, zeszyty, a także i szachy. Mogliśmy więc uczyć się i czytać i w ogóle robić, co kto chciał do godziny 10-ej, czyli do zgaszenia światła. Z rzadka przypominano nam, że jednak jesteśmy w więzieniu, przeprowadzając – zawsze w godzi-

nach rannych – nagłą rewizję. Odbywało się to, zupełnie tak samo, jak w pawilonach więziennych.

Dyscyplina ogólna, w porównaniu z pawilonami więziennymi, była w szpitalu znacznie rozluźniona. Nie żądano od nas – jak tego wymagał regulamin więzienny – zbyt częstego meldowania się, ciągłego stawania na baczność, itp. Z rzadka jednak trafiał się jakiś służbista i wówczas trzeba było stosować się do obowiązującego regulaminu. I chociaż pracowaliśmy, niby tak, jak w normalnych szpitalach, to jednak nie wszystko było tak jak tam. Wszystkie sale dla chorych musiały być stale zamknięte na klucz. Gdy rano obchodziliśmy chorych trzeba było prosić oddziałowego, żeby nam po kolei je otwierał. Czasem stan niektórych chorych wymagał częstszego odwiedzania i za każdym razem oddziałowy musiał nam daną salę otwierać i zaraz potem na nowo zamykać. Dla lekarzy było to bardzo niewygodne i uciążliwe. Tylko jedna duża sala, gdzie zwykle umieszczano cięższych chorych i pooperacyjnych, miała cały dzień drzwi otwarte.

W dni, kiedy miały być operacje było specjalnie dużo roboty dla Pierzchały, który musiał bez zarzutu przygotować chorych. Dr Wierzbicki był bardzo wymagający i starał się podciągnąć swój oddział do wzoru klinicznego – tak pod względem operacyjnym jak i obsługi oraz pielęgnacji chorego. Trzeba też było liczyć się i ze specjalnymi warunkami, w jakich znajdował się ciężko chory więzień. Z dala od rodziny, nie mając przy sobie nikogo ze swoich najbliższych – czuł się strasznie osamotniony. Każdy beznadziejnie chory, umierający więzień, zawsze robił na mnie wyjątkowe wrażenie, chociaż do śmierci w szpitalu byłem dość przyzwyczajony. Nie mogłem też obojętnie patrzeć na małą kostnicę w kącie naszego spacerowego podwórka. Tam składano zwłoki zmarłego, potem przenoszono je na sekcję do szpitala na nasz oddział, przy czym wykonywano sekcję zwykle w naszej łazience! Po sekcji odnoszono zwłoki z powrotem do kostnicy. Rodzina, zawiadomiona o śmierci więźnia, przywoziła zwykle ubranie i trumnę. Więźniowie z obsługi szpitalnej ubierali zwłoki, wkładali do trumny i wynosili zmarłego poza bramę więzienną i tam przekazywali rodzinie. Zwłoki zmarłego więźnia chowano przeważnie na miejscowym cmentarzu, jednak zdarzały się przypadki, że rodzina zabierała je w rodzinne strony. Cały ten obrzęd, widziany przez nas dokładnie z okien naszej „sypialni”, miał charakter wyjątkowo smutny i przygnębiający.

Mimo woli przychodziło mi na myśl, że i mnie może tu spotkać ten sam los...

Bardzo duże znaczenie w naszym specyficznym życiu więziennym miały widzenia z rodziną. Można je było mieć raz w miesiącu. Z jakąż tęsknotą czekałem zawsze na widzenie z żoną! Gdy zbliżał się termin odwiedzin i już lada dzień spodziewałem się jej przyjazdu, starałem się być w możliwie najlepszej formie, aby swym wyglądem nie martwić żony. W te dni byłem zawsze ogolony i miałem na sobie świeży, biały płaszcz lekarski. Niektórzy z nas, cieszący się specjalnymi względami administracji jak Perlmutter lub Kłoczewski, miewali widzenie osobiste, to znaczy mogli swobodnie siedzieć z żonami obok siebie przy stole i dłużej rozmawiać, chociaż zawsze w obecności oddziałowego. Ja takiego widzenia nie miałem ani razu. Tylko jeden raz, oficer polityczny, który podczas widzenia stał przy żonie i pilnie przysłuchiwał się naszej rozmowie, z własnej inicjatywy odsunął dzielące nas kraty po jednej i drugiej stronie. Raz napisałem do naczelnika podanie prosząc o zezwolenie na jednokrotne widzenie osobiste, lecz żadnej odpowiedzi nie otrzymałem.

Pisanie, a zwłaszcza otrzymywanie listów też było nie byle jakim urozmaiceniem naszego jednostajnego życia. Każdy list od żony – chociaż znałem go na pamięć – czytałem przez wiele dni, były one bowiem bardziej bezpośrednim łącznikiem z domem aniżeli ciągłe myśli o żonie i synu. Do napisania listu zawczasu przygotowywałem się bardzo solidnie, nieraz nawet notowałem sobie ważniejsze punkty, żeby czegoś nie zapomnieć, bo przecież następny list można było napisać dopiero za miesiąc. Nieprzyjemną stroną pisania listów była świadomość, że każdy będzie czytał ktoś obcy – cenzor. Niejedną rzecz trzeba było pisać między wierszami, w sposób zrozumiały tylko dla adresata.

Czasem pisałem listy więźniom niezbyt wprawnie władających piórem, zwłaszcza podania do władz, prośby itp. Najchętniej robiłem to dla kucharzy. Za pozwoleniem oddziałowego, pisałem im podania do władz w celi, żeby mi nikt nie przeszkadzał a w tym czasie przynosili mi z kuchni ogromne kawały smażonego mięsa. Nigdy w więzieniu nie byłem tak nasycony, jak wówczas.

Więzienny personel służbowy był bardzo liczny. Najniższymi funkcjonariuszami szpitalnymi byli strażnicy pilnujący porządku na te-

renie całego szpitala. Ich zwierzchnikiem był tzw. szef, w którego rękę spoczywała cała administracyjna władza szpitala. Komendantem szpitala był lekarz, do którego należały wyłącznie sprawy związane z leczeniem. Bardzo ważną figurą był „spec” od wychowania politycznego. Często zjawiał się w szpitalu, na wszystko miał baczne oko i ucho. Czasem przychodził zastępca naczelnika więzienia – Grabowski, typ bardzo niesympatyczny, którego bali się zarówno więźniowie jak i funkcjonariusze więzienni. Rzadkim gościem bywał naczelnik więzienia. Przed każdym musieliśmy stawać na baczność i meldować się.

Od czasu do czasu przyjeżdżali różni dygnitarze i inspektorzy z Poznania i z Warszawy. Wszyscy z zaciekawieniem śledzili przebieg ich wizytacji, bo nigdy nie było wiadomo co ona przyniesie. W pierwszym półroczu 1954 roku, polecono lekarzom przedstawić wyższym władzom więziennym wykaz więźniów nieuleczalnie chorych, nadających się do zupełnego zwolnienia z więzienia, oraz wymagających tylko przerwy w odbywaniu kary dla poprawy zdrowia.

Więźniów takich było stosunkowo dużo, a w ich liczbie i ja się znalazłem. Zaczęły do nas częściej przyjeżdżać komisje lekarskie z Poznania i z Warszawy celem przebadania niektórych chorych i wydania opinii. Komisje te zwykle potwierdzały wnioski lekarzy więziennych. A tych ciężko, nieuleczalnie chorych więźniów, było niemało. Zawsze dziwiłem się – po co trzymają w więzieniu tych nieszczęśliwych ludzi, skazanych na nieuchronną śmierć, po dłuższym lub krótszym okresie ciężkich cierpień. Nigdy nie zapomnę lotnika Starzyńskiego, który w wypadku samolotowym uległ ciężkiemu kalectwu: miał sparaliżowane obie nogi i niezarośniętą przetokę kałową. Wielu więźniów z gruźlicą stawów lub kości przykutych było na stałe do łóżka. Już nie miesiącami, lecz latami całymi przebywali w szpitalu lub w izbie chorych. A byli jeszcze ciężko chorzy na inne choroby, takie jak wady serca, owrzodzenia żołądka i dwunastnicy, lecz nie będą ich wszystkich wymieniał.

Wypada wspomnieć o jeszcze jednej specyfice życia więziennego, mianowicie zamachach samobójczych. Zdarzały się one stosunkowo często, tak że nawet w drukowanych blankietach do sprawozdań miesięcznych z ruchu chorych w szpitalu były osobne rubryki „samobójstwa” i „głodówki”. Zwłaszcza częste bywały głodówki – stosowane nie tylko jako jeden ze sposobów odebrania sobie życia, ale dla

zwrócenia na siebie uwagi, uzyskanie rewizji procesu, przerwy w odbywaniu kary lub nawet całkowitego, przedterminowego zwolnienia.

Jeśli po kilku dniach bezskutecznej namowy do zaprzestania głodówki więźniów nadal nie chciał jeść, przyprawiano go 3 razy dziennie z pawilonu ogólnego do szpitala i karmiono sztucznie, za pomocą sondy, przez którą wlewano mu do żołądka porcję specjalnie przyrządzonej płynnej mieszanki odżywczej. Widziałem więźniów głodujących przez kilka tygodni, niekiedy tak wyczerpanych, że już nie mogli przychodzić do szpitala o własnych siłach. Przynoszono ich na noszach. Niektórzy uparcie wzbraniali się przyjmując pokarm normalnie, lecz nawet zręcznie sami wprowadzali sobie sondę żołądkową. W innych znów przypadkach trzeba było używać siły.

Często też zdarzały się wypadki połykania różnych twardych przedmiotów – takich jak trzonki metalowych łyżek, gwoździe, druty, śrubki, nakrętki itp. Zwykle takiego więźnia przyprawiano do szpitala. Pod rentgenem, nieraz po parę razy dziennie, śledzono posuwanie się tych przedmiotów w przewodzie pokarmowym, aż wyszły wraz ze stolcem. Bywały jednak przypadki połykania przedmiotów tak dużych, że zostawały one w żołądku nie mogąc przedostać się do jelit. Trzeba je było usuwać drogą operacyjną. Po otwarciu jamy brzusznej i przecięciu żołądka wydobywano na przykład haki ściennie(!), części łyżek, grube druty (uchwyty kubłów) w dwu kawałkach po 22 (!) centymetry każdy. Gdybym nie widział tego na własne oczy i sam nie mierzył centymetrem, nie wierzyłbym, że człowiek potrafi przełknąć coś podobnego. Przedmioty te nieraz zalegały w żołądku po parę miesięcy wywołując ciężkie zaburzenie żołądkowe. Pamiętam jednego pułkownika – Dorosiewicza, któremu 2 razy otwierano jamę brzuszną celem usunięcia większych przedmiotów, a za trzecim razem musiano przeprowadzić resekcję części żołądka z powodu głębokich owrzodzeń błony śluzowej.

Rzadziej zdarzały się wypadki przecinania sobie żył na przegubach rąk. Utkwił mi w pamięci widok młodego chłopca, syna lekarza, który siedząc w pojedynce, kawałkiem szkła z rozbitej szyby, poprzecinał sobie żyły. Oddziałowy pełniący służbę nocną, kontrolując przez „judasza”, czy w celach wszystko jest w porządku, spostrzegł go leżącego na podłodze w kałuży krwi. Zaalarmował dyżurnego przodownika, który miał wszystkie klucze i miał prawo w razie potrzeby otworzyć

cełę. Ten natychmiast sprowadził lekarza dyżurnego i natychmiast przeniesiono go na noszach do szpitala. Stan jego był żałosny: bardzo blady, zakrwawiony, cały powalany krwią, zdradzał pewne objawy zaburzeń psychicznych. W kilka dni potem przyjechała na widzenie jego matka, lecz w takim stanie nie chciano pokazać jej syna – odjechała więc z niczym. Zabrano go potem od nas i nie wiem, co się z nim stało.

Przy mnie wydarzył inny wstrząsający wypadek. Bardzo młody chłopak w olbrzymiej hali więziennej – mimo rozpiętej między piętrami siatki drucianej – upatrzył sobie jakąś lukę i rzucił się głową w dół z najwyższego piętra. Spadając i zaczepiając się o siatkę, zapewne instynktownie zasłonił głowę ramionami. W rezultacie głowę miał tylko lekko podrapaną i posiniaczoną, połamał natomiast obie ręce powyżej łokcia, obie nogi i parę żeber. W ciężkim stanie przywieziono go na nasz oddział. Po kilku miesiącach wyszedł ze szpitala. Darowano mu resztę kary i zwolniono z więzienia. Doszła nas potem wiadomość, że jadąc przez Warszawę do Siedlec, gdzie miał rodzinę, rzucił się do Wisły z Mostu Poniatowskiego i utonął. Czy tak było w rzeczywistości – nie wiem, bo sprawdzić nie mieliśmy możliwości.

Specyficzne warunki więzienne, poczucie beznadziei, zwłaszcza przy wyrokach dożywotnich i bezczynność – powodowały niezadko powstawanie nawet bardzo ciężkich zaburzeń umysłowych, w pierwszym rzędzie u osobników młodych. Tego rodzaju więźniów odwożono do szpitala psychiatrycznego w Poznaniu.

Nadmierną wrażliwość i pobudliwość można było zauważyć i wśród więźniów pełniących jakąś funkcję, a więc będących w znacznie lepszych warunkach niż ci, co przebywali w zamkniętych celach. Przypominam sobie poważniejsze starcie między Pierzchałą a dr. Pałką, kiedy to o mało nie doszło do rękoczynów... Konsekwencją tego zatargu było zlikwidowanie naszych cotygodniowych posiedzeń naukowych.

W pierwszym półroczu 1954 r. warunki w więzieniu jakby się nieco polepszyły. Zrelaksował rygor więzienny, spacerowały być dłuższe, lepsze jedzenie, częstsze wypiski, a już niepomniernie wszystkich zadziwiło, gdy powiedziano nam, że będziemy mieli w więzieniu kino, do którego raz w tygodniu będą mogli pójść wyznaczeni więźniowie, przede wszystkim ci zatrudnieni na terenie więzienia, a potem i inni. Stało się to dla nas naprawdę ogromnym urozmaiceniem naszego szarego życia więziennego i powiało na nas wolnością.

A ja w zimie 1954 r. miałem jeszcze jedno wydarzenie, które dostarczyło mi sporo wrażeń. Pewnego dnia, najzupełniej niespodziewanie, kazano mi szybko zebrać wszystkie swoje rzeczy i przygotować się do wyjścia. W pośpiechu chwytając co było pod ręką, gubiłem się w domysłach co to ma znaczyć, dokąd mnie zabierają? Zaprowadzono mnie do kancelarii więziennej, gdzie zobaczyłem jeszcze Jurka Kurzępę, syna organisty ze Zwierzyńca, który był najbliższym towarzyszem mojego Tadka w jego działalności konspiracyjnej. Ogolono nas, ubrano tak, żebyśmy przyzwoicie wyglądali, kazano wziąć ze sobą tylko mydło i szczoteczkę do zębów i wydano na drogę „suchy prowiant”. Przed samym wyprowadzeniem z więzienia nałożono nam ręczne kajdanki łącząc moją prawą rękę z lewą ręką Kurzępy. Dla tego, kto pierwszy raz w życiu ma na rękach kajdany, jest to przeżycie nie byle jakie. Czyżbyśmy byli aż tak ciężkimi i niebezpiecznymi zbrodniarzami!?

Konwojowało nas aż 5 milicjantów i oficer ze straży więziennej. Zajęliśmy osobny, zarezerwowany dla nas przedział w pociągu idącym w kierunku Poznania. Po drodze zorientowaliśmy się, że wiozą nas do Warszawy, gdzie w czyjejs sprawie mamy wystąpić jako świadkowie. – W Poznaniu wysadzono nas z pociągu i zaprowadzono do osobnej małej poczekalni przy dworcowym posterunku milicji. Na dworcu było bardzo dużo ludzi. Wszyscy zatrzymywali się i gapili na dwóch skutych ze sobą „zbrodniarzy”, otoczonych i pilnie strzeżonych przez 6 konwojentów!

Na pociąg do Warszawy czekaliśmy kilka godzin. W międzyczasie przywieziono z Wroniek jeszcze jednego więźnia, którego też miano dostarczyć do sądu w Warszawie. Wówczas zdjęto mi kajdanki i Kurzępę skuto z tym nowym więźniem. Nad ranem, umordowanych nocną jazdą, przewieziono nas więźniarką z dworca do więzienia na Mokotowie. Tu umieszczono nas w suterenach dobrze nam znanego pawilonu I, w małej bardzo brudnej celi.

Po paru godzinach dali nam śniadanie i zawieźli do sądu. Dopiero teraz dowiedzieliśmy się, że ja i Kurzępa mamy być świadkami w sprawie Konrada Bartoszewskiego „Wira”, byłego partyzanta z Zamojszczyzny, oskarżonego o prowadzenie, już po wyzwoleniu, dalszej działalności podziemnej i wciąganie do niej młodzieży, m.in. Kurzępę i mego syna Tadeusza.

Ja miałem być świadkiem, że wiedziałem o działalności „Wira” i że u mnie w mieszkaniu odbyła się jakaś jego narada z 3 chłopcami.

Takie spotkanie rzeczywiście miało miejsce. Tym trzecim uczestnikiem był uczeń z Liceum Leśnego w Zwierzyńcu. Spotkanie to było inspirowane przeze mnie i miało na celu powstrzymanie „Wira”, który wśród młodzieży cieszył się wyjątkowym autorytetem, od jakiejś przedwczesnej, nierozważnej działalności.

Czekaliśmy na rozprawę bardzo długo. W sądzie umieszczono nas w niewielkim, przejściowym pokoju, przez który wciąż przeprowadzano do sąsiedniego lub wyprowadzano kogoś z więźniów. Ten drugi pokój był znacznie większy. Zgromadzono w nim kilkunastu oskarżonych, przywiezionych na różne sprawy. Wśród nich był „Wir”.

Po kilku godzinach wyczekiwania, mnie pierwszego zaprowadzono wreszcie na salę rozpraw. Na ławie oskarżonych zobaczyłem „Wira” – w bardzo dobrej formie. Publiczności na sali nie było żadnej. Samotnie siedziała tylko „Nina”, jego żona. Przelotnie zamieniłem z nią ukłon. Zauważyłem jedynie jej smutny uśmiech. Zeznawałem krótko – tak jak napisałem wyżej. Po mnie przesłuchano Kurzępę. Gdy po zakończeniu sprawy prowadzono „Wira” z powrotem przez nasz pokój, uśmiechając się pokazał nam 4 palce, co znaczyło, że dostał 4 lata więzienia. W porównaniu z dotychczasowymi wyrokami była to kara wyjątkowo niska. Szczerze cieszyliśmy się, że tylko na tym się skończyło.

Dopiero pod wieczór odwieziono nas znów do więzienia. Przez cały dzień nic nie jedliśmy – poratowali nas jednak koledzy – więźniowie oczekujący na rozprawy, dzieląc się z nami jedzeniem przyniesionym im przez rodziny.

W drodze powrotnej do Wroniek zatrzymaliśmy się na noc w Poznaniu. Umieszczono nas w komendzie milicji, w dużym czystym pokoju z wygodnymi łózkami i świeżą pościelą. Dopiero tu odpoczęliśmy po uciążliwej, bardzo męczącej wyprawie do Warszawy. Korzystając z tego, że byliśmy sami i mogliśmy rozmawiać bez świadków, Kurzępa opowiadał mi dużo i szczegółowo o Tadku, o wszystkich akcjach, w których wspólnie brali udział, o przebiegu rozprawy sądowej i pełnej godności postawie Tadka. Nawiasem mówiąc, również adwokat Weisfeld, który bronił mnie i jego – na widzeniu ze mną powiedział dosłownie: „Pański syn na sprawie zachował się wręcz fantastycznie”.

Wróciwszy do Wroniek dowiedziałem się, że właśnie wtedy, kiedy byłem w Warszawie, przyjechała na widzenie ze mną żona. Przeje-

chała z górą 600 kilometrów i wróciła do domu, nie zobaczywszy się ze mną. Była tym wyjątkowo zgnębiona i przybita.

Wracając teraz do opisu życia w więzieniu we Wronkach chciałbym jeszcze dla pełniejszego obrazu podać kilka dodatkowych szczegółów.

Bardzo przykrą stroną w stosunkach więziennych była duża liczba „kapusiów”, konfidentów władzy więziennej. Więzienie demoralizuje ludzi. Wielu skłania do donosicielstwa nadzieja na jakąś funkcję, a więc uzyskanie lepszych warunków egzystencji. W lepszej sytuacji byli fachowcy, bo ci nie potrzebowali uciekać się do donosicielstwa, aby tą drogą dostać się do warsztatów pracy. A tych warsztatów było dużo i zatrudniały w sumie kilkuset więźniów.

W warsztatach mechanicznych, poza zwykłą pracą nakazywaną przez administrację na potrzeby więzienne, stale potajemnie wykonywano różne przedmioty, które potem wymieniano głównie na papierosy. Także więźniowie przebywający w celi, a więc nie mający absolutnie żadnych narzędzi, nieraz wykonywali wprost artystycznie rozmaite drobiazgi, takie jak krzyżyki, wisioriki, przebite strzałą serduszka, pierścionki, cygarniczki, co uchodziło za mniej lub więcej cenne pamiątki z więzienia. Dla wykonawców było to główne źródło zdobywania papierosów lub artykułów spożywczych, otrzymywanych z „wypiski” przez więźniów mających na to środki, bo nie wszyscy otrzymywali z domu pieniądze.

Ja też przywiozłem do domu cenną dla mnie pamiątkę: małe serduszko z krzyżykiem na wierzchu, przebite kotwicą i sztyletem, z inkrustacjami i moimi inicjałami wewnątrz, precyzyjnie wykonane z 5 różnego koloru rączek od szczoteczki do zębów. Kilka dni pracowałem nad tym więzień w celi, posługując się tylko gwoździem, kawałkiem szkła i kamieniem do szlifowania oraz „zorganizowaną” w jakiś sposób igłą. Dostał za to 100 papierosów.

W czasie mojego półtorarocznego pobytu we Wronkach, a zwłaszcza w ostatnich miesiącach odbywania kary i warunki ogólne były podobno znacznie lepsze niż w latach poprzednich. Już nie tak często wsadzano do karceru, do izolatki, wstrzymywano „wypiskę” lub zabraniano pisanie i odbierania listów.

Swoistym urozmaiceniem bywały – rzadko co prawda ogłaszane – alarmy. Nagle w ciągu dnia rozlegały się gwałtownie dzwonki

alarmowe. Oddziałowi rzucali się jak najprędzej zamykać na klucz wszystkie drzwi i gdzie kogo zastał alarm, tam musiał już siedzieć aż do jego odwołania. Nigdy nie mogliśmy się dowiedzieć czy był to alarm próbny, czy też coś rzeczywiście się wydarzyło.

[...]

W kwietniu 1954 r. wywołano mnie i magistra Augustowskiego na komisję lekarską, która z polecenia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego czy też prokuratury miała nas zbadać. W skład tej komisji wchodził dwaj dość zażywni lekarze z Poznania. Zadano mi najpierw kilka pytań, w paru miejscach w okolicy serca przystawili słuchawkę i powiedzieli, że mogę już się ubrać. Zauważyłem, że mieli przed sobą bardzo dokładnie sporządzony przez dr. Wilocha opis stanu mojego serca. Wkrótce z poufnego źródła dowiedziałem się, że moje akta poszły znów do Warszawy – z wnioskiem o udzielenia mi rocznej przerwy w odbywaniu kary, ze względu na stan zdrowia. Od razu poczułem się lepiej. Wiedziałem już, że prędzej czy później wyjdę z więzienia, bo zwykle przychyłano się do wniosku komisji lekarskiej.

Zniecierpliwością oczekiwałem ostatecznej decyzji i powoli likwidowałem swoje sprawy szpitalne, aby nie być zaskoczonym w chwili, gdy mnie wywołają do wyjścia. Zwykle odbywało się to w ten sposób, że przychodził oddziałowy z głównej kancelarii więziennej, z kartką w ręku z nazwiskiem więźnia, którego miał zaprowadzić do kancelarii. Trzeba było szybko zebrać wszystkie swoje rzeczy i zdać do magazynu.

15 maja, a więc w dniu swoich imienin, żona jeszcze raz przyjechała do Wronek na widzenie. Oboje byliśmy pewni, że po raz ostatni. I tak też się stało. 19 maja przyjechał do szpitala dr Wierzbicki i po operacjach poszedł do biura więziennego załatwić jakieś formalności. Gdy po pewnym czasie wrócił do szpitala i z daleka zobaczył mnie na korytarzu, uradowany zawołał – „Idzie pan na wolność”. Dowiedziałem się od niego, że w biurze naczelnika więzienia otrzymano właśnie z Warszawy polecenie zwolnienia mnie z więzienia. Wiadomość była poufna, nie wolno było jej rozgłaszać aż do oficjalnego zawiadomienia, jednak szybko rozeszła się po całym szpitalu.

Podniecony, ostatnią noc w więzieniu spędziłem coraz to budząc się i wypatrując świtu. Wreszcie wraz z pobudką zerwałem się z łóżka. Prędko się umywszy, poczyniłem ostatnie przygotowania do wyjścia. Około 8 przyszedł oddziałowy z kancelarii z oficjalną wiadomością

o moim zwolnieniu. Do celi od razu zeszła się grupa współwięźniów, z którymi bliżej żyłem i żegnali się ze mną z nieukrywaną zazdrością.

Strażnik zabrał mnie do kancelarii więziennej w głównym pawilonie, gdzie załatwiono jeszcze kilka formalności, po czym zaprowadzono mnie do małej, pojedynczej celi na najwyższym piętrze i tam zamknięto na klucz. Po pewnym czasie przyszedł fryzjer żeby mnie ogolić. W porze obiadowej przyniesiono mi obiad. Zacząłem coraz bardziej niecierpliwie się, że nie zdążę na popołudniowy pociąg do Warszawy.

Wreszcie około 1 po południu, przyszedł oddziałowy i znów zaprowadził mnie do kancelarii. Tu ze zdziwieniem zobaczyłem leżące na krześle oczyszczone i uprasowane moje palto, ubranie, a także świeżo upraną bieliznę. Obok stał worek z moim depozytem. Kazano mi rozebrać się do naga i przejść do sąsiedniego pokoju. Tam za dużą kotarą wzięłem ostatni więzienny prysznic, a potem przebrałem się we własną bieliznę i ubranie. Potem włożyłem swoje półbuty. Wydały mi się bardzo niewygodne – tak przyzwyczałem się do więziennych pantofli bez pięt.

Teraz oddano mi mój depozyt, ściśle według wykazu sporządzonego w chwili przybycia do więzienia. Zdziwiłem się, zobaczywszy kilkanaście małych notesików żony z jej osobistymi zapiskami, które zabrano przy rewizji w czasie mojej nieobecności. Oddano mi też sporą ilość fotografii z partyzantki oraz parę teczek z moimi rękopisami.

Wszystko to złożono na jedną kupę. Nie wiedziałem, jak to zabrać, lecz zaraz przyszli mi z pomocą więźniowie zatrudnieni przy depozytach. Wynaleźli ogromną papierową torbę, włożyli do niej zupełnie porządnie wszystkie rzeczy i solidnie obwiązali sznurkiem. Teraz oddano mi mój depozyt pieniężny, przeszło 900 złotych. Z ciekawości oglądałem nowe banknoty, których jeszcze nie widziałem, bo wymianę przeprowadzono w czasie mojego pobytu w więzieniu, gdzie żadnych pieniędzy się nie widzi. Wręczono mi wreszcie mały papierek stwierdzający zwolnienie z więzienia na roczną przerwę w odbywaniu kary i polecający zameldowanie się w UB i MO w Zamościu. Gdy już wszystkie formalności zostały załatwione, oddziałowy odprowadził mnie do bramy wyjściowej. Tam sprawdzono jeszcze mój dokument zwolnienia i otworzono przede mną bramę więzienną.

Byłem wolny!

Odetchnąłem pełną piersią, rozejrzałem się dookoła urzeczony wolnością i mnóstwem kwitnących wszędzie drzew owocowych, czego już parę lat nie widziałem.

Dźwigając swój dość ciężki tobół powoli, nie spiesząc się, poszedłem w stronę stacji kolejowej. Stosując się do przesądu rozpowszechnionego wśród więźniów, starałem się nie oglądać poza siebie, żeby nie spojrzeć na opuszczone przed chwilą mury więzienne, gdyż rzekomo mogło to w przyszłości ponownie zaprowadzić mnie do więzienia. Wstyd mi do tego się przyznać, ale tak było. A tłumaczy to sobie chwilowym wypaczeniem psychiki człowieka, który dłuższy czas przebywał w warunkach specyficznych – w więzieniu.

Po drodze do stacji spotkałem parę razy oddziałowych więźniów w mundurach. Musiałem się powstrzymywać, żeby z przyzwyczajenia nie ustąpić im z drogi i nie ukłonić się. Na stacji zostawiłem swój pakunek i mając przeszło 3 godziny do odejścia pociągu do Warszawy, poszedłem do miasta. Pierwsze, co zrobiłem, to wysłałem depeszę do żony, że jestem na wolności i że czekam na nią w Warszawie.

Na ulicy spotkałem dr Sikorę. Trochę porozmawialiśmy, ale już swobodnie, nie tak jak na terenie więzienia. Rozejrzawszy się nieco po miasteczku zaszedłem do restauracji na normalnie podany obiad. W tym czasie wszedł oficer polityczny z więzienia. Zobaczywszy mnie, zatrzymał się przy moim stoliku. Podniosłem się z krzesła, przywitaliśmy się jak równy z równym i zaczęliśmy rozmawiać, wciąż na stojąco. Niektóre fragmenty rozmowy zapamiętałem doskonale. Powiedział, powtarzam dosłownie: „Co do was, to nie mieliśmy poważniejszych zastrzeżeń, jedno tylko, że całkiem niepotrzebnie więźniów przywożonych z Mokotowa wypytywaliście o syna”.

– „Czyż może się pan temu dziwić” – odparłem. – „Ja to rozumiem, ale to nie było przez nas dobrze widziane. Jednak mogę wam teraz powiedzieć, że syn wasz żyje”. Na tym rozmowa się zakończyła. Przy pożegnaniu życzył mi, żebym już nigdy więcej nie wracał do więzienia. Byłem pod dużym wrażeniem tego, co mi powiedział o Tadku.

Po obiedzie wyszedłem znów na miasto. Połąziłem trochę po głównej ulicy i wstąpiłem do cukierni na kawę i ciastka. Odwyczajony od posługiwania się gotówką, byłem zdziwiony zbyt wysoką – jak mi się wydało – kwotą do zapłacenia.

Wróciłem na stację i wieczornym pociągiem wyjechałem z Wronek. Około 5 rano byłem w Warszawie.

Radość z odzyskanej wolności mącił mi tylko ból fizyczny, gdyż tak obtarłem sobie stopy, że wprost kroku nie mogłem postąpić bez dotkliwego bólu.

Zatrzymałem się u kuzynek i czekałem na przyjazd żony. Razem z nią, 24 maja, wróciłem do Szczepieszyna. Nazajutrz pojechałem do Zamościa by zameldować się w Urzędzie Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej.

Po krótkim odpoczynku przystąpiłem do pracy w szpitalu i w Ośrodku Zdrowia.

*

Minął rok normalnej pracy i życia w Szczepieszynie. Kończyła się moja roczna przerwa w odbywaniu kary. Formalnie trzeba więc było wracać do Wronek, na co oczywiście nie miałem najmniejszej ochoty. Kilka dni przed terminem pojechałem do Warszawy do swojego adwokata. Ten już wystarał się o przedłużenie na rok przerwy w odbywaniu kary i równocześnie wniósł podanie o rewizję procesu. 25 maja 1955 roku na posiedzeniu Zgromadzenia Sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego uchwalono w mojej sprawie „poprawić błędną kwalifikację prawną czynu” i skazano na 3 lata więzienia „bez kar dodatkowych”, a na zasadzie amnestii „złagodzone” tę karę do „kary więzienia przez 1 rok i 6 miesięcy”. Tak więc siedziałem w więzieniu prawie pół roku za długo zawdzięczając to „błędnej kwalifikacji prawnej” mojego przestępstwa...

*

Opisałem moje przeżycia więzienne nie wdając się w szczegółową analizę psychiki więźnia. Jest to dziedzina nazbyt obszerna, skomplikowana, wymagająca gruntownych studiów. Na zakończenie swych wspomnień więziennych pokrótce tylko powiem o moich osobistych wrażeniach i spostrzeżeniach.

Gdy w roku 1950, po aresztowaniu w Szczepieszynie przywieziono mnie do Zamościa i osadzono w zimnej i ciemnej celi w piwnicy Urzędu Bezpieczeństwa, głęboko odczułem gwałt popełniony na mnie. To samo było w 1952 roku, kiedy nagle z intensywnego życia na wolności najzupełniej niespodziewanie aresztowano mnie w Warszawie i przywieziono do więzienia na Mokotowie. Od razu owiewa człowieka swoista atmosfera więzienia. Więzień przestaje być pełnoprawnym obywatelem swojego kraju, staje się jednostką niższej kategorii.

To się udziela wszystkim funkcjonariuszom więziennym, którzy z biegiem czasu przestają widzieć w więźniu takiego samego człowieka jak oni, siebie mają za coś nieskończenie wyższego. To się odczuwa na każdym kroku. Najpoważniejsi ludzie – profesorzy szkół wyższych, adwokaci, inżynierowie, lekarze, oficerowie – muszą stawiać na baczność przed byle strażnikiem więziennym, muszą się wciąż meldować, wysłuchiwać głupich uwag, a nierzadko i ordynarnych wyżywków.

Najgorszy i najcięższy bywa okres prowadzenia śledztwa. Wyczerpuje ono każdego więźnia, a niejednego nawet całkiem załamuje psychicznie. Mnie żaden śledczy nie uderzył ani razu, wiem jednak z całą pewnością, że to się zdarzało bardzo często, a czasem bito tak, iż przyprowadzono więźnia o ciężkie, trwałe kalectwo. Często wprost znęcano się nad więźniem, a stosowanych metod poniewierania było nieskończone mnóstwo.

I nie można zbyt wiele się dziwić, że ludzie o słabszej woli i charakterze pod wpływem silnego bólu nie wytrzymywali tych tortur i zaczynali „sypać”. A gdy się raz więzień na śledztwie załamie, to już potem nie łatwo mu jest zejść z tej drogi. Widziałem więźniów z potłamanymi rękami i nogami, żebrami, z wybitymi na śledztwie zębami, ze zmiażdżonymi w drzwiach palcami, z uszkodzonymi gałkami ocznymi, z pękniętymi błonami bębenkowymi uszu. Niektórzy pozostawali kalekami na całe życie.

Stosowano też i inne sposoby gnębienia więźnia. W okresie śledztwa pozbawiano snu nieraz do 10 dni z rzędu, przesłuchiwano w pozycji stojącej bez przerwy do 7 dni, padającego z krańcowego wycieńczenia więźnia oblewano zimną wodą i stawiano znów siłą na nogi. W zimie trzymano więźniów w „karcu” po kostki w zimnej wodzie i przy otwartym oknie. Na długie godziny sadzano więźnia na jednej nodze odwróconego stołka. Bito nawet kobiety.

Na rozprawach sądowych więźniowie nieraz cofali swoje zeznania wymuszone znęcaniem się i bólem fizycznym. Sąd przestał być niezależny. Musiał dostosować się do żądań, innych czynników. Adwokaci na rozprawach musieli liczyć się z każdym słowem, bo bardzo często za zbyt śmiałą obronę swojego klienta pozbawiano ich prawa występowania w sądach wojskowych, co bardzo dotkliwie odbijało się na ich sytuacji finansowej.

Więzienie było ciężką szkołą życiową. Jakże wielu ludzi i to bardzo wartościowych zmarnowało swe siły, zdolności, talenty i zdrowie przez długie lata spędzone w więzieniu. I wszelkie, tak liczne potem rehabilitacje, nie zdołają w pełni wynagrodzić wyrządzonych byłym więźniom i ich rodzinom krzywd moralnych fizycznych i materialnych.

SPIS TREŚCI

OD WYDAWCY	5
PRZEDMOWA	7
WSTĘP	9
ROK 1944	11
SZÓSTY ROK WOJNY	69
ROK 1945	117
ROK 1946	189
LATA 1950-1952	231
LATA 1952-1954	257

ISBN 978-83-951832-0-1